Epigonizm współczesny.

„Czuli śpiewacy róży, makolągwy i gila: Floryany, Zbigniewy, boskie Liliany, Wandy, Aniele i Adele!... Wy, co karmicie się lazurem i essencyą liliową, czemuż musiałem z wami cierpieć? Przebóg! wy jesteście uosobionemi ranami, karyatydami, schylonemi pod brzemieniem nieszczęścia, źródłami, sączącemi łzy milionów! Wasza wielka pierś — rozdarta od ramienia po żebra; wasze oczy — zapatrzone poza kręgi gwiazd; komety zniszczenia świecą wam nad głową, a buchacie ogniem piekielnych czeluści, jak lawą wrzące piersi Wezuwiusza!..." „Czem jest pieśń bez myśli, uczucie bez jasnego widzenia rzeczy, serce bez stałego i niewzruszonego charakteru? A możnaż nazwać potęgą pieśni nabój wyszukanych wyrazów, jakimi często nieuznani geniusze bombardują do twierdzy zdrowego rozsądku, zbrojnej w baterye, ulane z twardego i niczem nieprzebitego sensu..."

Czytelnik zapewne pomyśli, że tyrada ta skierowana jest przeciwko debiutantom ze ś. p. „Życia" krakowskiego. Ciężki błąd! Słowa te pisane były przed trzydziestu czterema laty. A jednak zdaje się, że żywcem wyjęte są z najświeższej współczesności!

Te „pękające serca", „buchające wulkany", „dziewicze duchy, zbrojące się w milczenie i szyderstwo przed gwałtem świętokradzkim

ludzkiego spojrzenia", którymi tak sypią niektórzy najmłodsi — jakież to wszystko nie szczere; bo tego wulkanizmu zaledwie starczy na rozpalenie zapałki, a owa dziewiczość dusz, tających się przed światem, nie przeszkadza bynajmniej odsłanianiu szat duchowych przed czytelnikiem dla pokazania mu głębi, w której, niestety, nic prócz próżni nie dostrzega! Gdy czytamy te wszystkie epitety, zaczerpnięte z języka epigonów romantyzmu, mimowoli brzęczy nam w uszach określenie: „zmokłe kury".

A jakże podobne są do siebie te wszystkie produkcye jednodniowe, jak skwapliwie naśladują wspólne wzory lub naśladują się nawzajem! Otwieramy jedną z nich, odrzucamy po przeczytaniu kilkudziesięciu wierszy, znudzeni i znużeni tym językiem bombastycznym, powykręcanym; zaglądamy do innej, — zdaje się, że to dalszy ciąg tamtej! Ten sam język wydęty, te same epizody flirtu dwu dusz... Mimowoli przypominamy sobie zapomnianych dyletantów pióra z czasów „Lesława" Zmorskiego; tylko cyniczne reminiscencye z okresu naturalistycznego stanowią gdzieniegdzie roźdźwięk z tamtym epigonizmem.

Skądże to pochodzi, że satyryczna apostrofa, skierowana do epigonów romantyzmu, żywcem daje się zastosować do pogrobowców tych prądów literackich, które po romantyzmie panowały? Czyżbyśmy mieli po każdem pokoleniu wracać do punktu wyjścia i rozpoczynać w kółko zapomniane dzieje poprzedniego — przynajmniej w zakresie poezyi i sztuki? Bo jeśli cofniemy się o pokolenie wstecz od tamtego, spotkamy się znowu z karykaturą nadwulkanizmu, nadczułostkowości i nadpoezyi w postaci Fantazego i Idalii w „Niepoprawnych" Słowackiego, których upodabnia do „wód stalaktytów, zgasłych Wezuwiuszy", a ona „jest do połowy z mgły" i „chora do głębi duszy", sama, jak prześcieradło, biała, a oczy ma, jak „dwie plamy atramentu".

Pozornie dziwne zjawisko to łatwo się tłómaczy. W rozwoju poezyi i sztuki następują od czasu do czasu chwile przełomowe, doby, w których dawna treść została wyczerpana, a nowej życie nie dało. Chwile te znamionuje upadek twórczości, zanik talentów — zjawisko, na które tak powszechnie dziś narzekają w całej Europie. Lecz, im mniej człowiek wyrasta od ziemi, tem wyższe lubi dobierać szczudła, a „gdzie pojęcia brak, tam słowo staje we właściwem miejscu", jak mówi Mefistofeles — i to samo stosuje się do uczucia. Ta właśnie nieszczereść jest wspólną cechą wszelkiego epigonizmu; ona to czyni utwory niedołężnymi i niesmacznymi. To też receptę na

tego rodzaju produkcye znajdujemy również u autora wyżej wypisanej apostrofy:

„Bo i cóż wy potraficie nadzwyczajnego? woła do owych nadpoetów. Potrzeba wam przekleństwa — bierzecie piorun; potrzeba nienawiści — wzywacie węże, krokodyle, lamparty, gotowi jesteście wszystkie mamalia, amphibia, insecta, a nawet cały układ Cuviera wezwać do unicestwienia jednego indywiduum, które po takiem zbatożeniu rymami wygląda, jak oparzona kura".

Ale, powiedział jeszcze staruszek Montaigne, na jakkolwiek wysokie wspinamy się szczudła, zawsze chodzimy ostatecznie po ziemi, a na jakkolwiek wyniosłych spoczniemy tronach, siedzimy ostatecznie na własnem siedzeniu.

Stosuje się to oczywiście zarówno i do poezyi, i do poetów. Cały aparat zoologii, botaniki i mineralogii (a niektórzy próbujący dziś sił swoich w sztuce tworzenia rymów wykazują szczególny pociąg do tej ostatniej; zwłaszcza do rozdziału o drogich kamieniach) z dodatkiem astronomii i meteorologii nie poradzi na brak myśli lub uczucia lub raczej, gdy mowa o sztuce, idei-uczucia, która przenika całą umysłowość artysty i budzi w nim twórcze „stań się" ducha.

Duchy twórcze podobne są do arfy Eola. Zagadnienia życiowe potrącają, jak powiew wiatru, o ich struny, wywołują z nich tony to łagodne i ciche, to namiętne i dźwięczne, stosownie do siły i charakteru podmuchu; a tony te nie giną: idą one napowrót do życia czynnego i wpływają na ukształtowanie jego ideałów. Poezya jest tą dziedziną, która najpierw odczuwa potrzebę chwili i najpierwsza kształtuje mgliste jeszcze zarysy ideału przyszłości. Ten ideał, nad którym później wiedza i myśl krytyczna pracować będą, aby mu nadać formę ostateczną, konkretną, aby go ująć w śrubstak logiki i przekuć na formuły ścisłe, ten ideał w jutrznianej postaci utopii świta w zwierciadle poetów, skierowanem ku nadchodzącym stuleciom. Poezya przeczuwa to, co stanie się niegdyś rozkaźnikiem dziejowym:

Co w pięknych kształtach tu przebrzmiało,
Gdzieś blaskiem prawdy olśni nas.

A każde takie nowe objawienie poetyckie wytwarza nowe formy artystyczne, bo w twórczości poetyckiej forma nierozerwalnie połączona jest z ideą, jest jej wytworem. Tak np. widzimy, że wystąpienie ideałów społecznych na początku ubiegłego stulecia w miejscu politycznych, które wyłącznie panowały w XVIII wieku, zna-

mionuje sztuka romantyczna, zastępująca klasycyzm; że nadaniu dążeniom społecznym charakteru materyalistycznego towarzyszy naturalizm w sztuce. Nowe formy poetyckie, jeśli przyjdą, przyjdą razem z nową treścią, z którą forma jest tak organicznie związana, jak sama treść z życiem społecznem z każdej doby dziejowej. Jedna i druga powstaje w duszach twórczych samodzielnie, gdy chwila dziejowa powoła je do twórczości. Ale gdy niema tej pobudki życiowej, duchy owe śpią snem homeryckim; nie do nich należy powtarzanie i nicowanie tego, co już było wypowiedziane.

W takich to chwilach, kiedy niwa poetycka leży odłogiem, występuje na nią ludek pomniejszy. Zdaje mu się, że oto chwila przyjazna, aby zająć opuszczone przez tytanów piękna trony. Odczuwają wtedy ową świerzbiączkę neurasteników, którą jeden z nich nazwał pompatycznie „Wille zur Macht”. W ten sposób powstają epigonowie — a cóż dziwnego, że w jakiejkolwiekbądź dobie zawsze podobni są do siebie, skoro znamieniem ich niemoc twórcza, metodą nieszczerość, sposobem fabrykowania wyżej wypisana recepta?

Przyszło więc najprzód pokolenie Płoszowskich ze znamieniem niemocy na czole, a później jego epigonowie. Tam były jeszcze jakieś próby ujęcia myśli w całość poglądu na świat, ocalenia przynajmniej godności osobistej z rozbitków etyki i więzów społecznych. U epigonów i te wysiłki zanikają. Myśl rozprasza się w bezładnych, kłócących się z sobą aforyzmach; poczucie godności zanika wobec oblizywania się na upragnione stanowisko — pasorzyta...

Takie są ogólne przyczyny epigonizmu współczesnego w Europie. Rzućmy teraz okiem na specyalne warunki kultury polskiej, aby bliżej pochwycić jego źródła i wyniki w naszej literaturze.

W końcu siódmego lat dziesiątka ubiegłego stulecia, w chwili, gdy na widownię dziejową występowało ostatnie jego pokolenie, dwa programy, pokrewne pod pewnym względem z sobą, wytworzone zostały w dwu rozmaitych dzielnicach. W Królestwie Polskiem powstał program „pracy organicznej”; w Galicyi drogę wytknęła Teka Stańczyka. Pokrewieństwo obu polegało na realistycznem pojmowaniu rzeczywistości: oba potępiały romantyzm w polityce i w życiu społecznem, którego znamieniem jest w tych dziedzinach rewolucyonizm. Ale na tem kończyło się podobieństwo; różnice zaś były liczne i wielkie.

Twórcami programu pracy organicznej była młodzież, dopiero wstępująca na widownię dziejową, pełna energii i wiary w wygłaszane przekonania.

Dostrzegając, jak opóźnieni jesteśmy pod względem wiedzy i sztuk użytecznych od przodujących narodów Europy, usiłowała przedewszystkiem te luki zapełnić; dać podstawy do nowego poglądu na świat, zgodnego z wymaganiami chwili, który oprzeć usiłowano na pozytywizmie; raczej na duchu krytycznym i pozytywnym tej doktryny, niż na jej treści, którą mało kto znał i rozumiał dokładnie. Godna uwagi, że przy ciągłem odwoływaniu się do zasad pozytywizmu, nikomu nie przyszło na myśl przetłómaczyć chociażby jedno z dzieł Comte'a lub nawet o Comte'cie. Bo też pozytywizm był raczej hasłem, niż doktryną, w oczach tego młodego pokolenia. Rozumiano go według brzmienia wyrazu: jako wymaganie pracy i myśli pozytywnych w przeciwstawności do marzycielstwa i ślamazarności epigonów romantyzmu. Jak niegdyś romantyzm był hasłem, które łączyło wszystkie młode, porywające się do czynu żywioły przeciw zmurszałemu klasycyzmowi — nie tyle tu szło o teoryę sztuki, ani nawet o poezyę samą, ile o życie i zasady, które ci starzy, t. j. klasycy reprezentowali [1]) — tak teraz pozytywizm stał się takim sztandarem bojowym młodego pokolenia.

Zamiana ta haseł, zaczerpniętych z pojęć estetycznych na filozoficzne, jest bardzo znamienna. Świadczy ona o pogłębieniu umysłowości, o postawieniu trybunału rozumu i myśli naukowej na miejscu uniesień i marzeń poetyckich; a jeśli zapędzano się zbyt daleko w tym kierunku, odmawiając uczuciu wszelkiego prawa głosu, tłómaczyło się to naturalnym porywem zarozumiałości młodzieńczej, przeciągnięciem łuku, dotąd również jednostronnie w przeciwnym kierunku wygiętego.

Słowem, program pracy organicznej, jakkolwiek trzeźwy i umiarkowany w żądaniach swoich, jakkolwiek realistyczny w zasadzie, był nie mniej jednak zwrócony obliczem ku przyszłości, a olbrzymią zasługą jego było wytknięcie odłogiem dotąd leżącego pola pracy społecznej.

Program stańczyków nie wyszedł z grona najmłodszego pokolenia. Stworzyli go ludzie, którzy już młodymi nie byli, a jeśli kiedyś byli, to starali się najusilniej o tem zapomnieć. Podjęli walkę z młodą demokracyą galicyjską, którą nazywano „tromtadracyą". „warcholstwem". Charakter ich programu był reakcyjny. Nie ku

---

[1]) Klasycyzm reprezentowało pokolenie pogrobowców wielkiego ruchu końca XVIII stulecia. Dwa pierwsze pokolenia XIX już należą do romantyzmu. Manfred i hr. Henryk są ich przedstawicielami.

przyszłości, lecz w przeszłość zwracał on swoje oblicze; wypowiadał wojnę świeżym prądom myśli naukowej i filozoficznej. Podnoszenie na świeczniki maleńkich zaściankowych wielkości, a obok tego ignorancya przerażająca nie tylko już tego, co działo się w najbardziej oświeconych krajach Zachodu, lecz tuż o miedzę w zakresie literatury polskiej w Królestwie, były i są znamieniem jego[1]).

Wreszcie przy zupełnem zaniedbaniu pracy na polu społecznem, przy ignorowaniu potrzeb przemysłu, oświaty ludowej, podniesienia dobrobytu, główna myśl programu stańczyków skierowała się ku polityce, dla której otwierały się podwoje wskutek reformy autonomicznej, przez co sam program przeobraził się na hasło stronnictwa politycznego w bardzo ciasnem znaczeniu tego wyrazu.

Pomimo więc pozornego podobieństwa, pomimo pewnego pokrewieństwa myśli zasadniczej, były to dwa zasiewy bardzo różne. Odmienne też wydały owoce...

Opinia ogółu, odwracając się stopniowo od haseł, wygłaszanych przez program pracy organicznej, wystąpiła jedynie przeciwko nadmiernym jego roszczeniom, przeciwko pretensyom do wykluczenia wszelkiej innej pracy, prócz mrówczej, wszelkich innych dążności, prócz realistycznych.

To, co w programie tym było dobrego i słusznego: nacisk, położony na warunki ekonomiczne, jako podstawę postępu w innych zakresach; dbałość o oświatę ludu; studya przyrodnicze i techniczne, jako podstawa wykształcenia praktycznego i t. d.; wszystkie te rzeczy w ciągu paru dziesiątków lat stały się takim pewnikowym dorobkiem młodszych pokoleń, tak zlały się z umysłowością naszą, że ich już wcale nie dostrzegamy, nie mówimy o nich, jako o nabytku nowym, o owocu pewnego programu. Ta więc część programu pracy organicznej zasymilowała się całkowicie z naszą duszą społeczną. Pozostała inna, której ta dusza przyjąć nie mogła: bo też była jej obca; bo zabory, które nad nią wykonać chciała, były nieprawe.

---

[1]) Trwa to i do dziś dnia. Mówiono mi — *relata refero* — jakoby profesor literatury polskiej na jednym z uniwersytetów galicyjskich chwalić się miał, że nie czytał ani jednego z pism A. Świętochowskiego. A oto co czytamy w jednem z pism, wydawanych w Galicyi, o „Wypisach", używanych tam w szkołach średnich: o najwybitniejszych poetach z ostatnich 3 — 5 dziesiątków lat XIX stulecia, jak Asnyk, Konopnicka i inni, zaledwie po słów parę; o Chmielowskim i Korzonie tylko wzmianki; Jeż i Limanowski pominięci milczeniem. „Natomiast Kajsiewicz, dynastya Koźmianów, Kalinka, Klaczko, a najwięcej Szujski, zajmują prawie trzecią część wypisów".

Ulegała jej umysłowość zbiorowa w pierwszej chwili, bo zdawało się, że ta pierwsza część programu, która, jak to dla wszystkich jasne było, konieczną była i rozumną, pociągała za sobą naturalnie i drugą; że kto powiedział *A*, musi rzec *B*. Więc ulegaliśmy owemu *B*, z początku z cichą rezygnacyą, potem z głuchym buntem tłumionym, aż wreszcie znalazły się umysły, które uwolniły społeczeństwo od owej zmory logicznej, które zrobiły odkrycie, tak proste i łatwe, że możemy przyjąć *A*, skoro jest dobre, a odrzucić *B*, jeśli jest złe.

Czegoż żądało owo *B*?

Jak nadmieniłem, stało ono nie tylko w sprzeczności z charakterem naszym narodowym, ale i z szerzej pojętemi wymaganiami ogólnie-ludzkiemi.

Jesteśmy narówni z innymi narodami skłonni do badania tajemnic bytu, do poszukiwania przyczyn wszechrzeczy, do ujęcia w piękną i harmonijną całość budowy wszechświata — powiedziano nam, że powinniśmy wiedzieć to tylko, co bezpośrednio potrzebne i pożyteczne; zakazano stawiać pytania, wgłąb istoty świata sięgające, bo, powiadano, metafizyka narówni z romantyzmem i idealizmem życiowym prowadzi na bezdroża. We wszystkich zakresach myśli, uczucia i czynu kazano nam „zadowolnić się światem danym", uklęknąć przed rzeczywistością, pogodzić się z faktem dokonanym, i, z a m i a s t wzbijać się ku wyżynom, zamiast w ikarowych próbach rozwijać skrzydła — oddać się pracy mrówczej, drobnej, zaledwie dostrzegalnej, gdy przyglądamy się jej owocom w życiu jednostki, kolosalnej w wynikach, gdy spojrzymy na całość.

Bo owoce tej pracy istnieją; są one wielkie; większe, niż sądzą ci nawet, którzy pierwsi łamali kopie o nowy w swoim czasie program, a dziś z pewnem rozczarowaniem sumują jego dorobki. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie mówiono z a m i a s t, ale o b o k.

Przeciwko owemu zamiast oburzyła się nasza dusza społeczna i w tem słowie potępiła program pracy organicznej. Powiedziała sobie: masz prawo badać tajemnice wszechrzeczy i zacnem jest twoje dążenie ku prawdom wyższym, chociażby niedoścignione były; masz prawo wzbijać się na wyżyny we wszystkich zakresach życia, od etyki do po lityki, od życia rodzinnego do społecznego, a cześć ci, jeśli w tym zakresie coś osiągniesz...

Tak powiedziało sobie to pokolenie, które wystąpiło na widownię dziejową po twórcach programu pracy organicznej. A jeśli potępiło ono jego krańcowe zapędy, owo przeciągnięcie łuku, potrafiło wszakże ocenić wartościowe nabytki, będące wynikiem jego zdro-

wego miąższu. Pogłębienie umysłowości narodowej, oparcie zagadnień życiowych o podstawy naukowe, żądanie naukowego poglądu na świat, jako fundamentu dla świadomości narodowej, oto są wyniki zastąpienia haseł estetycznych przez filozoficzne, które obok wymienionych już zdrowych nawyknień, wpojonych przez program organiczny, stanowią cenny nabytek społeczeństwa.

To przyzwyczajenie do ważenia objawów życiowych na szali rozumu daje nam rękojmię, że młode pokolenie krytyczniej u nas traktować będzie wszelkie modne prądy, że w rzeczach sztuki zarówno, jak i w innych, stosować będzie ten probierz, który wytknął był już Mickiewicz, ów duch prawdziwie wulkaniczny, którego o oziębłość i płytkie rozumkowania nikt nie posądzi, a który tak daleki był zawsze od sztuczności i szczudłowatości, jak i od fałszywego patosu, bo ich nigdy nie potrzebował.

„Zupełnie mi wyperswadował — pisze Zygmunt Krasiński do ojca po poznaniu się z Mickiewiczem w Genewie — że szumność jest głupstwem tak w działaniu, jak w mowie, jak w pisaniu, że prawda i prawda tylko może być ponętną w życiu, że wszystkie ozdoby, kwiaty stylu są niczem, kiedy myśli niema, że wszystko na tej myśli polega, i że, chcąc być czemś, trzeba się uczyć, uczyć i uczyć, i prawdy wszędzie szukać" [1]).

W innych zgoła warunkach znalazła się młodzież galicyjska. Systematyczne przyćmiewanie światła wywarło tu skutki swoje. Uczniowie, którym zarówno w gimnazyach, jak i na uniwersytecie, przedstawiono Koźmianów i Kajsiewiczów, jako pierwszorzędnych pisarzów, od których systematycznie zasłaniano bijącą żywem tętnem literaturę postępową Warszawy, którym wpajano kult bożków lokalnych zamiast ogólnie narodowych, których zamiast do krytyki i badania wdrażano do ślepej wiary *in verba magistri*, — młodzież ta przedstawiała grunt podatny dla przyjęcia wszelkiej nowości, jakkolwiek nieponętnej, któraby tylko jaskrawo odbijała od szarzyzny owych parafialnych wielkości, podawanych jej za wzory. Jeśli dodamy do tego stawianie na indeksie wszelkiej myśli świeżej, to łatwo zrozumiemy, dlaczego epigonizm mógł i musiał znaleźć adeptów w Galicyi, dlaczego takie „Życie" krakowskie mogło tu robić sensacyę i być „modnem" przez jakiś rok lub więcej (dopóki nie wyrugowała go inna moda), kiedy np. w Warszawie równoległy mu „Strumień" spotykał się tylko z ironicznem wzruszeniem ramion i musiał rychło wyschnąć. I dziś wciąż jeszcze epigonizm nasz,

---

[1]) Por. Adam Krasiński. „Poeta myśli" (Bibl. Warsz., styczeń, 1901).

przynoszący nieco już zwiędłe mody zachodu, jest przeważnie importem galicyjskim, kiedy przeciwnie dzieła poważne, naukowe pomimo dwu uniwersytetów galicyjskich i Akademii w Krakowie są w przeważnej większości pochodzenia warszawskiego[1]), zarówno jak i cała poważna belletrystyka.

Takie są więc odmienne plony dwu odmiennych siewów. Po owocach je osądzić winniśmy. Wprawdzie nauczyciele młodzieży w Galicyi niechętnie przyznają się do ojcowstwa duchowego polskiego „modernizmu"; ale pomimo to nić wewnętrznego pokrewieństwa łączy ich niewątpliwie.

Chcąc być sprawiedliwym względem naszych epigonów z rozlicznych okresów, powinniśmy tu wymienić jedną z cech współczesnego, której nie miały poprzednie, a która jest charakterystycznem znamieniem merkantylizmu. Jest to skłonność do czysto kupieckiej reklamy.

W pokoleniach dawniejszych rzeczą prawie niesłychaną było, aby pisano studyum o kimś żyjącym, a jeśli się to zdarzało, to oczywiście wtedy, gdy nagromadził dosyć owoców i to tego rodzaju, że wyjątek podobny wydawał się usprawiedliwionym. Nasi najmłodsi, wprzód jeszcze, nim wezmą się do pióra, mają przyjaciół, którzy, pełniąc rolę ich Janów Chrzcicieli, zwiastują światu narodzenie nieznanych geniuszów, a czynią to najczęściej z taką... bezceremonialnością, że w ludziach z poczuciem przyzwoitości wywołują przykry niesmak i rumieniec wstydu za literaturę (chociażby *in spe*), reklamowaną, jak kawa żytnia lub ekstrakt słodowy. Smutniejszem jest, że i dzienniki warszawskie udzielają czasem miejsca tego rodzaju reklamom; na ten raz ograniczam się do przepisania urywka z galicyjskiego, zastępując nazwisko (które, rozumie się — bo o to przecie idzie— zawsze jest wypisane wszystkiemi literami) literą X:

„Ten pan nazywa się X, a pod tem nazwiskiem ukrywa się

---

[1]) Ktoby miał pod tym względem wątpliwość, niech zechce przejrzyć katalog wydawnictwa kasy Mianowskiego. Pokaże się, że nawet przeważna ilość podręczników uniwersyteckich z zakresu nauk ścisłych są tego pochodzenia. Przypominamy następnie wydawnictwa, jąk Prace filologiczne, matematyczne, Biblioteka filozoficzna, Przegląd filozoficzny, Pamiętnik fizyograficzny, Historya szkolnictwa polskiego i wiele innych. Dodajmy do tego prace historyczne Korzona, Jabłonowskiego i Smoleńskiego; Chmielowskiego w zakresie historyi literatury; Struvego i Lutosławskiego w zakresie filozofii, a dostrzeżemy, że przewaga produkcyi naukowej leży po stronie Królestwa. Nie zmienia to istoty rzeczy, że niektórzy z autorów wymienionych prac przenieśli się w wieku dojrzałym do Galicyi: idzie nam bowiem o to, z jakiego siewu pochodzą, pod jakimi wpływami wyrośli i ukształtowali się. Wiadomo bowiem, że ideały i plany młodzieńcze decydują o dziełach dojrzałego wieku.

pan bardzo dziwny. Poeta, który zdaje się mieć wstręt do pióra. Artysta, który nie odczuwa głodu uznania. Dotychczas jeszcze żaden krytyk nie miał sposobności znęcać się nad książką, podpisaną przez X. On wogóle nie pisze książek. On nie ma popędu do przetapiania w farbę drukarską każdego ze swoich wewnętrznych wstrząśnień, nie każe przechodniom i stałym odbiorcom księgarni zajmować się każdą swoją katastrofą miłosną..." Zdawałoby się, że taki skromny pączek cnót domowych, nie szukający i nie pragnący szerszego pola działalności, mógłby spokojnie rozkwitać dla przyjemności i szczęścia swoich najbliższych przyjaciół. Pocóż ma o nim wiedzieć szeroka publiczność? Poco otrąbiać te cnoty w „oryginalnej" [1]) korespondencyi dziennika brukowego? Powód, rozumie się, znalazł. Oto pan X wygłaszał odczyt w miasteczku kąpielowem. Oryginalny korespondent wszakże, zajmując 60 wierszy druku roztrząsaniem tego wypadku, całą tę korespondencyę poświęca jego osobie... a z odczytu figuruje tylko tytuł. Za to pełno tu rozważań nad tem, czy autor będzie kiedyś sławnym, czy podoba się kobietom i t. d.

Wybraliśmy jeden z najskromniejszych kwiatków tej reklamy literackiej, a pomnażać przykładów nie chcemy. Nadmienimy tylko, że tematem rozważań niekiedy bywa dramat, który nienarodzony jeszcze geniusz ma zamiar napisać; że czasami zwiastuje nam o tem, iż za kilka lat ma zostać profesorem jakiegoś przedmiotu, do którego studyowania ma oto już niebawem przystąpić, lub też na dowód niezwykłej dojrzałości talentu przytacza się związki matrymonialne, przez niego zawarte (oczywiście imponuje to młodszym kolegom mieć przyjaciela na „ty" i już żonatego!...).

Jeśli możemy z uśmiechem pobłażliwym i wzruszeniem ramion pomijać niektóre dziwactwa epigonizmu współczesnego, to owe zaszczepienie reklamy w stosunkach literackich należy już stanowczo potępić w imię wymagań przyzwoitości i etyki fachowej, która wiązać powinna wszystkich rycerzy pióra.

Rycerzy! Jakże niewielu ich jest naprawdę w tym rozległym bractwie piszących! Jakże mało takich, którzy tylko dla dzieła swego żyją!

Epigonowie do nich nie należą... Epigonowie mają niekiedy złudzenie, że burzą rzeczy stare i przeżyte, oczyszczając grunt dla nowości, która ma się narodzić; złudzenie, powiadam, bo owo przeżyte samo wali się w gruzy wskutek rozkładu wewnętrznego; oni zaś są tylko próchnem owego rozkładu. *W. M. Kozłowski.*

---

[1]) Widać, że „oryginalne" korespondencye bywają tam rzadkością, skoro o tem specyalnie się ogłasza.

Germanizacya Polaków w Niemczech

przy pomocy kościoła.

I.

Charakterystyka stosunków niemiecko-polskich zazwyczaj nie uwzględnia jednego bardzo ważnego czynnika, który rzuca dużo światła na germanizacyę. Czynnikiem tym jest germanizacya przez kościół.

Dążności germanizacyjne rządu pruskiego ujawniają się w rozmaity sposób: czy to w formie systemu politycznego, usuwającego Polaków ze wszystkich posad rządowych, czy też w formie ogólnej zależności ekonomicznej, otoczenia niemieckiego, praw wyjątkowych, stronniczego sądownictwa i specyalnej opieki policyjnej. Lecz wszystkie te czynniki nie doprowadziły do pożądanego celu: germanizacya postępuje wolno, a wobec tego rząd poczęści już zaprzągł, poczęści stara się zaprządz do swego germanizacyjnego systemu nowy czynnik —kościół. Rząd oddawna już dąży do tego, aby księża dopomagali władzy świeckiej do zniemczenia ludu polskiego. Germanizatorom chodzi o to, ażeby kościół stał się niewolnicą polityki pruskiej, dążącej do zlania żywiołu polskiego z niemczyzną.

Nacisk rządu pruskiego na księży rozpoczyna się zazwyczaj od stosunków szkolnych, szkoła bowiem jest instytucyą, na której gruncie spotyka się ingerencya władz świeckich i kościelnych. Otóż najpierw w stosunkach szkolnych stara się władza cywilna nagiąć do swych planów władzę kościelną. Dzieje pruskiej polityki szkolnej wymownie świadczą, że w ten sposób powoli rząd wśród duchowieństwa katolickiego zjednywa sobie wykonawców swych planów, oczywiście nie wszędzie w jednakiej mierze.

Dążności rządu obejmują rozległe terytoryum: ujawniają się na Górnym Śląsku, w Warmii i w Prusach Zachodnich, na wychodźtwie (Berlin i Westfalia), wreszcie i w Poznańskiem. Naturalnie nie w każdej z tych prowincyi system ujarzmienia kościoła w kierunku germanizacyjnym równie doniosłe wykazuje rezultaty, jak na Górnym Ślązku, gdzie zniemczone duchowieństwo jest usłużnem narzędziem w rękach rządu i germanizuje (z małymi wyjątkami) lud polski od lat siedemdziesięciu przeszło. Jeszcze około roku 1830 za Głogowem, przed Wrocławiem po wsiach, dziś rdzennie niemieckich, śpiewano i kazano po kościołach po polsku. Pisze o tem wyraźnie Boeckh w swojej statystyce. Krew polska tego ludu została przefarbowana na niemiecką przez księży. Ten proces postępował ku Brzegowi, ku Opolu, a dziś rozszerza się po całym Górnym Śląsku. Nigdy nie było w tym procesie przerwy, zawsze system pruski popychał księży do roboty, tępiącej narodowość polską w ludzie polskim.

To samo działo się w Warmii. W Prusach Zachodnich już w roku 1864 znosił rząd pruski naukę języka polskiego w szkołach i potrafił zmusić duchowieństwo przynajmniej do postawy biernej, jeżeli nie do czynego współudziału w germanizacyi.

Oczywiście nie wszędzie i nie wszyscy księża dają się użyć rządowi za narzędzie polityki. Są i na Śląsku, i w Warmii, i w Prusach Zachodnich (o Poznańskiem nie wspominając) księża, życzliwi sprawie ludu, którego są duszpasterzami, lecz wtedy to przeciw nim zwraca się ostrze systemu polityki pruskiej, władza cywilna paraliżuje na każdym kroku ich wpływy w szkole i w kościele, a w bezwzględności swej dochodzi wreszcie do tego, że, jak to się dzieje na Górnym Śląsku, krępuje ich wolę przy takich czysto kościelnych sprawach, jak nauka przygotowawcza do Sakramentów, żądając, aby nauka ta odbywała się w języku niemieckim.

Jakkolwiek jednak system ucisku wszędzie jest jednaki, wyniki jego, stosując się do warunków politycznych poszczególnych prowincyi, tak są rozmaite, że je na gruncie tych lokalnych warun-

ków rozpatrywać należy. Największe tryumfy święci germanizacya przez kościół wśród wychodźców polskich w Niemczech, gdzie duchowieństwo, z nielicznymi wyjątkami czysto niemieckie, z natury rzeczy jest rozsadnikiem germanizacyi. Dalej idzie Górny Śląsk, gdzie warunki miejscowe częstokroć nakazują księżom dla utrzymania własnego wpływu przybieranie charakteru polskiego, ale i ich zabiegi germanizacyjne bardziej, niż gdzieindziej, usystematyzowaną mają formę. Dalej idą w tym pochodzie Prusy Zachodnie z Warmią, gdzie wyższy kler, germanizacyjnie usposobiony, najczęściej napotyka opozycyę wśród niższego, w duchu polskim działającego duchowieństwa. Wreszcie na samym końcu postawić należy Księstwo Poznańskie, w którem system germanizacyi przez kościół szuka dopiero oparcia i nie wyszedł jeszcze poza granice niemieckiego wykładu religii w szkołach, a wśród duchowieństwa wytworzył zaledwie kilka wyjątkowych postaci księży-germanizatorów, w rodzaju księdza Krzesińskiego, który przemawia na wiecach niemieckich, jako Niemiec-patryota, lub księdza Warmińskiego, który w głosowaniu na wyborach gminnych oddaje głos jedynemu osiadłemu w jego gminie Niemcowi-protestantowi, uzasadniając to swem „dążeniem do równouprawnienia obydwu narodowości".

Przypatrzmy się germanizacyi zapomocą kościoła tam, gdzie się ona najsilniej ujawnia, t. j. *na emigracyi*, wśród wychodźców polskich w Niemczech.

Wpływ germanizacyjny duchowieństwa niemieckiego na naszych wychodźców jest tem większy, im większą doniosłość ma dla emigrantów opieka duchowna wogóle. Przecie kościół jest dla większości naszych wychodźców jedynem gromadzącem ich wszystkich środowiskiem; przecie kazania polskie są w większości wypadków jedynem i ostatniem świadectwem kierunku narodowego myśli tych ludzi, a działalność społeczna księdza polskiego wśród emigrantów nie da się z niczem porównać: ani z wpływem gazet i książek polskich, ani z wpływem towarzystw, ani z działalnością osób świeckich. Tak, jak dziś rzeczy stoją, t. j., gdy główna część wychodźców składa się z jednostek, narodowo, wcale lub mało uświadomionych, jeden tylko kapłan polski może odgrywać rolę łączącego emigrantów węzła, wskazywać im drogę rozwoju społecznego, a tem samem przeciwdziałać germanizacyi. Dodać przytem należy, że ze stanowiska kościelnego germanizacya w większości wypadków uważana być powinna za protestantyzacyę lub, co najmniej, za zupełne zobojętnienie dla katolicyzmu. Mogłoby się zatem zdawać, że już ten wzgląd powinienby władzę duchowną usposobić przychylnie do

próśb wychodźców, błagających o kapłanów-rodaków. Tymczasem okazuje się, że nie. Większość wychodźców przebywa albo w archidyecezyi kardynała Koppa (Berlin, Wrocław, Poczdam, Szpandawa, Frankfurt nad Odrą) albo w archidyecezyi Padernbornskiej (wychodźtwo westfalskie). Wychodźtwo polskie w Saksonii upośledzone jest wprawdzie pod względem opieki duchownej, ale przypisać to należy raczej nietolerancyi protestanckiego rządu saskiego.

W Berlinie (40 — 60 tys. Polaków) [1]) od lat kilkunastu powtarzają się skargi na brak księży Polaków, a stan rzeczy, jaki był przed laty dziesięciu, trwa do dziś dnia. Próśb nie wysłuchano, władza tłómaczy się brakiem odpowiednich kapłanów lub nasyła zniemczonych górno-śląskich księży, którzy łamaną polszczyzną wygłaszają kazania. Względy natury politycznej stanowią o takiem postępowaniu księdza arcybiskupa Koppa, do którego archidyecezyi należą parafie berlińskie. Arcybiskup Kopp jest znany ze swej nieżyczliwości dla Polaków, a co do ujawniania się tej niechęci na polu opieki duchownej nad wychodźcami polskimi, to i do niego zupełnie słusznie zastosowaćby można to, co swego czasu powiedział arcybiskup koloński, ks. Simar, gdy mu przekładano petycyę tysięcy westfalskich Polaków: „Im prędzej się zniemczą, tem lepiej będzie i dla nich samych, i dla kościoła, bo ich stosunki z katolikami Niemcami będą ściślejsze i bliższe się stanie urzeczywistnienia ewangeliczne słowo o jednym pasterzu i jednem stadzie". Duchowieństwo niemieckie radeby widzieć jaknajprędzej ostateczną asymilacyę wychodźców polskich z Niemcami-katolikami i wie, że działalność kapłanów polskich utrudniłaby ten proces asymilacyi.

Bezpośredni zarząd duszpasterstwem berlińskiem spoczywa w rękach „delegata arcybiskupiego". Przed kilku laty był takim delegatem ksiądz Jahnel, kapłan, jak się zdaje, osobiście przychylny Polakom, lecz widocznie związany poleceniami władzy. Po śmierci Jahnela opróżnione miejsce zajął ksiądz Neuber, a jeśli pierwszy rozżalone serca polskie koił i łagodził obietnicami, delikatnem i życzliwem obejściem się, to drugi nie tai się nawet z tem, jak mu nie na rękę te ciągłe żądania Polaków, domagających się kapłanów rodaków.

Wobec wychodźców naszych w Berlinie kościół stał się poste-

---

[1]) Szczegóły ob. w mojej rozprawie p. t. „Kolonia polska w Berlinie" (Bibl. Warsz., 1901, luty).

runkiem germanizacyi. Z tego posterunku zazwyczaj dyskretnie zamarkowane, często jednak otwarte idą ataki na charakter polski wychodźców naszych. Dla charakterystyki położenia wspomnieć tu warto o proboszczu z Hoppegarten (pod Berlinem), który co dwa tygodnie odprawia nabożeństwo w licznej kolonii polskiej w Kalkberge-Rüdersdorf, gdzie w kopalniach i fabrykach cementu pracuje przeszło 1000 Polaków. Niemców-katolików jest tam zaledwie kilku. W Kalkberge-Rüdersdorf istnieje towarzystwo polskie, które jest w styczności z berlińskiemi towarzystwami polskiemi. To towarzystwo było oddawna solą w oku proboszczowi, któryby chciał, aby w jego parafii był jeden pasterz i jedno stado niemieckie. Przybywszy też (w sierpniu 1901 r.) na zebranie tego towarzystwa, zawezwał członków, aby je rozwiązali, ponieważ on chce założyć towarzystwo katolickie, w którem by miejscowi Niemcy katolicy mogli być członkami, a język niemiecki byłby urzędowym. Kto żyje w Niemczech, mówił ksiądz proboszcz (podług tekstu, ogłoszonego później w „Dz. Berl.”), ten powinien być dobrym Niemcem i porzucić marzenia o kraju. Sam jestem Niemcem, choć przecie z polskich pochodzę rodziców”. A dalej mówił: „Polska mowa nie ma dziś nigdzie wartości, ma ona tylko wartość taką, jak pieniądz zagraniczny, który się wyda i zmieni, i nic po nim nie pozostanie. Mowa polska jest dziś całkiem niepotrzebna, i on, jako kapłan, do polskości palca nie przyłoży, bo jest Niemcem. Dzieci też ludzie mają po niemiecku chować, bo polska mowa im się na nic nie zda”... Powyższy przykład mógłby w zupełności wystarczyć, aby dać pojęcie o jawnej robocie germanizatorskiej niektórych księży.

Inni innej, łagodniejszej używają metody. Taki ksiądz Stephan z Weissensee (przedmieście Berlina), który w swej parafii ma bodaj że więcej Polaków, niż Niemców, najpierw dwa lata zbierał zapomocą odezw i ogłoszeń składki w polskich prowincyach na kościół, a potem całe Księstwo, nie tylko swą parafię, formalnie zarzucił niemieckiemi książkami do nabożeństwa, które, aby tem łatwiej trafić mogły do Polaków, zaopatrzył w liche ponad wszelki wyraz tłómaczenie polskie. Wśród swych parafian polskich w Weissensee ksiądz Stephan uchodzi za wybitnego germanizatora. Jest on z pochodzenia Górno-Ślązakiem i mówi po polsku przynajmniej tyle, że może zupełnie dobrze porozumieć się z Polakami. Jest to człowiek niezmiernie gładki w obejściu, grzeczny, układny, szczyci się przyjaźnią księcia kardynała Koppa, swym parafianom polskim stawia chętnie siebie za przykład, że można, „będąc Polakiem”, być dobrym Prusakiem i wiernym poddanym władz świeckich. System jego

polega na politykowaniu z uczuciami polskiemi parafian. Każdem zosobna zwierza się ze swej przychylności dla Polaków, aby tem łatwiej opanować wszystkich, gdy są razem. Dzięki takiej polityc pozyskał sobie pewien wpływ wśród Polaków, wytworzył sobie pa tyę zwolenników, którzy za nim w najlepszej wierze idą, jest wre szcie honorowym prezesem towarzystwa św. Stanisława w Weissen see. W r. 1899 odprawiał pielgrzymkę do Rzymu, a przywiózłsz stamtąd relikwie Ś-go Stanisława Kostki dla wybudowanego za jeg staraniem kościoła, ciekawą odegrał komedyę wobec swych parafia Polaków. Wyznał im, że powraca z Rzymu skruszony, uznaje, i istotnie nieraz ułatwiał przedtem postępy germanizacyi, ale obecni „pod wpływem serdecznej rozmowy z kardynałem Ledóchowskim" odkrył w sobie serce polskie i odtąd czuje się Polakiem. Naturalni zjednał sobie tem zaufanie parafian i nakłonił ich do tego, że nie na legali o kilka słów przemowy polskiej od ołtarza w dzień poświęce nia kościoła, prawie w większej części za polskie wzniesionego pie niądze. Na akcie poświęcenia żadne polskie słowo nie obraziło do stojnych uszu kardynała Koppa, rozkoszującego się umiejętności księdza Stephana w panowaniu nad „uroszczeniami polskiemi parafian. Ksiądz Stephan zaś oznajmił Polakom, że co rok będzi odprawiał w listopadzie nabożeństwo na intencyę Św. Stanisław Kostki i połączy je ze wspólną spowiedzią i komunią dla Polaków W r. 1900 „zapomniał" o tej obietnicy, aż dopiero na skutek nata czywych nalegań Polaków 21 listopada ogłosił, kiedy odbędą się t obrzędy dla Polaków. Ale ogłosił to na kazaniu niemieckiem (po skie wówczas opuścił, pomimo że przewidziane było w programi jako w święto Matki Boskiej). Parafianie polscy, którzy uczęszcz ją na polskie kazania, oczywiście nie słyszeli zapowiedzi, a nie wi dząc o niej, nie przyszli na oznaczoną porę. Tak ubito sprawę o chodu, poświęconego Św. Stanisławowi Kostce, bo to przecie „pols święty". Ale Polacy nie dali za wygraną i zażądali od księdza w znaczenia uroczystego nabożeństwa, poświęconego temu patrono Polaków. Ksiądz Stephan zgodzić się musiał i oznajmił, że nab żeństwo to odbędzie się tego samego dnia popołudniu. Liczył z pewne na to, że Polacy nie zdążą się porozumieć w ciągu kilku g dzin. Tymczasem na oznaczoną porę zeszli się nie tylko praw wszyscy Polacy z Weissensee, ale nadto wielu przyjechało z Berl na. Ksiądz Stephan najspokojniej w świecie odprawił nabożeństwo niemieckie! Gdy niedawno odbywały się wybory do dozoru kości nego, ksiądz Stephan namawiał Polaków, aby dla zachowania zgod oddali swe głosy Niemcom, „bo to przecie też katolicy", a gdy P

lacy, postawiwszy dwu kandydatów, przeprowadzili wybór jednego z nich, ksiądz Stephan przyjął wiadomość o tem słowami: *Schon wieder ein Pole!* Ksiądz Stephan nosi się podobno z zamiarami zupełnego zniesienia kazań polskich, dlatego ta obecność Polaka w dozorze kościelnym jest mu nie na rękę. Prócz tego postarał się już ten „przyjaciel Polaków", aby przełożone klasztorów żeńskich nie posyłały zakonnic-Polek do opieki nad chorymi Polakami. Jeśli w rodzinie polskiej zdarzy się ciężka choroba i potrzeba opieki zakonnicy, tylko siostry-Niemki są do dyspozycyi, Polki zaś idą do rodzin niemieckich. Tak stara się wytwarzać ten kapłan „jedno stado" ze swych różnojęzycznych parafian.

Godnym towarzyszem księdza z Kalkberge-Rüdersdorf jest dziekan w Charlotenburskim kościele Panny Maryi. Kapłan ten taką niechęcią pała ku Polakom, że zasadniczo odmawia ślubów polskich. „Dziennik Berliński" podał niedawno wiadomość, że pewnej młodej parze ksiądz ten odmówił ślubu polskiego pomimo gorących błagań, tem więcej uzasadnionych, że rodzina młodej pary nie rozumiała po niemiecku. Potrzeba było dopiero energicznej interwencyi jednego ze starszych członków kolonii polskiej, który nie dał sobie zamydlić oczu rzekomymi zakazami władzy duchownej, aby zmusić księdza do dania ślubu polskiego.

W grudniu r. 1900 odbył się w Berlinie wiec polski w celu żądania od władzy duchownej więcej polskich nabożeństw dla Berlina, a zaprowadzania ich choć w wyjątkowe święta w tych parafiach, które, jak np. wspomniany wyżej Rüdersdorf, mają po kilka tysięcy parafian Polaków, a doprosić się nie mogą kazań polskich. Na wiecu podnoszono rozmaite zarzuty przeciw duchowieństwu berlińskiemu; jeden z mówców przytoczył przykład, że musiał raz prosić jednego z miejscowych księży, ks. Kapenberga, aby w dniu poświęcenia chorągwi dla polskiego towarzystwa mogło się odbyć wyjątkowo już nie kazanie polskie, ale śpiewy polskie i przemowa polska od ołtarza. Ks. Kapenberg stanowczo oświadczył, że na to nie pozwoli, ponieważ naraziłby się na słuszną krytykę ze strony konfratrów i parafii niemieckiej. Gdy petent oświadczył, że sam uprosi któregokolwiek z posłów polskich, księży, aby odprawił nabożeństwo z przemową polską, proboszcz i na to się nie zgodził, a nawet wyraził się, że księża polscy są fanatykami, że lud bałamucą, odwodzą od wierności dla państwa i tronu i t. d.

Wogóle kwestya śpiewu polskiego w kościele traktowana jest przez niemieckich księży ze stanowiska wyłączności niemieckiej. Jeszcze za szczęście poczytywać sobie może kolonia polska, gdy jej

wogóle pozwolą w jaką niedzielę odśpiewać jedną lub dwie pieśni polskie, naturalnie za odpowiedniem... opodatkowaniem. W Berlinie, w parafii Ś-go Piusa, gdzie mieszka 15 tysięcy Polaków, ubogie towarzystwo polskie Ś-tej Cecylii, mające na celu pielęgnowanie polskiego śpiewu kościelnego, opłaca organiście podatek miesięczny, aby tylko wolno było w pewne niedziele śpiewać polskie pieśni. Ten system specyalnego opodatkowania Polaków wywołuje naturalnie protesty. W styczniu 1901 roku odbył się wiec Polaków parafii S-go Piusa, na którym uchwalono, co następuje:

„Zebrani na wiecu w dniu 6 stycznia parafianie z parafii św. Piusa ubolewają, że władze parafialne nie traktują Polaków tak, jak niemieckich katolików pod względem polskiego nabożeństwa, wypełniania obrządków kościelnych oraz stosownego wynagrodzenia organisty i opłacania wydatków na śpiew kościelny. Więc domaga się, aby dozór kościelny usunął wszelkie powody do skarg i odtąd opłacał odpowiednio organistę polskiego i ponosił wydatki na polski śpiew kościelny i wogóle starał się uczynić zadość wszelkim potrzebom polskich parafian. Wiec wyraża ubolewanie, że żaden z księży parafialnych na wiec nie przybył".

Traktowanie po macoszemu sprawy polskiego duszpasterstwa budzi w najszerszych warstwach ludności polskiej żywe niezadowolenie i oburzenie. Nie potrzeba sztucznej agitacyi, aby to oburzenie ujawniło się nazewnątrz w jaskrawej formie: potęguje się ono bowiem zupełnie odruchowo, bez jakiegokolwiek podbudzania. Słusznie miał prawo pisać jeden z osiadłych w Berlinie Polaków w liście do gazety: „My tu nie potrzebujemy sztucznej agitacyi, ażeby wzbudzić głosy, domagające się równouprawnienia — budzi je w piersi najspokojniejszego robotnika ból, gdy mu proboszcz niemiecki odmówi pozwolenia na zaśpiewanie wraz z setkami ziomków, choćby w jedno tylko święto Bożego Narodzenia polskich kolend, budzi je żal, iż nigdy nie przemawia doń z kazalnicy kapłan po polsku, budzi je rozpacz umierających — na wspomnienie, iż stara matka, nie umiejąca się modlić po niemiecku, nawet przy grobie syna nie usłyszy polskiego pacierza!"

W samym Berlinie księża nie okazują tyle jawnej niechęci do narodowości polskiej, ile jej okazał np. proboszcz podmiejski w Kalberge. Na przedmieściu, gdzie mieszka ludność uboższa, przeważnie robotnicza, ksiądz dla prostego chłopa Polaka zupełnie jest inną powagą, jak dla wychodźców w samym Berlinie. Tam księdzu na propozycyę rozwiązania towarzystwa, „ponieważ nie on je założył", odpowiedzianoby bez wątpienia: „właśnie dlatego rozwiązywać

go nie będzie, bo nie on je założył". W samym Berlinie zato jest inny sposób napędzania Polaków w sidła germanizacyjne: jest to zachęcanie do wstępowania do towarzystw niemiecko-katolickich. Towarzystwa te znajdują się zazwyczaj pod osobistem kierownictwem niemieckich księży miejscowych, a szata duchowna przewodniczącego silnym urokiem jest dla pobożności emigranta, który przyzwyczaił się widzieć w kraju u stołu prezydyalnego księdza proboszcza. Tam go przyjmują wszyscy po bratersku, utwierdzają w przekonaniu, że pierwszym (i ostatnim) obowiązkiem Polaka na obczyźnie jest zachować wiarę; w rezultacie setki całe Polaków należą do tych towarzystw, w których wprawdzie nikt na narodowość ich nie nastaje, ale w których niezmiernie szybko i „bez bólu" się niemczą, pozostając dobrymi katolikami i przyjaciółmi Polaków. Ten pierwszy rodzaj germanizacyi wywołuje nieraz żywe protesty, drugi, prawdopodobnie o wiele niebezpieczniejszy, nie wywołuje żadnych: bo i jakżeż tu wyrzuty robić tym organizacyom katolickim, które gościnnie przyjmują wychodźców polskich do swego grona, otaczają opieką w razie choroby, zaspakajają potrzebę religijności, tak silnie rozwiniętą u prostego ludu! A jednak fakt pozostaje faktem: pod opieką kapłanów-Polaków ci ludzieby się nie niemczyli.

To, co o Berlinie, jeszcze bardziej da się rzec o innych, mniejszych koloniach polskich. Kolonia berlińska łatwiej upomina się o swe prawa, ponieważ ma dość dużą liczbę uświadomionych narodowo członków. Z pomniejszych miast zrzadka tylko przedostają się wiadomości o germanizacyi przez kościół, ale zato te, które się przedostają, świadczą, że wobec mniej uświadomionych osad polskich germanizacya zapomocą kościoła jeszcze w szybszem tempie bywa uprawiana. Oto przykład jaskrawej nietolerancyi w Bremie.

Jedno z towarzystw polskich dawno czyniło starania u władzy duchownej o wyznaczenie do tamtejszego kościoła księdza Polaka. Prośby pozostawały wszakże bez skutku, twierdzono bowiem, iż Polacy dostatecznie znają język niemiecki, aby się porozumieć z księżmi Niemcami. Po kilkoletnich wreszcie staraniach rozeszła się wiadomość, iż ksiądz Polak wreszcie przybędzie do Bremy. Niestety, kapłan nowoprzybyły był Niemcem, zdolnym zaledwie kilka zdań polskich poprawnie wykrztusić. Radość z powodu przybycia rzekomego księdza-Polaka była tak wielka, że jedno z bremeńskich towarzystw polskich wybrało go na swego honorowego prezesa. Na jednem z posiedzeń Towarzystwa powzięto myśl sprawienia własnego sztandaru. Gdy prezes honorowy dowiedział się o tem, odradzał to skwapliwie, a natomiast zapropo-

nował, ażeby w kościele katolickim ołtarz polski zbudować z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w środku, a z obrazami Św. Wojciecha i Stanisława po bokach. Propozycyę księdza przyjęto z radością w całej kolonii bremeńskiej. Zabrano się więc żywo do zbierania składek, które też popłynęły obficie, tak, iż w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu zebrano z górą 600 marek. Sumka ta była narazie dostateczna, ażeby przystąpić do budowy ołtarza. Wtem gruchnęła pogłoska, iż, zamiast polskiego, ma być zbudowany ołtarz niemiecki. Specyalna komisya, wysłana do księdza, stwierdziła, iż pogłoska nie mija się z prawdą. Ksiądz stanowczo oświadczył, iż po porozumieniu się z władzą wyższą na ołtarz polski pozwolić nie może. Dotknięci tem do żywego Polacy bremeńscy zwołali wiec, który zebrane pieniądze przeznaczył na inny cel, a prócz tego powziął następującą uchwałę.

„Polacy, zebrani na wiecu, zwołanym 4 listopada 1900 roku w Bremie w sprawie ołtarza polskiego, wyrażają swoje nieukontentowanie z powodu zamachów na polską narodowość przez duchowieństwo niemiecko-katolickie i zaświadczają, iż Polacy, chociaż zdala od ziemi ojczystej, poznawszy się na zapędach germanizatorskich księży Niemców, protestują przeciw tym zamachom na polską narodowość i Polakami zawsze pragną pozostać i, jako tacy, bronić będą swej narodowosci, bez względu na nadużywanie religii w celach wynarodowienia”.

Uchwała ta nie potrzebuje komentarzy, ważnym zaś jest przyczynkiem do sprawy opieki duchownej nad wychodźcami polskimi, jeśli ją się zestawi z podobnej treści rezolucyą, uchwaloną przez Polaków w Berlinie i przez Polaków w Westfalii.

Mianowicie wychodźtwo polskie w Westfalii, liczące obecnie do 150 tysięcy dusz, odczuwa boleśnie działanie kościoła, jako posterunku germanizacyjnego. Powyżej scharakteryzowany stosunek Polaków na emigracyi do władzy duchownej daleko ostrzejszą przybiera formę w Westfalii, gdzie usadowiły się liczne i prawie jednolite osady polskie, a komunikacya z krajem rodzinnym bardziej jest utrudniona. Historya opieki duchownej dla Polaków w Westfalii jest pouczającym przyczynkiem do kwestyi podatności niektórych dostojników kościelnych do spełnienia roli narzędzia polityki świeckiej. Gdy przed kilkunastu laty coraz to liczniej zaczęli osiadać Polacy w okręgu przemysłowym nadreńsko-westfalskim, okazała się potrzeba sprowadzenia dla nich kapłanów Polaków, gdyż większość nie posiada prawie wcale języka niemieckiego. Wówczas (należy tu nadmienić, że ze strony rządu nie było jeszcze takiej presyi anty-

polskiej, jak dzisiaj) władza duchowna w Paderbornie, Kolonii nad Renem, Trewirze i Monastyrze nie widziała żadnych przeszkód w ustanowieniu kilku kapłanów Polaków i oddaniu im opieki nad wychodźcami. Byli podówczas czynni ks. Szotowski i ks. dr. Liss. Wychodźcy nasi, którzy pamiętają działalność tych kapłanów, z rozrzewnieniem wspominają o tych dobrych czasach. Liczba wychodźców polskich w Westfalii była wówczas jeszcze nieznaczna w porównaniu z dzisiejszą. Polacy w małych grupach rozsiani byli po całym ogromnym okręgu. A jednak księża-rodacy znajdowali czas, aby przynajmniej co dwa miesiące odwiedzić najdalsze kolonie polskie, aby żywem słowem utwierdzić rodaków w wierze ojców, aby ich zachęcić do utrzymania stosunku z krajem, do czytania gazet, do żenienia się z Polkami. Ks. Liss cały czas poświęcał temu misyonarstwu (bo inaczej trudno to nazwać) i, aby błogie wyniki swej działalności spotęgować, założył pismo polskie dla wychodźców w Westfalii: „Wiarusa polskiego", który po dziś dzień wychodzi w Bochum. Lecz wówczas coraz to nowe dziesiątki tysięcy Polaków zaczynały napływać do Westfalii, a ten napływ, mający wszelkie pozory wywołanej koniecznością ekonomiczną tendencyi do wytworzenia w głębi Niemiec czysto polskich okręgów, skłonił rząd pruski do szukania sposobów, zapomocą których najłatwiej byłoby przełamać odporność Polaków wobec germanizacyi i przerobić ich na Niemców. Wyśledzono, jak dobroczynny wpływ wywierał ks. dr. Liss, i rząd wyraził ks. biskupowi padernborskiemu, ks. Simarowi, obecnemu arcybiskupowi w Kolonii, życzenie, aby tej działalności ks. Lissa kres położył. Ks. dr. Simar Polaków nie lubił i niechętnie patrzał na pomnażające się coraz bardziej zastępy polskich dyecezyan, którzy pociągnąć za sobą mieli polskich księży i, co za tem idzie — wytworzenie z jednolitej dyecezyi i jednolitego kleru: niemieckiej i polskiej części. On chciał mieć „jedno stado", więc postawił ks. d-rowi Lissowi warunki: skasowanie „Wiarusa polskiego", gdyż katolickie pisma niemieckie są równie dobre dla Polaków, dążenie do zmniejszenia liczby polskich kazań, popieranie związków małżeńskich pomiędzy Polakami a Niemkami, nie naleganie na rodziców polskich, aby dzieci wychowywali po polsku. Kapłan polski w poczuciu swych obowiązków nie uląkł się biskupa, marzącego o purpurze kardynalskiej. Powiedział, że ani „Wiarusa" nie zawiesi, ani do innych życzeń biskupa się nie zastosuje. Z furyą, o której dziś jeszcze pamięć pozostała, obstawał biskup przy swojem. I padło nawet groźne słowo o „nieposłusznym kapłanie" z ust rozgniewanego księcia kościoła. Wierny pasterz opuścić musiał swe

stado: ks. Liss opuścił Westfalię, żegnany gorącemi łzami swych ukochanych parafian, którzy dziś jeszcze swym dzieciom opowiadają o dobrym opiekunie, o dobrym duchu tych kolonii polskich, o założycielu niezliczonych towarzystw polskich.

Po ks. Lissie przybył ks. Mielicki. I tym razem wybór był dla Polaków szczęśliwy. Ks. Mielicki, zacny Polak, prowadził dalej dzieło ks. Lissa, choć musiał już bardziej się krępować i wystrzegać pozorów niemiłych dla rządu. Lecz działalność tego wybornego kaznodziei i mówcy dla ludu została znowu brutalnie przerwana. Zakon Franciszkanów, znając zapewne ofiarność ludu polskiego, zapragnął w swe ręce zagarnąć duszpasterstwo nad Polakami. Biskup Simar zaakceptował projekt, przedłożony mu przez Franciszkanina O. Andrzeja, i wynikiem tych konferencyi miało być oddanie O. Franciszkanom, a specyalnie O. Andrzejowi, opieki nad Polakami, skoro tylko ustąpi ks. Mielicki. I ks. Mielicki ustąpić musiał, gdyż rozeszła się wieść, że jest on Jezuitą. Jezuitom w Niemczech jest pobyt surowo wzbroniony!... Opiekę duchowną objęli Franciszkanie. Rozpoczęły się czasy cichej, podziemnej walki. O. Andrzej, mając do pomocy O. Camilusa i O. Wilhelma, chciał zagarnąć w swe ręce ster nad wszystkiemi towarzystwami polskiemi w Westfalii, mianował się generalnym ich prezesem i chciał być dla nich *Ex offo*, z mocy dekretu biskupiego, tem, czem był dzięki swej pracy ks. dr. Liss. O. Andrzej chciał potwierdzać lub kasować wybór prezesa w towarzystwach, w kilku towarzystwach zrzucił wydział, szczerze pracujący nad utrzymaniem narodowości, narzucił na jego miejsce narzędzie swych planów, łączył z niemieckiemi towarzystwami katolickiemi, wyrzucał chorągwie z polskimi napisami z kościołów, fundusze, przeznaczone na pisma i książki polskie, kazał towarzystwom składać do kas kościelnych niemieckich towarzystw, przeciwko „podburzającym” pismom polskim powstawał i pod grozą swego kapłańskiego gniewu zakazywał abonowania ich w towarzystwach.

Nastały straszne czasy. Kościoły stały się widownią walk. Z ambon padały wyzwiska przeciw Polakom, przeciw „polskiemu bydłu”, lud polski stracił ufność do konfesyonału, podejrzywając łamanie pieczęci spowiedzi, gdyż w konfesyonałach uprawiano walkę przeciw pismom polskim i towarzystwom, nie chcącym uznawać patronatu O. Andrzeja, i przeciw polskim książkom. Od konfesyonałów i z kościołów wyganiano prawych Polaków za ich krnąbrność wobec władzy duchownej. Lecz O. Andrzej przegrał. Doszło do

takiego wzburzenia, że musiał ustąpić. Towarzystwa polskie nie dały mu się ujarzmić, a w walce z nim nie uległy.

W roku 1896 przybył O. Korneliusz. Był to prawy Polak, i samo jego pojawienie się na miejscu znienawidzonego O. Andrzeja podziałało uspakajająco. Trudno było wprawdzie nawiązać zerwane nici wzajemnych stosunków, bo lud stał się nieufny, ale łagodność i życzliwość O. Korneliusza przełamała lody. Lecz wtedy ta sama dłoń z góry oderwała go od parafian. Został przesiedlony w inne strony.

Potem dano ks. Albanusa, Niemca wprawdzie, ale życzliwie usposobionego dla Polaków. Starał się on łagodnością, jak balsamem kojącym, leczyć rany w sercach „swych Polaków". I udawało mu się to niezgorzej zapomocą nieraz naiwno-dziecinnych środków, choć słabo mówił po polsku. Nieraz, będąc obecnym na posiedzeniach towarzystw polskich, kazał sobie śpiewać polskie piosenki i rad zachwycał się niemi, a tem ujmował sobie serca. Lecz przesiedlono i tego kapłana w roku 1899.

Obecnie opieka duchowna spoczywa w ręku kilku zakonników, gorzej jeszcze od O. Albanusa mówiących po polsku. Lud polski, choć przyzwyczajony na obczyznie do słyszenia, jak kaleczą jego język na ambonach, gorszy się obecnie kazaniami.

W Mengede, w Derne i w innych miejscowościach obwodu Dortmundzkiego były niedawno (w końcu r. 1900) kazania O. Franciszka. Zakonnik ten chciał brak znajomości języka polskiego zastąpić jędrnością wyrażeń, i z ust jego co chwila pod adresem polskich parafian padały słowa, jak „jesteście świńskie pyski", „bydlęta", „świnie". W Derne zaś zebranym powiedział, że wartoby ich „w świńskie skóry" pozaszywać, a w Dellwig znowu, że takim „sobaczym mordom" nic do głowy trafić nie może.

Stosunkowi Polaków w Westfalii do tych misyonarzy odpowiadają stosunki ich do miejscowych proboszczów, w których parafiach zamieszkują. Oto kilka przykładów. W Derne w roku 1894 Polacy zawiadomili księdza proboszcza Isinga, że chcą założyć towarzystwo polskie, i zaprosili go na pierwsze posiedzenie. Ksiądz zaproszenie przyjął i myśl założenia towarzystwa poparł, obiecując sobie z tego korzyści przy budowie kościoła, który wówczas był w projekcie. Towarzystwo zostało założone, a na następnem posiedzeniu w obecności proboszcza zaczęto zbierać składki na chorągiew polską dla towarzystwa. Ksiądz, nie rozumiejąc, o co chodzi, myślał, że to zbierają składki na kościół, gdy ujrzał, jak na talerz składkowy padają talary, pięciomarkówki, a nawet i złoto. Dowiedziawszy się,

że to na chorągiew, energicznie zaprotestował. Protesty nie pomogły. Chorągiew — widomy znak tej odrębności polskiej — sprawiono, lecz gdy tradycyjne poświęcenie jej odbyć się miało, niechęć do niej ujawniła się w przybyłym wówczas do Derne zakonniku O. Camilusie, który wraz z proboszczem chciał przeszkodzić polskiemu teatrowi amatorskiemu. „Chorągiew jest wprawdzie ładna", powiada O. Camilus, „ale ja jej nie poświęcę, jeśli upierać się będziecie przy odegraniu teatru amatorskiego". Na to mu odpowiedziano: „Jeśli wielebny ojciec nie poświęci, to poświęci kto inny. Święcona woda jest przecie i w Poznaniu". Na to opozycya znikła, a chorągiew przy współudziale licznych towarzystw polskich z okolicy została poświęcona.

W Bruchu (w Westfalii) jest około 5,000 Polaków; tworzą oni mniej więcej połowę miejscowej parafii katolickiej. Z tego powodu pukano bardzo energicznie po składki do Polaków na budowę nowego kościoła, a i od nas z kraju niemało wyciągnięto na ten cel grosza; gdy jednak kościół stanął pod dachem, duchowieństwo miejscowe zabroniło Polakom śpiewać polskie pieśni pobożne. W Hanowerze taki ks. proboszcz Schreiber od św. Klemensa zabrania poświęconemu sztandarowi Towarzystwa św. Kazimierza wstępu do kościoła, gdyż na sztandarze widnieje postać polskiego królewicza Kazimierza św.! W Helbra (w Saksonii) księża agitują przeciw pismom polskim, i wiemy o wypadkach, że namawiali do zaabonowania „Arbeiter'a" (dodatku do „Germanii") zamiast wychodzącego w Poznaniu „Przewodnika Katolickiego".

I któż wypowie, któż opisze całą biedę, cały głód duchowy wychodźców, tęskniących za kapłanem rodakiem!

W jednem mieście w Westfalii istnieje towarzystwo polskie, złożone przeważnie z robotników polskich, nie władających językiem niemieckim. Są to ludzie pobożni, a wielkiem zmartwieniem ich jest, że prawie półtora roku żaden z nich nie mógł się spowiadać, po niemiecku bowiem spowiadać się nie potrafią, a ksiądz Albanus, rozrywany na wszystkie strony, nie mógł do nich zajrzeć. Chcieli oni na dwa lub trzy dni sprowadzić kapłana rodaka, ale mają całego majątku towarzyskiego 80 m., koszta zaś wynosić mają 160 mk. Od ust sobie odejmują, aby zebrać jeszcze 80 mk., ale widzą, że nie podołają temu. A księża westfalscy - Niemcy sporządzili sobie „*polnisch-deutscher Notbeichtspiegel*", coś w rodzaju rozmówek Ollendorfa, i zapomocą tych rozmówek chcą tłumy wychodźców spowiadać i twierdzą, że emigranci wcale polskich kapłanów nie potrzebują.

Nie każda kolonia polska w Niemczech jest tak szczęśliwa, jak Hamburg, gdzie przebywa od szeregu lat czcigodny ks. Kisielewicz. W Westfalii więc szerokie koła ludności polskiej ogarnia wzburzenie na widok krzywd, doznawanych ze strony duchowieństwa niemieckiego.

Sprawa spowiedzi polskiej traktowana jest przez księży niemieckich z taką jednostronną, szowinistyczną zaciekłością, że prowadzi wprost do dziwolągów i pod względem etycznym, i nawet obrzędowym. Tak np. przy słuchaniu spowiedzi księża uprawiają wobec Polaków politykę germanizacyjną nietylko w ten sposób, że namawiają do abonowania pism niemieckich, ale posuwają się bez porównania dalej. Jak wykazały rozprawy w parlamencie niemieckim w r. 1900, żołnierze Polacy, przebywający w Niemczech, mają surowy nakaz spowiadania się w języku niemieckim. Nakaz ten wydała władza wojskowa pruska, a minister wojny Gossler przyznać musiał słuszność zarzutów, uczynionych mu w tej mierze przez ks. posła Jażdżewskiego; aby bowiem sprawdzić w poszczególnych wypadkach, czy żołnierze polscy spowiadają się istotnie po niemiecku, zwłaszcza u kapłanów, znających język polski, komenda wojskowa poruczyła sierżantom, aby dopilnowali żołnierzy Polaków, i sierżanci z „wyższego rozkazu" stali przy konfesyonale, bacząc, aby żołnierz-Polak słowa po polsku nie powiedział. A władza duchowna niemiecka nie znalazła słowa protestu, i dopiero trzeba było interwencyi posłów polskich, a więc ujęcia całej sprawy jako ucisku politycznego, aby niesłychanemu temu nadużyciu, krępującemu wolność sumienia, położyć kres — przynajmniej chwilowo. Władza duchowna niemiecka miała swe powody, dla których się wzbraniała sama zaprotestować przeciw wysyłaniu sierżantów dla kontroli, czy żołnierz spowiada się istotnie po niemiecku: bo księża westfalscy kilkakrotnie publicznie zostali oskarżeni przez Polaków o to, że w razach, gdy nie są w możności wyspowiadania Polaków, nie znając języka polskiego, uciekają się do pośrednictwa tłómaczów, zazwyczaj najbliższych krewnych spowiadającego się, i za ich pośrednictwem wysłuchują grzechów. Wprawdzie księża niemieccy, oskarżani o to, przesyłają do pism sprostowania, jednakże twierdzenia Polaków westfalskich są zbyt ścisłe, polegają na wymienieniu nazwisk osób, biorących udział w takiej spowiedzi, i nazwiska księdza, aby nie miała się kryć pod temi twierdzeniami przynajmniej pewna doza prawdy.

Traktowanie duszpasterstwa nad Polakami przez księży westfalskich ze stanowiska politycznego budzi bardzo naturalną

i usprawiedliwioną reakcyę. Uczą się wychodźcy upatrywać w księdzu-germanizatorze najgorszego wroga, a co za tem idzie, uogólniają doznane krzywdy, przenoszą swą urazę z księży na cały kościół, jako taki, i dziczeją pod względem etycznym. Nie spostrzegając, że sami są przyczyną złego, księża westfalscy stwierdzają często z pewną lubością, że wśród Polaków niezmiernie wzrasta procent dzikich małżeństw, co, według ich zdania, świadczy o nizkim stopniu kultury Polaków wogóle. Zarówno sam fakt zwiększania się tych małżeństw, jak i te zarzuty, skłoniły Polaków do publicznego rozstrząsania tej sprawy na wiecu polskim w Gelsenkirchen dnia 2 lutego 1900 r. W toku rozpraw przedłożono wiecowi następującą uchwałę:

„Zebrani Polacy-katolicy na wiecu w Gelsenkirchen dnia 2-go lutego r. b., w liczbie około 1000, oświadczają, iż, jako wyznawcy Wiary św. katolickiej, uczuwając brak opieki duchownej w ojczystym polskim języku, uczynili wszystko, co było w ich mocy, aby ją otrzymać. Wysyłaliśmy prośby pojedyńczo i zbiorowo do księży proboszczów, do zarządu kościelnego i do ks. biskupa, ale z bólem serca musimy otwarcie wyznać, iż wszystkie te prośby nie doznały należytego uwzględnienia, i dlatego oświadczamy publicznie, iż za wszystkie złe następstwa, które nastąpić mogą dla Polaków z braku opieki w ojczystym, polskim języku, składamy na powyżej wymienione władze wszelką odpowiedzialność przed Bogiem i wszystkimi uczciwymi ludźmi. Jakkolwiek potępiamy wszystkie wybryki i czyny, które stoją w sprzeczności z Wiarą świętą katolicką i moralnością chrześcijańską, to tem bardziej potępiamy je, jeżeli czynów tych dopuszczają się nasi ziomkowie. Tak zwane dzikie małżeństwa są także po większej części spowodowane brakiem kapłana, znającego język polski. Dlatego protestujemy przeciwko wszystkim zjadliwym wywodom, wygłaszanym ze strony niemieckiej bądź przez osoby świeckie, bądź też przez tutejszych księży katolickich, jakoby Polacy jedynie z własnej winy tworzyli większy procent dzikich małżeństw. Ubolewamy bardzo, iż ks. proboszcz Maas publicznie potępia Polaków, że wielu z nich w dzikiem małżeństwie żyje, a pomimo to nie postara się o to, aby częściej była sposobność do spowiedzi św. w języku ojczystym i nabożeństwo polskie z kazaniem, któreby błogo wpłynęły na pożycie Polaków. Takie macosze traktowanie Polaków ze strony ks. proboszcza Maasa uważamy za niesprawiedliwe i bardzo nas krzywdzące. Zważywszy, iż uszczuplenie nam nabożeństwa w ojczystym naszym języku stoi w połączeniu z wielu innymi środkami, aby nas Polaków skute-

czniej można zgermanizować, oświadczamy, iż wierze naszych ojców i narodowości naszej do śmierci wiernymi pozostaniemy i dołożymy wszelkich starań, aby te najdrozsże skarby nasze, to jest wiarę katolicką i mowę polską, nieskazitelną przekazać naszemu potomstwu".

Rezolucyę tę przyjęto jednogłośnie. W końcu przedłożono jeszcze jedną rezolucyę tej treści:

„Zebrani na wiecu w Gelsenkirchen w dniu 2-go lutego Polacy-katolicy zapytują uprzejmie wielebnego ks. proboszcza Maas'a, czy w przyszłości raczy się więcej starać o opiekę duchowną w ojczystym języku dla swych parafian polskich? Gdyby to nie miało nastąpić, wtenczas bylibyśmy zmuszeni zaniechać uczęszczania do kościoła parafialnego i odmówić płacenia podatków kościelnych".

Rezolucvę tę również przyjęto.

Za przykładem powyższego wiecu idą i wiece w innych miejscowościach, stawiając kwestyę na jedynym właściwym gruncie: na gruncie odmawiania płacenia podatków kościelnych. Duchowieństwo westfalskie, nieczułe wobec argumentów idealnych, dostępne się może dla nich stanie, gdy zacisną się worki polskie i ubędą sute dochody.

W ten sposób kwestya opieki duchownej nad naszymi wychodźcami w głębi Niemiec staje się sprawą niezmiernie doniosłą i nabiera politycznego znaczenia, gdyż duchowieństwo niemieckie samo stara się oprzeć ją na gruncie politycznym. Wychodźcy nasi tę polityczno-germanizacyjną stronę sprawy zupełnie dobrze rozumieją, i bezwątpienia uwag powyższych nie można lepiej zakończyć, jak przytoczeniem urywku listu, pisanego do autora niniejszego szkicu przez emigranta, osiadłego od lat kilku w Westfalii: „My tu, Polacy w Westfalii — pisze z goryczą autor listu – nie doczekamy się księdza Polaka, bo onby nas nie umiał germanizować! Taka tam dla nas sprawiedliwość! W Poznańskiem, gdzie jest 30 Niemców, to się dla nich odprawia nabożeństwo w ich języku, a nas to jest dziesiątki tysięcy i prawa się swego nie doczekamy! Boże! ulituj się nad nami, wygnańcami".

II.

Opuściwszy obczyznę, spójrzmy na prastarą Piastów dzielnicę, Górny Śląsk. I tu odrazu rzucają się w oczy objawy, świadczące o germanizacyi zapomocą duchowieństwa.

Księża katoliccy na Górnym Śląsku nazywają sami siebie chętnie „urodzonymi przewodnikami” ludu.

Lecz, niestety, minęły czasy, kiedy młodzież, folgując idealizmowi, garnęła się do stanu duchownego, aby poświęcić się bliźnim. Duchowieństwo śląskie takie, jakiem jest dzisiaj, ludu do ziemi obiecanej nie wprowadzi. Zrobiwszy naturalnie wyjątek dla kilkunastu zacnych i z idealnych pobudek pracujących kapłanów, można twierdzić, że dla ogółu niemieckiego duchowieństwa górno-śląskiego pokaźne dochody zastępują wszelkie idealne pobudki. Większość obrała sobie zawód kapłański, bo to karyera łatwa, niedroga, dająca dobre utrzymanie i tani szacunek u społeczeństwa. Stosunek tych księży do chłopa i robotnika polskiego na Górnym Śląsku (innych warstw polskich tam przecież niema) w zupełności odpowiada tym dążnościom materyalistycznym, które cechują młodzież w chwili, gdy decyduje się na wybór stanu duchownego. Traktuje ona to, jako zawód, korzystny zawód, ale nie jako powołanie. To też miał prawo pisać korespondent górno-ślązki jednego z pism codziennych, wychodzących w zaborze pruskim:

„Wejdź do kościoła pierwszego lepszego górno-śląskiego i posłuchaj tam kazania! Uszy ci spuchną od kaleczenia języka polskiego! Ksiądz, mający pretensyę do wykształcenia, nie wstydzi się kalać język, mówi gorzej od prostego człowieka, bo ani dyalektem, ani językiem poprawnym, ratując się w przykrych chwilach krząkaniem i słowy niemieckiemi z końcówkami polskiemi”.

Materyalizm, cechujący niemieckie duchowieństwo katolickie na Górnym Śląsku, ograniczyłby się zapewne do lekceważenia potrzeb duchownych ludu polskiego, gdyby nie to, że rząd wszelkiemi siłami popiera germanizacyę każdego rodzaju. Z podeptaniem więc wszelkich idealnych pobudek gotowo duchowieństwo to każdego czasu do walki z przywiązaniem do ojczystego języka ludu, byle się spodziewało orderów, odznaczeń i poparcia ze strony rządu. Niedarmo stronnictwo centrum w parlamencie niemieckim staje się z dniem każdym coraz bardziej rządowem: przeważają w niem przecie obecnie wpływy katolików ze wschodnich prowincyi Niemiec, a głównie z Górnego Śląska. Obecnie górno-śląskie duchowieństwo niemieckie przyjaźni się ze sferami rządowemi, a idąc za przykładem swego zwierzchnika, kardynała Koppa, ugania się za orderami, zaprowadza systematycznie nabożeństwa niemieckie w parafiach polskich, zapędza na współkę z nauczycielami dzieci polskie do kościoła na śpiewy niemieckie, a co więcej jeszcze, stara się tę dzia-

łalność upozorować idealnemi pobudkami, płaszczykiem miłosierdzia, mówiąc, że „dla ludu lepiej będzie, im prędzej się zniemczy".

Te wypaczone pojęcia etyczne znalazły przecież swój wyraz nawet w prelekcyach seminaryum duchownego: profesor etyki we wrocławskiem seminaryum katolickiem, ksiądz Kr., wypowiedział *ex cathedra*, że ze względów materyalnych pożądanem byłoby dla ludu górnośląskiego, aby zniemczył się jak najprędzej.

Książę biskup Kopp mniej więcej we dwa lata po objęciu biskupstwa wydał tajny okólnik do księży górnośląskich, żeby dzieci, mówiące cokolwiek po niemiecku albo słabo mówiące po polsku, po niemiecku słuchali spowiedzi, nauki katechizmu udzielali im w kościele także po niemiecku. Powiatowi inspektorowie szkolni podają księżom spisy tych polskich dzieci, które księża mają uczyć w kościele religii po niemiecku. Pisze o tem „Katolik" z dnia 27 września 1900 i podaje tekst tego „rozporządzenia", które brzmi:

„Euer Hochwürden überreiche ich in der Anlage ein Verzeichniss derjenigen zur Schule zu X. gehörenden Schulkinder, welche gegenwärtig den Beicht bezw. Kommunionunterricht besuchen sollen, mit dem ergebenen Ersuchen, bei der Aufnahme in den deutsch zu unterrichtenden Coetus thunlichst diejenigen Kinder der polnischen Abstammung berücksichtigen zu wollen, welche laut Vermerk des Lehrers der deutschen Sprache hinreichend mächtig sind.

Der Königl. Kreis Schulinspektor".

To mieszanie się władz szkolnych rządowych do sfery czysto kościelnej wywołałoby naturalnie gdzieindziej, nie na Śląsku, głośne protesty i krzyki oburzenia na krępowanie swobody kościoła. Cała partya centrowa zmobilizowałaby się do ataku na rząd, który dopuszcza się czegoś podobnego, ale na górnym Ślązku, gdzie to rozporządzenie jest skierowane przeciw biednym dzieciom polskim, naturalnie rząd nie na protesty, ale na życzliwe poparcie duchowieństwa, liczyć może. A jeśli się znajdzie gdzie jaki wyjątkowy ksiądz, któryby ze szlachetnych pobudek, posłuszny głosowi sumienia, chciałby dziecko, oznaczone, jako „niemieckie", przenieść do oddziału polskiego, z uwagi, że nauka niemiecka nie wnika należycie w umysł i serce jego, wtedy starczy denuncyacya do góry, a lista proskrypcyjna „polonizatorów" stanie się o jednego przestępcę bogatsza. W końcu obejdzie się bez denuncyacyi, ponieważ inspekcye szkolne (oczywiście, prawie wszystkie protestanckie) zawsze mają baczne oko na liczby dzieci „niemieckich" i „polskich", które przystępują do ko-

munii, i z tego wysnuwają wnioski, co szkoła robi i jakie jest usposobienie księży.

Jak zaznaczyliśmy powyżej, są na górnym Śląsku księża wyjątkowi, kapłani z prawdziwego powołania, a nie karyerowicze. Lecz liczba ich jest niesłychanie mała. Prąd ogólny zresztą paraliżuje wszelkie ich kroki. Niech tylko który zawcześnie zdradzi się ze swemi zapatrywaniami, a z pewnością nie dostanie probostwa, a przynajmniej będzie całe swe życie musiał pędzić w jakiejś odludnej parafii. Również mało jest księży Polaków. Młodzi księża boją się przyznawać do narodowości polskiej, choć nieraz w duszy czują się Polakami. Pamiętają oni aż nazbyt dobrze nauki w seminaryum, gdzie mogli się przekonać, że dość zadeklarować swą narodowość polską, aby być wyłączonym ze stada „wybrańców", a być przyłączonym do „parszywych owiec". Na pół tysiąca blizko duchownych katolickich na górnym Śląsku jest może zaledwie 20 — 25 księży, którzy się swej polskości nie wypierają.

Działalność germanizatorska duchowieństwa górno-śląskiego nie ogranicza się do ścisłego zakresu jego funkcyi duszpasterskich; sięga ona znacznie dalej i obejmuje sfery, w pośredniem zaledwie zostające związku z kościołem. A więc przedewszystkiem towarzystwa polskie. Wobec wolności zawiązywania towarzystw w państwie pruskiem teraz działalność towarzystw jest bardzo rozległa. Księża górno-śląscy roszczą sobie pretensye do patronowania wszelkim stowarzyszeniom, istniejącym w ich parafiach, a złożonym z katolików. Jako przewodniczący, honorowi prezesi lub kuratorowie (ulubiony tytuł), nie dopuszczają gazet polskich, odczytów polskich, a wykluczają członków, których uznają za „wielko-polskich agitatorów", lub rozwiązują towarzystwo nieposłuszne. Gdy towarzystwa Ś-go Alojzego na górnym Śląsku zaznaczyły oporność wobec germanizacyi, księża odrazu wszystkie towarzystwa rozwiązali i zawiadomili policyę, że te towarzystwa już nie istnieją. Większość namiętnie zwalcza pisma polskie, w których upatruje największego wroga germanizacyi. Niektórzy księża posuwają się nawet do tego, że pod karą kościelną zabraniają swym parafianom czytania zwłaszcza rozpowszechnionych gazet polskich górno-śląskich, jak „Katolika" z Bytomia, pomimo, że ten na czele każdego numeru podaje „sprawy kościoła", a co każde święto podaje ewangelię. Lecz pismo to psuje im ich polityczną robotę: więc je zwalczają. Przed paru laty, gdy duchowieństwo całą siłą chciało zniszczyć wpływ polskiej prasy, założyli księża niemieccy gazetę polską w celu zwalczenia innych gazet. Była to wychodząca po dziś dzień „Gazeta katoli-

cka” w Królewskiej Hucie. Księża zalecali ją z ambon i na nabożeństwach rozdawali ludowi, lecz nic nie pomogło. Nie pomogły nawet takie radykalne, w innych okolicznościach z powodzeniem stosowane środki, jak nakazywanie żonom przy konfesyonale, aby paliły swym mężom wszystkie gazety polskie prócz „Gazety katolickiej”.

Prócz scharakteryzowanych powyżej sposobów germanizowania uprawia duchowieństwo górnośląskie germanizacyę najzdradliwszą dla ludu prostego, germanizacyę pod płaszczykiem przyjaźni i miłosierdza. Widzieliśmy, jaki germanizujący wpływ wywierają na obczyźnie towarzystwa katolickie niemieckie, przyciągając Polaków na członków swemi zaletami. Tak samo na Śląsku funkcyonuje, jako narzędzie germanizacyi, cały aparat instytucyi dobroczynności i miłosierdzia publicznego. Istnieje np. cały szereg zakładów Ś-tej Jadwigi, które nie są niczem innem, jak instytucyami, niemczącemi dzieci polskie pod płaszczykiem miłosierdzia. Do tych ochronek przyjmują dzieci już od czwartego roku życia, i robotnicza ludność polska korzysta z tych zakładów, oddając dzieci na kształcenie. W zakładach św. Jadwigi starają się zakonnice wpoić w dziecko kulturę niemiecką, począwszy od niemieckiego „Vater unser”, a skończywszy na zabawach niemieckich. Dzieci niegdyś polskie opuszczają zakłady „dobroczynnych zakonnic”, przejęte nawskroś niemieckim duchem, i germanizują potem swe rodziny, wprowadzając język niemiecki pod strzechę rodzinną. Najsmutniejszem jest to, że te zakłady dobroczynne istnieją dzięki ofiarności samego ludu górnośląskiego. Aby dać próbkę tego, jak znaczne sumy poświęca lud polski na budowę kościołów i połączonych z nimi instytucyi „dobroczynnych” z nazwy, a germanizacyjnych z charakteru, przytoczyć tu można którybądź z komunikatów, ogłaszanych po pismach polskich o stanie budowy nowych kościołów. W takiem np. Załężu, jak podaje „Dziennik Śląski”, rachunek przedstawia się tak: koszta gruntu 26 tysięcy m., kościół i jego urządzenie 300 tysięcy, probostwo 37,500 m., dom dla dzwonnika 16,500 m., zakład Ś-tej Jadwigi 60,000 m., ogrodzenie 10,000, razem czyni 450,000. Po tem wyliczeniu następuje charakterystyczna uwaga: „*Dzięki zabiegom ks. proboszcza pokryto wszystko tak dalece, że tylko jeszcze 60,500 marek długu zostało*”. Jak po pierwsze 450 tysięcy, tak i po brakujące tysiące, zwraca się ks. proboszcz do ludu polskiego ze słowami: dokończcież dzieła! A lud ten płaci. Sypią się krocie dzięki ofiarności tego ludu polskiego, i dźwigają się z tej potem górnośląskiego ludu zroszonej ziemi coraz to nowe za-

kłady Ś-ej Jadwigi i ich filie, aby na duchu ludności wycisnąć niezatarte znamię kultury germańskiej.

W pierwszych latach rządów kardynała Koppa duchowieństwo zaczęło zbyt arbitralnie postępować z ludnością polską i jej językiem, zwyczajami i zapatrywaniami. Wypieranie języka polskiego działo się zbyt jawnie i bez osłonek, niechęć do wszystkiego, co polskie, okazywali księża zbyt otwarcie, tak, iż nawet powolny i poddający się wszystkiemu z cierpliwością lud zaczął przybierać postawę opozycyjną i groził obrachunkiem przy wyborach. Opozycyę trzeba było zażegnać za wszelką cenę, bo w razie przeciwnym mandaty centrowe były zagrożone. Wtedy to zdobyli się księża na ową słynną petycyę do rządu, aby wprowadził język polski do szkół górno-śląskich. Rząd naturalnie rzucił petycyę do kosza, a duchowieństwo górno-śląskie zyskało poważny argument do walki politycznej.

III.

Ponieważ, rozpatrując poprzednio germanizacyę zapomocą kościoła na wychodźtwie i na Górnym Śląsku, scharakteryzowaliśmy sposoby, jakich używają księża niemieccy, i drogi, jakiemi pod płaszczykiem katolicyzmu wciska się germanizacya, dla charakterystyki położenia w Warmii i w Prusach Zachodnich (Królewskich) nie pozostaje nam nic innego, jak przytoczyć kilka najbardziej uderzających faktów. I w Prusach Zachodnich bowiem, i w Warmii duchowieństwo niemieckie, jakkolwiek nie tak zwartą falangą, germanizuje lud polski zapomocą znanych nam już, a przez siebie wypróbowanych środków: zaprowadzania kazań niemieckich w kościołach, wciągania dzieci polskich na niemiecką naukę przygotowawczą do komunii, nadawania towarzystwom polskim cech utrakwistycznych, zakazu śpiewania polskich pieśni pobożnych w kościele, słuchania spowiedzi po niemiecku, zwalczania wpływu gazet polskich. Różnica polega jedynie na tem, że tu duchowieństwo nie jest w tak znacznej mierze niemieckie, część duchowieństwa zupełnie otwarcie stoi po stronie polskiej, że są okolice z ludem, do tyla rozbudzonym pod względem narodowym, aby germanizacyi się oprzeć, i że wreszcie wobec tego władza biskupia, licząc się z położeniem, nie może tak bezwzględnie uprawiać polityki antypolskiej w kościele, gdyż jej przejawy doznają niezwłocznego skarcenia w prasie, podczas gdy na Górnym Śląsku wyjątkowo chyba dochodzą do wiadomości publicznej.

Prusy Zachodnie wraz z Warmią należą do jednej dyecezyi chełmińskiej. Na stolicy biskupiej w Chełmie zasiada obecnie następca znanego z antypatyi ku Polakom biskupa Rednera — ks. dr. Rosentreter. Wszyscy księża - germanizatorzy odznaczają się tem, że albo spełniają swe dzieło z pewną świadomością nadużywania swej misyi kapłańskiej, albo też są ludźmi, którzy nie mogą się zdobyć na opozycyę wobec rządu, chcącego posługiwać się nimi, jako narzędziem swych planów. Zdaje się, że obecny biskup chełmiński należy do tej drugiej kategoryi księży niemieckich. Rząd pruski zresztą zawsze się starał i starać się będzie o osadzanie na stolicach biskupich ludzi jeśli nie oddanych rządowi, to przynajmniej powolnych.

Sprawa zaprowadzenia kazań niemieckich zamiast polskich nie schodzi w Prusach Zachodnich z porządku dziennego: raz po raz opinię publiczną porusza wiadomość o zaprowadzeniu kazań niemieckich z okazyi np. wybudowania nowego kościoła. Tak np. w Rytlu, w okolicy Czerska, gdzie parafian Niemców jest raptem kilkunastu, w nowowybudowanej kaplicy ks. Kowałkowski rozpoczął kazania niemieckie. Z polemiki, jaka się z tego wywiązała, okazało się, że ks. Kowałkowski zrobił to z własnego popędu, bez porozumienia się nawet ze swą władzą przełożoną, jedynie widocznie w celu zaskarbienia sobie łaski u wszystko widzącego rządu, który zapisuje wszystko, dzieli księży w polskich dzielnicach na dobrych, t. j. takich, na których może liczyć, i złych, którzy przeszkadzają dziełu „szerzenia kultury niemieckiej"; pierwszych nagradza orderami i zatwierdza jako przełożonych dozorów szkolnych, dla drugich zaś ma najchudsze probostwa. Sprawa ks. Kowałkowskiego z Rytla miała epilog. Gdy bowiem kwestya kazań niemieckich nabrała rozgłosu i wywołała krytykę „Gazety Gdańskiej", inny duchowny, ks. Behrendt z Czerska postanowił zniweczyć złe wrażenie krytyki zapomocą potępienia pisma polskiego i wymusił na „towarzystwie ludowem w Czersku" oświadczenie na korzyść kapłana, zaprowadzającego kazania niemieckie, a potępiającego gazety polskie, które ten fakt skrytykowały.

Jakie oburzenie jednak zapanować musiało między ludem polskim w Rytlu z powodu zaprowadzenia kazań niemieckich, o tem świadczy sprawa niejakiego p. Goreckiego, z całą tą aferą ściśle związana. Obywatel tamtejszy, p. Gorecki, zajmował się żywo budową nowej kaplicy, sam zbierał składki z największem poświęceniem, całe lato pilnował budowy, zaniedbując swe własne gospodarstwo. Zespolił się on niejako ze sprawą budowy nowej kaplicy

i, gdy dzieło wreszcie było ukończone, uważał je niejako za swoje. Jakież było jego zmartwienie i zgryzota, gdy usłyszał po raz pierwszy w rytelskiej parafii kazanie niemieckie! Zapewne uczuł wewnętrzną nieprzepartą potrzebę zapobieżenia temu, aby w tym budynku, do którego postawienia on przyłożył rękę, nie szerzyła się germanizacya. Gdy więc przed nabożeństwem polskiem odbywało się niemieckie, a parafianie, nie domyślając się niczego, śpieszyli, jak zawsze, do kościoła, starzec stał, rozkrzyżowawszy ręce, przy wejściu do kościoła i perswadował ludziom, że nie powinni iść na kazanie niemieckie... Wytoczono mu proces o „obrazę religii".

W Sępolnie (w Prusach Zachodnich), w parafii i okolicy czysto polskiej, ksiądz Niemiec zapędza dzieci polskie na niemiecką naukę o sakramentach. W Biskupcu dzieje się to samo. Przed kilku laty zbudowano w Biskupcu nad Osą (w Prusach Zachodnich) kościół z funduszu ks. biskupa Jana Marwicza. Nowa parafia biskupska powstała w ten sposób, że odłączono po kilka wiosek od sąsiednich parafii i złożono je w jedną całość. Wszyscy katolicy tych wsi byli Polakami, a zatem cała nowa parafia biskupska jest czysto katolicko-polska z wyjątkiem kilkudziesięciu parafian z samego Biskupca, którzy mówią po polsku i po niemiecku. Cała parafia liczyła w r. 1899 1962 dusz. Niema w całej parafii ani 60 ludzi, którzyby wyłącznie mówili po niemiecku. Nabożeństwo urządzono w ten sposób, że kazania odbywają się raz po polsku, raz po niemiecku. To rozporządzenie władzy duchownej wywołało wiele skarg i żalów, faktycznie bowiem 60 Niemców, z których ze 20 uczęszcza na nabożeństwo, ma dla swej wygody tyle kazań, ile ich ma cała, dość liczna parafia.

Lecz nie na tem koniec. Proboszcza tej parafiii, ks. Hoppe-heita, oskarżył ktoś w niemieckiej gazecie, że jest „polonizatorem". Niektórzy księża boją się tego tytułu, jak ognia, więc i ks. Hoppe-heit napisał sprostowanie, w którem przytoczył na swoją obronę, co następuje („Germania", 1899. № 146).

„W parafii biskupskiej można niemieckich katolików na palcach policzyć. Wszystkie wioski, przyłączone do parafii biskupskiej, należały przedtem do parafii czysto polskich i miały nabożeństwo czysto polskie. A co się teraz w Biskupcu z nimi dzieje? Oto drugie kazanie dla nich jest niemieckie! 99 dzieci uczęszcza na naukę przygotowawczą do św. sakramentów, a z tych należy do oddziału niemieckiego 63, a do oddziału polskiego tylko 36 dzieci!"

To jawne przyznanie, że w parafii czysto polskiej, gdzie Niemców jest może najwyżej 5%, proboszcz potrafił doprowadzić do tego

iż na naukę polską chodzi 36%, a na naukę niemiecką 63%, jest w swoim rodzaju klasyczne zarówno ze względu na sam fakt, jak na naiwną szczerość, z jaką się proboszcz do niego przyznaje, upatrując w nim swój tytuł zasługi!

Aby uzupełnić charakterystykę stosunków, przytoczymy jeszcze jeden przykład — już jawnej nietolerancyi mowy polskiej pieśni i polskiej w kościele. W Olsztynie (w Warmii) skasowano w r. 1900 w porze wielkanocnej tak ulubione przez lud polski „gorzkie żale", a zaprowadzono zamiast tego odpowiednie pieśni niemieckie. Lud polski przyzwyczaił się do śpiewania na nieszporach pieśni „Witaj, Królowo"; ksiądz nie każe wprawdzie wyrzucać ludzi z kościoła za śpiewanie tej pieśni, ale organiście surowo zakazał wtórowania na organach, jakkolwiek wszystkim pieśniom niemieckim wtóruje. Lud czuje się pokrzywdzony.

Podobną historyę widzimy i w Gdańsku. Wszelkie starania u miejscowego proboszcza, aby pozwolił śpiewać pieśni polskie z towarzyszeniem organów przed i po kazaniu polskiem, spełzły na niczem! Chór został zamknięty. Organista dostał nakaz, aby nie grał na organach melodyi pieśni polskich. Śpiewacy koła „Lutni", która wtenczas powstała w celu pielęgnowania śpiewu kościelnego, musieli stać w kącie pod chórem i śpiewać bez organów. Wreszcie po odwołaniu się do władzy biskupiej rzekł proboszcz polskim parafianom, że organista nie jest zobowiązany do tego: „jeżeli koniecznie chcecie, to rozmówcie się z organistą i jemu osobno płaćcie." Tak się też stało! Odtąd organista towarzyszy pieśni przed kazaniem i po kazaniu, ale zato Polacy muszą mu płacić 25 mk. kwartalnie. Dodać należy, że na każdem kazaniu bywa kilkuset Polaków.

W Prusach Zachodnich, gdzie obok stosunkowo licznego kleru polskiego działa wyższa władza duchowna niemiecka i duchowieństwo niemieckie w duchu germanizacyjnym, warunki germanizacyi zapomocą kościoła jeszcze się nie ustaliły. Obok parafii, których duszpasterstwo spoczywa w rękach najzacniejszego kapłana, kładącego tamę germanizacyi z narażeniem się samego siebie, znajdujemy parafie, której proboszcz-Niemiec zażarcie germanizuje dzieci i unika kazań polskich. Taki ks. Szotowski z Chmielnik podaje do ministeryum pruskiego uchwałę wieców polskich, żądające nauki języka polskiego w szkole, a bodajże w pięciomilowym promieniu od swej parafii ma najzjadliwszych germanizatorów księży za sąsiadów. Wobec faktu, że zarząd dyecezyi spoczywa w rękach niemieckich i że wyższy kler odpowiednio też jest dobrany, taki stan

rzeczy wywołuje traktowanie księży Polaków, jako księży drugiej klasy, którym się nie dostają nigdy tłuste prebendy, bogate parafie, ani żadne synekury w postaci dobrze płatnych miejsc przy gimnazyach i t. d. To wszystko jest zarezerwowane naturalnie dla Niemców. Ks. Hasse w Toruniu za to, że położył w oczach rządu pewne zasługi, jako prefekt gimnazyum toruńskiego, otrzymał tłuste probostwo Popowo (Papau) w okręgu toruńskim. Uważa on je za synekurę, ani myśli zrzec się miejsca w gimnazyum, parafią zarządza przez wikarego (naturalnie Polaka), a troszczy się o nią tylko o tyle, o ile dochody odbiera. Takich przykładów wśród duchowieństwa możnaby dziesiątkami wykazać. Natomiast, gdy się raz zdarzyło, że ksiądz Polak miał być wybrany na posła do Berlina, władza dyecezyalna zakazała mu przyjmować mandat i umotywowała swój zakaz tem, że on, jako proboszcz, nie może przecież opuszczać parafii.

Jak wiadomo, w znacznej części Prus Zachodnich mieszkają Kaszubi. Otóż pruskie ministeryum oświaty w porozumieniu z duchowieństwem niemieckiem wbrew ustawie skasowało polski wykład religii w całym szeregu miejscowości. Między innemi stało się to w parafii powyżej wspomnianego zacnego ks. Szotowskiego. Zapytano się ministra o powody; minister odpowiedział, że ustawa, mocą której należałoby zaprowadzić wykład polski, dotyczy przecie tylko dzieci polskich, „a nie kaszubskich".

Tego samego pretekstu używają i księża Niemcy w celu germanizacyi, gdy chodzi o przygotowywanie do sakramentów, o spowiedź, o kazania, śpiewy kościelne i t. d. „Wyście przecie nie Polacy — mówią germanizatorzy Kaszubom—wyście odrębny naród, którego przyszłość leży w zlaniu się z Niemcami".

Na polu germanizacyi w Prusach Zachodnich odznaczają się księża t. z. „Kosznajdry", to jest synowie katolickich chłopów niemieckich, zamieszkałych w okolicy Chojnic, których nazywają „Kosznajdrami". Ci pomagają sobie nawzajem we wdrapywaniu się na coraz to wyższe stopnie hierarchii, tak, iż obecnie gazety polskie zachodnio-pruskie otwarcie piętnują system forytowania „Kosznajdrów" i ten swego rodzaju nepotyzm w obsadzaniu prebend i synekur.

IV.

Sprawa germanizacyi zapomocą kościoła przedstawia się w Poznańskiem zupełnie inaczej, jak na Śląsku i w Prusach Zachodnich

lub w Niemczech; jeśli bowiem tam rząd pruski w duchowieństwie znajdował gotowego do współdziałania w germanizacyjnej pracy sprzymierzeńca, to w Poznańskiem natrafia on na otwarty lub cichy opór ze strony duchowieństwa i starać się dopiero musi je ujarzmić, nagiąć do swych planów, zrobić z niego narzędzie do ich wykonania.

Plan użycia obok szkoły, urzędów i t. d. i duchowieństwa, jako narzędzia germanizacyi, był jedną z zasad programu bismarkowskiego germanizacyi. Osadzenie Niemca na stolicy arcybiskupiej po erze kulturkampfu i więzienia dzisiejszego kardynała Ledóchowskiego dostatecznie wskazuje, jaką miała być droga, po której rząd zamierzał kroczyć. Pierwsze lata panowania Wilhelma II przyniosły reakcyę przeciw polityce Bismarka, i reakcya na polu polityki kościelnej zaznaczyła się osadzeniem na arcybiskupstwie gnieźnieńsko-poznańskiem obecnego arcybiskupa, ks. dra Stablewskiego. Po krótkiej przerwie, gdy polityka pruska nawróciła na tory systemu bismarkowskiego, rząd pruski podjął znowu myśl użycia duchowieństwa za narzędzie germanizacyi. Ale natrafił na opór. W sferze stosunków szkolnych od szeregu lat wre w Księstwie walka pomiędzy księżmi polskimi a nauczycielami Prusakami, walka o dzieci polskie, która najdrastyczniejszy wyraz miała w pamiętnych słowach proboszcza Szadzińskiego, który się odezwał do dzieci, że „grzechem jest, jeśli dziecko polskie w obcym języku się modli". Zato ks. Szadziński postradał probostwo i uchodzić musiał z granic państwa pruskiego.

Rząd, niezrażony oporem księży polskich, szukał sposobu ujarzmienia ich i znalazł go mianowicie w sprawie katolików niemieckich. Zła gwiazda świeciła nad Księstwem poznańskiem wtedy, gdy obok osiedlanych przez rząd Niemców-protestantów pierwszy Niemiec katolik postawił stopę na ziemi prowincyi poznańskiej: dał on rządowi wyborny sposób zaprzągnięcia duchowieństwa polskiego do taczki germanizacyjnej. Otóż, korzystając z tego, że w niektórych okolicach Księstwa osiedliła się pewna liczba katolików niemieckich (naturalnie stojąca w takim stosunku do liczby parafian polskich, jak np. liczba polskich wychodźców w Westfalii do Niemców), rząd sztucznymi sposobami rozniecił wśród nich ruch, mający na celu zaprowadzenie kazań niemieckich. Doszło do tego, że zamieszkała w kilkunastutysięcznej parafii polskiej setka Niemców katolików żąda od władzy duchownej kazań niemieckich przynajmniej co drugą niedzielę. Za podszeptem organów rządu zaczęto wnosić petycye, podpisywane przez takich „katolików" Niemców,

którzy nigdy do kościoła nie uczęszczali i dopiero na znak, dany z Berlina, poczuli się nagle pobożnymi. Za temi petycyami o kazania niemieckie stał naturalnie rząd, przemawiała przyjęta zasada równouprawnienia narodowości w kościele, i punktu wyjścia nie było.

W połowie parafii, które mają kazania niemieckie, zaprowadzono je w ciągu ostatnich lat 3 — 4-ch. Zresztą kazania te nie byłyby same w sobie tak niebezpieczne, gdyby za niemi nie stało inne, groźniejsze niebezpieczeństwo. Przedsięwzięta bowiem przez rząd akcya, zmierzająca do zaprowadzenia kazań niemieckich obok polskich, ma cele, nierównie dalsze i dla losów kościoła polskiego w Poznańskiem groźniejsze: dąży ona wprost do wytworzenia wśród parafii katolicko-polskich — ściśle ograniczonych mniejszości katolicko-niemieckich, mających swe nabożeństwa niemieckie i dążących do stworzenia narazie obok polskich i niemieckich probostw. Zamierzono sobie doprowadzić do pewnego rodzaju utrakwistycznego systemu duszpasterstwa, do tego, aby obok proboszcza polskiego był proboszcz dla Niemców, obok kościoła dla katolików-Polaków kościół dla katolików-Niemców. Takie postawienie kwestyi otwiera naturalnie i dalsze perspektywy w kierunku powolnego kasowania nabożeństw polskich, a pozostawienia tylko niemieckich według znanej zasady: „wszyscy, czy Niemcy czy Polacy, jesteście katolikami, możecie się przeto modlić w kościele katolickim, choć się w nim po niemiecku kazania odbywają”.

Taki stosunek rządu do duchowieństwa polskiego w Poznańskiem, polegający na nacisku rządu, aby z księży zrobić posłuszne narzędzie germanizacyi, ujawnia się naturalnie nie tylko w nakreślonych powyżej granicach, w pozytywnej formie dążenia do kazań niemieckich i niemieckich parafii, ale też i w formie negatywnej, mianowicie w postaci przeszkadzania działalności duchowieństwa na polu religijnem w tych razach, gdy ta działalność mogłaby wyjść na korzyść polskości. Po ukończeniu kulturkampfu rząd pruski zawarł z Watykanem konkordat, na mocy którego duchowieństwo ma pewne atrybucye w zakresie polityki szkolnej; do nich przedewszystkiem zaliczyć należy prawo udzielania t. zw. *missio canonica*, t. j. prawo nauczania religii, którego musi udzielić władza duchowna osobom świeckim, a dopiero wtedy im wolno nauczać w szkołach. Zapewnionej układami z Watykanem tej ingerencyi władzy duchownej poznańskiej rząd nie uznawał, wydając bez porozumienia się z nią rozporządzenie, znoszące wykład religii w języku polskim. Widzimy tu jaskrawy przykład uszczuplenia praw władzy kościelnej

jako takiej, w wypadku, w którym chodziło o posunięcie germanizacyi naprzód.

Zniesienie nauki religii po polsku ma nie tylko znaczenie religijne, ale i narodowe; nie tylko jest uszczupleniem praw wychowania religijnego, ale i środkiem germanizacyjnym. Zagraża ono nie tylko religii, ale i narodowości, a nawet, rzec można, rozporządzenia te godzą duchem swym bardziej w narodowość, niż w religię. Owładnięty namiętnością germanizacyi rząd w stosunku do duchowieństwa, jako władzy kościelnej, nie uznaje w razie potrzeby jego charakteru, jako korporacyi wyznaniowej, natomiast upatruje w niej jedynie czynnik polityczny i paraliżuje wszelkie czynności duchowieństwa, choćby z najczystszych i jedynie chrześcijańsko-wyznaniowych pobudek pochodziły, jeśliby choć pośrednio wpływać mogły dodatnio na rozwój narodowości polskiej. Rząd rozporządzeniami Studta wkroczył w granice atrybucyi władzy kościelnej, nie wahał się jednak tego uczynić ze względu na znaczenie tych rozporządzeń pod względem narodowym; nie waha się też wywierać na władzę kościelną i jej przedstawiciela największego nacisku, chcąc go zmusić, aby się zrzekł tych atrybucyi, bo one przeszkadzają rządowi w pracy germanizacyjnej.

Ten stosunek duchowieństwa do rządu oraz do społeczeństwa polskiego jest prawdziwym węzłem gordyjskim wewnętrznej polityki społeczeństwa polskiego w Poznańskiem. Położenie władzy duchownej wobec rządu jest trudne, bo skojarzenie interesów narodowo-polskich z religijnymi wyzyskuje w swym duchu rząd pruski, mówiąc na argumenty, wynikające z czysto religijnych pobudek, że arcybiskup rządzi się pobudkami narodowemi i że jego każdy krok, uczyniony w obronie religii, jest obroną interesów polskich. Tak było ze skasowaniem polskich wykładów religii. Na wszelkie reklamacye arcybiskupa rząd odpowiadał, że tu nie chodzi o religijną, ale o narodową, o polityczną stronę kwestyi, i w istocie społeczeństwu polskiemu chodziło o narodową stronę niemniej, jak o religijną, ale władzy duchownej z urzędu przedewszystkiem religijna na sercu leżeć musiała.

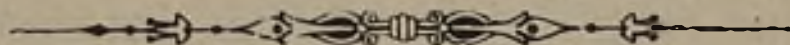
Jeśli położenie arcybiskupa wobec rządu jest trudne, to nierównie trudniejsze jest ono wobec społeczeństwa polskiego, które żąda nieraz od arcypasterza podjęcia interwencyi u rządu w obronie społeczeństwa polskiego w takich sprawach, w którychby na korzyść samej władzy duchownej przydała się czyjaś interwencya. I nie ulega wątpliwości, że ten ucisk rządu będzie stawiał nasze duchowieństwo w coraz przykrzejszem położeniu.

Mnożą się jednak oznaki, świadczące, że rząd pruski, dążąc do germanizacyi Poznańskiego przez kościół, nie tylko wyższą władzę duchowną zamierza ująć w swe sidła, ale że szuka stronników pomiędzy niższym klerem zapomocą różnych sposobów: poparcia i protekcyi wszelkiego rodzaju, beneficyów, orderów i t. d.

Sprawa germanizacyi zapomocą kościoła wejdzie na seryo na porządek dzienny dopiero z chwilą, gdy po śmierci żyjącego obecnie arcybiskupa Polaka rząd osadzi na stolicy arcybiskupiej jakiego Niemca, posłuszne narzędzie swych planów. Kandydatów nie braknie: jest przecież i w Poznaniu kilku księży Niemców, którzy niedawno pod odezwą, nawołującą do zbierania składek na wojsko w Chinach, kładli swe nazwiska obok hakatystów poznańskich.

Na tem kończymy pobieżny ten przegląd objawów germanizacyi Polaków pod rządem pruskim zapomocą duchowieństwa. Widzieliśmy, że w rozmaitych prowincyach, stosownie do okoliczności, sprawa ta jest w rozmaitych fazach rozwoju. Ale przekonaliśmy się, że wszędzie mamy do czynienia z jednym i tym samym objawem, dla losów narodowości polskiej w Prusach straszne kryjącym niebezpieczeństwo, bo albo walkę wewnętrzną z duchowieństwem, które podaje germanizacyę pod płaszczykiem religii, albo germanizacyę warstw ludowych, o ile się one nie nauczą rozróżniać swej narodowości od katolicyzmu. Uświadamianie ludu w tym kierunku jest jedynym postulatem praktycznym, który na podstawie rozpatrzenia tej kwestyi postawić obecnie można.

Kazimierz Rakowski.



Opieka nad umysłowo-chorymi w Europie

XIX wieku. *)

ANGLIA.

W Anglii, gdzie prawodawstwo, dotyczące obłąkanych i upośledzonych na umyśle, sięga bardzo dawnych czasów (r. 1774), rozróżniać należy dwie kategorye chorych, którzy mają zapewnioną przez prawo opiekę: t. zw. chorzy lorda - kanclerza, należący do klas zamożnych i uprzywilejowanych, i chorzy biedni. Prawodawstwo względem chorych lorda-kanclerza powstało za czasów Edwarda II w r. 1324; uzupełnione następnie w latach 1853, 1862 obowiązuje do dziś dnia. Do prerogatyw korony należała dawniej opieka nad umysłowo-chorymi i upośledzonymi na umyśle, gdyż król miał prawo zabierać na własność majątek idyotów po potrąceniu sum, które mogłyby zabezpieczyć przyzwoity byt upośledzonych na umyśle. Majątkiem zaś chwilowo będącego w obłędzie król miał obowiązek tylko zarządzać aż do wyzdrowienia chorego. Stąd już w wiekach średnich nader ważną było rzeczą orzeczenie, czy

*) Ob. „Ateneum", kwiecień, 1901.

dany osobnik ma być zaliczony do kategoryi chorych, czy też upośledzonych na umyśle. Orzeczenie to należało do sądu, złożonego z 12 członków, przez króla zatwierdzanych. Ponieważ król nie mógł osobiście wglądać w gospodarkę majątkową chorego, wyznaczał przeto kogoś z blizkiego otoczenia, by się opieką zajął. Musiało to być zajęcie korzystne, skoro, jak głoszą kronikarze, jak o łaskę dobijano się o powierzenie opieki. Z biegiem czasu obowiązek opiekowania się bogatymi chorymi powierzono lordowi - kanclerzowi i w tym celu przy osobie tego dostojnika utworzono komitet, złożony z 5 osób; z tych dwie pochodzą ze stanu prawniczego i noszą tytuł — *master in lunacy;* pozostałe nazywają się *visitors* i wyznaczane są z pośród znanych na polu naukowem lekarzy. Uznanie obłędu dokonywane jest w sądzie wobec strony zainteresowanej, która ma prawo korzystać z usług adwokata, przez się wybranego lub wyznaczonego. Sprawa toczy się zupełnie tak samo, jak i inne; prowadzenie jej kosztuje dosyć drogo. W wyjątkowych tylko razach sam lord-kanclerz decyduje o stanie chorobliwym osobnika, którego poczytalność zakwestyonował któryś z członków rodziny. Gdy chorego uznano za niepoczytalnego, wtedy lord-kanclerz wyznacza zazwyczaj $^2/_3$ posiadanego majątku na zabezpieczenie przyzwoitego bytu choremu i wybiera 2 opiekunów, którzy winni pamiętać o majątku i o osobie chorego. Do opiekującego się osobą chorego należy troska o jego byt, gdyż opiekun jest obowiązany składać co 6 miesięcy sprawozdanie o stanie zdrowia chorego, a co 3 miesiące musi odwiedzać chorego w zakładzie. Opiekujący się mieniem chorego składa roczne sprawozdanie z gospodarki majątkowej.

Nad prawidłową opieką nad chorymi lorda-kanclerza czuwa 3 wizytatorów, którzy, otrzymując wysokie wynagrodzenie (37,000 franków każdy), obowiązani są co pewien czas odwiedzać powierzonych ich opiece chorych i o swych wizytach muszą składać szczegółowe sprawozdania.

W r. 1774 wyszło pierwsze prawo, tyczące się opieki nad chorymi, nie należącymi do kategoryi chorych lorda-kanclerza. Prawo to, z biegiem czasu dopełnione i nieco zmienione, głosi, że dla zarządzania opieki nad umysłowo-chorymi przy kancelaryi lorda-kanclerza ma być urządzony urząd—komisyonerów, złożony z 11 członków (3 lekarzy, 3 adwokatów płatnych i 5 honorowych członków, lordów zazwyczaj). Urząd komisyonerski ma podwójne obowiązki— administracyi i kontroli. Wydaje on pozwolenia na założenie nowych zakładów w Londynie lub w okolicy (w innych częściach królestwa podobne pozwolenie wydaje sędzia pokoju), rozpatruje wszy-

stkie sprawy, tyczące się umieszczenia i pielęgnowania chorego, kontroluje zakłady publiczne, prywatne, a nawet mieszkania tych, którzy roztaczają opiekę nad chorym. Komisyonerzy prowadzą korespondencyę z chorymi bez kontroli zarządów szpitalnych. Do obowiązku tego urzędu należy również troska o przygotowanie uzdolnionych dozorców i dozorczyń, prowadzenie ścisłej kontroli nad czynnościami personelu służbowego. Urząd komisyonerów przedstawia rok rocznie kanclerzowi treściwe sprawozdanie o stanie opieki nad umysłowo-chorymi.

Obłąkany w Anglii może być umieszczony w zakładzie albo na żądanie otaczających, albo z rozkazu władz administracyjnych, nie inaczej jednak, jak po uprzedniem stwierdzeniu choroby umysłowej przez sędziego pokoju lub przez osobę, przez sędziego wskazaną. Obłąkany ze świadectwem lekarza zazwyczaj bywa badany jeszcze przez 2 innych, z urzędem komisyonerów lub z zakładem nic wspólnego nie mających.

Opodatkowanie na rzecz opieki dla obłąkanych jest dobrowolne, lecz stałe i unormowane w każdej parafii. Kilka lub kilkanaście parafii tworzy hrabstwo lub miasto, które z mocy prawa muszą posiadać zakład leczniczy dla obłąkanych i stosowną liczbę przytułków, domów roboczych, prywatnych lecznic lub prywatnych mieszkań, aby wszyscy chorzy stosowną opiekę znaleźli.

W roku 1885 w Anglii było 79,704 chorych (1 chory na 345 miesz.). Chorzy ci znaleźli stosowną opiekę:

w 52 zakładach, przez hrabstwa utrzymywanych,
w 11 „ „ miasta „
w 15 zarejestrowanych szpitalach (utrzymywanych kosztem towarzystw lub osób prywatnych),
w 1 zakładzie wojskowym,
w 1 „ marynarki,
w 1 „ dla Indyi,
w 1 „ dla przestępców,
w 3 domach roboczych w stolicy,
w 35 prywatnych lecznicach stolicy,
w 62 „ „ na prowincyi,
w 335 domach roboczych na prowincyi.

razem . . w 517 zakładach.

Obłąkani lub upośledzeni na umyśle, których rodzina nie życzy sobie oddać do zakładu, według prawa powinni być co 3 miesiące odwiedzani przez lekarzy dla biednych; o odwiedzinach tych obowią-

zani są lekarze donosić sędziemu pokoju i urzędowi komisyonerów w Londynie.

W Szkocyi, gdzie, jak później się dowiemy, opieka nad obłąkanymi innemi nieco poszła drogami, wszyscy bez wyjątku chorzy należą do wydziału komisyonerów w Edynburgu. Urząd ten składa się z 5 członków, których obowiązki są niemal takie same, jak komisyonerów angielskich, z tą różnicą, że kontrolować mogą urządzenia dla obłąkanych pojedyńczo, a nie po dwu, jak to jest w Anglii. O obłąkanym, trzymanym w domu dłużej, niż rok, obowiązkowo musi być zawiadomiony urząd komisyonerów, który za pośrednictwem szeryfa wydaje polecenie umieszczenia chorego w zakładzie. O każdym bez wyjątku obłąkanym musi być zawiadomiony urząd komisyonerów, w razie zaś zatajenia chorego winni podlegają karze. Polecenie szeryfa o przyjęciu chorego do zakładu ważne jest tylko na przeciąg 3-ch lat, następnie bowiem musi być rok rocznie zatwierdzane przez członków urzędu komisyonerów. Opiekę nad chorymi prowincyonalnymi roztaczają z ramienia urzędu członkowie dobroczynności parafii. Wypisywanie chorego niewyleczonego podlega formalnościom. Chory taki musi posiadać pozwolenie szeryfa, który wydaje je na zasadzie świadectwa 2 lekarzy, wyznaczonych przez prokuratora i stwierdzających, że stan chorego nie może być groźny dla otoczenia.

W Szkocyi o 4,218,279 ludności w d. 1 stycznia r. 1897 było zapisanych w rejestrach biura komisyonerów 14,500 chorych.

Chorzy ci znaleźli opiekę.

w t. zw. królewskich szpitalach	4,149	chor.
w szpitalach okręgowych (districtes)	4,673	„
w lecznicach prywatnych	137	„
w domach zarobkowych parafilnych	2,357	„
w patronage familial	2,780	„
w szpitalu dla umysłowo-chorych przestępców.	62	„
w zakładach wychowawczych dla idyotów . .	352	„
razem . .	14,500	chor.

Od r. 1858 do 1897 liczba umysłowo-chorych, którymi się zaopiekowano w Szkocyi, wzrosła o 9,284 chorych. Z tego wypada, że, podczas gdy wzrost ludności dosięga tylko 39%, zapotrzebowanie opieki nad obłąkanymi wzrasta o 149%.

W Szkocyi wreszcie opieka nad mieniem chorego należy do urzędu komisyonerów, którzy w Anglii tem się nie trudnią.

W Irlandyi prawo obowiązujące wzorowane jest na angiel-

skiem z tą różnicą, że kwalifikowanie chorego do zakładu odbywa się pod osobistą kontrolą 2 sędziów, którzy wraz z lekarzem orzekają, o ile pomieszczenie takie jest potrzebne. Żaden również chory z zakładu nie może być wypisany bez wiedzy sędziego, na którego ręce należy złożyć dowody, że niewyleczony daje rękojmię bezpieczeństwa.

Dodać winniśmy, że w Anglii na utrzymanie urzędów komisyonerów łoży rząd, gdyż tylko $^1/_{10}$ część wydatków pokrywana jest z podatku, pobieranego z zakładów prywatnych, i z opłaty, jaką uiszczają ci, którzy pragną zasięgnąć opinii o sprawowaniu się służby niższej.

BELGIA.

Prawodawstwo belgijskie, pod wielu względami wzorowane na prawie francuskiem z r. 1838, ma moc obowiązującą od r. 1850. Ponieważ przez czas dwudziestolecia zauważono pewne braki, przeto w r. 1873 — 74 przejrzano je i dopełniono. W głównych zarysach głosi ono, że niema różnicy pod względem kontroli państwa między zakładem leczniczym a domem prywatnym, w którym się znajduje obłąkany. Trzymać w domu chorego bez pozwolenia władzy sądowej nikt nie ma prawa. Sędzia pokoju wraz z lekarzem, przez się wyznaczonym, i w obecności lekarza leczącego ma obowiązek naocznie się przekonać o stanie władz umysłowych chorego. Co 3 miesiące rodzina lub opiekujący się chorym obowiązkowo muszą składać sędziemu poświadczenie lekarskie o stanie zdrowia chorego. Kontrola nad zakładami dla obłąkanych jest powierzona oprócz burmistrza, prokuratora sądu i gubernatora stałej komisyi w każdym okręgu, która co rok składa sprawozdania o stanie opieki.

Nowe prawodawstwo belgijskie orzeka w części II § 7, że dyrektor zakładu ma prawo przyjąć chorego tylko na piśmienne żądanie rodziny, nie inaczej jednak, jak po przedstawieniu orzeczenia rady familijnej. Tymczasowe zamknięcie w szpitalu może być dokonane na zlecenie burmistrza lub innego członka komisyi okręgowej. Komisya stała jednak jest obowiązana najpóźniej w ciągu 6 dni sporządzić o zamknięciu stosowny protokuł.

§ 15 w dziale II głosi, że najpóźniej w ciągu 24 godzin po wypisaniu z zakładu chorego dyrektor obowiązkowo musi zawiadomić o tem gubernatora, prokuratora królewskiego, miejscowego sędziego pokoju, burmistrza gminy i komitet miejscowy. W zawiadomieniu

tem należy, o ile można, wskazać miejsce przyszłego pobytu chorego.

Ponieważ w Belgii istnieje wiele prywatnych zakładów, które mają stałe umowy z prowincyami i miastami co do utrzymywania chorych, a nawet chorych-przestępców, przeto zatwierdzenie dyrektora i całego personelu lekarskiego na przedstawienie właściciela zakładu należy do rządu. Zakłady takie składają kaucyę, jako rękojmię dotrzymania umowy, i są obowiązane poczynić wszystkie ulepszenia, przez komisyę stałą wskazane.

§ 28 orzeka, że, jeżeli majątek chorego lub środki materyalne gminy, z której pochodzi chory, nie wystarczają na pokrycie kosztów opieki nad chorym, wtedy państwo pokrywa brakującą część.

Cô do kolonii dla obłąkanych w Geel będzie mowa poniżej.

FRANCYA.

Prawo z r. 1838, przejrzane i uzupełnione przez komisyę senatu w r. 1883, orzeka, że rzeczpospolita powinna: a) zapewnić należytą opiekę pod kierunkiem lekarzy-specyalistów wszystkim bez wyjątku umysłowo-chorym w zakładach departamentów (prawo z r. 1838 pozwalało umieszczać chorych w zakładach prywatnych na mocy zawieranych umów); b) upoważnić rady departamentów do czuwania nad prowadzeniem zakładów; c) dbać o to, by żaden chory bez upoważnienia władzy sądowej nie był trzymany w zakładzie dla obłąkanych; d) urządzić specyalne przytułki dla przestępców - obłąkanych; e) wreszcie roztoczyć należyty dozór nad mieniem chorych.

§ 1 mówi, że dla obłąkanych należy mieć specyalne publiczne i prywatne zakłady. Uwaga zaś do tego § dodaje, że nieuleczalni chorzy, epileptycy i idyoci mogą być przyjmowani do tych zakładów tylko do czasu założenia specyalnych przytułków, o co usilnie starać się winny departamenty. Rząd zaś winien wybudować jeden lub więcej zakładów dla wychowania idyotów.

§ 7 głosi, że zakład prywatny (to miano zaś noszą nawet domy prywatne, w których opiekują się chorym) może być otwarty tylko na mocy zezwolenia rządu i po złożeniu kaucyi; § 8 zaś mówi, że o chorym, którym się opiekuje rodzina, należy zawiadamiać prokuratora z dołączeniem świadectwa lekarza; prokurator ma prawo albo wyznaczyć od siebie komisyę kontrolującą lub też wymagać co 3 miesiące sprawozdań o stanie zdrowia chorego.

§ 11 wyraźnie zastrzega, że w każdym departamencie ma być

utworzona stała komisya, złożona z prezydenta, z prezesa sądu cywilnego lub sędziego pokoju, z członka miejscowej prefektury, z adwokata, wyznaczonego przez izbę adwokacką, i z lekarza, zatwierdzonego przez ministra spraw wewnętrznych. Lekarz jest zarazem sekretarzem komisyi i pobiera pensyę od rządu. Członkowie komisyi (po 2) wraz z lekarzem są obowiązani przynajmniej raz na 3 miesiące odwiedzać zakłady publiczne i prywatne, mieszkania prywatne, gdzie są chorzy, i muszą składać o tych odwiedzinach szczegółowe sprawozdania. Obecnie jednak § ten o tyle zmieniono, że inspekcyi zakładów przy współudziale prefekta dokonywa lekarz okręgowy, przez ministra w tej godności zatwierdzony. Ponad wszystkiemi komisyami departamentów prawo ustanawia najwyższą radę do spraw obłąkanych w Paryżu. Rada ta według brzmienia § 15 ustawy składa się: 1) z prokuratora generalnego izby apelacyjnej lub członka rady prokuratorskiej; 2) z członka akademii lekarskiej z wyboru; 3) z profesora kliniki psychiatrycznej, z dyrektora departamentu ministeryum sprawiedliwości; 4) z dyrektora departamentu ministeryum spraw wewnętrznych i 5) z głównych inspektorów opieki nad umysłowo-chorymi. Do najwyższej tej Rady należy opieka w szerokiem znaczeniu tego słowa.

Do zakładu obłąkany może być przyjęty na zasadzie prośby krewnego lub opiekuna, poświadczonej przez sędziego pokoju lub mera. W wyjątkowych tylko razach prawo pozwala żądać poświadczenia od prefekta. Do prośby najpóźniej w ciągu 15 dni od umieszczenia chorego należy dołączyć wyciąg z akt o ustanowieniu opieki nad chorym i jego majątkiem oraz protokuł rady familijnej. W wypadkach nagłych chory może być umieszczony w szpitalu na zasadzie krótkiego świadectwa lekarskiego z tem zastrzeżeniem, że w ciągu 2 dni będą przedstawione prawne dokumenty. Gdyby chory opierał się umieszczeniu w zakładzie, rodzina lub opiekunowie mają prawo żądać pomocy mera lub komisarza policyi. Ten musi jednak o udzielonej pomocy zawiadomić prokuratora. O przyjęciu do zakładu chorego dyrektor zawiadamia niezwłocznie: 1) prefekta, który potrzebne papiery odsyła do komisyi stałej; 2) prokuratora tego okręgu sądowego, skąd pochodzi chory, i 3) prokuratora okręgu, w którym się znajduje zakład.

Prefektowi (§ 29) przysługuje prawo zarządzenia o umieszczeniu chorego w zakładzie, gdy tego zajdzie niezbędna potrzeba, jeżeli posiada stosowne świadectwo lekarza. Mer lub komisarz policyi wykonawczej również w razach wyjątkowych mają prawo umieszczać

chorego, nie inaczej jednak, jak po zaświadczeniu niezbędności przez rejenta lub lekarza.

Lekarz okręgowy lub komisya stała mają prawo zabronić osobom upoważnionym (§ 25) do zabrania chorego z zakładu, jeżeli wiedzą, że chory nie daje rękojmi bezpieczeństwa lub że chcący zabrać chorego nie będą mogli dać należytej opieki choremu. Prawo sprzeciwienia się wypisaniu chorego posiada i prefekt (§ 33) po porozumieniu się ze stałą komisyą.

Koszty utrzymania chorego w zakładach publicznych pokrywa rodzina chorego lub gmina, z której pochodzi. Biednych utrzymują departament i gmina. Przytułki utrzymują chorych bezpłatnie. Za utrzymanie epileptyków i kształcenie idyotów płaci departament. Niedobory, mogące powstać, uzupełnia kasa rządowa. Rząd ponosi koszta utrzymania Rady głównej, głównych inspektorów i lekarzy okręgowych.

WŁOCHY.

Prawodawstwo włoskie, tyczące się opieki nad obłąkanymi i porozrzucane po różnych aktach, doczekało się przejrzenia dopiero w r. 1881, chociaż już w r. 1878 ministeryum Nicotera miało wygotowany stosowny projekt. W projekcie ministra zasługują na uwagę niektóre spostrzeżenia, zakomunikowane parlamentowi. Mąż stanu z uwagi, że wzmagająca się liczba obłąkanych i przymusowa opieka prowincyonalna nad tymi biedakami nadmiernie obciąża budżet prowincyi, sądzi, że dla zapobieżenia mogącej w bardzo krótkim czasie nastąpić nierównowadze budżetowej należy przedsięwziąć kroki, by część chorych z przepełnionych zakładów można było przenieść do domów prywatnych lub do przytułków gminnych. Minister sądzi, że niepraktycznie jest dzielić chorych na uleczalnych i niebezpiecznych z jednej strony, na nieuleczalnych i dających wszelkie bezpieczeństwo z drugiej, i że nie należy zalecać, by pierwszymi opiekowała się prowincya, drugimi—gmina (prawo z r. 1838 w Toskanii). Minister jest zdania, że należy pozostawić uznaniu lekarzy, sądu i gmin, którzy chorzy powinni pozostać w szpitalu, a których można oddać rodzinie lub obcym ludziom, lub wreszcie do przytułków, utrzymywanych z grosza dobroczynnego. Słowem minister robi nacisk, by drogą prawodawczą opieka nad umysłowo-chorymi, obejmując całokształt tego zagadnienia, zbytnio nie ciężyła na budżecie poszczególnych prowincyi.

§ 1 prawa orzeka, że każda prowincya musi zapewnić obłąkanemu opiekę albo w zakładzie własnym, albo w innym; koszty opieki ponosi ten, kto powinien się opiekować chorym. Mocą § 2 towarzystwa i pełnoletni obywatele mają prawo zakładać szpitale za zezwoleniem władzy; prowadzić taki zakład może tylko lekarz, zatwierdzony przez ministra spraw wewnętrznych. § 3 głosi, że każdy obywatel, który trzyma w swym domu więcej, niż 2 obłąkanych, do jego rodziny nie należących, powinien być poczytywany za właściciela zakładu prywatnego. § 4 nakazuje, by każdy obłąkany, zakłócający spokój publiczny i mogący się leczyć w domu, obowiązkowo był umieszczony w zakładzie. § 5 głosi, że umieszczać chorego ma prawo jeden z małżonków, krewni, opiekunowie i podopiekunowie, nie inaczej jednak, jak za załączeniem do podania wyciągu z rady familijnej i świadectwa lekarskiego. § 7 określa procedurę, przez jaką przejść musi podanie o umieszczenie chorego.

Prefekt lub mer, otrzymawszy takie podanie, w ciągu 24 godzin powinien odesłać je do sądu, który orzeka niezbędność umieszczenia chorego w zakładzie na t. zw. okres badawczy (15 dni). Po 15 dniach dyrektor zakładu przedstawia prokuratorowi swe zdanie o chorym i dopiero po rozpatrzeniu tego przedstawienia sąd uznaje obłąkanie i wyznacza tymczasową opiekę. Jeżeli dyrektor w ciągu 15 dni nie może określić rodzaju cierpienia, ma prawo żądać zwłoki jeszcze na przeciąg 2 tygodni.

§ 10 mówi, że po roku pobytu w szpitalu i po zasięgnięciu opinii lekarzy sąd wyznacza stałą opiekę nad mieniem i osobą chorego. § 11 zastrzega, że, jeżeli rodzina pragnie leczyć chorego w domu, musi zrobić podanie do prokuratora, poparte świadectwem lekarskiem, i wymienić wszystkie środki, które przedsiębierze dla bezpieczeństwa publicznego i dla zdrowia chorego. Prokurator na mocy tego podania wytacza sprawę przed sądem, który wyznaczyć może tymczasowego administratora i daje pozwolenie na leczenie chorego w domu. Nawet na zatrzymanie w domu zupełnie spokojnego chorego należy uzyskać pozwolenie władz sądowych, które wyznaczają administratora i opiekunów.

Wypisanie chorego uzdrowionego lub nieuzdrowionego należy również do sądu (§ § 13 i 14), który w tym drugim wypadku ściśle bada, czy biorący chorego z zakładu daje rękojmię należytej opieki, w przeciwnym bowiem razie sąd nie pozwala zabrać chorego.

Chorych o postaciach przewlekłych dyrektor zakładu po uzyskaniu pozwolenia sądu (§ § 16 i 17) ma prawo oddać gminom na dalsze opiekowanie się, o czem musi zawiadomić policyę. Chory po

opuszczeniu zakładu jest utrzymywany na koszt gminy, z której pochodzi, a nie z funduszów prowincyonalnych.

§ 18 określa, że obłąkani biedni i cudzoziemcy utrzymywani są w zakładach na koszt prowincyi do czasu, dopóki stan ich zdrowia nie pozwala na odesłanie chorego do gminy. Od tej bowiem chwili chorych takich utrzymuje gmina lub dobroczynność prywatna. W każdej prowincyi należy (§ 19) powołać do życia t. zw. rady prowincyonalne, do których opieka nad obłąkanymi w całości należy.

NIEMCY.

W Rzeszy Niemieckiej jednolitego prawa, określającego całokształt opieki nad umysłowo-chorymi i upośledzonymi na umyśle niema. Szczegółowe prawo z r. 1879 określa sposób uznawania niepoczytalności chorego i wyznaczania opieki nad jego mieniem. Prawa o niezwłocznem zawiadamianiu władz sądowych o każdym przypadku obłędu niema; wielu chorych przez cały czas choroby bez wiedzy władz pozostaje w domu, gdyż, jak mówią Guttstadt i Mendel, niejeden chory, choćby nawet chciał dostać się do zakładu, dla braku miejsca dostać się nie może. Na mocy prawa z r. 1871 (Ausführungsgesetz) obowiązek opiekowania się biednymi obłąkanymi, umieszczanie ich w szpitalu, budowanie i łożenie na utrzymanie specyalnych zakładów wyłącznie należą do towarzystw opieki nad biednymi, które mają być utworzone w każdej prowincyi. W każdej prowincyi również ustanawia prawo lekarza okręgowego, do którego należy kontrola nad wszystkimi zakładami. Na mocy prawa z r. 1803 do zakładu mogą być przyjęci tylko ci chorzy, nad którymi sąd wyznaczył opiekę. Chorzy bez wyznaczonej opieki mogą być umieszczeni w zakładzie tylko chwilowo, sprawa zaś o uznanie ich niepoczytalności niezwłocznie powinna być wszczęta. Każdy chory musi posiadać świadectwo lekarza policyjnego lub sądowego. Wolno jednak przyjąć chorego (prawo z r. 1872) ze świadectwem dwu lekarzy, a w razach wyjątkowych wystarcza świadectwo jednego lekarza. O wypisywaniu chorych ze szpitali prawo nic prawie nie orzeka, jak również nie omawia sposobu opiekowania się chorymi poza murami zakładu.

AUSTRYA.

W Austryi obowiązują prawa w obu połowach państwa wielce zbliżone. Prawa te przedewszystkiem omawiają sposób dawania koncesyi i kontrolowania zakładów prywatnych. Zakłady publiczne mają swe własne ustawy, mocą których do przyjęcia chorego niezbędne jest świadectwo lekarza, zamieszkałego w danej miejscowości. Władze policyjne, umieszczając chorego, również muszą się stosować do tego przepisu. O każdym nowoprzyjętym chorym zakład powinien zawiadomić władze sądowe pierwszej instancyi najpóźniej w 24 godziny. Chory uzdrowiony może opuścić mury szpitala w każdej chwili, nieuzdrowionego również może zabrać rodzina, i tylko chorzy podejrzani wzięci być mogą nie inaczej, jak po należytem zbadaniu, czy biorący chorego jest w możności zapewnić należytą opiekę. Nad chorymi poza zakładem na mocy § 3 prawa z r. 1870 czuwać winny gmina i władze lekarskie. Obowiązkiem ich jest czuwanie nad chorymi, będącymi w rodzinie, zabezpieczenie należytej opieki bezdomnym. Władza rządowa powinna wypełniać zlecenia gmin w sprawach opieki nad obłąkanymi. Kontrola nad zakładami publicznymi i prywatnymi należy do wydziału sanitarnego okręgowego. Wydział ten ma prawo wyznaczać, zmieniać lekarzy, ma obowiązek przynajmniej raz na 3 miesiące zwiedzić każdy zakład i składać sprawozdania.

SZWECYA, NORWEGIA i DANIA.

Za cechę odrębną prawodawstwa skandynawskiego należy uważać brak przedewszystkiem § §, któreby tamowały nieprawidłowe przyjęcie do zakładu zdrowego człowieka. Takie wypadki, jak głosi prawodawstwo z r. 1863, zdarzyć się mogą w romansach, lecz nie w życiu codziennem. W Szwecyi, Norwegii i Danii są pewne różnice w prawie obowiązującem. W Szwecyi np. wszystkie bez wyjątku zakłady dla obłąkanych i upośledzonych na umyśle mają jeden centralny zarząd, od którego zależy zarząd miejscowy zakładu. Zarząd ten składa się z prefekta lub prezydenta prowincyi, z zarządzajęcego lekarza i 4 członków obieralnych. Państwo utrzymuje szpitale dla ostrych chorych, dla przewlekłych, niebezpiecznych chorych i dla podsądnych oraz przytułki dla nieuleczalnych, epileptyków i idyotów. Przyjmuje zakład chorego na zasadzie świadectwa

lekarza, chociaż i bez niego dyrektor zakładu ma prawo przyjąć lub wypisać chorego. O przyjęciu chorego zawiadamia się tylko urząd lekarski. O chorych, którymi rodzina się opiekuje, leczący lekarz obowiązkowo musi składać sprawozdanie roczne urzędowi lekarskiemu.

W Norwegii prawo z r. 1848 określa, że wszystkie zakłady dla obłąkanych, wszyscy chorzy, będący na opiece rodziny lub obcych ludzi, podlegają władzy t. zw. komisyi kontrolującej, składającej się z 3 członków (2 lekarze). Wszystkie zakłady są albo państwowe, albo gminne; prywatny jest jeden, uzyskanie bowiem pozwolenia królewskiego na otwarcie zakładu jest trudne, gdyż rząd trzyma się zasady, że opieki nad obłąkanymi nie należy oddawać w prywatne ręce. O przyjęciu i wypisaniu chorego stanowi lekarz zakładu. Ma on prawo nie wypełnić poleceń komisyi kontrolującej, jeżeli uważa, że chory nie daje rękojmi bezpieczeństwa. Do przyjęcia nie potrzeba żadnych świadectw: zależy ono wyłącznie od lekarza zakładu. Co 3 miesiące lekarz zakładu składa komisyi kontrolującej szczegółowe sprawozdanie (z wyciągiem z kart szpitalnych) o stanie zprowia każdego chorego. Komisya kontrolująca odwiedza, ile razy chce i kiedy chce, zakład i rozstrzyga kwestye sporne. O każdym chorym, będącym w rodzinie, musi być zawiadomiony lekarz danej miejscowości, i on wydaje opinię, czy chory może być trzymany w domu, czy też musi być oddany do zakładu. W pierwszym razie o stanie zdrowia chorego musi lekarz składać komisyi kontrolującej roczne sprawozdania.

W Danii niema ogólnego prawa, tyczącego się obłąkanych. Każdy zakład publiczny posiada swoją własną instrukcyę. Chorzy poza zakładem nie podlegają kontroli.

HOLANDYA.

Prawo z r. 1884 bardzo ściśle określa opiekę nad umysłowo-chorymi w Holandyi i, jako pierwszy warunek, kładzie, by o wszystkich przypadkach zachorowania stanowił sąd. Prawo to, zawarte w 44 paragrafach, bardzo drobiazgowo wgląda we wszystkie szczegóły, związane z umieszczeniem, bytem i wypisaniem chorego z zakładu. Postanawia ono, że nad całokształtem opieki nad umysłowo-chorymi czuwać mają 2 inspektorowie, przez koronę wyznaczeni. Inspektorom prawo zabrania zajmować się praktyką prywatną

(§ 1). Oprócz nich nad zakładami roztaczają kontrolę władze sądowe, urząd lekarski i burmistrzowie.

Według brzmienia § 10 ustawy o obłąkanych państwo zakłada szpitale publiczne, które są przeznaczone: 1) dla chorych, za których utrzymanie płaci państwo; 2) dla podsądnych lub osądzonych; 3) tylko w razie wolnego miejsca dla chorych, za których utrzymanie płacą gminy.

§ 11 mówi, że, jeżeli wjakiejś prowincyi znajdą się chorzy, których nie można było pomieścić w zakładzie publicznym, wtedy zarządy prowincyonalne same lub wraz z sąsiednimi muszą się postarać o to, by tacy chorzy znaleźli należytą opiekę w przytułkach lub w szpitalach prowincyonalnych. W sprawie przyjmowania chorych do zakładu powiedziano w § 13, że prokurator w razach nagłych lub w wypadkach złego obchodzenia się z chorym ma prawo wydać polecenie umieszczenia chorego w zakładzie. Nie później jednak, jak w ciągu 8 dni, musi uzyskać zatwierdzenie polecenia przez sąd kantonu lub przez prezesa sądu okręgowego. § 18 mówi, że tylko chorzy z podobnym wyrokiem sądu mogą być trzymani w zakładzie. §§ 27 i 28 określają sposób wypisywania chorych. Wypisać wogóle ma prawo ta osoba, która starała się o umieszczenie chorego. W wypadkach, gdy chcą zabrać chorego niebezpiecznego, lekarz ma prawo sprzeciwić się, i spór rozstrzyga sąd.

Prawodawstwo holenderskie nakłada (§§ 36 — 39) dosyć duże kary pieniężne na tych, którzy w ten lub inny sposób wyłamaćby się chcieli z pod prawa o obłąkanych, i wyraźnie (§ 40) mówi, że wszystkie wydatki, poniesione na opiekowanie się chorym, ponosi państwo, które ściąga następnie należność z majątku samych obłąkanych, jeżeli na to pozwala stan mienia, w przeciwnym razie ściąga z majątku bliższej, a nawet dalszej rodziny, wreszcie z gminy, do której należał chory. O uznanie niepoczytalności chorego ma prawo wystąpić ktoś z rodziny, i dopiero, gdyby ta formalność nie była dokonana, wglądać w te sprawy mają prawo organy ministeryum sprawiedliwości (§ 489 ustawy sądowej).

* * *

Nie przytaczamy paragrafów prawa obowiązującego w Szwajcaryi, Stanach Zjednoczonych, gdyż jednolitego prawa tam niema. Każdy kanton w Szwajcaryi, każdy stan w Ameryce Północnej inne ma prawodawstwo lub go zupełnie co do obłąkanych niema. Pomimo braku prawa opieka nad obłąkanymi dosięgła np. w Szwajcaryi

takiej doskonałości, że wiele narodów z zazdrością spogląda na małą rzeczpospolitą. Brak prawodawstwa nie zawsze stoi na przeszkodzie ku należytemu wypełnianiu opieki nad obłąkanymi, o czem świadczy państwo niemieckie, gdzie, jak widać z zestawień liczbowych, opieka ta robi kolosalne postępy.

W Niemczech, które liczyły 52,279,901 mieszkańców w końcu r. 1898, funkcyonowały 262 zakłady dla obłąkanych lub na umyśle upośledzonych o 74,087 miejscach. Rząd i prowincye utrzymywały z tej liczby 142 zakłady o 55,877 miejscach, 120 zaś zakładów o 18,210 miejscach zawdzięczają swój byt przedsiębiorczości prywatnej lub, co bywa częściej, ofiarności zbiorowej. W państwie niemieckiem istnieje 13 wielkich towarzystw opieki nad chorymi, które kolosalną pomoc w sprawie opieki nad obłąkanymi na swych barkach dźwigają.

W Szwajcaryi (2,917,754 mieszkańców) funkcyonuje 42 zakłady o 7,488 miejscach, z których 22 utrzymywane są kosztem związku lub poszczególnych kantonów (o 6,364 miejscach), o 20 zaś zakładach o 1,124 miejscach myśli dobroczynność prywatna. Towarzystw opieki nad obłąkanymi lub upośledzonymi na umyśle jest w Szwajcaryi 9.

* * *

Mówiąc o prawodawstwie, nas obowiązującem, wspominaliśmy, że wymaga ono przejrzenia, uzupełnienia, a nawet radykalnej zmiany. Nim jednak sformułujemy własne wnioski pod tym względem, uważamy za pożyteczne rozpatrzenie się z krytycznego punktu widzenia potrzeb miejscowych w tych wnioskach d-ra Konstantinowskiego[1]), które były przedmiotem bardzo obszernej i pouczającej dyskusyi.

Najwybitniejsi psychiatrzy rosyjscy z mniejszem lub większem zastrzeżeniem uznali za godne uwagi następujące wnioski:

1) Prawodawstwo powinno ściśle ustalić pojęcie o zakładach dla obłąkanych i podzielić te zakłady na lecznice i przytułki; oprócz tego powinny być urządzone zakłady specyalne dla obłąkanych, którzy popełnili przestępstwo, i dla przestępców, którzy popadli w obłęd.

---

[1]) Russkoje zakonodatielstwo ob uma liszonnych, jego istorija i srawnienije s inostrannymi zakonodatielstwami. Trudy I sjezda otieczestwiennych psichiatrow, 1887.

2) Zakłady prywatne powinny być tolerowane, jako mus konieczny, aż do czasu, gdy liczba specyalnych zakładów państwowych będzie mogła zadośćuczynić potrzebie.

3) Wszystkimi bez wyjątku zakładami dla obłąkanych powinni rządzić lekarze.

4) Aby dać zakładowi możność rozwijania się pod względem ekonomicznym, należy uznać każdy zakład specyalny za jednostkę administracyjnie samoistną.

5) Pomieszczenie chorego w szpitalu lub lecznicy powinno się odbywać przy udziale władzy sądowej i przy zaświadczeniu lekarskiem; udział władzy sądowej przy pielęgnowaniu chorego w domu powinien być przez prawo bardzo szczegółowo omówiony.

6) Dozór nad bytem, leczeniem, pomieszczaniem i wypisywaniem chorych powinien być prawnie ściśle określony; kontroli podobnej należy nadać charakter nie tylko sądowo-administracyjny, lecz i lekarski, pod warunkiem, aby głos lekarza był nie tylko doradczy, ale i obowiązkowy.

7) Aby strona naukowa działalności lekarskiej mogła rozwijać się pomyślnie, należy postanowić, że wszyscy lekarze, pracujący w podobnych zakładach, korzystają z praw służby państwowej; obowiązkiem jest rządu, głosi dalej wniosek, wypracować projekt zwrotu przez ziemstwa i miasta sum, wydawanych na utrzymanie i pensyonowanie psychiatrów.

8) Oprócz opieki nad osobą chorego państwo powinno ująć w ścisłe ramki prawodawcze opiekę nad mieniem chorego; w tym celu należy wypracować wskazówki dla władz sądowych.

9) Władze administracyjne na mocy stosownych przepisów powinny się wtrącać do umieszczania i utrzymywania w zakładzie tych chorych, którzy są niebezpieczni dla ogółu lub dla siebie samych.

10) Ponieważ z chwilą zniesienia „Prikazów obszczestwiennogo prizrienija" państwo, oddawszy opiekę nad obłąkanymi w ręce ziemstw, tem samem włożyło na nie ponad ich możność obowiązek, przez co chromają i sprawy ziemskie, i opieka nad obłąkanymi, przeto powinien rząd ściśle rozgraniczyć udział w kosztach utrzymania tej opieki pomiędzy skarbem państwa, funduszami ziemstw lub miast.

11) Jeżeli obłąkany popełni przestępstwo, karane prawem, państwo powinno uznać zupełną niepoczytalność czynu, spełnionego w obłędzie.

12) Przestępstwa i czyny, popełnione na osobach obłąkanych, powinny podlegać najwyższej karze.

Powyższe żądania, ze wszech miar trafne i słuszne, stosują się do tych części państwa rosyjskiego, w których istnieją ziemstwa. Poczytując przeto zasadnicze zmiany, które psychiatrzy rosyjscy uznają za niezbędne, za słuszne i zasługujące na poparcie, wierzymy, że wcześniej czy później zmiany te nastąpić muszą.

W guberniach Królestwa Polskiego cała gospodarka szpitalna skupia się w ręku Rady miejskiej dobroczynności publicznej, na prowincyi zaś w ręku Rad gubernialnych, których organem pomocniczym są Rady powiatowe. Rada dobroczynności publicznej, od czasu zniesienia Rad opiekuńczych szczegółowych, skupia w swem biurze wszystkie sprawy, tyczące się instytucyi dobroczynnych, zarządza wszystkimi szpitalami miejskimi, zapisami przez ofiarodawców, na różne cele przeznaczonymi, i dzierży kontrolę nad wszystkiemi towarzystwami dobroczynności.

Kto miał sposobność przeglądać roczne sprawozdania Rady miejskiej dobroczynności publicznej, ten musiał się zdumiewać na widok różnolitości spraw, które załatwić jej wypada; pomimowoli nasuwać się musiało pytanie, czy możebną jest rzeczą, by wszystkie te czynności, o charakterze tak różnorodnym, zatrącające o tyle różnych specyalności, mogły być należycie rozpatrzone i zgłębione? Przy obecnej organizacyi Rady miejskiej należy podziwiać, że sprawy szpitalne wogóle, sprawa zaś opieki, nas obchodzącej, w szczególe, nie chromają więcej jeszcze, niż to niejednokrotnie wykazywano w prasie.

Sprawa opieki nad umysłowo-chorymi, jak widać z przytaczanych szkiców prawodawstwa zagranicznego, wszędzie niemal wyjęta jest z ogólnych spraw dobroczynnych i wszędzie niemal stanowi odrębną organizacyę państwową przy współudziale szerokich warstw społecznych. Zdaniem naszem, należyty postęp opieki nad obłąkanymi i upośledzonymi na umyśle możliwy jest tylko wtedy, gdy los tych nieszczęśliwych, a tak odrębnych ze względu na sam rodzaj cierpienia, na odrębne prawno-społeczne warunki będzie powierzony organizacyi, która w żadnej lub bardzo luźnej zależności stać będzie od Rady miejskiej. Zapominać nie należy, że stałym towarzyszem obłędu z prawnego punktu widzenia jest utrata prawnej poczytalności, że obowiązkiem należycie uorganizowanej opieki jest nie tylko zapewnienie dogodnych warunków bytu samemu choremu, lecz i ochrona jego mienia, lecz i rozstrzyganie tych tysiącznych

zagadnień, które się wiążą z pobytem, wypisaniem, a nawet śmiercią chorego. Czyż Rada miejska, jako główny gospodarz szpitali i przytułków dla obłąkanych, jest w możności wnikać we wszystkie te szczegóły, które pociąga obłęd? czyż możliwą rzeczą jest, by szablon nie panował w obecnych warunkach?

Doświadczenie poucza, że wszystkim wymaganiom racyonalnej opieki nad obłąkanymi Rada miejska nie podołałaby, gdyby wyłącznie zająć się miała obłąkanymi miasta Warszawy, a cóż dopiero, gdy myśleć musi o chorych z całego Królestwa Polskiego. Nagabywana ze wszech stron o dostarczenie miejsca dla coraz to nowych chorych, robi,co może: tu dobuduje pawilon, tam stary gmach przybierze w nowe szaty, ówdzie odmówi, ówdzie każe czekać i t. d. Jest to szarpanina, która świadczy o zabiegliwości gospodarza, która jednak gruntownej reformy przeprowadzić nie będzie mogła. Gruntowną reformą opieki nad 20,000 przeszło osobnikami może, zdaniem naszem, zająć się tylko odrębne ciało, złożone z przedstawicieli administracyi, sądownictwa, lekarzy i społeczeństwa, któreby zapomocą komitetów prowincyonalnych ujęło w swe ręce wszystkie sprawy, związane z leczeniem i pielęgnowaniem obłąkanych i na umyśle upośledzonych. Skupienie jednak spraw opieki nad obłąkanymi w ręku takiej lub innej organizacyi bez udziału szerokich warstw całego społeczeństwa, jak uczy doświadczenie innych narodów, nie na wiele się przyda. Rząd może i powinien kontrolować, pomagać i materyalnie wspierać wszystkie zarządzenia, ku ulżeniu cierpienia bliźniego skierowane, społeczeństwo zaś ująć w swe ręce winno wszystkie sprawy, z bezpośrednim zarządem odpowiednich instytucyi związane. Samorządne gubernie Cesarstwa dają sobie radę z takiemi trudnościami, gdyż tam ogół ludności, złożywszy w ręce zarządów gubernialnych troskę o obłąkanych, nie potrzebuje występować z własną inicyatywą. Samorządne zaś prowincye niemieckie stokroć więcej na tem polu działają, gdyż tam rozwinął się duch stowarzyszeń prywatnych, które dzielną pomoc niosą rządowym i samorządnym urządzeniom. Nie przesądzając, o ile i czy może u nas powstać odrębna organizacya, któraby ujęła w swe ręce opiekę nad umysłowo-chorymi i upośledzonymi na umyśle, należy usilnie prosić o to, by nasze szpitale specyalne przeszły pod wyłączny zarząd ciała lekarskiego, by lekarz, postawiony na czele zakładu dla obłąkanych, wraz z całym składem lekarzy ordynujących, miał przeważny wpływ na gospodarkę szpitalną. Szpital w Tworkach nie dlatego tylko, że jest nowym gmachem, rozwija się pomyślnie, lecz głównie dlatego, że ma względną autonomię. Mówimy względną,

gdyż i tam zarządzenia administracyi miejscowej ulegają zatwierdzeniu Rady miejskiej nawet w sprawach stosunkowo drobnych, często bardzo narażone są na zwłokę, a czasami nawet na zarządzenia w innym kierunku. Obecny system podziału administracyi spitalnej na 2 części z 2 odpowiedzialnymi naczelnikami -- intendentem i lekarzem naczelnym—wytwarza tylko zamęt i sprawia, że gospodarka szpitalna wogóle często bardzo kuleje.

Ściśle rzecz biorąc, według litery prawa intendent jest urzędnikiem, podwładnym lekarzowi naczelnemu, ze względu jednak, że wiele innych paragrafów obowiązującej ustawy szpitalnej wymaga od intendenta samodzielnego działania, że w wielu sprawach on jeden jest odpowiedzialny przed naczelnikiem Rady miejskiej, ze względu wreszcie na to, że od szeregu lat wytworzył się taki zwyczaj, iż naczelnicy Rady miejskiej wiele poleceń ślą na ręce intendenta bez udziału i wiedzy naczelnego lekarza,—stanowisko intendentów do tego stopnia się wzmocniło, że, zamiast stanowiska drugorzędnego, zajmują miejsca pierwsze i mają decydujący głos w wielu sprawach, ściśle z lecznictwem związanych. Czerpiąc swe przekonanie z życiowego doświadczenia, przemawiamy gorąco za tem, by sprzeczności, zachodzące w niem, były usunięte drogą jasnej redakcyi paragrafów, by wreszcie zwyciężyła zasada, że w zakładach dla obłąkanych głównym i jedynym gospodarzem powinien być l e k a r z-p s y c h i a t r a.

Specyalnych uzupełnień wymaga również ustawa w tych rozdziałach, które omawiają wypisywanie chorego. § 321 brzmi, jak następuje.

Do wypisania z zakładu kwalifikują się: 1) wyleczeni zupełnie z obłąkania, po pewnym przeciągu czasu obserwacyi w oddziale rekonwalescentów, 2) niewyleczeni, lecz nieszkodliwi i mający odpowiednie utrzymanie lub przytułek.

O ile wypełnienie pierwszej połowy powyższej instrukcyi z wyjątkiem rzadkich tylko przypadków jest łatwe do wypełnienia, o tyle przepis co do niewyleczonych nasuwa wiele trudności i w praktyce pociąga często bardzo smutne następstwa.

Życie szpitalne, ujęte w ramki jednostajne, wielu chorym nie pozwala w całej pełni wykazać wszystkich cech charakteru; wielu chorych w szpitalu spokojnych i posłusznych niewiadomo, jak będzie się zachowywało, gdy żyć będą w otoczeniu, które nie zna i nie rozumie chorobliwej psychiki nieszczęśliwego. I zdarza się często, że rodzina usilnie wymaga, by chory, co do którego sami lekarze nie są pewni, który jednak cały szereg miesięcy, a nawet lat pobytu

w szpitalu zachowywał się poprawnie, był oddany jej na dalszą opiekę. Prawo orzeka, że rodzina chorego ma prawo zabrać po złożeniu deklaracyi. Lekarz, który przecie nie może wiedzieć, czy chory będzie miał należyte utrzymanie i przytułek, musi chorego wypisać, chociać boi się o jego przyszłość.

Innej kategoryi chorych, których rodzina zabiera lub których szpital wypisuje, odsyłając do gmin rodzinnych, powinien być zapewniony przytułek. Lecz jaki jest ten przytułek, jakim wymaganiom powinien odpowiadać, kto to zakładać i utrzymywać powinien, nic nie wiadomo. Prawo stawia w tych razach obłąkanych narówni z żebrakami, w życiu jednak zachodzi ta różnica, że nad żebrakiem psy tylko się znęcają, a w postępowaniu z obłąkanym ludzie często idą w zawody z psami.

Nie do pozazdroszczenia jest także los tych chorych, których specyalne szpitale, będące pod zarządem Rady miejskiej, wysyłają do jedynego dziś przytułku w Górze Kalwaryi. Natłoczeni bez stosownej segregacyi prowadzą biedacy marny żywot, sprzeczają się o byle co, gdyż trudno, by zgodzić się z sobą mogły sprzeczne usposobienia epileptyka, spokojnego paranoika lub goniącego resztkami dawnych władz umysłu paralityka. Brak określenia prawodawczego co do sposobu prowadzenia przytułku w Górze Kalwaryi czyni pobyt chorych nieznośnym. Instrukcya tego przytułku mogła jako tako odpowiadać celowi dotąd, dopóki w nim znajdowali schronienie starzy służący i kalecy, dla których był przeznaczony przytułek. Władza intendenta, jako jedynego wykonawcy zleceń Rady miejskiej, zupełnie mogła wystarczać, by pensyonarze mieli wikt i dach cały nad głową; lekarz, od czasu do czasu zaglądając do przytułku, mógł wystarczyć potrzebom schorzałej starości. Starców i kalek zastąpili chorzy umysłowi; do przytułku napłynęli ludzie w pełni nieraz sił i energii, z pozostałościami schorzałej myśli, dla których dawne porządki wystarczyć nie mogą, dla których, oprócz pomocy lekarskiej w dolegliwościach fizycznych, potrzebniejsze jest umiejętne kierownictwo psychiatry. Zapełniwszy przeszło 200 obłąkanymi przytułek w Górze Kalwaryi, Rada miejska musiała pozostawić dawne porządki administracyjne, gdyż w prawodawstwie brak wskazówek co do dyrektywy, jaka panować winna w specyalnych przytułkach dla obłąkanych.

Braki lecznictwa obłąkanych, objaśniane słusznie, a często nawet niesłusznie, wydają się jednak rajem dla rodzin, które w gronie swem miały chorego i które wygrały los na loteryi, umieszczając chorego w szpitalu. Jaki jednak jest los tych nieszczęśliwych, któ-

rzy pozostać muszą w domu, o tem ani władza rządowa, ani społeczeństwo nie wie. Pomijając nieliczne stosunkowo przypadki u nas okrutnego obchodzenia się z chorym, zapominać nie należy, że opieka nad obłąkanymi nie musi być staranna, skoro tak często słyszeć można o samobójstwach, zabójstwach, podpaleniach i t. p. czynach, popełnionych przez obłąkanych, na wolności będących. Zapominać nie wolno, że wielu z tych, którzy, leczeni w pierwszych chwilach swego cierpienia, mogliby wyzdrowieć, nieleczeni przechodzą w stan przewlekłego otępienia. Państwo siłą konieczości zmuszone będzie pomyśleć o racyonalnej opiece nad obłąkanymi z tego jeszcze względu, że nie sposób, by mogło łożyć na zakładanie coraz to nowych zakładów. Poniższa tablica wykazuje, że na 5,573 chorych, będących w 11 zakładach Cesarstwa i w 1 Królestwa, wyzdrowiało, wypisało się lub zmarło 2,367 chorych, pozostało zatem 3,306 chorych. Opuszcza więc zakład mniej więcej 40,6%, pozostaje przecięciowo średnio 59,4%. Roczny przyrost, obliczony w sumie 12 zakładów, wynosi mniej więcej 5,6%. Mniej przeto, niż co 20 lat, państwo musiałoby podwajać liczbę miejsc szpitalnych, co ze względu na wielkie koszta byłoby wątpliwe.

Rok 1885	w d. 1/I 1885 było chorych	wstąp. w ciągu roku chor.	Wyzdrowiało chorych	Opuściło zakład dla innych przyczyn chorych	Umarło	Pozostało na rok 1886, przyrost przeto chorych w % był
w szpitalu Twerskim . . .	223	201	47=11,1%	54=12,7%	44=10,4%	279—223=56=+13,
Nowgorodzkim .	126	89	22=10,2%	13=6,04%	22=10,2%	158—126=32=+14,
Saratowskim . .	124	176	61=20.3%	78=26%	21=7%	140—124=16=+5,3
Tulskim . . .	230	117	24=7%	50=14,4%	36=10,4%	237—230=7=+2,01
Charkowskim .	302	493	143=18%	263=33,08%	80=10,1%	309—302=7=+0,8%
Półtawskim . .	217	332	128=23,3%	103=18,7%	47=8,6%	271—217=54=+9,8
Chersońskim . .	192	189	102=26,7%		36=9,4%	243—192=51=+13,
Symferopolskim.	211	205	160=38,4%		22=5,3%	234—211=23=+5,5
Kazańskim okr.	189	215	80=17,6%	140=34,6%	29=5,3%	155-189=—34=−8,
Preobrażeńskim.	368	197	48=8,5%	57=10,08%	86=15,2%	378—368=10=+1,7
Ces. Aleksandra pod Petersbur.	210	87	20=7,5%	29=9,7%	19=7.1%	229—210=19=+7,1
rok 1899 w Tworkach . .	593	287	178=20,2%		65=7,4%	637—593=44=+5%

Przepełnienie zakładów chorymi o przewlekłych postaciach jest konieczne z tego względu, że choroby umysłowe stosunkowo trudniej dają się leczyć, że chorzy przy obecnych warunkach opieki pozostają w murach szpitala całe dziesiątki lat. Aby się o tem przekonać, dosyć spojrzeć na poniższą tablicę, która wykazuje, że na 1,820 chorych, leczonych w 11-tu zakładach Cesarstwa w ciągu 25 lat:

0,108%	ogólnej liczby	przebywa	w zakładzie	25 lat
0,216	"	"	"	24 "
0,054	"	"	"	23 "
0,108	"	"	"	22 "
0,216	"	"	"	21 "
0,702	"	"	"	20 "
0,432	"	"	"	19 "
0,540	"	"	"	18 "
0,864	"	"	"	17 "
0,594	"	"	"	16 "
0,540	"	"	"	15 "
0,648	"	"	"	14 "
0,972	"	"	"	13 "
1,134	"	"	"	12 "
1,512	"	"	"	11 "
1,836	"	"	"	10 "
2,592	"	"	"	9 "
3,456	"	"	"	8 "
4,206	"	"	"	7 "
6,372	"	"	"	6 "
7,668	"	"	"	5 "
8,424	"	"	"	4 "
10,260	"	"	"	3 "
17,172	"	"	"	2 "
27,918	"	"	"	1 rok

Troska o należyte opróżnianie zakładów stanowiła i dotąd stanowi najważniejsze zagadnienie w sprawie opieki nad obłąkanymi Aby znaleźć dla chorego miejsce, trzeba usunąć kogoś z dawnych chorych. W tych państwach, gdzie opieka dosięgła pewnych wyżyn doskonałości, gdzie do zadań państwowych zaliczono i opiekę nad bardzo wydziedziczonymi, jakimi bez wątpienia są obłąkani, opróżnienie zakładów odbywa się w różny sposób. Najprostszy jest taki, jaki się u nas praktykuje: chorego o przewlekłem cierpieniu albo się zupełnie do zakładu nie przyjmuje dla braku miejsca, albo przyjmuje go się i po pewnym czasie oddaje napowrót rodzinie. W miarę rozwoju psychiatryi i uczuć humanitarnych pierwotny ten

sposób, ujęty w pewien system, ochrzczono mianem „patronage familial": chorych spokojnych, a czasem nawet podniecających się, umieszczają nie w zakładzie, lecz wśród rodzin ludności wiejskiej, która umie się obchodzić z obłąkanymi.

Kolebką systemu „patronage familial" była miejscowość Geel we flamandzkiej części Belgii. Podanie mówi, że w VII w. po Chr. w miejscowości tej św. Dympnę zabił ojciec i że obłąkani, przebywając w blizkości miejsca zbrodni, szybko wracali do zdrowia. Podanie to, szeroko rozpowszechnione, było powodem, że do Geel ciągnęli umysłowo-chorzy. A że cud uzdrowienia nie mógł nastąpić zaraz, a często nawet zawodził, nic więc dziwnego, że z biegiem czasu skupiała się w tej okolicy dosyć pokaźna liczba chorych, o których myślał za wynagrodzeniem lud okoliczny. Tradycya, uświęcona wiekami, poparta namacalnym zyskiem, zdziałała, że mieszkańcy okolicy Geel, rzeczywiście wyćwiczyli się w pielęgnowaniu chorych. W r. 1850 opieka ta została ujęta przez władze belgijskie, które w r. 1862 zbudowały tam zakład leczniczy na 80 chorych i wydały cały szereg praw, z jednej strony regulujących interesy chorych, z drugiej—mających na względzie dobrobyt tych, którzy poświęcają się pielęgnowaniu chorych. Geel i jego okolica są poddane jurysdykcyi ministra sprawiedliwości, który ustanawia inspektora generalnego i na miejscu komisyę, złożoną z gubernatora, prokuratora, komisarza, sędziego pokoju, burmistrza, głównego lekarza, dwu członków gminy i kilku członków z grona urzędników ministeryalnych. Komisya ta odbywa 4 razy do roku posiedzenia, na których omawia i postanawia wszystkie sprawy, związane z opieką chorych. Wybrana z grona komisyi miejscowa podkomisya z burmistrzem i głównym lekarzem szpitala na czele orzeka, komu z mieszkańców miejscowych można powierzyć chorego, ilu chorych może pielęgnować t. zw. *nourricier*, i wreszcie prowadzi rachunki i bezpośrednią kontrolę nad rodzajem opieki, dostarczanej choremu. Każdy chory, czy to przysłany z zakładu zamkniętego, czy też dobrowolnie przez rodzinę przywieziony, przyjmowany jest przedewszystkiem do zakładu, w którym dłużej ponad dni 5 przebywać nie może. Po tym czasie dyrektor szpitala wyznacza dla chorego opiekuna (*nourricier*), który wraz z powierzonym sobie chorym otrzymuje książkę, do której wciągnięte są wszystkie warunki umowy zawartej, jak również spis rzeczy, które posiada chory. W książce tej wreszcie odwiedzający chorego lekarz rewiru, dyrektor szpitala lub wreszcie komisya czynią potrzebne adnotacye. Jeden opiekun nie ma prawa utrzymywać więcej, niż 4 chorych (koniecznie jednej płci), obowią-

zany jest dać choremu widny i dobrze przewietrzany pokój, dbać, by chory miał zawsze czystą bieliznę i pościel. Pożywienie chorego powinno być takie same, jakiego używa rodzina opiekuna i wynosić powinno na wagę co najmniej 10 funtów chleba i $2^1/_2$ f. mięsa, nie licząc jarzyn i owoców. Chory, który zdradza podniecenie, powinien być odstawiony do zakładu, w którym pozostaje aż do uspokojenia, poczem znów wraca do swego opiekuna. Do zakładu powracają również ciężko fizycznie chorzy i ci, którzy okazują popęd samobójczy. W samem miasteczku Geel i okolicznych włościach na przestrzeni 18 wiorst wzdłuż i 13 wszerz (o 12,634 przeszło mieszkańcach) przebywa więcej, niż 1,600 chorych. Dozór lekarski nad tą liczną rzeszą chorych spoczywa w ręku 3 lekarzy, pomocników dyrektora, których obowiązkiem jest raz na miesiąc koniecznie, a w razie potrzeby raz na tydzień, odwiedzić każdego chorego, mieszkającego w jego rewirze. Każdy lekarz oprócz tego ma pod sobą dwu dozorców, którzy codziennie muszą obchodzić wszystkich chorych. Chorzy, przysyłani z innych zakładów, po największej części utrzymywani są na koszt rządu, który płaci opiekunom od 82 cent. do 1 fr. 10 cent. dziennie za chorego. Chorzy prywatni płacą więcej, najwyższe jednak wynagrodzenie wynosi 5,000 fr. rocznie. Z pobieranej zapłaty opiekun uiszcza 11% na rzecz opieki lekarskiej, lekarstw (10%) i administracyi. Według przyjętej w Geel normy wypada, że rząd płaci za zanieczyszczającego się chorego tylko 315 fr. rocznie.

Dla uzupełnienia tego pobieżnego szkicu „domowej opieki" w Geel dodać winniśmy, że w miejscowości tej przebywało w r. 1897 przeszło 1983 obłąkanych (1060 mężczyzn i 923 kobiety), z pośród których tylko 176 było pensyonarzy, t. j. obłąkanych, będących na woim koszcie.

Z pośród tej liczby przeważna część składa się

z głuptasów i wrodzonych niedołęgów	35%
z paranoików (pierwotne obłąkanie)	20%
z wtórnie otępionych (Dementia secunda)	10%
z epileptyków i histeryków	10%
z melancholików i hypochondryków	$7^1/_2$%
ze starczych i innych organicznych obłąkańców . .	$7^1/_2$%
i wreszcie z przewlekłych szaleńców (stany szaleństwa) .	5%

pozostałe zaś 5% stanowili paralitycy, alkoholicy i t. p.

Mimo słusznej nieraz krytyki urządzeń w Geel typ ten domowej opieki miał i ma licznych naśladowców. W samej bowiem

Belgii w blizkości Lièges w *Lierneux* powstała druga kolonia „patronage familial" i w r. 1897 znajdowało się tam na opiece okolicznych mieszkańców 419 chorych.

Największe zastosowanie *patronage familial* ma w Szkocyi, gdzie w r. 1896 z pośród 13,852 znanych urzędowi komisyonerskiemu obłąkanych 2,790 osób znalazło opiekę domową. Szkocka opieka domowa różni się od belgijskiej przedewszystkiem tem, że jest rozproszona po całej Szkocyi, a nie skupia się w jednej okolicy, następnie różni się brakiem szpitala, któryby przyjmował chorych z opieki domowej, różni się wreszcie tem, że z domowej opieki korzystają tylko ci, których uznano za bezwarunkowo nieuleczalnych. Urząd komisyonerski kwalifikuje i za pośrednictwem swych inspektorów, rewidentów i lekarzy czuwa nad bytem chorych, oddanych do t. zw. „special licensed houses". W takim domu nie może być więcej ponad 4 chorych; każdy chory powinien mieć własną pościel, którą wydają opiekunowi wraz z chorym. Opiekun otrzymuje z urzędu 2 książeczki; w jednej zapisane są warunki opieki i znajdują się kwity, służące dla rozrachunku, w drugiej lekarz i inspektor zapisują uwagi o stanie zdrowia chorego. Wybór opiekunów odbywa się dosyć ściśle; otrzymana przez nich koncesya służy tylko do czasu rewizyi generalnej, poczem należy się starać o nowe pozwolenie. Utrzymanie chorych, jak wszyscy zaznaczają jednogłośnie, jest dobre, pomieszczenie wygodne i schludne.

Wynagrodzenie, pobierane za chorego, wynosi od 4,5 pensa do 10 pensów, co równa się 70 fenigom do 2 marek dziennie. Z domowej opieki w Szkocyi korzystają więcej kobiety, niż chorzy mężczyźni. Pierwsze do drugich stanowią stosunek, jak 3 : 2. Z pośród 2,790 chorych, korzystających z domowej opieki, było:

65% — głuptasów,
12% — wtórnie otępionych,
20% — w stanie szaleństwa,
3% — w stanie zadumy.

Szeroko rozgałęziona „domowa opieka" w Szkocyi prawie nie istnieje w Anglii, gdyż ludność wiejska tego kraju niechętnie podejmuje się opieki nad obłąkanymi, a jeżeli się podejmuje, to stawia zbyt wygórowane żądania. Niechęć ludności wiejskiej tłómaczyć należy względnym dobrobytem i odrębnością charakteru gospodarza angielskiego. Wprawdzie dr. Biffi wspomina, że już Willy w Cratford urządził coś w rodzaju *patronage familial*, że w ten sposób był

pielęgnowany król Jerzy IV, system jednak opieki domowej nie rozwinął się, gdyż, jak wspomina dr. Alt [1]), w r. 1896 najwyżej 246 chorych z Londynu oddano opiekunom prywatnym. Zamiast *patronage familial* wymyślono w Anglii inny system opieki nad chorymi, których należało usuwać z przepełniających się szpitali. Mianowicie dr. Bucknill w r. 1854 począł umieszczać spokojnych chorych wśród rodzin służby zakładowej, dr. Toller radził sobie w ten sposób, że w blizkości zakładu budował małe domki, w których osadzał rodziny zasłużonych oficyalistów zakładu i ich opiece powierzał 6 — 7 do 15 chorych. System ten nie rozpowszechnił się, ponieważ wkrótce zabrakło odpowiednich ludzi. W każdym razie opieka nad chorymi wśród rodziny dawnej służby zakładowej rozwija się w Anglii do dziś dnia.

Francuzi dosyć ostro krytykowali *patronage familial*, dzięki czemu system domowej opieki nie rozpowszechnił się we Francyi. Dopiero od roku 1892 myśl domowej opieki dzięki inicyatywie d-ra Marie nanowo ożyła, i wkrótce w departamencie Chev powstała kolonia obłąkanych w Dun sur Auron. W obecnej chwili gminy St. Germain, Charlivoy, Bussy, Niverolles i inne chętnie godzą się przyjmować obłąkanych, których liczba dosięga już 674. Utrzymanie chorego w domu kosztuje mniej więcej 1 fr. 40 ctm. We Francyi natomiast wywalczył sobie prawa bytu inny system opieki, polegający na tem, że chorych, którym stan zdrowia nie przeszkadza pracować, zakłady specyalne przenoszą do *ad hoc* urządzonych kolonii roboczych. W koloniach tych, prowadzonych pod kierunkiem psychiatrów, chorzy pracują na roli i w warsztatach. System kolonii roboczych rozwija się we Francyi stosunkowo dobrze, skoro, jak głosi sprawozdanie urzędowe za r. 1885, wytwórczość kolonii dla obłąkanych oceniono na 344,562 franki.

W Niemczech myśl o niezbędności opróżniania zakładów trapiła wszystkich wybitniejszych specyalistów. Już Griesinger [2]) (w r. 1868) mówi, że dla jednej kategoryi chorych pobyt w kolonii roboczej będzie zbyt uciążliwy, pobyt zaś wśród rodziny obcej wyda się zupełnie odpowiednim, dla drugiej zaś kategoryi może być wręcz przeciwnie, i dlatego radzi, by: 1) jednych chorych oddawano pod opiekę rodzinom porządnych okolicznych gospodarzów; nad chorymi tymi powinni mieć dozór lekarze zakładu, odwiedzając chorego

---

[1]) Dr. Konrad Alt. „Ueber familiäre Irrenpflege“. Halle, 1899.

[2]) Archiv f. Psych. B. I, 1868.

co najmniej co drugi dzień; dla przyzwyczajenia chorych do nowych warunków bytu radzi dr. Griesinger aklimatyzowania chorego dokonywać stopniowo; 2) by innych chorych oddawano pod opiekę rodzinom służby zakładowej. Sposób ten, zapożyczony od Anglików, wydał się Griesingerowi nader odpowiedni i godny zalecenia szczególniej w tych razach, gdy w pobliżu zakładu niema chętnych do opiekowania się chorymi gospodarzów wiejskich. Reformator psychiatryi radził Niemcom budować w pobliżu zakładu małe domki, osadzać w nich starych służących zakładu i za określoną z góry opłatą oddawać im chorych dla dalszej opieki.

Ten rodzaj opieki nad obłąkanymi był omawiany szeroko na zjeździe psychiatrów w r. 1868, na którym prof. Wille zestawił przybliżone koszty utrzymania, a szczególniej zakładania domów opieki. Według Willego (wówczas) budowa zakładów lub przytułków kosztuje 3,700—8,000 franków na łóżko, gdy tymczasem jedno łóżko przy systemie oddawania chorego pod opiekę rodziny służby zakładowej, przy budowaniu domów według planów dra Mundy kosztować może 1,100 — 1,500 franków, a według planów dra Bucknilla— łóżko kosztuje 900 franków, a nawet 855 franków, jak wykazał Toller.

Mimo zachęty opieka domowa w Niemczech przez długi okres czasu nie znajdowała chętnego naśladownictwa. Być może, że przykład „patronage familial" w miejscowości Ellen pod Bremą odstraszał tych, którzy uznawali nawet korzyści systemu opieki domowej. W Ellen już w r. 1764 były chęci opiekowania się chorymi, opieka ta jednak chromała, gdyż, jak mówi dr. Engelken, w r. 1876 „chorzy w Ellen utrzymywani są źle, pomieszczeni niemożliwie, nie mają opieki lekarskiej i nad czynnościami opiekunów prawie nikt nie roztacza kontroli". Od tego czasu jednak Tow. bremeńskie opieki nad biednymi dokonało pewnych reform i obecnie „patronage familial" w Ellen zyskuje sobie coraz większe uznanie, roztacza opiekę nad setką z górą chorych. Koszt utrzymania chorego w Ellen wynosi przecięciowo 15 m. miesięcznie, *minimum* 8 m., *maximum* 30 marek.

Daleko ważniejszą rolę w popularyzowaniu opieki domowej odegrał dr. Warrendorf, który już w r. 1868 bez rozgłosu zaczął myśleć o urządzeniu „patronage familial" w miejscowości Ilten pod Hannowerem. Porozumiawszy się z dr. Sebohm'em, Warrendorf zorganizował opiekę domową w Ilten i w sąsiednich wioskach Bilm, Höver i Ahlten. Nader pochlebne słowa poświęcił Iltenowi dr. Paetz, który wyraźnie zaznaczył, że porządek, ład, dobry wygląd chorych

przeszły jego oczekiwania. Koszt utrzymania chorego w rodzinie opiekunów wynosi średnio 270 marek rocznie.

Za przykładem Hannoweru poszły od r. 1885 i inne prowincye, i w obecnej chwili w Niemczech szczęśliwie rozwijają się następujące większe ogniska domowej opieki: Dalldorf i Herzberg pod Berlinem, Looswitz pod Bunzlau na Śląsku, Geisgarten pod Eichberg w prowincyi Reńskiej, Kortau w Prusach Wschodnich, Blankenhain w w. hr. Saskiem, Hildurghausen w Sachsen - Meiningen, Lubeka, Zwiefalten w Wirtembergii. Nadto istnieje kilka mniejszych ognisk.

Powolny wzrost ognisk opieki domowej, która na zjeździe psychiatrów niemieckich w r. 1884 doczekała się ostrej krytyki ze strony dra Sanderer'a (który wyrzekł: „Die familiale Irrenverpflegung ist in unsern modernen socialen Verhältnissen undurchführbar"), musiał sprzyjać rozwojowi innego rodzaju opieki nad obłąkanymi: tak zw. opiece w koloniach roboczych. We Francyi, mianowicie w Clermont, powstał zakład, który przyjmował wyłącznie chorych, zdolnych do pracy fizycznej. Ujęta w pewien system praca w polu, w oborach, stajniach i stodołach okazała się w praktyce wielce odpowiednia dla wielu chorych. Chorzy pod umiejętnym kierunkiem lekarzy i odpowiednio dobranej służby bardzo prędko dali się wciągnąć w prawidłowy tryb życia pracowitej gospodarki rolnej i, znajdując zadowolenie i znośną egzystencyę, znakomicie oszczczędzali koszt własnego utrzymania. Zadawalniające rezultaty tak pod względem leczniczym, jak i ekonomicznym, które wydała pierwsza próba kolonizacyi umysłowo-chorych, były powodem, że ten typ opieki nad umysłowo-chorymi znalazł szerokie zastosowanie w wielu państwach.

W Niemczech np. istnieje słynna kolonia między Halle a Lipskiem, Alt-Scherbitz. W Bendorf, Hildesheim, Einum i t. d. cieszą się kolonie dobrą reputacyą.

W państwie rosyjskiem, mianowicie w guberniach samorządnych robi się wszystko, by zapewnić chorym racyonalną opiekę. Pierwszy, zdaje się, dr. Bażenow, w ziemstwie rjazańskiem popierał myśl utworzenia „patronage familial". T. zw. przezeń „kolonizacya u wrót szpitala" świadczy, że pragnął on w Golenczynie stworzyć opiekę domową. Nie z winy twórcy tego systemu w Rosyi kolonizacya owa nie ziściła pokładanych nadziei. Druga próba urządzenia „patronage familial" w Siemionówce pod Moskwą wegetuje do dziś dnia. Za to w guberniach samorządnych, jak to wzmiankowaliśmy na wstępie niniejszej pracy, rozpowszechnił się drugi rodzaj

opieki nad obłąkanymi. Typ zakładów leczniczych, połączonych z koloniami roboczemi, obecnie stał się niemal powszechnym i wydaje dobre rezultaty. Według sprawozdań ziemstwa Twerskiego kolonia zakładowa dała dochodu:

w r. 1882 —	7,455 rub.,	wydatki zaś wynosiły	7,718 rub.	
w r. 1883 —	9,501 „	„	8,414 „	
w r. 1884 —	5,036 „	„	4,808 „	
w r. 1885 —	7,884 „	„	6,620 „	

czyli czysty dochód za pierwsze 4 lata istnienia kolonii wynosił 2,306 rub.

W warsztatach chersońskiego zakładu leczniczego wartość wyprodukowanego obuwia, ubrania, roboty stolarskiej, ślusarskiej, bednarskiej, tkackiej i t. d. oceniono w r. 1884 na 1,619 rb., w r. zaś 1885 wzrosła już do 2,908 rb.

Słówko jeszcze o zaprowadzeniu „patronage familial" w Jekaterynosławiu. Już w r. 1888 dr. Gowsiejew przedstawił zebraniu ziemskiemu projekt urządzenia opieki domowej dla części chorych, przepełniających szpital. Projekt ten jednak nie znalazł uznania i zapewne nie byłby urzeczywistniony, gdyby nie szczęśliwy przypadek. Miszkańcy okolicznej wioski Łocmańskiej Kamionki brali zazwyczaj pod opiekę za małą opłatą starców z przytułku miejscowego. Z powodu braku stosownego kandydata w przytułku zaproponowano pewnemu wieśniakowi, by wziął do siebie zupełnie spokojnego obłąkanego. Po pewnym czasie chory i jego opiekun zżyli się z sobą do tego stopnia, że pierwszy namówił kilku towarzyszów ze szpitala, by poszli za jego przykładem, a ponieważ znaleźli się chętni opiekunowie z pośród sąsiadów owego pierwszego gospodarza, sprawa więc poszła gładko. Od owego czasu w Łocmańskiej Kamionce (7 w. od miasta) i w Krasnopolu (14 w. od miasta) zaczęła powstawać kolonia obłąkanych, która w d. 1 stycznia r. 1896 składała się z 127 chorych (75 m., 52 k.). Nad chorymi ustanowiono dozór lekarski i całą opiekę ujęto w pewien ściśle określony porządek. W sprawozdaniu dra Kaszczenki zapisano, że koszt całkowitego utrzymania chorego w „patronage familial" wynosi 24,34 kop., podczas gdy to samo w szpitalu kosztuje 64 k.

Z powyższego krótkiego zestawienia widać, że w samorządnych guberniach Cesarstwa być może powoli, ale stopniowo staje się czynem rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych z r. 1873, „by gubernie o opiece pomyślały bezwarunkowo nad chorymi umysłowymi". Królestwa Polskiego to rozporządzenie nie dotyczy; inicyatywa prywatna niewiele dotąd zdziałała, nic więc dziwnego, że

w sprawie opieki nad obłąkanymi zajmujemy jedno z ostatnich miejsc w Europie. Prócz powoli wzrastającego powiększania się miejsc szpitalnych od r. 1842 to tylko zyskaliśmy, że w drodze prawodawczej postanowiono, by w Tworkach utworzono fermę roboczą. Stosowny § 3 ustawy, obowiązującej Tworki, brzmi:

„W warszawskiem szpitalu dla umysłowo-chorych mężczyzn i kobiet ustanawia się tylko 420 miejsc; z tych 104 wyznacza się dla nieuleczalnych chorych, zdolnych do pracy w fermie i mogących korzystać z większej, stosunkowo z innymi chorymi, swobody".

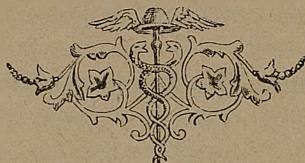
Oprócz tej zasadniczej (w porównaniu z ustawą, obowiązującą inne szpitale) zmiany ustawa dla Tworek opiewa w § 11:

„Bezpośredni zarząd zakładu spoczywa w rękach głównego lekarza, któremu przysługuje miano — dyrektora". § zaś 16 mówi: „Częścią gospodarczą zakładu zarządza Zarząd, składający się z dyrektora i 3 ordynatorów, intendenta i ekonoma i t. d."

Wszystkie sprawy Rady lekarskiej i Zarządu w myśl brzmienia § 17 rozstrzygane są prostą większością głosów.

(*dok. nast.*)

Dr. Karol Rychliński.



Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ *).

CZĘŚĆ V.

Zakończenie: Skutki i przyszłość miru.

I.

Zbliżając się do końca swej pracy, czujemy potrzebę przypomnienia w skróceniu treści poprzedzających czterech jej oddziałów.

W części pierwszej streściliśmy prawo, obowiązujące w sferze stosunków włościańskich gminy wielkorosyjskiej: przepisy, dotyczące organizacyi wewnętrznej gminy, sposobów użytkowania ziemi, i przepisy dodatkowe o działach rodzinnych i peryodycznych podziałach ziemią; — przepisy, dotyczące rozkładu i egzekucyi podatków, jak one istniały do roku 1900; przepisy, dotyczące: praw majątkowych i osobistych członków gminy — i zwolnienia z gminy. W końcu staraliśmy się przedstawić historyę organizacyi prowin-

*) Ob. „Ateneum", luty, 1901.

cyonalnych władz włościańskich i przepisy nowego prawa o egzekucyi podatków i sum wykupowych z d. 23 czerwca 1899 roku.

W części drugiej podaliśmy najważniejsze etapy tej ewolucyi, jaką przebyła literatura naukowa w Rosyi w badaniach nad wspólną własnością ziemi. Wskazaliśmy, jak Haxthausen, uważając mir za rozszerzoną rodzinę widział w niej znamienną cechę szczepu słowiańskiego, środek niezawodny przeciw sproletaryzowaniu ludności, brał podział na dusze za najstarszą zasadę podziałów i sądził, że przy podziałach peryodycznych możliwy jest postęp kultury rolnej. Mówiliśmy następnie, że u słowianofilów „mir" związano z teoryami filozoficzno-etyczno-historycznemi, uznano go za „zarodek" państwowości, środek zabezpieczenia rolnika od wypadków losu; że Samarin wierzył, iż chłop zrzeka się ziemi tylko wtedy, gdy ona mu jest niepotrzebna, iż szkodliwość podziałów można zmniejszyć ich opóźnianiem, iż zniesienie miru napotka na straszne przeszkody, i że w epoce reform w sferach rządowych wzięła górę opinia Rostowcewa, iż łatwiej jest rozwiązać, niż spoić.

Następnie streściliśmy poglądy ks. Wasilczykowa, wierzącego, że włościanin rosyjski ma wstręt do komunizmu, że poddaństwo jest naleciałością cywilizacyi zachodniej, że od najdawniejszych czasów na Rusi posiadanie ziemi było obowiązkiem — a tiagło prastarą jednostką podziału. Próbował on dowieść, że mir nie zna historyi, że jest siłą, broniącą Rosyę od proletaryatu, że po uregulowaniu podziałów i prawa dzierżawy mir da się z postępem kultury rolnej pogodzić. Dla ks. W. absenteizm, brak oświaty, wysokość podatków i niedostateczna ilość praw tłómaczyły „dziki sposób gospodarowania", wyjałowienie ziemi i ubóstwo włościan; ziemi — zdaniem ks. W. — ma ten włościanin za dużo.

Ukazanie się szkoły ekonomicznej Marksa oddziałało zasadniczo na rozwój teoryi miru. Wykazaliśmy, że w związku z teoryami tej szkoły Iwaniukow odszukiwał w pojęciach włościanina o własności ziemi pojęć o pracy, jako źródle własności; że sądził on, iż wspólna własność ziemi jest zjawiskiem pierwotnem i ogólnem na całej kuli ziemskiej, którą poddaństwo i system opodatkowania utrzymały w Rosyi przy życiu; że twierdził, iż podziały gminne nie stanowią istoty miru, iż wspólne uprawy i zasady kooperacyi mogą mir odnowić i do wyższej kultury rolnej usposobić, iż odpowiedzialność solidarna jest tylko logiczną konsekwencyą wspólnego władania ziemią, a ta znów zarodkiem przyszłej prawidłowej organizacyi produkcyi rolnej.

W końcu wskazaliśmy, że ścisłe zastosowanie zasad tejże szko-

ły ekonomicznej doprowadziło Struvego do przekonania, iż mir jest tamą dla rozwoju kapitalistycznego Rosyi, rozwoju, który Rosya przebyć musi, bo tego wymaga szemat ogólnie ludzkiego ekonomicznego rozwoju, — i że to przekonanie przerodziło się w życzenie, aby „mumia" miru jaknajprędzej usuniętą została.

W części trzeciej staraliśmy się zestawić rezultaty najnowszych badań naukowych co do ewolucyi własności ziemi wogóle i w Rosyi. Staraliśmy się dowieść, że prawo własności ziemi wszędzie ulegało zmianom i że, jakkolwiek niema widoków wytworzenia jednego szematu tych zmian dla wszystkich krajów i narodów, jednak własność ekonomiczna roli (nie panowanie) nigdzie pierwotnie wspólną nie była, a tam, gdzie znajdujemy własność wspólną, była ona wszędzie „rodową" i upadała wraz z upadkiem rodu. Wskazaliśmy, że z pomiędzy przyczyn, wywołujących ewolucyę własności ziemi, najsilniejszą jest zmiana stosunku ludności do ziemi, wzrost zaludnienia, konieczność coraz to produkcyjniejszej eksploatacyi gruntu, intensyfikacya jego kultury. Przypomnieliśmy, że rody upadły w Europie pod naciskiem stosunków wojennych i chrześcijaństwa, że intensyfikacya kultury rolnej, wzmacniając poczucie zależności człowieka od ziemi, wzmaga dążność do indywidualizowania jej własności, że również rozwój pojęć etycznych nie może być bez wpływu na rozwój prawa własności ziemi. W końcu wykazaliśmy, że położenie geograficzne, natura gruntu i brak komunikacyi, a także względy fiskalne, interes pana feodalnego i skarbu, opóźniają rozkład własności rodowej, a nawet mogą wywoływać przejście jej we wspólną własność gminną.

Przechodząc do historyi Rosyi, wskazaliśmy na rzadkość jej zaludnienia, jako rys zasadniczy tej historyi, skreśliliśmy historyę rozszerzania się plemienia wielkorosyjskiego i warunki, śród których rozwijała się uprawa rolna. Przytoczyliśmy dane, dowodzące, że osadnictwo pierwotne tej ludności odbywało się nie „mirem„, ale na prawach „zaimki", że uprawa roli nie była głównem zajęciem kolonistów, że pierwotne posiadanie roli było dziedziczne. Wykazaliśmy dalej, że potrzeby wojskowe państwa zwiększały nacisk podatkowy i stworzyły feodalizm ekonomiczny, że jednocześnie z poddaństwem w dobrach prywatnych musiało zniknąć dziedziczne posiadanie włościańskie i zjawiło się tiagło, a wraz z zaprowadzeniem podusznego i obroku w dobrach skarbowych pod naciskiem władz administracyjnych zjawiły się podziały peryodyczne na dusze rewizyjne, a znikła dziedziczność ziemi włościańskiej. Staraliśmy się w końcu dowieść, że ze stanowiska ekonomicznego „pomiestje" było syste-

mem feodalnym, i że dlatego powstanie poddaństwa w Rosyi miało to samo źródło, co i poddaństwo na Zachodzie Europy, a różny od zachodnio-europejskiego system organizacyi włościańskiej własności rolnej powstał wskutek różnic w zaludnieniu, w rozwoju historycznym, kulturze rolnej i systemie podatkowym.

Nakoniec w części czwartej staraliśmy się wykazać, czem jest dziś mir w rzeczywistości Badając materyały, na których oparte są najnowsze prace w tym przedmiocie, wskazaliśmy na ich niedostateczność i stronność; skreśliliśmy charakterystykę pięciu głównych form podziałów ziemią, zaznaczając ich zmienność, płynność i nieokreśloność w połączeniach paru zasad; stwierdziliśmy potem, że ta forma, która najczęściej ma zastosowanie, to jest podział na dusze rewizyjne, jest anomalią, prowadzącą z konieczności w biegu czasu do *quasi*-dziedzicznej własności, że podziały wogóle tem częściej są dokonywane, im gorszy dla włościanina jest stosunek podatków (i sum wykupowych) do dochodu z ziemi; w końcu podaliśmy dane, dotyczące terminów podziałów, podziałów częściowych, losowania gruntów, użytkowania osad, łąk pastwisk i lasów.

Następnie streściliśmy najnowsze teorye, odszukujące w ewolucyi form podziałów w „mirze" rozwoju czy to idei altruistycznych, idei gminnej — idei wyrównania (wyjątkowego), czy też prawa do rezultatu pracy lub też prawa do pracy, i staraliśmy się zbadać, o ile nagromadzone dane statystyczne taką teoryę usprawiedliwiają. Wskazaliśmy, w jakich warnnkach finansowo-ekonomicznych dokonywał się wykup ziemi, a raczej wykup powinności włościańskich,— jak niedostatecznie prawo określiło osobiste prawa członków gminy do udziału w ziemi i jak anormalne były stosunki, śród których gmina, biorąc za punkt wyjścia podział na dusze rewizyjne, miała wyrobić prawo obyczajowe władania ziemią.

Przedstawiliśmy, że przeciążenie podatkowe, rozszerzanie kultury rolnej przez budowę dróg żelaznych, a w końcu przesilenie rolne wywołały w Rosyi rewolucyę ekonomiczną, której objaw początkowy — porzucanie ziemi — z biegiem czasu zmienił się w objaw odwrotny — powrót zbiegłych do gminy; — że walka o zwolnienie się z podatków zmieniła się w walkę o zdobycie ziemi, że powstał stąd chaos, z którego trudno jest wyciągnąć jakikolwiek wniosek o dążnościach „idei gminnej" i jej dotychczasowym rozwoju.

Mówiliśmy dalej o siłach, które „mir" rozsadzają. Więc najpierw o stałem zwiększaniu się ludności i koniecznem stąd zmniejszaniu się uposażenia rolnika gruntem; o konieczności intensyfikacyi kultury rolnej, przyczem dowiedliśmy, że dla rozwoju tej kultu-

ry mir jest stanowczo czynnikiem hamującym, i wskazaliśmy na różnicę między organizacyą miru a organizacyą dzierżaw angielskich. Z kolei staraliśmy się wykazać, że samo pojęcie „ziemi wykupionej" rozsadza też mir i nie daje się pogodzić z rozwojem idei gminnej, że z ewolucyi dzierżaw włościańskich i przejawów samorządu gminnego wnioskować należy o zaniku w mirze altruizmu, idei gminnej i poczucia solidarności; w końcu zastanawialiśmy się nad powstaniem i rozwojem odpowiedzialności solidarnej za podatki w gminie. W badaniu tem, idąc za Brzeskim, zgodziliśmy się na to, że odpowiedzialność solidarna gminy powstała w gminach skarbowych przed wspólną własnością ziemi, że poprzedził ją okres odpowiedzialności gminy za zbiegłych członków gminy i okres wielkiej surowości skarbu względem władz prowincyonalnych za niedobory podatkowe z włościan, wskutek czego odpowiedzialność solidarna była wprzód faktem, niż prawem.

Badając historyę niedoborów podatkowych, widzieliśmy, że z biegiem czasu zaprzestano szukać ich przyczyny w nadużyciach i słabości władz prowincyonalnych, że odpowiedzialność za niedobory zwalono na samą gminę i sformułowano ściśle odpowiedzialność solidarną gminy i włości, potem samej gminy—nie tylko za zbiegłych i umarłych, ale i za chorych, zbiedniałych i leniwych. W końcu staraliśmy się wykazać, że zwolna władze centralne doszły do przekonania, iż odpowiedzialność solidarna gminy nie jest środkiem, zapobiegającym niedoborom, wskutek czego należy się spodziewać prędkiego jej zniesienia, i zakończyliśmy część tę hipotezą, że sympatye sfer inteligencyi rosyjskiej do władania gminnego ziemią, o ile nie są wywołane dążeniem do pewnych ideałów ekonomicznych, mogą być bezwiednym przeżytkiem tej epoki, kiedy w oczach rządu głównym winowajcą niedoborów był urzędnik prowincyonalny.

II.

Już w r. 1886 obliczano, że około $^1/_2$ miliona włościan oddaje swe nadziały w dzierżawę innym włościanom, że w r. 1882 ilość osad, nieposiadających inwentarza roboczego, wynosiła do 1,100,000. Przyznawano więc, że już zaraz po r. 1880 około 7,000,000 włościan, t. j. 16,5% stanowiło w rzeczywistości proletaryat.

Późniejsze dane stwierdzają wzrost sproletaryzowania ludności wiejskiej. Według obliczeń Błagowieszczeńskiego, wydanych w ro-

ku 1893 i dotyczących 22 gubernii różnych okręgów państwa, na ilość ogólną osad włościańskich 2,983,733 — było 204,115 osad bezrolnych, 266,347 osad, wydzierżawionych przez właściciela i 691,238 osad, nie mających inwentarza żywego do uprawy roli: razem 1,161,700 osad, których właściciele nie byli już rolnikami w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Prace Hurwicza nad niektórymi okręgami gub. Riazańskiej i Woroneskiej dowodzą też niezbicie, że w okolicach, które on obserwował, mimo wspólnej własności ziemi, włościanie różniczkują się i, podczas gdy część ich dochodzi do względnej zamożności, inni biednieją i, mimo prawa do ziemi, stają się proletaryuszami wiejskimi. Ludność wsi rozpada się powoli na 3 klasy: pierwszą — włościan, którzy się z roli utrzymują i dzięki dokupionej lub wydzierżawionej ziemi, czy też nawet dzięki wielkości nadziału znajdują w roli i dość środków do wyżywienia rodziny, i dość pola do pracy; drugą, która już z roli wyżywić się nie może, ale na niej pracuje, i braki budżetowe wypełnia zarobkami czy to rolnymi, czy fabrycznymi, czasowymi (t. zw. przemysłem wędrownym — *otchożije promysły*); i trzecia, która całkiem się rolnictwem nie zajmuje, ale, porzuciwszy lub wydzierżawiwszy nadział, pełni funkcyę robotnika rolnego czy fabrycznego, w fabryce, folwarku lub u sąsiada włościanina.

Statystyki ziemskie 5 gubernii: Czernichowskiej, Saratowskiej, Woroneskiej, Połtawskiej i Kurskiej dają następujące cyfry w kwestyi, badanej przez nas [2]). Na 915,140 osad włościańskich w wymienionych guberniach 230,086 (t. j. 25,1%) nie ma inwentarza roboczego, 231,569 czyli 25,3%) ma 1 konia, a tylko 453,485 ma dwie lub więcej sztuk. Około 38% włościan nie jest rolnikami. W gub. Połtawskiej procent włościan, utrzymujących się z roli, wynosi ledwie 17,5, w Czernichowskiej 65,8, Woroneskiej 74,1, Saratowskiej 66,3, Kurskiej 62,2.

Statystyka lat ostatnich nie jest dość obrobiona, aby można wykazać, jak na ten rozkład ludności wpłynęły głody 1891/2 i 1898/9, nie mogły one jednak nie zmniejszyć ilości inwentarza i nie obniżyć ogólnej zamożności wsi rosyjskiej.

Z przekonaniem tem w pracach naukowych o gminie rosyjskiej spotykamy się na każdym kroku. „Przymieranie głodem"

---

[1]) Hourwitsch. The Economics of the Russian village. New-York, 1892.
[2]) Simkhowicz. 1 c., str. 326.

(*niedojedanije*) we wsi rosyjskiej jest, jak ktoś twierdził, najmodniejszym tematem rozpraw, a odkąd zbiednienie wsi rosyjskiej znalazło swój wyraz w przytoczonym przez nas na początku naszej pracy Najpodańszym raporcie do budżetu na r. 1899, [1]) wolno nam, mówiąc o „przymieraniu głodem„, uważać go za fakt — ostatecznie stwierdzony i wyciągnąć z niego ten najpierwszy i najważniejszy wniosek, że wszystkie twierdzenia co do skuteczności miru, jako środka przeciw rozwojowi proletaryatu, są fikcyą, złudzeniem. Proletaryat wiejski w Rosyi istnieje w okręgach, posiadających ziemię we wspólnej własności mirskiej, tak dobrze, jak w okręgach, posiadających ziemię w posiadaniu dziedzicznem lub własności dziedzicznej.

Inna kwestya, czy mir jest jedyną i wyłączną przyczyną zbiednienia wsi rosyjskiej, czy i o ile brak oświaty, brak ziemi, wysokość podatków i przesilenie rolne ostatniej ćwierci minionego stulecia są bez miru lub obok miru przyczynami tego zbiednienia. Zmniejszanie się udziału włościanina w ziemi, brak oświaty, wysokie (stosunkowo) podatki, przesilenie rolne i mir istnieją obok siebie, i jednocześnie wzmaga się zbiednienie ludności, jako fakt niezbity. Nie jest w mocy ekonomisty wyłączyć którąkolwiek z tych przyczyn, aby sprawdzić jej rolę w tym zbiegu faktów — i dlatego musi on stwierdzić tylko, że, podczas gdy w Europie przeciw skutkom zwiększania się ludności i zmniejszania się przestrzeni gospodarstw włościańskich rolnik walczy podniesieniem kultury — zastosowanie tego środka w Rosyi znajduje przeszkody — między innemi — we wspólnem władaniu ziemią — i że wszędzie intensyfikacya uprawy i usuwanie własności wspólnej na całej kuli ziemskiej postępowało równolegle. Na obrońcach więc miru spoczywa obowiązek dowiedzenia, że mir nie hamuje rozwoju kultury, że da się z nią pogodzić, ale dowody te winny być ściślejsze, pewniejsze i bezstronniej obrobione od tych, które zebrał Woroncow i które wręcz czego innego dowodzą.

Własność indywidualna ziemi, mówi L. Brentano, jest najskuteczniejszym środkiem do podniesienia wydajności ziemi, która oprócz przestrzeni nie posiada żadnych innych własności wiecznych i niezmiennych. Własności jej chemiczne i fizyczne, będące podstawą produkcyi rolnej, ulegają zmianom; mogą być zmniejszone, wyczerpane i zwiększone — podniesione. — Ziemia nie jest produktem pracy ludzkiej, ale jej własności rolne są w wielu wypadkach

---

[1]) Ateneum. 1899, tom I str.

w znacznej części (a w niektórych nawet — całkowicie) rezultatem pracy ludzkiej [1]. Pierwszem zadaniem każdej rozumnej polityki agrarnej jest taka organizacya prawa własności rolnej, któraby nie odstraszała, ale zachęcała rolnika do intensywnej pracy na roli.

Podziały peryodyczne (to więc, co stanowi zasadniczy charakterystyczny rys miru) są niewątpliwie przeszkodą dla postępów rolnictwa, a wpływ ich na rolnictwo nie tylko nie ogranicza się na zatamowaniu postępu, ale, co ważniejsza, wyraża się w wyjałowieniu ziemi, w zmniejszeniu jej urodzajności.

Haxthausen łudził siebie i swych czytelników twierdząc, że postęp rolnictwa w mirze jest możliwy. Książę Wasilczykow nazywał rolnictwo w Rosyi „rabunkowem".

Jeden z bardzo gruntownych znawców stosunków, ekonomicznych w Rosyi — znany pod pseudonimem Mikołaja-ona, — tak charakteryzuje ogólny stan rolnictwa włościan w Rosyi: rolnictwo używa dotąd narzędzi epoki kamiennej, ziemię rabuje, nic jej nie zwracając, i dlatego plony co rok są mniejsze, a gatunek ziarna coraz gorszy; plony na ziemiach włościańskich są stale niższe od plonów folwarcznych o 10 do 25% i wyżej; ziarna włościanin konsumuje coraz mniej, nabiał coraz częściej idzie do fabryki na wywóz w formie masła i sera; są wsie, w których grunty, oddane włościanom, przy uwłaszczeniu są w zastawie do ostatniej dziesięciny [2].

Wzrost ludności zatrzymuje się — naród się wyradza.

Kongres lekarski, odbyty w maju r. 1899, wyraził wprost zdanie, że pogorszenie się warunków zdrowotnych śród ludności wiejskiej jest bezpośrednim wynikiem złych warunków ekonomicznych i że, dopóki te bez zmiany pozostaną, wszelkie usiłowania rządu i ziemstw w celu podniesienia warunków zdrowotnych będą bezskuteczne.

Karyszew oblicza, że:

w latach	—wysiewano w Rosyi czetwierti		—t. j. na głowę ludności:
1857/63	milionów	70	1,14
1870/9	,,	75,5	0,99
1883/7	,,	80,3	0,98

---

[1] Lujo Brentano: Agrarpolitik, str. 69.

[2] Mikołaj-on. Zarysy gospodarki ekonomicznej po r. 1861, stronice 57. 59, 62, 73, 136, 283, 314.

wywożono zaś zagranicę:

w latach:	w ogólnej sumie pudów	— t. j. na głowę ludności:
1860/4	milionów 88	1,2
1870/4	„ 216	2,8
1880/4	„ 332	3,3[1])

Przecięciowy urodzaj pszenicy wynosi z hektara w hektolitr.:

w Anglii	26,9	we Francyi	14,9	w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	10,7
„ Belgii	24,3	w Rumunii	12		
„ Niemczech	17	na Węgrzech	11	„ Rosyi	6,7

Cel więc, który ma przed sobą rolnictwo rosyjskie, jest jeszcze bardzo daleki.

Faktem też powszechnie uznanym jest to, że ziemie włościańskie dają urodzaje daleko niższe, niż ziemie folwarczne, że nieurodzaje na ziemiach włościańskich są daleko częstsze, niż na ziemiach folwarcznych.

Łąki i pastwiska rozorano, pól nie nawożą, ugorowanie skracają. W okręgach czarnoziemnych $^2/_3$ przestrzeni ogólnej własności włościańskiej są pod rolą (w gub. Saratowskiej 70,3, Symbirskiej 82,3), a z tego co roku obsiewają $^2/_3$ — $^3/_4$, czasem 90% i więcej; ziarno sieją po ziarnie bez nawozu i ugoru. — T. A. Szczerbina oblicza, że w gub. Wonoreskiej ilość nieużytków w 4 tylko powiatach wzrosła w ciągu lat 25 prawie o 50,000 dziesięcin, t. j. o 71%[2]).

Na ogół zbiór z dziesięciny włościańskiej oblicza się na 20 — 30% niżej, niż z dziesięciny ziemi folwarcznej. Pod Elizawetgradem folwark zbiera z dziesięciny 45, włościanin 27 pudów żyta[3]). Podług innych obliczeń, urodzaje żyta w pudach z dziesięciny wynoszą w guberniach czarnoziemnych

	na gruntach folwarcznych:	na gruntach włościańskich:
Kurskiej	43	34,2
Orłowskiej	40,5	29,6
Samarskiej	35,3	25,2
Charkowskiej	39,1	29,5

a w miarę posuwania się ku zachodowi wraz ze znikaniem własności gminnej, różnica się zmniejsza:

w gub. Połtawskiej	41,1	37,3
„ Podolskiej	43,8	39,3
„ Kijowskiej	46,8	42,9
„ Wołyńskiej	31,5	28,1

---

1) Karyszew. 1 c., str. 359.
2) Mikołaj—on. Zarysy gospodarstwa po r. 1861, str. 312, przypisek.
3) Kowalewski M. Le regime economique, str. 61.

i zbiór z gruntów włościańskich prawie wyrównywa zbiorom na gruntach folwarcznych w guberniach ze wspólną własnością ziemi.

Jeden z najnowszych statystyków, Łosicki, oblicza, że nieurodzaje zdarzają się na gruntach włościańskich co $3^1/_2$ roku, na gruntach folwarcznych co lat 10. Nieurodzaje głodowe zaś — na pierwszych co lat $12^1/_2$, na drugich co 62 lata. Zdaniem jego, przyczyną nieurodzajów są warunki ekonomiczne, a nie klimatyczne, główną zaś przyczyną — wyczerpanie ziemi. Wylicza on 20 gubernii, w których już od roku 1880 zauważono to wyczerpanie, i sądzi, że obecnie nawet w guberniach czarnoziemnych bez nawożenia rolnictwo staje się niemożliwe. Włościanie uprawiają coraz pośledniejsze gatunki zbóż i zbierają ich coraz mniej. Uprawa żyta i owsa po r. 1883 stale się rozszerza, uprawa pszenicy zaś zmniejsza. Jaką rolę w rozszerzaniu się nawożenia gra „mir", mówiliśmy już poprzednio.

Fortunatow i Grass zajmowali się specyalnemi studyami nad wydajnością roli i stwierdzili jej obniżanie się; statystycy ziemscy notują wszędzie skargi włościan na obniżenie się urodzajów [1]).

Rezultaty wielkiej ankiety, zarządzonej przez ministeryum finansów w połowie dziewiątego dziesięciolecia wieku XIX (ogłoszone drukiem w r. 1897 p. t. „Wpływ urodzajów i cen ziarna na niektóre strony rosyjskiego gospodarstwa narodowego") wykazały, że 70,7% ludności włościańskiej zbiera taką ilość ziarna, jaka wystarcza ledwie na wyżywienie rodzin włościańskich, ale nie inwentarza; 20,4% zbiera go tyle, ile wystarcza na wyżywienie ludności i inwentarza, a zaledwie 8,9% ludności ma ziarna tyle, że po wyżywieniu rodziny i inwentarza może je sprzedawać.

Twierdzenie Haxthausena, że włościanin wielkorosyjski (uczestnik miru) może zbiednieć, cały majątek osobisty zmarnować i że to dzieciom jego szkody nie przyniesie, bo one zawsze zachowają prawo do udziału w ziemi gminnej (*gemeindeantheil*) nie dziedziczą jego nędzy (*armut*), — jest z gruntu fałszywe [2]).

Nadział goły, bez budynków i inwentarza, wyjałowiony i od szeregu lat nie nawożony, a podatkami i sumami wykupowemi obciążony, wydzierżawia się w wielu gminach za $^1/_3$ powinności skarbo-

[1]) Maress: „Produkcya i spożycie ziarna w gospodarstwie", str. 123, w dziele zbiorowym „Wpływ urodzajów i cen ziarna", p. Ateneum z r. 1898, „Małe gospodarstwa rolne i ceny ziarna", t. I, str. 427. — M. Brzeski — „Gmina i stan ekonomiczny włościan". Przegląd ekonomiczny (ros.), rok 1898. Zeszyt III, str. 40.

[2]) Haxthausen—Studien, t. I, str. 129.

wych, ciążących na nim, daje, jak mówi jeden z rosyjskich mężów stanu (Jermołow), prawo do wspólnej śmierci głodowej. Znany ekonomista Tuhan Baranowski taką własność ziemi nazywa *privilegium odiosum*.

III.

Wpływ organizacyi gminy wielkorosyjskiej sięga daleko poza sprawy ekonomiczne włościanina, ciąży nad całą organizacyą ekonomiczną i finansową państwa i społeczeństwa i nad całem życiem włościanina rosyjskiego — odzwierciedla się nawet w jego psychologii.

W części drugiej tej pracy przytaczaliśmy zdanie Schultze-Gaevernitza (jednej z największych dziś powag w sferze ekonomii wielkiego przemysłu), że produkcya fabryczna w Rosyi jest droga dlatego, że robotnik rosyjski, na pół rolnik, na pół fachowiec, „ein Fabriknomade”, gorzej pracuje, więcej psuje materyału, potrzebuje silniejszego dozoru, niż każdy inny robotnik; na lato z fabryki ucieka i nigdy, póki jest członkiem „miru”, nie dochodzi do tej wprawy, zręczności i skupienia uwagi, którą posiada robotnik zachodnio-europejski.

„W inteligencyi rosyjskiej — mówi A. Nikolski w artykule, „poświęconym specyalnie stanowisku „Indywiduum w gminie” [1]) — „zachodzi dziwna metamorfoza, gdy tylko idzie o badanie lub decy- „dowanie kwestyi, dotyczącej bytu włościan. Kierujemy się wtedy „nie temi ideami i zasadami, które stosujemy do siebie, lecz zupełnie „innemi, bardzo często zasadniczo przeciwnemi”. W sferze praw cywilnych włościaninowi przysługują takie prawa, które inteligencya uważałaby dla siebie za klęskę, „idealizujemy wymyśloną spe- „cyalnie dla włościańskiej ludności organizacyę prawno-cywilną, za- „sadniczo przeciwną naszym przekonaniom o normalnej organizacyi „praw ludzkich”.

Ażeby zrozumieć doniosłość tych słów Nikolskiego należy przypuścić na chwilę, że organizacyę własności nieruchomej miru zastosowano do miast: Petersburga, Moskwy i innych.

W mirze — mówi dalej nasz autor — ludzka osoba gra smutną rolę, poświęcono ją gminie. Włościanin ma prawo założyć dom

---

1) Ross. przegląd ekonomiczny. Rok 1898. Zeszyt I, styczeń № 64.

osobny, o ile mu mir pozwoli; przenieść się do miasta, o ile mu ojciec, stryj lub starszy brat pozwala, bo głowa rodziny może nawet pełnoletniego włościanina, jeśli podatki z osady nie są zapłacone, zmusić do powrotu do gminy przez policyę. Z drugiej strony syn dorosły ma prawo żądać od ojca za jego życia części majątku, podziału, i gmina może ojca do tego zmusić. Jak to wpływa na stosunki rodzinne objaśniać nie potrzeba. Dom nawet nie jest własnością ojca, ale rodziny; zarobki członków rodziny są własnością rodziny; prócz głowy rodziny nikt niema prawa stawać w sądzie i, ściśle biorąc, sąd nie ma prawa przyjąć skargi cywilnej od członków niepodzielonej osady, jeśli gmina na podział się nie zgodziła. Tylko wkłady do kasy oszczędności (prawo z d. 1 VI 1895 r.) wyjęte są z pod przepisów prawa obyczajowego—i poddane ogólnym przepisom prawa cywilnego (X tomu Zbioru Praw).

Zebranie gminne może włościaninowi odebrać część uprawianej przez niego ziemi gminnej, albo zabrać mu ją całą i dać inną gdzie indziej; gmina też reguluje terminy i rodzaj zasiewów, ma prawo mięszać się do umów najmu osobistego każdego włościanina, nawet oddawać go na zarobki i karać cieleśnie. Kawelin w „Kwestyi włościańskiej" (str. 74) nazywa mir „jarzmem" — „łańcuchem", który pozbawia włościanina swobody. Nawet szkoła sławianofilów domagała się zupełnej swobody co do uwolnienia się z gminy.

Skutkiem tego, twierdzi nasz autor, etyczny poziom świata włościańskiego od r. 1861 obniżył się. „Poczucie prawa, niedające „się pogodzić z poczuciem nieodpowiedzialności stada — zupełnie „nie istnieje. Najprostsze uczucia ludzkie: sprawiedliwości, litości, „wstydu, mimo wszystkich poetycznych twierdzeń starych sławiano„filów i młodych ludowców, nie stanowią bynajmniej ozdoby bytu „włościanina. Cnoty rodzinne: uszanowanie dla rodziców i star„szych— wszystko to, według ogólnej opinii, w porównaniu z epoką „poddaństwa—obniżyło się, gdyż, chociaż wtedy (przed r. 1861) „istniała zależność poddańcza, ale była to zależność od osoby, często „wykształconej i cywilizowanej, która nie patrzyła obojętnie na „obyczaje i moralność poddanych, jak patrzy na to nieosobista „gmina wiejska. Skąd nawet może się tu wziąć pobudka do moral„nego postępu i doskonalenia?" Wyrabia się powoli pogląd, że wszystko w życiu jest fatalizmem, „że dobro nie urodzi się z pracy, „że ze złem walczyć nie można. Zupełny brak chęci do działania, „zupełne i całkowite poddanie się czemuś, co z zewnątrz przychodzi, „są zasadami światopoglądu włościańskiego".

Poza obrębem miru włościanin innym już prawom ulega, in-

nym też jest człowiekiem: sądzą go według praw ogólnych, karze cielesnej nie ulega, mieszka, gdzie chce, i robi, co chce, i w mieście jest doskonałym, sprytnym i przedsiębiorczym handlarzem, majstrem, czeladnikiem. Nic więc dziwnego, że z „miru” ucieka, kiedy tylko może i dokąd może, a jeśli, po kilku latach takiego życia, pod prawami ogólnemi wraca do gminy, traci pojęcie tego, co jest prawne a nieprawne, co wolno a czego nie wolno, jest znowu wydany na pastwę samowładnego tłumu. Dążności jednak indywidualne, których zarodki zasiało w nim życie poza gminą, nie giną, a „uprawnione żądania jednostki w tym kierunku muszą z czasem być uwzględnione” [1]).

Ze wszystkich skutków wspólnej własności ziemskiej z podziałami peryodycznymi najgorszym jest niepewność w zakresie najważniejszego ze wszystkich praw majątkowych — prawa własności nieruchomej. Wszak zdarzają się wypadki, że mir niema poszanowania dla wyraźnie określonego w § 110 Przep. Miej. Wielkor. prawa rodziny do własności osady i chaty, a Worońcow ma właśnie gminie wiejskiej za dobre, że nie zatrzymuje się nawet przed krytyką istniejącego prawa. Dla miru prawo, poza jego wolą własną, nie istnieje.

A jednak „unormowane prawem współdziałanie ludzi w celu zaspokojenia ich potrzeb” jest treścią uspołecznienia [2]) zarówno gminnego, jak i państwowego, i dlatego też i to życie gminne nie powinno być regulowane przez prawo, rodzące się na zebraniach nieoświeconego tłumu śród „boju kułacznego na śmierć” i wódki. Przy takiem źródle prawa zrozumiałe się staje przysłowie: prawo to dyszel — w którą stronę nakręcisz — pójdzie [3]). Każda forma uspołecznienia ludzkiego wymaga praw trwałych, a jeśli nie wiecznych— to jednak i nie zmieniających się co każde zebranie gminne, choćby zależnie od większości $^2/_3$ głosów ogółu członków.

W co zamieniłyby się państwa, instytucye publiczne i towarzystwa akcyjne, gdyby $^2/_3$ głosów każdego zgromadzenia wystarczały do zmiany ich konstytucyi, statutów i ustaw! Gminę ma w jej samowładztwie ograniczać prawo obyczajowe, które nie istnieje i które wśród chaosu konjunktur ekonomicznych wyrobić się nie

---

1) Keussler—Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Art. „Mir“, tom III, str. 1190.

2) R. Stammler. „Recht und Wirthschaft“, str. 137.

3) „Zakon szto dyszło — kudy powierniosz tam poszło“.

mogło. Każde zgromadzenie gminne ma prawo co innego uznać za obyczaj i przykrawać majątek nieruchomy swych członków według nowo ustanowionej zasady. Każda baba — mówi przysłowie rosyjskie — ma swój obyczaj. Obyczaje prawne w gminie — twierdzi Czyczerin — są nieokreślone, niejednakowe, przypadkowe i niestałe.

W wyjątkowo złych warunkach pod tym względem znajdują się gminy, które, złożone z kilku lub z kilkunastu wsi, mają we wspólnem posiadaniu bądź to lasy, bądź łąki, bądź też i pola orne. Są to gniazda regularnych bitw i nieskończonych procesów [1]).

IV.

Oprócz staro-marxistów, którzy bronią miru, jako zaczątku przyszłej, lepszej, bo sprawiedliwszej, formy produkcyi społecznej jest jeszcze jedna szkoła ekonomiczna, broniąca wspólnej własności ziemi, jako fundamentu, na którym, przy rozwoju oświaty i poczucia solidarności, możnaby zbudować kooperacyjną organizacyę rolnictwa [2]). W marzeniach tej szkoły spółki rolne, stosowane dziś z takiem powodzeniem do zbytu produktów mleczarskich i innych, do nabywania nawozów i maszyn, ubezpieczeń etc. etc., mogą z biegiem czasu być rozszerzone na całość produkcyi rolnej i dać małej własności ziemskiej, wszystkie korzyści wielkiej produkcyi; podnieść

---

[1]) W gubernii Archangielskiej 7 wsi stanowi jedną gminę z 2982 rewizyjnemi duszami — i posiada wspólne łąki. W gubernii Wiackiej, w Tomaszewskiej włości, 2812 dziesięcin lasu jest własnością 28 wsi; we włości Wasiljewskiej 2271 dziesięcin należy do 24 wsi i t. d. W gub. Kazańskiej, w powiatach Carewokszajskim i Jadryńskim, gminy złożone z 6 i 8 wsi nie są rzadkością; stąd masa sporów, strasznych bójek (żestokich drak) i procesów, których koszta dochodzą do 60,000 rubli w jednym powiecie (koźmodemjańskim). W gub. Samarskiej 145 gmin posiada ziemię na zasadzie 59 aktów, nadanych we wspólnem władaniu, a w 11 z tych gmin połączono ludność różnych narodowości i religii. W gub. Twerskiej związanych wspólnem władaniem jest gmin 397. Wszędzie prawie pola orne między wsiami są oddawna rozdzielone; przedmiotem wspólnego władania są lasy, łąki i stepy. Lecz, w miarę trzebienia lasów, rozorania łąk i stepów i zamiany ich na role, — i własność roli między gminami staje się przedmiotem i bójek i sporów (M. Brzeski. Gminne władanie ziemią wedle najnowszych danych. „Przegląd Ekonomiczny“. 1897 r. Zesz. V, str. 81 i następ.).

[2]) Używamy stale wyrażenia kooperacyjny zamiast „współdzielczy“ dlatego, że ten ostatni termin, naszem zdaniem, jest niedogodny; rodzi przypuszczenie, jakoby charakterystyką tych stowarzyszeń było „dzielenie“, a nie „działanie“.

kulturę rolną, znieść szachownice, ułatwić zastosowanie maszyn — nie oddzielając pracownika rolnego od narzędzia produkcyi— ziemi. Dla przewidujących taką ewolucyę stowarzyszeń - syndykatów rolnych, wspólna własność gruntów jest pierwiastkiem, ułatwiającym zaprowadzenie kooperacyi, usuwającym wiele przeszkód w tej ewolucyi.

W teoryi tej, której etycznych zalet niepodobna odmówić, dwa jednak tkwią zasadnicze błędy: prawny i ekonomiczny, a w związku z nimi jest zapoznanie, czy przeoczenie niezbitych faktów, zapisanych przez historyę stowarzyszeń kooperacyjnych.

Błąd prawny polega na pojęciu, że podstawy prawne kooperacyi i miru opierają się na tych samych zasadach. Podstawą kooperacyi jest zasada wolnego współdziałania, swoboda przystąpienia i wyłączenia się ze stowarzyszenia w każdej chwili. Ta swoboda stanowi podstawę, warunek główny organizacyi prawnej wszystkich tego rodzaju spółek, a ograniczenia, jakie w ich ustawach spotykamy, co do wyłączenia się ze stowarzyszenia, stosują się właściwie do odpowiedzialności członka, trwającej — w interesie reszty stowarzyszonych i osób trzecich — przez pewien czas po wyjściu ze stowarzyszenia.

Dowodzić, że mir jest organizacyą „przymusową", niepotrzebujemy; krępuje on swobodę nie tylko majątkową, ale i osobistą członka, ogranicza go nawet w zmianie miejsca pobytu. Jeśliby spółki kooperacyjne rolne miały się w gminie wielkorosyjskiej rozwinąć, musiałyby mieć prawo wyłączenia ze stowarzyszenia—członków miru, nie posiadających przymiotów moralnych, wymaganych do takiej spółki, albo też przywilej, stanowiący, że członek miru, wstępujący do stowarzyszenia, *eo ipso* zostaje zwolniony z obowiązków członka miru. Prawnie, kooperacya może powstać tylko na gruzach miru.

Drugim błędem, na którym opierają się nadzieje kooperacyonistów, jest przekonanie, że w zakresie produkcyi rolnej działają te same prawa ekonomiczne, jakie stwierdzono w zakresie przemysłu przetwórczego; że rolnictwo jest tem produkcyjniejsze, im jednostka gospodarcza jest większa; że wielka własność rolna ma nad własnością małą taką samą przewagę, jaką ma wielka fabryka nad małą fabryką i nad warsztatem rzemieślniczym; że korzyści, wynikające z produkcyi kooperacyjnej rolnej, mogą być tak wielkie, jak w kooperacyjnej produkcyi przetwórczej, fabrycznej lub rzemieślniczej.

Niedawno jeszcze takie przeniesienie zasad, stwierdzonych w stosunkach produkcyi przetwórczej do stosunków rolnych, mało

wywoływało protestów; dziś, wobec faktów, zjawiających się codzień w naszych oczach, wobec danych statystycznych najnowszych, dotyczących rozwoju rolnictwa w Niemczech, Francyi i Anglii,—przeniesienie takie jest wprost fałszywe. Nie zachwycamy się już „bonanza" fermami preryi amerykańskich i nie uważamy gospodarki Darlymple'a za typ gospodarstwa rolnego w przyszłości; wiemy, że rolnictwo „Far-Westu" jest typem przechodnim, a obecne przesilenie rolne epoką wyjątkową, bo żaden Kolumb nowej Ameryki na kuli ziemskiej nie odkryje.

Rola nie ma na celu wyłącznie produkowania ziarna— ziarno ma swą geograficzną sferę produkcyi, która coraz bardziej i w Europie i Ameryce odsuwa się na Wschód ku Uralowi i na Zachód ku Oceanowi Spokojnemu. Produkcya mięsa, mleka, owoców, ogrodowizn i drobiu daje się prowadzić lepiej w małem, niż w wielkiem gospodarstwie; i dlatego w Europie, w miarę wzrostu kultury, wielkie gospodarstwa coraz to więcej zmniejszają swą przestrzeń, a ilość średnich i małych rośnie nieustannie. Konieczność posiadania pod ręką dostatecznej ilości robotnika zmusza właścicieli większych przestrzeni rolnych do wytwarzania drobnych gospodarstw rolnych tuż obok folwarku, nawet tam, gdzie, jak we wschodnich i zachodnich Prusach, istnieją jeszcze warunki, sprzyjające istnieniu wielkich folwarków, opartych na produkcyi ziarna i spirytusu.

Usuwanie produkcyi zboża z programu rolnictwa jest dla Europy koniecznością; — w wytwarzaniu zaś produktów zwierzęcych i w ogrodnictwie oko gospodarskie, troskliwość indywidualna i zapobiegliwość tak wiele ważą, że dają stanowczą przewagę gospodarstwu średniemu i małemu nad wielkiem, szczególniej, jeśli temu małemu gospodarzowi stoją otworem i wiadomości techniczne rolne i stowarzyszenia rolne w zakresie nabywania i zbywania produktów.

Rozwój rolnictwa w Danii jest najświetniejszym tego twierdzenia dowodem: większość nagrodzonych na wystawach zwierząt jest własnością gospodarstw włościańskich [1]).

Konieczność zmniejszania przestrzeni folwarku — konieczność parcelowania—jest niezbitym faktem, a tych, którzyby chcieli bliżej zbadać przyczyny tego zjawiska w Królestwie Polskiem, odsyłamy do doskonałej pracy Wł. Grabskiego: „Ekonomia w produkcyi rolnej". Maszyna nie gra w rolnictwie tej roli, jaką gra w przemyśle przetwórczym, podział pracy ma inne znaczenie na folwarku, jak

---

[1]) Kriukow. „Dania".

w fabryce, pług parowy nie orze lepiej od konnego, i nie zawsze orka parowa jest tańsza od konnej [1]). Dlatego to przewaga wielkich gospodarstw nad małemi jest tylko złudzeniem, a korzyści, jakie kooperacya — syndykat — dostarcza rolnikom, mają swoje granice, wynikające z samej natury rolnictwa.

„Rolnictwo wymaga koniecznie oka pańskiego" — mówi Hubert Valleroux — „i dlatego zakres działania syndykatów rolnych jest ograniczony".

Jest to fakt niezbicie stwierdzony, że z pomiędzy wszystkich rodzajów stowarzyszeń kooperacyjnych — stowarzyszenia produkcyjne rozwijają się najsłabiej, a nawet nie rozwijają się prawie zupełnie. Te, którym się powodzi, przechodzą w spółki akcyjne—lub stają się *de facto* współkami kapitalistów, nie dopuszczającemi do udziału w zyskach nowo przyjmowanych robotników; te, którym się nie powodzi, giną. Objaw ten stwierdzono i zbadano we wszystkich krajach Europy. Jeden z najsumienniejszych badaczów tej kwestyi, H. Häntschke, [2]), sekretarz Związku stowarzyszeń kooperacyjnych niemieckich, którego sympatye do spraw kooperacyi nie ulegają podejrzeniu, sądzi, że przyczyna tego objawu tkwi w braku odpowiednich danych psychicznych w umysłach stowarzyszonych — w słabym rozwoju inteligencyi i poczucia solidarności w robotniku niemieckim; sądzi on, że dziś tylko wybór (die Elite) robotników niemieckich te przymioty posiada i że dopiero z czasem, gdy oświata i zasady altruizmu i społecznej solidarności wzrosną, spółki i stowarzyszenia kooperacyjno-produkcyjne znajdą powszechne zastosowanie w przemyśle niemieckim.

Przytacza on dane, dotyczące 322 stowarzyszeń produkcyjnych niemieckich, z których 213 upadło, a 109 istnieje. Z tych 109 większa część (63) nie jest stowarzyszeniami robotników — ale spożywców, rolników, uprawiających buraki lub kartofle, lub mieszczan, mających prawo fabrykowania piwa.

Dlatego też, nie przesądzając sprawy, jakie będą podstawy psychiczne produkcyi za lat 1000, śmiemy twierdzić, że w XX, a zapewne i w następnem stuleciu, produkcya kooperacyjna ma mało widoków rozpowszechnienia, nawet w zakresie przemysłu przetwórczego, a urzeczywistnienie życzeń kooperacyonistów, w zakresie

---

[1]) „W naszych sprawach". Tom II, str. 45.

[2]) H. Häntschke. „Die gewerblichen Productivgenossenschaften in Deutschland". 1894, str. 345.

produkcyi rolnej będzie zawsze trudniejsze, niż w zakresie przemysłu przetwórczego. Losowość produkcyi, odległość w czasie pomiędzy wykonaniem pracy a zebraniem jej rezultatów — a stąd trudność ocenienia skuteczności wykonanej pracy i kontrolowania jej, ścisły w rolnictwie związek produkcyi ze spożyciem i konieczność rozciągnięcia kontroli nad spożyciem stowarzyszonych, a w końcu brak korzyści, które zapewnia w przemyśle powiększenie produkcyi, będą miały ten skutek, że spółki kooperacyjno-rolnicze będą zawsze trudne do zorganizowania i jeszcze trudniejsze do utrzymania przy życiu i będą ginąć, gdy tylko zabraknie tych indywiduów psychicznie wyjątkowych, wyjątkowo pracujących i ofiarnych, które się zwykle ich organizacyą zajmują. Tak, jak dotąd, powstawać one będą pod wpływem pewnych idei religijnych i ideałów społecznych, dla ogółu niedostępnych.

Cytowany wyżej Valleroux zapewnia, że spółki kooperacyjno-rolne we Francyi — w ojczyźnie syndykatów rolnych — nie istnieją [1]). W ostatnim roczniku Ogólnego Związku niemieckich stowarzyszeń rolnych na 12,736 stowarzyszeń nie znajdujemy ani jednej spółki, obejmującej całą produkcyę rolniczą stowarzyszonych [2]). W Anglii nakoniec, gdzie takie spółki istnieją — w sferach stanowczo przychylnych kooperacyi przeważa pogląd, że kooperacyjne rolnictwo przynosi takie straty, że rozszerzanie jego nie może być zalecane [3]).

Znany ekonomista niemiecki Bernstein twierdzi, że organizacya republikańska nie może być stosowana ani do wielkich państw, ani do wielkich organizacyi przemysłowych. Stowarzyszenia produkcyjne upadają, jego zdaniem, nie dla braku kapitału i nie przez demoralizujący wpływ indywidualistycznego otoczenia, ale przez brak karności w robotnikach. Angielscy znów ekonomiści Potter—Webb twierdzą, że organizacya demokratyczna — stowarzyszenie— może być stosowana z pożytkiem tylko tam, gdzie, zdaniem stowarzyszenia, jest nabywanie z celem spożycia; tam zaś, gdzie, zdaniem stowarzyszenia, jest produkcya dla zbytu, tam z zasady organizacya musi mieć charakter arystokratyczno-oligarchiczny. Dlatego też śród kooperacyonistów niemieckich zrodził się pomysł nowej spe-

---

[1]) Hubert-Valleroux. l c. str. 120.

[2]) Jahrbuch des Allgemeines Verbandes der deutschen landwirthschaftlichen Genossenschaften. Offenbach a/M. 1900.

[3]) James Long. „Cooperation as applied to Agriculture“ w „the Cooperative Wholesale Societies Annual for 1899, str. 409 i nast.

cyalnej organizacyi kooperacyjnego rolnictwa, w której uprawa indywidualistyczna łączy się z uprawą kooperacyjną. Część gruntu uprawia każdy rolnik dla siebie, drugą część uprawia wspólnie, jednem słowem, to, czego próbowano w Rosyi pod nazwą „upraw gminnych" i o czem w krótce wspomnimy; projekty te zaczęto wprowadzać w wykonanie niedawno, o rezultatach mówić przedwcześnie [1]. Z podobnym projektem wystąpiono jednocześnie w Anglii na walnym zjeździe Stowarzyszeń spożywczych w Peterborough w r. 1898.

Kooperacya rolna, obejmująca całość produkcyi rolnej jest, jak dziś, „projektem" trudnym do wykonania nawet dla najoświeceńszych i najsolidarniejszych kół robotniczych Europy zachodniej. Jakie ma ona widoki powodzenia śród włościan rosyjskich?

Podstawy do odpowiedzi na to pytanie może nam dostarczyć historya t. zw. gminnych upraw i kas pożyczkowo-oszczędnościowych w Rosyi.

Uprawy gminne (*obszczestwiennyja zapaszki*) w latach 1870 — 80 były stosunkowo dość rozpowszechnione (głównie w celu zapełnienia magazynów zbożowych), i zaprowadzano je zarówno na gruntach gminy, jak i na gruntach wydzierżawionych. Z biegiem czasu równolegle do zanikania dzierżaw gminnych wyszły one prawie z użycia [2].

Czy znikają one dzięki propagandzie administracyjnej i warunkom biurokratycznym, czy też z innych powodów, to kwestya drugorzędna. W obecnych warunkach nie mają widoków powodzenia. Po nieurodzaju r. 1891 próbowano wprowadzić je jeszcze raz w gub. Samarskiej. Za inicyatywą ziemstwa samarskiego w r. 1893 obsiano wspólnemi siłami 75,000 dziesięcin; urodzaj wypadł $^1/_2$ średniego. W r. 1894 zmniejszono przestrzeń zasiewu — zebrano $^3/_4$ średniego urodzaju. Rezultatem praktycznym tej operacyi, według słów korespondentów, oprócz niższych od średnich urodzajów było powiększenie ilości spraw karnych w gminach, które takie wspólne uprawy miały.

Co do kas oszczędnościowo-wkładowych, to, o ile sądzić można ze specyalnej pracy w tym przedmiocie p. Osipowa, kasy te w Rosyi nie zapobiegły lichwie po wsiach, a często zrujnowały rolników;

---

[1]) Fr. Oppenheimer. „Die Siedelungsgenossenschaften". Tenże autor, „Zeitschrift für Socialwissenschaft". 1900. Zesz. VI, str. 423 — podaje ciekawe szczegóły o próbach koperacyi rolnej w Australii.

[2]) Kaczorowski. 1 c., str 3.

kapitał ich istnieje tylko na papierze, jest fikcyą buchalteryjną; członkowie stowarzyszeń co 1/2 roku przepisują swe zobowiązania na nowo, nie płacąc gotówką nawet procentów; spłata rzeczywista wydarza się rzadko, ilość pożyczek niespłaconych w terminie stale wzrasta, a ilość nowo wydanych stale się zmniejsza i doszła w roku 1885 do 5,8% ogólnej ich sumy; przepisy egzekucyjne są bardzo surowe, nielogiczne i niewykonalne, a egzekucye dają w rezultacie 1/4 egzekwowanej należności; wszystko to, zdaniem p. Osipowa, doprowadzi te stowarzyszenia do ruiny, a całą te niby posiadającą miliony organizacyę czuć oddawna zgnilizną i pleśnią [1]).

Próby zastosowania kooperacyi w rolnictwie prowadzi się w Rosyi i obecnie. W guberniach południowych znalazł się człowiek wielkiej energii, dobrej woli, silnie wierzący w zbawienność skutków kooperacyi we wszystkich kierunkach produkcyi, — p. N. Lewitski, który poświęcił się propagandzie artieli rolnych, t. j. stowarzyszeń rolnych kilku włościan w celu wspólnej eksploatacyi roli. Główna zaleta artieli rolnych, zdaniem jego, polega na komasacyi parcel i umożliwieniu racyonalnej eksploatacyi ziemi w tych wypadkach, w których bez kooperacyi, wskutek małości nadziału, uprawa racyonalna stała się prawie niemożliwa. W Europie własność indywidualna, jego zdaniem, jest tamą dla takiej uprawy racyonalnej, stawia komasacyi przeszkody niezwalczone, czyni ją prawie niemożliwą (*niemyslima*). Tymczasem wspólna własność w gminie rosyjskiej z jej podziałami peryodycznymi jest pięknym gruntem dla rozwoju kooperacyi, bo w godzinę można przeprowadzić w gminie to, co w Europie jest prawie niewykonalne. Sam jednak dodaje, że łatwość połączenia nadziałów stowarzyszonych w jedną całość możliwa jest o tyle, o ile władze gminne nie stawiają temu przeszkód, a władze te są często dla tych stowarzyszeń „wrogie” [2]).

Stowarzyszenia p. Lewitskiego są, zauważmy najprzód, instytucyami na pół filantropijnemi. Istnienie ich wewnątrz gminy jest od woli tej gminy zależne; stałem i trwałem może być tylko po jej usunięciu. P. Lewitskiemu są zupełnie nieznane prawa o komasacyi gruntów niemieckich i uważa za „niemożliwe w Europie to, co oddawna tam się prowadzi. Dla sprawdzenia rozwoju założonych

---

1) Prace Towarzystwa dla popierania ros. handlu i przemysłu, tom XXII, str. 209 i 8, 136, 114, 157, 170, 114, 122. Ateneum, rok 1894, tom III, str. 438, pomieściło sprawozdanie o tej pracy Osipowa.

2) St. Pet. Wiadomości, rok 1900, № 113. Art. p. N. Lewitskiego p. t. „Przyczynek do kwestyi o artielach rolnych“.

przez niego artieli, ziemstwo Elizawetgradzkie delegowało specyalistę, który stwierdził, że dla stowarzyszonych głównym celem zawiązania artieli było otrzymanie kredytu, tak, że po otrzymaniu pożyczki nieraz do wspólnej produkcyi nie przystępowali. Artiele te nie wykazały dotąd żywotności i najprawdopodobniej będą istnieć tylko dopóty, dopóki będą miały protektorów i kierowników śród inteligencyi, popierających je kredytem, a upadną, jak tylko protektorów zabraknie". To samo zdanie wypowiedział o nich S. B. w miesięczniku „Nowoje Słowo" (1897 r., czerwiec).

Szczerbina poświęcił Artielom rolnym specyalne studyum p. t. „Studya nad artielami w Rosyi południowej" (r. 1881). Przytacza kilka przykładów już istniejących stowarzyszeń: jedno z nich miało wyjątkowe powodzenie: artiel, po upływie pewnego czasu, założyła sklep, kasę pożyczkową, szynk etc. — nie podał tylko miejsca, w którem ono istniało, ale za to objaśnił, że w końcu stowarzyszenie to stało się (jak większość stowarzyszeń, którym się powodziło) „eksploatorem okolicznych włościan" [1]). W końcu dla zupełności obrazu dodać musimy, że w r. 1900 w wiosce Małe Świetice (gub. Nowgorodzka) za inicyatywą włościanina Michajłowa powstała artiel rolna, o której działalności dotąd zawcześnie jest mówić.

Sądzimy też ostatecznie, że stowarzyszenia produkcyjne są w przemyśle muzyką odległej przyszłości, w rolnictwie—muzyką przyszłości jeszcze odleglejszej, i sądzimy, że przyczyny tego tkwią zarówno w braku odpowiednich przymiotów moralnych w pokoleniu dzisiejszem, jak też i w niemożności zastosowania zasad kooperacyi specyalnie do warunków produkcyi rolnej.

Wobec tego pytanie, o ile wspólna własność ziemi ułatwia zastosowanie kooperacyi w rolnictwie, gra podrzędną rolę. Należałoby stworzyć innych ludzi, natchnąć ich wysokim stopniem solidarności, zrobić zdolnymi do poświęceń dla pewnych ideałów społecznych, nie na dzień i dwa i nie na lat kilka, ale na całe życie; a dla takich członków stowarzyszenia kwestya tytułu własności ziemi nie grałaby żadnej roli.

„Przymierająca jednak głodem" ludność włościańska nie ma czasu czekać na sprawdzenie, o ile teorye kooperacyonistów są teoretycznie i praktycznie możliwe. Jeżeli zaś jest prawdą, że wieś rosyjska różniczkuje się coraz więcej, że śród miru są bogacze i proletaryusze, to sądzić należy, że z biegiem czasu urzeczywistnienie

---

[1]) Simhkowitsch. 1 c.. str. 154.

kooperacyi rolnej w mirze staje się coraz trudniejsze i z dniem każdym staje się prawdopodobniejsze, że rolnictwo kooperacyjne nie z miru, ale tylko na ruinach miru powstać może.

Obecny mir jest do pewnego stopnia kooperacyą kredytowo-podatkową. Do pomyślnego jednak spełniania tej funkcyi okazał się niezdolnym. Co sądzić należy o zdolności jego do kooperacyi rolnej w ogólności? do rozszerzenia odpowiedzialności solidarnej członków na całą ich działalność życiową? Utrzymanie przy życiu miru ze względu na możliwość kooperacyjnej formy produkcyi jest wprost bezcelowe.

V.

Dla szkoły neomarxistów — szkoły Struvego —różniczkowanie włościan na bogatych i biednych musi sprowadzić dezorganizacyę miru, kapitalistyczną organizacyę produkcyi rolnej i rozszerzanie tej organizacyi na wszystkie obszary rolne, oddane w roku 1861 włościanom.

Nie należy jednak zapominać, że — jak mówi Tylor — umarli rządzą żywymi; że w zjawiskach socyalnych z ustaniem przyczyny nie zawsze ustają jej skutki, że—jak twierdzi Kaczorowski—idea gminna, zaszczepiona w sferze miru z zewnątrz może trwać dalej, nawet po ustaniu „szczepienia".

Wraz z rozkładem miru na bogatych i biednych wytwarza się w mirze walka klas, której rezultat zależy od miejsca i czasu, i jeśli w tej walce wezmą górę zrujnowani rolnicy, to zupełnie jest dla nas niejasne, dlaczegoby, mając siłę zatrzymania bogatych w związku gminnym, nie mieli tej siły użyć w celu utrzymania miru, dającego im możność dzielenia się od czasu do czasu dobrze uprawionemi polami.

Bogaci zaś bez zezwolenia „miru" ze związku uwolnić się nie mogą — inaczej, jak wyrzekając się i ziemi, i domu swojego. Z drugiej strony, przy pewnej zręczności i braku uczuć etycznych, dla kapitalisty wiejskiego „mir" przedstawia wcale dogodne pole do eksploatacyi sił roboczych właścianina. Badając dane o lichwie wiejskiej, łatwo się przekonać, że kwitnie ona w mirze silniej, niż gdzieindziej. Pozbawiony kredytu hipotecznego członek miru może szukać ratunku tylko w kredycie osobistym, a historya instytucyi kredytowych włościańskich w Rosyi każe przypuszczać, że instytucye te, tak jak i zarządy gminne, oddawna opanowane zostały przez

„mirojedów" i „kułaków". Dla takiego typu kapitalisty zachowanie miru jest najzupełniej pożądane. Eksploatuje on nie rolę, ale pracę członków gminy swobodniej i dokładniej, niżby ją eksploatował tam. gdzie za każdy kawałek ziemi musiałby zapłacić gotówką, a robotnika nająć za gotówkę i zapłacić mu taką cenę za jego pracę, jaką mu płaci najbliższa fabryka. Przywiązany do ziemi członek miru jest dla kapitalisty wiejskiego podatniejszym przedmiotem eksploatacyi, aniżeli zupełnie bezrolny robotnik wiejski na Zachodzie Europy. Gmina rosyjska, mówi Leroy Beaulicu, to ognisko — tyranii bogatych nad biednymi lub biednych nad bogatymi [1]). Rozwój kapitalizmu w gminie, zdaniem Iljina, pomaga bogatej mniejszości eksploatować biedną większość. Średnio zamożny włościanin przy pierwszym głodzie — staje się nędzarzem i zwiększa ilość eksploatowanych [2]).

Według danych, zebranych przez Anuczyna w gub. Samarskiej, włościanin, zasiewający 1 — 5 dziesięcin, płaci 7 razy więcej, a bogaty 3 ½ razy mniej, niżby płacić powinni proporcyonalnie do zamożności osady; czasami w jednej i tej samej gminie na biednych wypada podatków i wykupu z dziesięciny 3 rb. 87 k., a na bogatych 17 k. z dziesięciny albo 12% i 0,4% wartości urodzaju zebranego na osadzie [3]).

Mówiąc o ewolucyi miru — o przejściu od jednej do drugiej zasady podziału—Kaczorowski widzi w tych zasadach co raz to nowsze, co raz dokładniejsze zasady „strugania" bogatych przez biednych. Kaczorowski ma — z małą tylko poprawką — zupełną słuszność. Ustawodawstwo gminne obecne, dokonywany przez tłum rozdział podatków i gruntów jest wzajemnem struganiem: bogatych przez biednych, lub biednych przez bogatych. W zabiegach o wzajemne struganie się tłum ten traci wiarę w siłę i potęgę pracy, i, im dłużej trwa w tym stadyum strugania, im to struganie głębiej w jego zwyczaje wchodzi, tem mniej ma widoków porzucenia zwyczajów, które produkcyjności rolnictwa i jego własnemu dobrobytowi stoją na przeszkodzie.

I tłum nie łatwo wyrzeka się władzy. Zapomina się o tem często w przepowiedniach o przyszłości miru. Zapomina się także o tem, że rozkład miru, w jakikolwiekby sposób nastąpił, byłby

---

1) Leroy Beaulien. L'empire de tzar, str. 234.

2) Rozwój kapitalizmu w Rosyi.—Wł. Iljin. St. Ptbg. 1900.

3) Brzeski. Niedobory i odpowiedzialność solidarna. str. 404.

ciężkiem przesileniem ekonomicznem dla milionów robotników, którzy do innej, jak rolna, pracy nie są zdolni i którzy mają zupełną świadomość niebezpieczeństwa tego przejścia.

Już dziś niektórzy z ekonomistów rosyjskich mówią o względnem przeludnieniu niektórych okręgów państwa, o nadmiarze rąk roboczych po wsiach. Kowalewski przytacza na zasadzie źródeł urzędowych, że w r. 1894 liczono już 2,074,000 zbytecznych robotników we wsiach rosyjskich.

Schultze-Gaevereitz oblicza, że w Stanach Ameryki Północnej pod uprawą rolną jest 40 — w Rosyi zaś 60 milionów dziesięcin. Rolnictwem zajmuje się w Stanach Zednoczonych 25 — w Rosyi 75 milionów ludności i produkują wartość: w Ameryce 2 — 3 miliardów rubli, w Rosyi za 1 miliard rubli. Wydajność pracy robotnika rolnego w Ameryce jest 10 do 11 razy większa, niż robotnika rolnego w Rosyi, a na maszyny rolne wydają fermerzy Stanów Zjednoczonych 140, rolnicy rosyjscy 7,6 milionów rubli rocznie.

Rozkład obecnie istniejącej organizacyi własności ziemi we wsi wielkorosyjskiej może odebrać zajęcie i dach milionom, którym ani fabryka, ani miasto nie dostarczy zajęcia i tego dachu. „W pojęciach włościan tej gminy" — mówi jeden ze statystyków ziemskich — „nie mieści się całkiem, aby jakakolwiek inna forma władania ziemią była możliwa, jak wspólne władanie".

A pogląd ten podzielają nie sami tylko włościanie. „Utrzymać gminę" — mówi Nowikow — „jest to niewątpliwie skazać grunty włościańskie na wieczną bezpłodność; znieść ją — to rozwinąć proletaryat. Ale na Zachodzie proletaryat znajduje ujście w fabrykach, zakładach przemysłowych i kopalniach". Rozwój przemysłu w Rosyi jest sprawą dalekiej przyszłości, a proletaryat fabryczny nie jest też pożądany. „Prawda, że wobec ogólnego zbiednienia włościan, włościanin i na ziemi siedzący często bywa głodny czyli innemi słowami i na ziemi jest proletaryuszem"; ale ma swój dom i swój kawałek ziemi, którego każdy człowiek namiętnie pożąda. „Przy takim charakterze narodu czy może być pożądane pozbawienie masy ludzi ziemi, co jest nieuniknione przy usunięciu gminy? Czyja ręka podniesie się, aby spółdziałać pozbawieniu włościanina tego, co jest dla niego najdroższe: ziemi i domu? Pamiętam słowa jednego z naszych mądrych obywateli: „widzę złe strony gminy, nie widzę jej korzyści, ale znieść jej nigdybym się nie ośmielił". „Zniesienie miru" — przewidywał Samarin — „może napotkać na straszne przeszkody".

Z drugiej znów strony nie należy też zapominać, że, jeśli

w niektórych gminach wielkorosyjskich posiadanie *quasi* dziedziczne weszło z taką łatwością w obyczaj pod płaszczem podziału na wiecznie trwałe dusze rewizyjne, to odbyło się ono w pierwszych latach po r. 1861, kiedy żywe były jeszcze tradycye podziałów przy rewizyi, a więc jakby z polecenia władzy, i kiedy wieś wielkorosyjska była i mniej majątkowo zróżniczkowana i stosunkowo średnio zamożniejsza, kiedy wartość ziemi była mniejsza, a ciężary podatkowe większe. Różniczkowanie wsi rośnie z biegiem czasu, — ogół ubożeje i tendencye wzajemnego strugania wzrastają, a im mir trwać będzie dłużej, tem obyczaj strugania stanie się trwalszy, tem trudniej będzie dla samej ludności włościańskiej zrozumieć, że przepisy prawa r. 1861 o podziałach na zasadzie obyczajów miejscowych nie miały na myśli strugania, że struganie to jest obyczajem i dla ogółu i dla pojedyńczych włościan szkodliwym.

Losy miru – sądzi Kaczorowski — rozstrzygną się w ciągu 20 — 30 lat [1]); zdaje się jednak, że autor nasz jest w błędzie. W ewolucyi miru w ciągu pierwszej ćwierci XX wieku zajdą jeszcze dwa wypadki, których doniosłości i wpływu na ideę gminną dziś ocenić nie jest możliwe.

Najprzód zniesienie odpowiedzialności solidarnej za podatki i sumy wykupowe, która, jeśli poglądy na tę kwestyę, dziś w ministeryum skarbu panujące, zmianie nie ulegną, jest, jak to już niejednokrotnie wspomnieliśmy, kwestyą niedalekiej przyszłości. Poddaństwo usunięto w r. 1861; ze zniesieniem odpowiedzialności solidarnej za podatki, zniknie druga przyczyna, która wspólną własność wywołała. Zdawałoby się, że wraz z ustaniem przyczyn sam objaw zniknąćby powinien. Niema wątpliwości, że zniknie, nie wiadomo tylko, jak prędko, bo idee zaszczepione są, jak ciała w ruchu; posiadają — słusznie rozumuje Kaczorowski—siłę nabytą trwania. Przewaga proletaryatu w zebraniach gminnych i zamiar eksploatowania proletaryatu, związanego organizacyą miru ze strony miejscowych lichwiarzy, — w końcu instynkt strachu wobec niebezpieczeństwa utracenia domu i dachu, mogą utrzymać przy życiu mir, jak każdy objaw szczątkowy, jako przeżytek ekonomiczny nawet wtedy, gdy wszystkie logiczne jego przyczyny ustaną.

Rozwiązywać go siłą prawa — nie tylko niebezpiecznie — jak twierdził Samarin [2]), ale, co gorsza, bezskutecznie. Prawo o podzia-

---

[1]) Kaczorowski. 1 c. Wstęp, str. 6.

[2]) Zdanie Leroy Beaulieu 1 c., str. 586.

łach rodzinnych z r. 1886 pozostało martwą literą. Przepisy o porządku stosowania różnych środków egzekucyjnych nigdy ściśle stowane nie były; pomiędzy prawem a wykonaniem prawa w sferze włościańskiej leży przepaść.

Następnie w latach 1910/30 ukończy się spłata sum wykupowych: dochód czysty z ziemi włościańskiej odrazu znacznie się podniesie i przywiązanie do kawałka ziemi we włościaninie wzrośnie. Jeśli w tej epoce będzie aniołem, może nie będzie dążył do własności indywidualnej ziemi, jeśli zaś będzie człowiekiem, chęć zabezpieczenia sobie i swemu potomstwu możliwie całego rezultatu swej pracy — każe mu dążyć do zwalenia miru i przejścia do własności dziedzicznej. Być może, że pod tym naciskiem mir upadnie, być może tylko, bo sam fakt, na którym się to przypuszczenie opiera, może się nie ziści. W prasie rosyjskiej już dziś spotykamy opinię, że sumy wykupowe są właściwie podatkiem z ziemi i zniesione być nie mogą. Włościanin rosyjski — mówił niedawno półurzędowy organ ministeryum finansów[1]) — jest właściwie dzierżawcą skarbu. Faktem jest, że sumy wykupowe od r. 1887 włączone są do normalnego budżetu państwa, że wykreślenie ich sprawiłoby ubytek 80 do 90 milionów rubli rocznego dochodu w tym budżecie. Budżet państwa wzrósł od r. 1868 do 1901 z 481 do 1688 milionów, a obecny stan widnokręgu politycznego każe przypuszczać, że stoimy raczej przed epoką silnego podniesienia ciężarów podatkowych, aniżeli w przededniu ich zmniejszenia.

Dla nas nie może ulegać wątpliwości, że pod naciskiem wzrostu ludności, pod naciskiem coraz to bardziej zmniejszającej się przestrzeni nadziału i konieczności podniesienia kultury ziemi — mir — wspólne władanie ziemią we wsi wielkorosyjskiej z biegiem czasu, kiedyś, zniknąć musi. Inna kwestya, jak i kiedy zniknie, czy i o ile warunki obecne zniknięciu temu sprzyjają i o ile interwencya rządu bezpośrednia w tej sprawie byłaby pożądana i skuteczna.

VI.

„Jeśliby w rozwoju historycznym swego życia" —pisał w swo„im czasie Rostowcew — „społeczeństwo rosyjskie uczuło potrzebę

---

1) Bulletin Russe de statistique et de legislation. 1898 r., str. 53.

„podziału własności gminnej między pojedyńczych włościan, łatwo „będzie temu dopomódz. Wtedy, w danym momencie, wystarczy Naj- „wyższy ukaz, polecający, aby gmina grunty między pojedyńczych „członków swych podzieliła na dziedziczne użytkowanie” [1]).

Dziś kwestya ta nie wydaje się nikomu ani tak jasną, ani tak łatwą. Przeciwnie coraz więcej przeważa opinia Samarina, że zniesienie miru może spotkać poważne przeszkody; przedewszystkiem zaś coraz bardziej usprawiedliwionem staje się przekonanie, wypowiedziane w protokóle Komisyi redakcyjnej z d. 5 marca 1859 r. — zapisane na wniosek tego samego Rostowcewa, że „kwestya „miru” „musi być rozwiązana zgodnie ze szczególnymi warunkami każdej „danej miejscowości, i—o ile można—pozostawiona naturalnemu „biegowi rzeczy. W każdym razie należy się powstrzymać od dą- „żenia do rozwiązania tej kwestyi rozporządzeniami przymusowemi „rządu” [2]).

Poprzednio widzieliśmy, jak niedostateczne są, mimo całego swego ogromu, zebrane dotąd materyały statystyczne w sprawie istniejących w rzeczywistości form władania ziemią —wykazaliśmy, że najbardziej rozpowszechniona forma podziałów „na dusze rewizyjne” — jest „niewiadomą” — x, pod którem ukrywa się zarówno typowe gminne władanie ziemią z losowaniami, peryodycznymi podziałami i częściowem „zdejmowaniem i nakładaniem” ziemi, jak też i posiadanie bezterminowe, graniczące z własnością dziedziczną; przytoczyliśmy, że najsumienniejsi z badaczów gminy (Rusow i Kaczorowski) albo nie wyprowadzają „ostatecznego bilansu”, albo zupełnie milczą.

Dla zaradzenia temu brakowi danych ministeryum spraw wewnętrznych w r. 1894 zarządziło zwołanie w guberniach specyalnych Komisyi celem orzeczenia: czy i jakie reformy są pożądane w sprawie ustawodawstwa włościańskiego? W r. 1897 wydano trzy tomy otrzymanych od komisyi odpowiedzi, o których Brzeski twierdzi, że są opiniami gołosłownemi, pozbawionemi faktycznej podstawy, i z których Czyczeryn wyprowadza ten przedewszystkiem wniosek, że naczelnicy ziemscy (których zdania były podstawą opinii) są ze swych posad zadowoleni i uważają się za zbawców miru od wszelakiego rodzaju klęsk i nieszczęść [3]). W opiniach tych znajduje-

---

[1]) Patrz część II Ateneum. 1900, tom III. str. 155.

[2]) Skrebitzky. „Sprawa włościańska“, d. II. Cz. I, str. 516/7.

[3]) Ruski Przegląd ekonomiczny. 1897 i 8 r.: art. Brzeskiego. — „Gmina włościańska wedle najnowszych danych“. Str. 79. — St. Petersb. Wiadomości

my ścisłe odbicie przekonań władz prowincyonalnych w kwestyi „miru".

W przeważnej większości uważają one wspólne władanie ziemią za najlepszą możliwą formę własności ziemi włościańskiej, sądzą tylko, że należy ją w mniejszym lub większym stopniu poprawić. Taka jest opinia, przeważająca szczególniej w guberniach środkowych, przemysłowych i czarnoziemnych i w guberniach wschodnich. Zdania odmienne spotykamy tylko tam, gdzie — w pobliżu mórz Baltyckiego i Czarnego — albo w guberniach z ludnością mieszaną wielko — i małoruskiego szczepu, pojęcia o konieczności przejścia na własność dziedziczną wsiąknęły głębiej w umysły. Znamienną cechą tych odpowiedzi jest brak zgodności opinii o tem, jaką powinna być ogólna zasada podziałów. W guberniach północnych przeważa zdanie, że wybór zasady podziału powinien być pozostawiony w zupełności uznaniu gminy; komisya wołogodzka żąda przytem stanowczego usunięcia podziału na dusze rewizyjne, a komisye gubernii wschodnich mają nadzieję, że opieka naczelników ziemskich uchroni członków gminy od nadużyć. W guberniach przemysłowych przeważa opinia, że zasady powinny być stałe, ale gmina sama ma jedną z nich wybrać; w guberniach czarnoziemnych komisye żądają przeważnie zupełnej swobody dla gminy. Komisya kurska żąda stanowczego postanowienia, że podziały odbywać się muszą na męskie dusze obecne; komisya symbirska — uwzględnienia przy podziale kobiet.

Zauważymy tutaj, że komisya witebska, w której granicach istnieją gminy, posiadające ziemię we wspólnej własności, i gminy, posiadające ziemię we własności dziedzicznej, oświadczyła najwyraźniej, że różnica w dobrobycie tych gmin jest bardzo wyraźna na korzyść gmin dziedzicznych i że śród ludności, posiadającej ziemię we wspólnem władaniu, zjawiły się w ostatnich czasach silne tendencye przechodzenia na własność dziedziczną.

W kwestyi, czy i o ile zachodzi potrzeba wydania prawa, ułatwiającego przejście od własności wspólnej do własności dziedzicznej, ogół komisyi oświadczył się przeciw takiej reformie. Komisya gub. Archangielskiej uważa takie prawo za szkodliwe i bezcelowe — tegoż zdania są komisye gub. północnych z wyjątkiem petersburskiej, która jest za dozwoleniem przejścia na własność dziedziczną na

za rok 1897 Nr. 327. Art. Czyczerina: „Reforma prawodawstwa w kwestyi włościan.

mocy postanowienia, zapadłego prostą większością głosów. Wszystkie bez wyjątku komisye gubernii okręgu wschodniego są przeciw takiej reformie, tak samo i komisye gub. przemysłowych, które mniemają, że własność dziedziczna nie odpowiada „duchowi narodowemu" ludności — nosi w sobie zarody proletaryatu. Toż zdanie podzielają bez wyjątku komisye gub. centralnych czarnoziemnych, które sądzą, że forma obecna jest lepsza, a własność dziedziczna nie wytwarza bynajmniej warunków, podnoszących dobrobyt włościanina. Komisya tulska uważałaby nawet za właściwe znieść przepis, dozwalający przejście na własność dziedziczną większością $^{2}/_{3}$ głosów zgromadzenia gminnego. Komisye astrachańska i taurydzka są za zachowaniem gminnej własności ziemi; komisya chersońska jest za reformą, którąby ulegalizowała istniejący *de facto* stan własności ziemskiej „gminno-dziedzicznej", przy którym rola, ogrody i winnice są własnością prywatną, a wygony, pastwiska i lasy we własności wspólnej. Forma ta istnieje prawie w całej gubernii. Tę samą opinię wyraziła komisya czernihowska, w której, jak wiemy, własność indywidualna—kozacka— graniczy i miesza się z organizacyą wielkorosyjską.

Ogół opinii publicznej w Rosyi — bez wątpienia jest za utrzymaniem wspólnego władania ziemią. To samo wrażenie wyniósł ze swej podróży i Schultze-Gaevernitz, a charakterystyczny jest fakt, że, kiedy w d. 21 listopada r. 1897 w „Zebraniu ekonomistów" Nikolski czytał przytoczony przez nas wyżej w skróceniu referat o stanowisku jednostki w gminie,—większość zebranych ekonomistów wyraziła zdanie, że nauka nie dostarcza dostatecznych faktów dla usunięcia wspólnego władania ziemią, że gmina w epoce po roku 1861 była postawiona w najgorsze warunki, i że, jeśli i tę próbę wytrzymała, to obecnie usuwać tę „prastarą komórkę państwowości" niema zasady.

Indywiduum, mówią obrońcy tego poglądu, z trudnością w dzisiejszych warunkach może praw swych bronić, wyręcza go w tem gmina, działa łatwiej i skuteczniej. Przy obecnym stanie kultury we wsi rosyjskiej tylko gmina broni włościanina od nędzy, braku dachu nad głową i śmierci głodowej. Ona mu daje możność pracowania na roli bez kapitału, i dlatego jeszcze nie pora rozporządzeniami prawa ułatwiać czy przyśpieszać rozkład i upadek gminy. Wszelkie reformy powinny być odłożone.

Obok tego kierunku, dążącego wyraźnie, czy niewyraźnie, do zachowania własności wspólnej na czas nieograniczony, bez żadnych zmian lub ze zmianami bardzo, drobnemi, istnieje kierunek drugi li-

czący się więcej z rzeczywistością. Nie tai on, że mir rozkłada się; sądzi nawet, że bez życzliwego współdziałania władzy i szkoły upaść może, widzi, że częste podziały peryodyczne są z postępem rolnictwa niezgodne, ale wiara jego w zasadę gminną jest tak wielka, że radby zaprowadzić wspólną własność ziemską nawet w tych guberniach, gdzie jej dotąd niema.

Szkoła ta (Kawelin) obrabia poważnie projekty reform prawodawczych, mających ułatwić podniesienie kultury rolnej we wsi rosyjskiej przy zachowaniu podstawowych zasad miru: wspólnej własności ziemi i równości posiadanych nadziałów.

Jeden z takich projektów, opatrzony aprobatą Kawelina, spotykamy w cytowanej już nieraz książce Iwaniukowa: treść jego wyraża się w następujących 5 zasadach [1]).

1) Ziemia gminna stanowi wieczną i nienaruszoną własność gromady, której ani sprzedać, ani zastawić niewolno; nie może być więc sprzedana na pokrycie ani niedoborów podatkowych, ani długów prywatnych.

2) Ziemia ta oddaną zostaje w bezterminowe (ale nie wieczne) dziedziczne używanie indywidualne, w równych działach, i nie może być wypuszczana ani w czasową, ani w wieczystą dzierżawę.

3) Nikt niema prawa użytkować z więcej, niż jednego działu, nie tylko w jednej ale i w różnych gminach, a jeśli gminę opuszcza, może swe prawo do ziemi ustąpić nie inaczej, jak za zgodą gromady.

4) Ziemia i osady opuszczone przechodzą w rozporządzenie gromady;

5) Podziały peryodyczne ziemi znoszą się zupełnie, ale, za zgodą większości, dopuszcza się nowy podział wszystkich gruntów, nowe wyznaczenie działów, ze zmniejszeniem ich lub zwiększeniem i zaprowadzenie nowego systemu gospodarczego — z zastrzeżeniem wynagrodzenia za niepokryte nakłady, jeśli nowy dział będzie lepszy lub gorszy.

Nie możemy tu wchodzić w szczegółową ocenę pierwszych 4 punktów tego programu, których jedynym praktycznym rezultatem byłoby zatamowanie kredytu dla włościan i obniżenie wartości ziemi włościańskiej. Są ekonomiści, którzy, wychodząc z zasady, że „chłop jest głupi i będzie głupi", uważają takie przepisy za pożyteczne. Środek ciężkości całego programu spoczywa

---

[1]) Iwaniukow. l. c., str 183 — 189.

w punkcie 5-ym, dotyczącym podziałów gruntami, tego zasadniczego jądra mirskiej własności ziemi. Jeśli tylko zebranie gminne będzie miało prawo w terminach określonych lub nieokreślonych większością prostą, lub 2/3 — zmieniać, zmniejszać, odbierać grunty włościańskie, to nawet, gdyby sprawy o wynagrodzenie za melioracye rolne oddane zostały do kompetencyi sądów zwyczajnych (a nie zebrania gminnego lub sądów włości) włościanin rosyjski nie będzie się czuł nigdy „dziedzicem", „właścicielem", „panem" tej ziemi, którą obrabia, — nie będzie nigdy do niej dość przywiązany, aby z najwyższą możliwą starannością kłaść w nią swą pracę i dążyć do podniesienia jej wydajności.

Nie należy także przypuszczać, aby „skrajna lewica" — „przeciwnicy miru" — żądała jego zniesienia „ukazem", jak to przewidywał Rostowcew. Zdaniem tego kierunku, miał racyę i Haxthausen, i sławianofile, i hr. Kisielew, twierdząc, że „wspólna własność ziemi jest przeszkodą dla postępów rolnictwa", mylili się tylko w tem, „że jest ona środkiem stanowczym przeciw sproletaryzowaniu ludności wiejskiej". Dziś, gdy fakty dowodzą, że jest przeciwnie, wspólna własność ziemska traci racyę bytu i powinna być usunięta, tem więcej, że o wspólnej własności ziemi, jako prastarej własności narodu rosyjskiego, jako o drogocennej spuściźnie przodków, komórce państwowości, mogą mówić tylko ci, którzy historyi nie znają lub znać nie chcą.

Co do sposobów zaś jej usunięcia to głowa tego kierunku B. Czyczeryn mówi [1]): „sądzimy, że, im mniej robić będzie prawodawca, „tem lepiej. Kiedy wszystko zupełnie leży we mgle i niema nawet „odpowiednich organów dla działania — niebezpiecznie rozpoczynać „taką zawiłą sprawę. Konieczne jest tylko ustalenie tych zasadniczych podstaw, bez których niemożliwym jest jakikolwiek po„rządek cywilny. Do rzędu takich podstaw należy przedewszyst„kiem uznanie, że to, co człowiek kupił za swoje pieniądze, nie może „mu być odebrane. Paragraf 36 ogólnych przepisów o włościanach „powinien być wykonany. Dopóki tego nie zrobiono, niema co mó„wić o reszcie: szkoda słów i czasu. Pożądane jest także, aby zby„wanie nadziałów obcym szło na zatwierdzenie zebrań powiatowych „(naczelników ziemskich) nie dla zabezpieczenia praw gminy lub „całego stanu włościańskiego, ale dla zabezpieczenia praw rodziny, „której interesy mogą być poświęcone wskutek lekkomyślnej sprze-

---

[1]) St. Pet. Wiedomosti rok 1897. 30 listopada Nr. 327. i 8. Artykuł — Reforma prawodawstwa o włościanach.

„daży. Inne ograniczenia powinny być zniesione. Nakoniec § 165 „o wykupie powinien być przywrócony do dawnej siły, gdyż tylko „ten paragraf otwiera prawidłowe wyjście z istniejącego chaosu. „Jeśli Komisya, ustanowiona w celu zaprojektowania reformy praw „włościańskich, potrafi przeprowadzić te zmiany, wyrządzi ona pra„wdziwą usługę krajowi. Sprawa nabierze przynajmniej właściwe„go kierunku; resztę można pozostawić dalszemu biegowi życia".

Nie poczuwamy się do obowiązku przepowiadania, który z tych trzech kierunków weźmie przewagę w sferach prawodawczyczych. W sprawie tak zawiłej i tak doniosłej decyzya może nie prędko nastąpić, a oczekiwane w niedalekiej przyszłości zniesienie odpowiedzialności solidarnej za podatki — może w stosunkach włościańskich wywołać nowe tendencye, z któremi też prawodawca liczyć się będzie musiał. Nim zaś te tendencye przejawią się z należytą siłą, nim rezultaty ich zostaną należycie stwierdzone i zbadane, może już nadejdzie czas, w którym rozstrzygnie się kwestya, czy wykup jest wykupem, czynszem, czy podatkiem? a decyzya w tej sprawie dziś przewidziana być nie może. Nakoniec nadejdzie może chwila, w której zabiorą w tej sprawie głos i sami zainteresowani, t. j. ziemstwa i włościanie. Jak mało dotąd ten głos szanowano, dowodzi stanowisko Woroncewa wobec kwestyi nawożenia— a głos ten może dać opinię sprzeczną z tem, co dziś za opinię ogółu w literaturze naukowej się uważa.

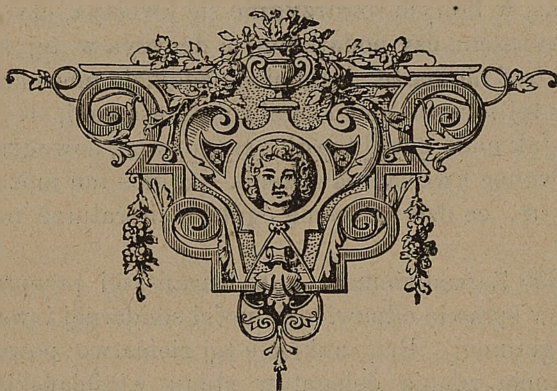
W r. 1899 Zarząd ziemski gub. Kazańskiej przeprowadził rodzaj ankiety w sprawie odpowiedzialności solidarnej i wspólnej własności ziemi gminnej. Przy ankiecie tej ziemstwo powiatu kazańskiego zasięgnęło zdania delegatów stanu włościańskiego, którzy wyrazili opinię, że zachowanie dalsze wspólnej własności ziemi jest niepożądane: nadziały są obecnie za małe, aby z nich można rodzinę wyżywić, a z wzrostem ludności nadziały te będą jeszcze mniejsze; zła uprawa i nieurodzaje obniżają dochód, wspólna zaś własność, nie zabezpieczając od biedy, jest tylko przeszkodą dla zapobiegliwych gospodarzy do powiększenia ich gruntów; odpowiedzialność solidarna jeszcze bardziej powiększa złe skutki wspólnego władania ziemią — zachęca do próżniactwa i podkopuje dobrobyt ogółu. Do opinii tej zainteresowanych przyłączyło się i zebranie ziemskie powiatu kazańskiego; wyraziło ono zdanie, że zniesienie wspólnej własności ziemi w gminie byłoby pożądane — pozostałe jednak powiaty gubernii, podzielając zdanie o szkodliwości odpowiedzialności solidarnej za podatki, wyraziły co do wspólnej własności ziemskiej zdania inne, uważając tę kwestyę za przedwczesną (ziemstwa Jadryńskie, Łaiszewskie i Swiażskie), która rozwiąże się sama

przez się (ziemstwa Czystopolskie, Spaskie, Czeboksarskie, Koźmodemiańskie), albo też sądziły, że wspólne władanie ziemią jest „rękojmią moralności i rozwoju ekonomicznego włościan" (ziemstwo powiatu Tietiuszskiego) [1]).

Czem można — nie usprawiedliwić — ale wytłómaczyć ten ostatni pogląd? Tylko przytoczonem przez nas na początku naszej pracy zdaniem Spencera, że „uprzedzenia polityczne najwięcej po uprzedzeniu stanowem wpływają na spaczenie poglądów socyologicznych".

St. Piotrowski.

K O N I E C.



[1]) Ruski przegląd ekonomiczny, r. 1900. Zesz. 4, st. 80—99. Fizyokrat — „Nowe prądy ziemskiej myśli w kwestyi włościańskiej".

MŁOTY.

W oddali była kuźnia, w której nieustanne
Młoty biły. Zaledwie zabłysną poranne
Gwiazdy, zaledwie niebo na siebie pas złoty
Weźmie — już z kuźni onej dolatują grzmoty
I biją głucho, biją strasznie, biją dzień cały!...

Rzuciłem wzrok—gdzieś w przestrzeń... Cicho się rozwinął
Gościniec—nie ten, który ma wyjrzeć z ukrycia
Przyszłości, lecz ten, który w mgłach dalekich zginął
I wraz z sobą pochłonął wielki odłam życia,
Pragnienie szczęścia, orle loty, miłości szały!

I oto przez otwarte wspomnień wielkie wrota,
Ciszą blasków miesięcznych spłynęła Tęsknota —
Pieściwe dłonie swoje na skroń mą układła,
Usunęła się do stop i u nóg usiadła,
Niby kochanka, która przyszła koić ból głuchy.

Zapach fiołków wbiegł za nią i wionął tchem wiosny—
Chwyciłem uśmiech jakiś, szept jakiś miłosny...—
Dech tak lekki, a skruszył wosk każdej pieczęci!..
Wszystkie róże stulistne rozkwitły w pamięci,
Każda umarła fala gra, drży każdy liść suchy!...

Umarła fala! suchy liść! zczerniałe złoto
Czary, niedopełnionej winem... O, Tęsknoto—
Coraz więcej uczuwam ciężar twojej dłoni,
Pierś mi gnieciesz, uścisków obręcz mam na skroni,
Na ustach gorycz, głaz na piersi i jęku prawo — —

A przywitałem ciebie, jak drogiego posła —
Lecz, niosąc ukojenie, Żal razem-ś przyniosła,
Za żalem Ból pociągnął — i oto na progu
Stanął Bunt przeciw sobie, i światu, i Bogu
Za słońca zgasłe, gwiazdy zgasłe, za tę pierś krwawą!...

Wszystko miałem—i wszystko rzuciłem u stopni .
Ołtarza, ku któremu... wyznawcy roztropni
Idą z serca połową, wierni, pół niewierni...
Bo ten ołtarz ma kwiaty, od których się czerni,
I dym z kadzielnic, które niosą słabym—śmierć pewną.

Zapatrzony w to bóstwo, omijałem wrota,
Za któremi się kłaniał dumny bałwan złota;
Chylące się w ramiona rozrywałem wieńce,
Co biegły do stóp moich i plątały ręce...
I, kwiatów cichy płacz słyszałem, skargę ich rzewną——

I mówili kapłani tej wielkiej świątyni:
— „Co uczynisz, z nas każdy to samo uczyni: — —
Z ust swoich zwiejesz uśmiech—nie dojrzysz uśmiechów
Na wargach naszych, własnych zaprzem się oddechów...
Bo kościół święty, bóstwo piękne, stróżów nie stało!"

I gdy u wrót stanąłem, jako stróż bezsenny,
Gdy u progu kościoła mnie zastał świt dzienny—
Oni, widząc, że stoję, jak żóraw na czatach,
Uśmiech mieli na licach, a róże na szatach...
A kościół święty, bóstwo piękne, strażników mało!...

Wszystko, co moje było: czar życia nie marny,
Sny, mogące się spełnić—wziął ten dom ofiarny;
Wizyę marzeń młodzieńczych, nieśmiertelne dzieło
Twórczości ducha mego — owo bóstwo wzięło...
I oto dzisiaj z pustką w sercu samotny stoję.

I, gdy inni w dal życia szli drogą okolną,
Mnie zboczyć dla nabrania tchu—nie było wolno...
Gdy inni kwiat różany rwali na uboczu,
Na mnie tysiąc patrzało nieruchomych oczu...
I tak minęło moje życie i szczęście moje.

Między słowem a czynem nie było rozdziału —
A świat kłamał i skarby zdobywał pomału,
Siadał do uczty życia, i — gdy był już syty,
Dał się słońcu ogrzewać... i głaskał błękity,
Pytając szeptem, czy z nich czasem piorun nie strzeli?

A ołtarz stał samotny!... I rwały się we mnie
Dusze wszystkich umarłych, i pożar szedł ze mnie,
I palił.. tylko serce moje, mózg mój palił — —
I dzisiaj — otom usta krwią własną skoralił,
I już nie blednę, choć słyszę szum głuchy topieli.

Bunt podnoszę!... Druzgoczę szczytnych myśli koło,
Co mi wieniec żelazny włożyły na czoło —
Łamię pieczęć milczenia, zrywam maskę chłodu,
Pierś odkrywam, ryczącą z boleści i... głodu,
I depcę prawa, które murem kamiennym stoją —

Precz, dumo! coś mej piersi dała twardość głazu,
Honorze! któryś czoła nie schylił ni razu,
Cnoto! co słońca szukać kazałaś w noc ciemną — —
Wesołe tłumy przeszły w wieńcach róż pode mną,
A ja zostałem bez szat żadnych z tą cnotą swoją!—

Uczty! uczty! za wszystkie lata nędz i głodu —
Płomieni! coby góry roztopiły lodu —
Śmiechu! któryby echa ziemi całej strudził —
Kłamstw tak wielkich, by posąg Prawdy się obudził,
Otworzył oczy—wstał—dźwignął się... i runął trupem!...

Odezwijcie się, skały, doliny i gaje,
Śpiewem Nimf!... Wzdętą piersią niech fala znak daje!...
Grzmijcie w trąby, Trytony! a gdy noc się spłoszy,
Z bryzgu fal wyjdzie naga bogini rozkoszy
I niewolnicą moją będzie i moim łupem.

Uczty! uczty!... upojeń niezmiernych, dozgonnych,
Róż! pieśni! i uścisku ciał jędrnych i wonnych —
W dzwon orgii Szał niech zagrzmi, bicz skręci z złotorun,
Błyskawicą uderzy, zabije, jak piorun,
I pierś opasze pręgą złotą milion razy! —

A gdy ostatnia kropla krwi już się przepali,
Skąsane usta zgasną na ustach z korali —
Gdy z puharu leniwie łza winna upadnie,
Obłędem oczy spojrzą pijane szkaradnie:
Wypity, pusty puhar życia cisnąć o głazy!

Kto mi wzbroni własnego żywota być panem?...
Ołtarz mój?!... Byłem przy nim pół wieku kapłanem —
Święcenie zrzucam dzisiaj!... Może mnie zatrzyma
Płacz jakiś, bóstwo spojrzy blademi oczyma
I zbudzi w duszy mojej pieśni dawnej hejnały?...

Nie wolnoż skonać nawet?... Cisza!... Straszliwego
Czynu świadków nie będzie... ludzie nie dostrzegą...
A Bóg... Pytanie! .. Szara mgła oczy zaciemia — —
Błysk!... Chwila jedna!..—Co to?..—Grzmią młoty z podziemia
I biją głucho, biją strasznie, biją... dzień cały!...

Kazimierz Gliński.



ŻYCIE I MARZENIE,

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA*).



W tem miejscu, korzystając z chwili przerwy, hrabina wstała i przeszła do salonu, czując, że cała ta dysputa oraz sposób jej prowadzenia jest poniekąd uchybieniem jej i zasadom towarzysko-salonowym, jeżeli nie zasadom tak zwanego dobrego wychowania.

„Profesor — myślała — taka wybitna postać, a jednak"...

Ale to ubolewanie nad profesorem przerwał jej widok Maryni: odwrócona ku drzwiom od fortepianu, przy którym siedziały obie z Maniusią, wyglądała, jak posąg zasłuchania i zdumienia—obok posągu wesołej rezygnacyi. Przy wejściu stryjenki zmieszała się widocznie i, jakby czekając na jej słowa, zamiast do nut, na nią zwróciła oczy.

— Czemu nie gracie? Możeby się przerwała ta aż do głupoty przemądrzała rozmowa? — zakończyła, zniżając trochę głos, pani Jesiołowska.

Po chwili milczenia, nie zauważywszy nawet manifestacyi hrabiny ani też znudzenia na twarzy Turowickiego, który pogrążył się w przyglądanie się nożowi do rozcinania kartek, nie zadawszy sobie pytania, czy milczenie profesora nie jest wyrazem niechęci do pod-

*) Ob. „Ateneum", styczeń, — kwiecień 1901 r.

trzymywania rozmowy lub nawet poprostu oszczędzaniem go przed chlebodawcami, Mirecki zaczął znów:

— Albo naprzykład...

Tu jednak z pod czterech skonfederowanych rączek panieńskich wypadły silne akordy. Przez chwilę dalszy ciąg myśli walczył w duszy Mireckiego z falami dźwięków — i znikł. Po namiętnej i dziwacznej mierze łatwo było poznać czardasz, i w oczach mu stanęła para taneczna, to mówiąc dzikim wdziękiem jakby skradających się miękkich ruchów o rozmarzeniu serca, to znów zmysłom pozwalając szaleć w warze bystrych i gwałtownych rzutów. Po pierwszym czardaszu poszedł drugi, jeszcze bardziej rozmarzony i namiętny. Wzięła Mireckiego wielka chęć dowiedzenia się, czyje to, ale, postąpiwszy krok ku drzwiom, zatrzymał się. Uczuł się znów onieśmielonym, zdało mu się niepodobieństwem nie tylko zapytać te panny o tytuł leżących przed niemi nut, lecz nawet wejść do tej olbrzymiej sali, której ściany blado się różowiły w jego oczach, oświetlone dwoma pękami świec w kandelabrach, co stały na kolumnach, ustawionych po obu stronach na połowie długości. Odsunięty od ściany fortepian, przy którym jeszcze cztery paliły się świece, stał po prawej stronie sali tak, że bokiem tykał linii prostej od kolumny z kandelabrem do drzwi saloniku błękitnego.

Mirecki stanął nieruchomo i patrzał. Jak w muzyce rozpuściły mu się myśli o Spinozie, tak ową parę, w wyobraźni jego tańczącą, błaganie i szał kochania wygnał widok grających: wysoka i ciemnowłosa Marynia wzięła niby miejsce junactwa i namiętności, a jasnowłosa drobna Maniusia — rozmarzenia i wdzięku. Z pod upiętych do góry włosów widać było, jakby za mgłą lekką, wytworne linie karków i sylwetki torsów dziewiczych, pochylających się co chwila ledwo znacznie to wprawo, to wlewo. U dołu wdzięcznie się drapowały biała sukienka Maryni i niebieska Maniusi. Piękne sylwetki główek, jakby w aureoli owej mgiełki świetlnej, z lekka się niekiedy pochylały naprzód. Między ramionami migały co chwila rączki, których wytworność i piękność czuł Mirecki z zupełną wyraźnością. Zapomniał on powoli o niedostępności tego salonu i już tylko przez inercyę progu nie przestępował.

Nagle muzyka skończyła się, i panny, jak na komendę wstały. Ruch podnoszenia się sylwetki ich w profilu, zamykające zeszyt nut rączki Maniusi, z których lewa, przesuwając się mimo światła, błysnęła na mgnienie różowością, wreszcie zwracające się i idące ku niemu jakby wniebowzięte w owej mgle świetlnej postacie — wszystko to wpijało się kolejno w oczy i duszę Mireckiego.

Ustąpił im z drogi, nie śmiąc nawet powiedzieć: „dziękuję”.

— Dziękujemy bardzo, bardzo — rzekł jakby za niego też profesor. Dziękujemy za już, a prosimy o jeszcze, przepraszając zarazem za natręctwo.

— Maniusiu — odezwał się Jesiołowski do kłaniającej się wdzięcznem pochyleniem główki wraz z Marynią —możebyś zaśpiewała co dla rozmaitości, ot choćby tę nową piosnkę...

— Elegię Masseneta, papo?

— Czy to ta sama, na której pana kiedyś przyłapałem? — zapytał Mireckiego profesor, a zrozumiawszy jego zaczerwienienie się, jako potwierdzenie, zwrócił się do Maniusi, jakby kończąc to samo zdanie:

— To bardzo ładne. Niech pani zaśpiewa.

— Na prośbę pana profesora uczyniłabym wszystko — odrzekła Maniusia głosem bardzo dźwięcznym i miłym — ale od dwu dni mam chrypkę.

Rączką przedziwnie malutką i piękną pokazała na gardło i zaczęła pokaszliwać bardzo zabawnie na dowód prawdy swoich słów.

Nagle odjęła swoją rączką dziecinną od gardła i wskazała nią Mireckiego, jakby go przedstawiając:

— Ale pan Mirecki może to zaśpiewać.

I, zwróciwszy się szybko do niego, wskazując kolejno Marynię i siebie, zaczęła szybko:

— Ma pan dwie akompaniatorki do wyboru...

W tej chwili mimochodem spojrzała na matkę, która powoli weszła za paniami, i, odgadując jej tak często powtarzaną uwagę: „zadużo gestów”, — szybko opuściła rączkę, której ruchy niesłychanie wdzięczne, jak urzeczony, śledził Mirecki pomimo przerażenia, jakiem go napełnił ten zwrot do niego.

— Ale radzę panu — mówiła dalej Maniusia, wybrać mnie — tu znów wskazała na siebie — bo Marynia będzie grała, jak sama chce, a ja będę się stosowała do pana.

— Ależ, proszę pani — zaczął się jąkać zmieszany Mirecki.

— Niech pan będzie łaskaw — wycedziła z łaskawą obojętnością hrabina.

— Nie wiedziałem, że pan też śpiewa — wtrącił wymijająco Jesiołowski.

— Ależ bynajmniej... czasem w gronie kolegów...

— To niech się panu wydaje, że to w gronie kolegów, i chodźmy — zadecydowała Maniusia, pewna, że wszystko jedno, nauka moralna jej już nie minie. I poszła naprawdę ku fortepianowi,

a Mirecki za nią, choć dobrze czuł, że iść nie trzeba. Sala kręciła mu się w oczach, w uszach szumiało. Nie widział już nawet pięknego profilu Maniusi i rysunku uczesania prześlicznych jej włosów. Zdawało mu się, że oddałby Bóg wie co, byleby śpiewem wzruszyć... Potem gotów byłby dać jeszcze więcej, byleby się choć tylko nie ośmieszyć, co stało się wnet jedyną myślą jego. Czując, że trzeba się cofnąć zarazem, słuchał z coraz większem drżeniem powolnie spadających dźwięków przygrywki. Zaczął, ale własny głos do reszty go przeraził: nigdy jeszcze nie brzmiał tak sucho i bezbarwnie; a i samo to pierwsze: „o—o—o!" zdało mu się nagle czemś zawstydzająco idyotycznem i muzycznie, i poetycznie. Zapomniawszy o zapewnieniu akompaniatorki i charakterze wtóru właśnie tam, gdzie trzeba było śpiewać prędko, zwlekał, jakby czekając na akompaniament, i zamazywał synkopy; kiedy zaś, dostrzegłszy to, Maniusia chciała go prowadzić, dał się parę razy wyprzedzić tam, gdzie, jak sobie przypomniał, należało zwolnić tempa. Wreszcie wyrzucał nuty z jedną tylko myślą w męce: „żebyż prędzej koniec!"

Skończyło się nareszcie. Śpiew własny zdał mu się czemś tak potwornie śmiesznem, że nie próbował nawet tłómaczyć się brakiem chwilowym głosu czy usposobienia.

Maniusia długo układała nuty: oczywiście tłumiła śmiech pusty, po którym, kiedy się odwróciła, został jeszcze na twarzy ślad w postaci zwykłego uśmiechu. To też ani słowa nie odpowiedział hrabinie na jej:

— Pan ma bardzo miły głos.

Udał też, po powrocie do błękitnego saloniku, że nie słyszy nawiasem wstawionego do rozmowy z profesorem frazesu:

— Bardzo panu dziękujemy.

Postał chwilę przy oknie, patrząc, a ledwo widząc całe pięknie ugrupowane towarzystwo, i nagle uczuł, że mu tu nieznośnie przykro i obco, i ruszył tak gwałtownie ku Jesiołowskim, że aż wszyscy ze zdziwieniem zwrócili nań oczy. Skłonił się szybko paniom, nie patrząc na nie, i, uścisnąwszy trochę mniej niedbale podaną dłoń Jesiołowskiego, potem profesora i Turowickiego, uciekł do siebie.

— Pocom ja tam polazł? — przemawiał drogą sam do siebie— żeby się pochwalić przed profesorem, że mi wolno, czy co?

Szalał ze wstydu.

— Gdyby mnie samemu kto tak zaśpiewał — zaciskając pięści, jakby z groźbą monologował dalej już w swoim pokoju — za drzwiamiby kończył. Pies szanujący się nie szczeknąłby na takie zaproszenie, a ja przy profesorze i przy tych paniach...

Znużony wstydem tak znużył się do reszty urąganiem sobie samemu, że padł na kanapę i zamknął oczy, usiłując myśleć o czem innem. Ale przykre te pomimo swej błahości przypomnienia przerywały co chwila tamy z innych myśli, znów kłębiąc się wstrętnie w świadomości. Nie utrzymało się rozpamiętywanie ostatniej dysputy z profesorem ani zadanie geometryczne, na którego rozwiązanie graficzne w wyobraźni wysilał się nadaremno, bo figury paczyły się i linie łamały. Wreszcie zaczął z całem natężeniem zezować pod opuszczonemi powiekami, żeby nie myśleć wcale, ale uczucie niewypowiedzianej, choć pozornie całkiem bezmyślnej, bezświadomej przykrości okazało się lekarstwem gorszem od choroby. Zerwał się więc nagle i zaczął głośno deklamować „Pieśń Wajdeloty". Potem, jak faszyna dla wypełnienia jakiegoś rowu, poszła druga, wreszcie przyszła mu myśl sprawdzenia swojej pamięci „powieścią Wajdeloty": ucieszyło go to, że ją, jak w ósmym roku życia, pamiętał. Orzeźwiła go znacznie powieść, a już „Ballada" mistrza do reszty stłumiła dawny nastrój, wytwarzając nowy.

Nagłe spostrzegł, że blask księżyca aż zbladł na podłodze pokoju z wysiłku walki ze światłem lampy, zgasił więc ją z uczuciem człowieka, zwycięsko stojącego po stronie sprawiedliwości, i znów otworzył okno, jakby bramę dla tryumfatora. Po chwili przyszła myśl:

„Czy naprawdę głos i poczucie muzyczne są we mnie z drzewa? Czy naprawdę nie potrafiłbym zaśpiewać znośnie tej Elegii głupiej? Czy zresztą naprawdę jest ona taka głupia? Tyle razy się ją śpiewało, i zawsze się zdawała czemś bardzo miłem i smutnem, choć może nieco jednostajnem.

W wyobraźni zabrzmiały mu dźwięki przygrywki i mimowoli wyrwały się z gardła owe trzy pierwsze nutki melodyi. „O—o—o" przecie to prawie łkanie!

Powtórzył drugi i trzeci raz, z wysiłkiem się wsłuchując w echo własnej duszy, tak, jak dziecko, co rzuca w bór tajemniczy krzyk to przeciągły, to urwany.

„*O doux printemps d'autrefois* — to wyładowanie tchu w słowach, śpieszących uprzedzić płacz, który go dla siebie w płucach skupił. Dalej już rozpacz, ujęta w karby pierwszych słów, bez walki daje obok siebie miejsce myślom i obrazom: pierś nie przeładowana nienaturalnie tchem, i łatwiej jest panować nad konwulsyjnymi kurczami mięśni oddechowych, więc idzie frazes w zwykłem tempie. Ale skupione wczucie się w słowa: „*vous avez fui pour toujours*" targnęło głosem, który omal się nie łamie na ostatnim wyrazie. I znów

głęboki oddech jeszcze szybciej, niż w pierwszym frazesie, wypada z piersi rozpaczliwem: „*je ne vois plus le ciel bleu*", i po momencie w tempie płyną jeszcze bardziej, niż w trzecim frazesie, powolne i skupione dźwięki. „*En emportant mon bonheur:* tu jakiś gwałt i zapamiętanie się; „*O bien aimé!*"—w tem taki bolesny wyrzut—zdrajcy czy cieniowi? — że sił do panowania nad sobą na kilka słów zaledwo przez inercyę starczy, i już na wyrazach: „*en vain revient le printemps* — raz poraz rwie się melodya łkaniem coraz wyraźniejszem i o spadku głosu coraz naglejszym i gwałtowniejszym...

XI.

Poprawiając się przed księżycem z niepowodzenia w salonie ani myślał Mirecki, że tam właśnie przed godziną zaledwo rozstrzygały się jego losy.

— Bardzo wykształcony, ale też bardzo rozstrzelony umysł — odezwał się Jesiołowski do profesora, kiedy panny znowu wróciły do fortepianu. Mówię o panu Mireckim. Jak profesor myśli, czy to nie jest wadą w pedagogii?

Profesor zrozumiał odrazu i całą retoryczność tego pytania, i całą jego doniosłość, ale odpowiedział zupełnie przedmiotowo.

— Znam oddawna tego chłopaka i wyznam, że go studyuję. Otóż, widzi hrabia, rozstrzelenie tego umysłu jest tylko pozorne, w gruncie zaś rzeczy cechą, w nim dominującą, jest właśnie, jak mnie się zdaje, potrzeba sprowadzenia wszystkiego do jednego mianownika, uogólnienia. Wnoszę to stąd, że różne strony duszy są w nim niby jakieś jeziora, prądem podziemnym złączone: rzuć coś do jednego — w drugiem wypłynie. Umysł to oczywiście, co sam siebie jeszcze nie opanował: dużo w nim chaosu.

— Profesorze, całą duszą piszę się na twoje określenie, dlatego też właśnie...

— Co się tycze jego, jako pedagoga — ciągnął dalej profesor, poczekawszy chwilę na gramatyczny koniec całkiem skończonego logicznie frazesu — to, jak hrabia wie, miałem o nim dotychczas jaknajlepsze wyobrażenie. Zapewne, dziecko z nauczycielem muszą się dobrać: czasem nauczyciel, doskonały dla ucznia gwałtownika lub nadzwyczaj bystrego, będzie niewłaściwy dla nieśmiałego i cichego lub mało zdolnego oraz odwrotnie. O jednem więc tylko jeszcze wypada mi zapewnić hrabiego, że chłopak to bezwzględnie uczciwy i przejęty przekonaniem, iż własny jego interes materyalny jest ni-

czem wobec duchowego interesu ucznia, gdyby więc tylko hrabia dostrzegł, że ta para się nie dobrała...

— Ale cóż znów, profesorze kochany! Mówię o tem z tobą, profesorze, jako z człowiekiem, w którego sąd wierzę nie tylko najbardziej, lecz wierzę bezwzględnie...

— Nie śmiałbym żadną miarą wziąć na siebie odpowiedzialności...

— Mówię o tem—przerwał mu Jesiołowski, by skończyć myśl swoją — dlatego, że mając jednego tylko syna, już sami nie wiemy, jak myśleć o jego wychowaniu i wykształceniu. Ale o ujmie jakiejkolwiek interesowi materyalnemu pana Mireckiego nawetby mowy być w żadnym razie nie mogło. Odłożywszy nabok politykę, powiem już otwarcie, że zacząłem tak zdaleka, bo chciałem cię, drogi profesorze, poprostu wyzyskać, znając twoją dobroć.

— Każde słowo szanownego pana profesora jest dla nas pewnikiem — wtrąciła hrabina, widząc zakłopotanie męża.

— Marzyliśmy poprostu—skończył nagle, znalazłszy pomysł— żeby cię, profesorze drogi, prosić o odwiedzenie klasy podczas lekcyi.

— Ach tak, tak, to uważalibyśmy dla siebie za prawdziwe dobrodziejstwo...

— Nie, proszę pani — odparł niby grzecznie, ale zupełnie stanowczo profesor. — Gdyby państwo mieli jakieś wątpliwości co do pana Mireckiego, chętniebym go poprosił w dyskrecyi, żeby się wymówił jakiemi sprawami familijnemi i wyjechał...

— Ależ, profesorze kochany! — pochwycił go za rękę Jesiołowski.

— *Mais comme vous y allez, monsieur le professeur!* — aż po francusku przez roztargnienie zawołała hrabina z najsłodszym uśmiechem i zarazem z myślą, że oto taki nawet mędrzec, gdyby był człowiekiem światowym, nie postawiłby drażliwej kwestyi tak na ostrzu noża: „z tymi ludźmi nigdy niczego pewną być nie można".

— Nie mam, proszę pani hrabiny, żadnego prawa — tłómaczył się Kosowski — być względem pana Mireckiego niedelikatnym, zjawiając się w roli kontrolera na lekcyi, na której on jest gospodarzem.

Turowicki wstał i przeszedł do salonu.

„Taki nacisk, że mu doradzano niedelikatność" — pomyślała wciąż coraz słodziej uśmiechająca się hrabina.

— Ależ, profesorze kochany — zaczął tłómaczyć Jesiołowski, czyniąc toż samo, co i hrabina, spostrzeżenie — on sam nas i wszy-

stkich, kogo chcemy, raz nazawsze zaprosił na lekcyę, nawet przypominał mi kilka razy.

— Wiem o tem i, gdybym nie był sam pośrednikiem między państwem, gdybym na długo tu przyjechał lub gdyby to mogło być usprawiedliwione egzaminem ucznia, a więc przyzwyczajaniem go do przytomności i śmiałości w podobnych wypadkach, poszedłbym chętnie, ale tak — nie mogę. Hrabia zaś mógłby doskonale skorzystać z tego zaproszenia: wiem, że panu Mireckiemu bardzo o to chodziło.

— Jużem skorzystał.

— I cóż? Więc hrabia już sam wie najlepiej, co myśleć o rzeczy.

— Dobrze, opowiem ci, profesorze, całą lekcyę. *Vous, Julie*— zwrócił się do żony i—przechodząc na polski, kończył—chciałaś też wiedzieć... Nie miałem czasu opowiedzieć ci dotychczas.

Kłamstwem tem konwencyonalnem zaznaczało się nieprzywiązywanie wagi do kwestyi, ale z toku opowiadania profesor musiał jasno wyrozumieć obawy rodziców, żeby pogawędki niby mądre nie okazały się tyle tylko pomocnemi do złożenia egzaminów, co bajki lub zabawa w zająca; oczywiście została też zaznaczona mimochodem przez hrabinę zbytnia srogość po spoufaleniu się, z przemilczeniem jednak przyczyn tej srogości.

— Kiedyśmy już wychodzili razem z lekcyi — dokończył Jesiołowski swoje sprawozdanie z ledwo uchwytną ironią w tonie i uśmiechu — pan Mirecki zapowiedział, że nazajutrz przekona swego ucznia, że wszelkie myślenie ludzkie jest też tylko zbliżaniem i oddalaniem, łączeniem i rozłączaniem pojęć i t. d. No, i cóż, profesorze, o tem powiesz? — dokończył Jesiołowski po krótkiej przerwie.

— Czy panu profesorowi się nie zdaje — dorzuciła hrabina—że dla dziewięcioletniego dziecka jest to trochę, że tak powiem...

Ale hrabina nie powiedziała, słusznie przypuszczając, że bez tego zostanie zrozumiana.

— Dać dziecku — zaczął spokojnie profesor Kosowski — do przeczytania rozdział z „Logiki" Milla byłoby rzeczą, tak samo nierozsądną, jak częstować je dziełami specyalnemi o fizyce, chemii lub astronomii; przy rzetelnym jednak talencie popularyzatorsko-pedagogicznym nawet dziecko można stopniowo nauczyć odróżniać najzłożeńsze, najgłębsze, najsubtelniejsze pojęcia ściśle naukowe. Za sprawdzian przyjąć w tym wypadku trzeba: czy dziecko zrozumiało, czy też nie? Oczywiście mnie z dwojga złego łatwiej byłoby

pójść na lekcyę, niż pytać o to Julka poza lekcyą, z pańskiej jednak strony taki egzamin nie zdziwiłby wcale nauczyciela.

— Zresztą nauczyciel nie wiedziałby o niczem, boby się Julkowi zapowiedziało, żeby nie mówił.

— To byłoby może niepedagogicznie — rzucił profesor, jakby mimochodem. — Jeżeli już jednak mam wyznać państwu wszystko, co o tem myślę, tobym powiedział, że sam nie czuję najmniejszego niepokoju o naukę Julka. To, co mi pan mówi, stwierdza tylko to, co słyszałem od państwa Rzeczyckich, którzy, jeśli się nie mylę, są dalekimi kuzynami pani hrabiny.

— A tak, stryjeczna siostra mojej babki była za Rzeczyckim.

— Skarżąc się na jego drażliwość towarzyską, jakem o tem hrabiemu pisał...

— Już chyba u nas — wtrąciła hrabina — ta jego drażliwość nie zostanie niczem na próbę wystawiona.

— Otóż podziwiali oni w panu Mireckim — kończył profesor— zdolność rozwijania ucznia. Zresztą dla mnie sama metoda wykładu, nie tylko jego uczciwość, jest gwarancyą, że o przeciążaniu umysłu dziecka niemożliwemi do strawienia trudnościami mowy być nie może.

— Profesorze kochany, tegośmy się właśnie najwięcej bali z żoną, to też uspakajasz nas ogromnie.

— Tyle mówiłem z panem Mireckim o tem, jak on godzi surowość swoją z koleżeńskiem obejściem się z uczniem, oraz o wierze jego, że wszystkie pojęcia podstawowe matematyczne i logiczne dziecko powinno samo z siebie wysnuć, bo to jest jedyną bezwzględnie pewną gwarancyą rozumienia ich przez nie, to też we wszystkiem, co mi hrabia mówił, łatwo mi się oryentować.

— Ach, naprawdę wypowiedzieć trudno—zawołała hrabina— jak bardzo wdzięczni jesteśmy panu profesorowi za to wszystko, cośmy przed chwilą usłyszeli, i za pana Mireckiego przedewszystkiem. Jesteśmy potrosze w sytuacyi tego chłopa, co, znalazłszy worek ze złotem, nie śmie wierzyć, że to prawdziwe pieniądze.

— Wiesz najlepiej, profesorze kochany, że w czasach teraźniejszych złapać dobrego pedagoga — to wygrać wielki los na loteryi, więc łatwo człowiek nie ufa swemu szczęściu.

— Gdybyśmy nie byli pewni — odezwała się znów z kolei hrabina — że pan profesor doskonale rozumie te niepokoje rodziców, prosilibyśmy dla nich o wyrozumiałość.

— Córeczki — zawołała w stronę salonu, gdzie muzykę od

paru minut zastąpiła jakby trochę — trochę za głośna rozmowa — chodźcie do nas, kiedy nie gracie.

— O czem tak dysputowaliście?—zapytała hrabina, byle przerwać rozmowę o Mireckim.

— Mamusiu, Karolek się anglizuje pod wpływem Alfreda — odpowiedziała żywo Maniusia — a Marynia jest zachwycona tem, co pan Mirecki mówił o filozofii, choć, jak się w końcu sama przyznała, nic nie zrozumiała.

Marynia milczała, nie prostując nawet, że powiedziała tylko „nie wszystko”, nie zaś „nic”, a Jesiołowski w obawie, żeby rozmowa znów na dawny temat nie wróciła, odezwał się z uśmiechem.

— No, zrozumieć tu co z tego, co ten trzpiot opowiada!... Ale wierz mi, profesorze...

Chciał mówić o przyszłej kuracyi profesora, ale Maniusia, myśląc, że o nią będzie w dalszym ciągu chodziło, przerwała:

— Papa mnie tak źle wystawia przed panem profesorem, więc powiem dokładnie. Sprzeczano się o to, jak lepiej traktować nauczycieli domowych: po angielsku czy po polsku?

— Po ludzku najlepiej — rzekła sentymentalnie hrabina i już miała też zacząć rozmowę z profesorem o jego przyszłej kuracyi, kiedy Marynia nagle zwróciła się do niego wręcz z zapytaniem:

— A pan profesor jak myśli?

— Tak, w jakim sosie — krótkim czy długim, angielskim czy polskim — woli pan profesor...

— Maniusiu! — z najwytworniejszą żartobliwością w tonie powstrzymała ją matka.

— Co kraj, to obyczaj, panno Maryo, a więc też jakaś racya do takiego lub owego zwyczaju — odrzekł wymijająco z uśmiechem profesor, ale czytając w mocno wpatrzonym w siebie pytającym wzroku Maryni, że chciałaby go ona zmusić do wyraźnej odpowiedzi, a tylko konwenans ją powstrzymuje od nastawania, i, czując zarazem, że Jesiołowscy są widocznie zażenowani tym niespodziewanym zwrotem, zaczął mówić:

— Pomijam kwestyę, czy nauczyciel domowy w Anglii słusznie jest traktowany tak, jak jest, pewną jednak jest rzeczą, że obok pychy bogactwa wpływa jeszcze na to inna okoliczność. Klasa nauczycieli domowych w Anglii jest prawie maszyną od wykładania według ściśle określonych metod początków zarówno nauk, jak i obyczajów czy etykiet, charakter bowiem dziecka kształci właściwie, chociażby nawet częściowo przez jego też pośrednictwo, sam niesłychanie wyraźny i wszechprzenikający duch społeczeń-

stwa i sfery, a wreszcie szkoła. My tymczasem jesteśmy, jak zawsze, narodem wybujałości i indywidualizmów, przytem zaś pedagogia początkowa jest na naszym gruncie nauką prawie oderwaną. U nas charakter przyszłego człowieka kształci dla życia przeważnie dom rodzinny, a w nim, w sferach zamożnych, często również przeważnie nauczyciel domowy, na którego osobliwą odpowiedzialność wkłada to, że się od niego wymaga inicyatywy oryginalnej pod względem oddziaływania nawet na tak zwane serce wychowańca. Tam żąda się od nauczyciela domowego rzeczy pospolitych i powszechnych, tu — rzadkich i wyjątkowych. Tam żąda się od tej klasy, żeby była wiernem echem, tu — głosem. Otóż rzadkość, odpowiedzialność oraz inicyatywa są probierzami naturalnymi wartości pracy umysłowej z punktu widzenia zarówno pieniędzy, jak też praw towarzyskich. Zresztą dla nas dziś staje się to z dniem każdym bardziej kwestyą akademicką, zatraciliśmy bowiem u siebie niemal doszczętnie właściwą klasę nauczycieli domowych. Przechodzą przez to wszyscy prawie niebogaci młodzi ludzie, ale w drodze do wyższych, bo mniej zależnych i mniej upakarzających, a lepiej płatnych stanowisk — lekarza, prawnika, inżyniera i t. d. Może właśnie wielka nieproporcyonalność pomiędzy wymaganiami a zapłatą w poważaniu zmusza zdolniejsze jednostki do śpiesznej dezercyi, tembardziej, że najczęściej właśnie młodzież postępowa, nawykła do wielkomiejskiej stosunkowej równości towarzyskiej idzie pod prasę feudalnych lub zaściankowych poglądów na prawa towarzyskie tych, owych gatunków ludzi. W każdym razie należałoby mnie posądzać w tem wszystkiem o stronność — jako też byłego belfra w młodości, a wreszcie nie jestem pewien, czy się nie mylę co do wyglądu tej kwestyi w Anglii, gdzie tak mało miałem sposobności przyjrzenia się tej klasie.

— Dziękuję panu — powiedziała Marynia po chwili milczenia prawie jednocześnie z Jesiołowskim, który z wyrazem głębokiego przekonania zaczął:

— Omal nie słowo w słowo toż samo odpowiedziałem przed paru dniami Alfredowi, hr. Multanowi, siostrzeńcowi naszemu, który u nas tę kwestyę akademicką, jak słusznie powiedziałeś, profesorze, po raz pierwszy podniósł. Dla nas osoba, której powierzamy dziecko, staje się członkiem rodziny.

— O tak — podchwyciła hrabina — doskonale to wyraziłeś. Ale my jesteśmy największymi niewdzięcznikami w świecie. Nie dosyć, że zawdzięczamy szanownemu panu profesorowi takiego wykształconego i zdolnego pedagoga, jeszcze zanudzamy pana profe-

sora rozmowami o pedagogii i pedagogach. Ale to tak wedle przysłowia: „co komu — kurze proso na myśli”. Zapewne, złotemi zgłoskami słowa pana profesora powinnyby być wypisane w każdym domu familijnym, a my tak jesteśmy spragnieni czegoś wyższego, czegoś nie codziennego, nie salonowego wyłącznie...

Profesor czuł się istotnie znużonym i drogą i rozmowami z Mireckim, szczególnie zaś o Mireckim, a najbardziej przykrością odczuwania zarówno jego pozycyi drażliwej wobec grożących mu nieufności oraz przesądów, jak i tego skrępowania, jakie wywołały wszystkie prawie rozmowy tego wieczora, tak mało dopasowane do zwykłej atmosfery domu.

* * *

Kiedy Mirecki zaczął śpiewać, Marynia stała już dawno w swojem oknie. Przyszła zdenerwowana trochę i, jakby chcąc się dziwić, że myśli o Mireckim, czuła doń zarazem żal za uczyniony zawód, który ośmieszał przed nią samą wczorajszy własny jej zachwyt nad jego śpiewem. Brzmiały jej w uszach żarty Maniusi z jego głosu i filozofii. Nie o wiele mniej było jej wstyd swoich wrażeń wczorajszego wieczora, niż Mireckiemu swego występu dzisiejszego. Przypomniała sobie nagle, że nie mogła zrozumieć wczoraj, jakim językiem on śpiewał. Czyżby po węgiersku? Skądby umiał! Pewno poprostu dobierał sylaby dźwięczne bez żadnego znaczenia, jak to niekiedy czynią dzieci. Pewno podziwowi jej dla jego inteligencyi sądzono też prysnąć, jak bańce mydlanej, i wypadnie znów się wstydzić zasłuchania w istotnie mało zrozumiałe gadanie filozoficzne. Zdawało się jej w tej chwili, że, gdyby ją o to zapytał, co było przyczyną jej zabawnego ujęcia się przeciw Karolowi za godność nauczycieli domowych, odpowiedziałaby: niezadowolenie z siebie i rozdrażnienie.

— Oczywiście księżyc i park tak mnie obałamuciły — tłómaczyła się sama przed sobą w myśli, kiedy doleciały ją rzucone przez Mireckiego pierwsze trzy nutki „Elegii”.

Uczuła taki niesmak, że chciała zamknąć okno, i to z hałasem. Gotowa byłaby prędzej przyznać nauczycielowi Julka wszelkie prawa towarzyskie, niż prawo zatruwania jej nocy księżycowych. Ale przez chwilę znów, jak wczora, została z wyciągniętemi i opartemi na ramach okna rękami, potem szybko i cicho je cofnęła. Uczuła wielką ochotę zawołania Maniusi dla zrehabilitowania wydrwionego przez nią śpiewaka, ale zatrzymało ją to coś, co jej przeszkodziło wspomnieć o wczorajszym koncercie.

Kiedy ostatnie łkające „*pour toujours*”, ostatnią sylabę w zaledwo zaczynającem słabnąć najwyższem natężeniu, nagle zerwała rozpacz, czekała Marynia na płacz znów prawdziwy, a po chwili ciszy, dotykając bezdźwięcznie dłonią dłoń i, zaczęła wymawiać bez głosu, jakby dla zabawy, okrzyk teatralny: „bis! bis!”

I może na ten jej rozkaz niesłyszany powtórzył Mirecki piosnkę — tym razem już nie probując, nie analizując, nie myśląc...

I Marynia też nie myślała już o niczem, tylko słuchała. Nagle zaczęło się jej robić duszno, jakby to jej płacz piersi rozsadzał, jak gdyby to o niej śpiewano, jak gdyby to dla niej „darmo wracała wiosna”; jak gdyby to od niej „odszedł nazawsze ukochany”. Cofnęła się śpiesznie na palcach w głąb pokoju i zaledwo zdążyła dobiedz do łóżka, żeby w poduszce stłumić łkanie. I płakała z dziwnym chaosem w głowie, w którym jej świadomość, mało nawykła do śledzenia wirów wewnętrznych, sama się nie oryentowała.

Płakała po Alfredzie, płakała z upokorzenia i wstydu, że po nim płacze, płakała, że wspomnienie o nim tak źle harmonizuje z tą jej tęsknotą w cudzej piosnce, płakała, bo księżyc smutnie świecił, bo drzewa smutnie przycichły, bo jej było samotnie i sieroco.

XII.

Nazajutrz profesor Kosowski zrobił wycieczkę w sąsiedztwo o siedem wiorst do panny Anieli Bergerówny, stryjecznej pana Bergera, byłego fabrykanta warszawskiego, a od lat kilku obywatela ziemskiego. Nagłe i niebezpieczne zapadnięcie na podagrę sprowadziło do samotnego wdowca kuzynkę, starą pannę, oraz córkę zamężną. Dla Mireckiego skutek tej wizyty był taki, że zaproponowano mu przyjeżdżanie we środy i soboty do Chorzyska na lekcye matematyki z czternastoletnią panienką, siostrzanką i wychowanką panny Anieli, która resztę przedmiotów sama wykładała.

Radość z powodu zarobku dodatkowego prędko przeszła w radosne podniecenie wyobraźni. Zaczęło mu się marzyć, że przyszła uczennica okaże się bardzo piękną, a rozkwitając cudnie, będzie robiła takie postępy w matematyce i wogóle, że się zakocha w nauczycielu. Wyraźne desenie wykładów rysowały mu się na olśniewającem tle wzajemnej, choć niewyznanej miłości, opromienionej mistycznym urokiem dziewictwa i młodości. Jechał też na pierwszą lekcyę rozmarzony i wzruszony trochę swojemi marzeniami.

Przedstawił się sam pannie Anieli, ta zaś przedstawiła go panu

Bergerowi, który w fotelu-wózku używał właśnie spaceru czy drzemki w ogrodzie. Podlotek, którego jemu z kolei przedstawiono, jako Zofię Halską, nie był aż tak piękny, jak w marzeniu, ale ładny, miły i dość rozwinięty fizycznie, choć mały. Z wielką przyjemnością spojrzał Mirecki w jasnobłękitne, duże oczy dziewczynki, wpatrzone w niego z wyrazem, w którym było dużo ukrytej nieśmiałości, jeszcze więcej ciekawości, a nie brakło pewnej dziecinnej zalotności, ale nie przypominał sobie ani na mgnienie dziecinnych marzeń, z któremi jechał. Podczas lekcyi mówił do uczennicy zupełnie tak, jakby do ucznia, to też ze spojrzeń jej ukradkowych po lekcyi znikł bez śladu ów odcień zalotności, a nieśmiałość zwyciężała nawet ciekawość. Zatrzymany na podwieczorek poznał też Mirecki panią Natalię Żwaniecką, młodą, ładną i wytworną córkę gospodarza, na którą sam ukradkiem co chwila spozierał.

Po długiem skrępowaniu przy stole jesiołowskim zdało się Mireckiemu, że się nanowo na świat narodził tylko dlatego, że tu obchodzono się z nim, jak ze zwykłym znajomym. Pani Natalia, obrzuciwszy go mimochodem kilka razy spojrzeniem, nie wtrącała się do rozmowy, ale może już to, że przy przedstawieniu podała mu rączkę, wpłynęło na Mireckiego tak, że nie drażniło w nim nauczyciela jej obojętne względem niego zachowanie się, jakby czuł, że tycze się ono człowieka poprostu. Ku końcowi podwieczorka wszedł z kwiatkiem w butonierce bardzo elegancki i po fryzyersku uczesany pan, na którego widok szary chłód twarzy pani Żwanieckiej tak nagle się zmienił w ciepłą jasność, że aż Mirecki pomyślał: „brak światowości!” Pan Bonar, ucałowawszy rękę panny Anieli, uczynił toż samo z panią Natalią, tylko Mireckiemu się zdało, że trwało to trochę dłużej, i ukłuła go zazdrość.

— Przyszedł nareszcie ten poświęcony pani walczyk — zaczął dźwięcznym i jakby gorącym głosem nowoprzybyły. — Walczyk to niby wesoły, niby smutny, i można go grać, jak się podoba.

— Więc jego nastrój idzie za duszą, jak wzrok z niektórych obrazów za oczyma patrzącego. Będę go grała panu wesoło, a sobie samej smutno. Chociaż tym razem ton frazesu był bez zarzutu światowo-grzeczny, Mireckiego oczarowała i olśniła treść jego tajemna. To też odrazu znikła z jego duszy gorycz niechętna zazdrości względem pana Bonara, a natężonej uwadze ciekawości życzliwej i zachwyconej pozostał do stłumienia tylko jakiś cień smutku i tęsknoty. Tymczasem młody kompozytor usiadł przy pani Żwanieckiej i zapytał:

— Cóż słychać u pana Żwanieckiego?

— Wczoraj był list...

I urwała, jakby znów zapominając, że światowość nakazywała podziękować i dać parę nowin zdawkowych o małżonku.

Po podwieczorku przeszli wszyscy do salonu, i pani Natalia zaraz bardzo biegle zagrała walczyka, potem zrobiła przy fortepianie miejsce panu Bonarowi, lecz, zanim zaczęli grać na cztery ręce, słuch Mireckiego, omal nie chorobliwie czuły pochwycił zdaleka przyciszone wyrazy:

— Nie żałuje pani, że dedykacyę wydrukowano *en toutes lettres*, wedle rozkazu?

— Nie. Dziękuję. Co tam! Będzie pamiątka.

Mirecki w brawurze tej wyczuł odcień subtelny smutku. Usiadł tak, żeby najłatwiej było obserwować tę parę, myśląc zarazem, że, jeśli miłość natchnie ją muzycznie, przyjdzie zapomnieć obserwacyi, bo też do obserwowania nic nie będzie.

Od pierwszych taktów zrozumiał, że grają coś bardzo głębokiego i pięknego, a dobrze sobie znanego, ale muzyka jest tylko pretekstem. Nie czuł jednak zwykłego w takich razach żalu i gniewu. Chwytane uśmiechy pani Żwanieckiej, raz nawet jej spojrzenie na towarzysza i rumieniec lekki i ruchy ust, zdradzające głuszone przez muzykę całkiem niby obojętne słowa, a jak myślał Mirecki, wcale nie tyczące się fortepianu — cała ta subtelna i wytworna gra aktorska wynagradzała go za braki w muzyce.

Kiedy piękna para wstała od fortepianu, Mirecki uczuł, że wypada już wracać do domu, ale go zatrzymywała ciekawość wzruszona, choć na jego własne żądanie konie stały przed gankiem od skończenia lekcyi. Zauważył, że z kolei jego też obserwuje własna uczenica, pomimo jednak pewnego rozdrażnienia z tego powodu byłby się może doczekał kolacyi, gdyby go nie wygnał niespodziewany zwrot rozmowy. Dysputa o wielkiej rewolucyi francuskiej, wszczęta przez Bergera, który niedawno był przeczytał „Francyę współczesną”, już go zaczęła roznamiętniać, kiedy usłyszał głos pani Natalii:

— Zosiu, chodź, pokażemy panu Zygmuntowi przy nowym księżycu nową altanę...

— Nie chcę — odpowiedziała Zosia — możebyś ją pokazała też panu Mireckiemu? Mirecki zerwał się, wydobył zegarek, nie widząc nawet niemego wyrzutu w spojrzeniu panny Anieli, rzuconem Zosi, kiedy pani Żwaniecka odezwała się spokojnie:

— Nie chciałam być niegrzeczną, przerywając panu Mireckiemu interesującą rozmowę, skoro jednak — ciągnęła dalej, zwracając

się do Mireckiego — uczyniła to za mnie siostrzyczka moja, może pan zechce zobaczyć naszą nową altanę w stylu odrodzeniowo-gotycko-romańsko-bizantyńsko-rokoko...

— Dziękuję bardzo, obaczyłbym z przyjemnością, ale — tu znowu wyjął i spojrzał na zegarek — zapóźniłem się nieco. Muszę pożegnać...

Zaledwo za wieś wyjechał, dyskretny turkot eleganckiego wolanta stał mu się tłem do całej symfonii, gdzie wszystkie słowa i spojrzenia pięknej pary łkały desenie melodyi, co, niby słońce przez rzadkie podszycie lasu, świeciła przez rozmowy ogólne i dysputy z Bergerem. Zgrzytami w symfonii tej były przypomnienia chwili własnej zazdrości oraz zachowania się podlotka. Słowa pani Żwanieckiej o dedykacyi walczyka, dolatując z za wspomnienia o odezwaniu się ostatniem Zosi Halskiej, nabrały dlań znaczenia grozy tem tragiczniejszej, im bardziej utajonej. Szczególnie cudnym zdawał mu się temat główny symfonii — ów frazes: „będę go grała panu wesoło, a smutno sobie samej".

Co za wytworność i subtelność serca! Jaki to tworzyło kontrast ze zwykłością spokojną tonu: ot, niby frazes zdawkowy, niby— byle coś powiedzieć. Właściwie walc ten bardzo jest błahy, i twierdzenie kompozytora, że można go grać i tak, i owak, było może świadomą skromnością w samokrytyce: z jakim wdziękiem delikatności ona to na poetyczną pochwałę przerobiła! „Oczy obrazu"...

„Będę go grała panu wesoło", czyli: dopóki pan będzie przy mnie, będzie mi wesoło, i będę chciała, żeby panu było wesoło; bez pana zaś będę smutna i będę chciała być smutną!

I taki walc marny mógł stać się powodem... Nie, walc był tylko nitką szarą w kanwie pospolitego życia, na której miłość haftuje desenie wzorzyste.

Czy to wszystko jednak nie jest przywidzeniem prostem, skoro nikt tego więcej nie widzi? Nikt? A ta mała?

Czy pani Natalia poszła pokazać panu Bonarowi ową altankę?...

„Chyba nie" — odpowiedział sobie szybko Mirecki na to pytanie myśli. Zosia nie chciała być przyzwoitką — pomyślał i zauważył, że dużo gniewu na nią stopniało w nim na to przypomnienie. Panna Aniela — rezonował dalej—szepnęła pewno starszej siostrzenicy, że nie wypada... A może kazała iść Zosi...

Ale tu Mirecki zrozumiał, że chce okłamać swoją gorączkę niepokoju, że mu dech zapiera myśl o spacerze sam na sam pana Bonara z panią Żwanicką. To też obruszył się sam na siebie zupełnie

tak, jakby za umyślne przeszkadzanie tym dwojgu. „A tobie co?— gromił sam siebie. — Żal ci może pana Żwanieckiego, który na portrecie nawet wygląda, jak stara małpa, czy coś średniego między powagą własnego lokaja wobec chłopców kredensowych, a mumią egipską bez powagi wobec tajemnic zagrobowych".

Powoli cała jego złość tak zwróciła się przeciw nieznanemu małżonkowi pięknej pani, że mówił do siebie dalej w myśli:

„Jabym go sam gotów był rozmową zabawiać, żeby im nie zawadzał w altance... I jak ten Berger mógł wydać córkę za taki kołek spróchniały ze starą etykietką. Żeby nawet człowiek z pieniędzmi i wykształceniem tak na tym punkcie źle miał w głowie!... Może też oni mnie tak grzecznie traktują dlatego, że pochlebia dorobkiewiczom wypożyczanie belfra wielkopańskiego?"

To zapędzenie się zrodziło w nim jednak uczucie niesmaku do siebie, i sam nie wiedział dlaczego, stanęła mu przed oczyma pełna ciszy i pogody twarz panny Ameli, okolona siwymi krótko ostrzyżonymi włosami.

„Palenie papierosa"... — pomyślał, śpiesząc ze sprostowaniem, ale wnet przypomnienie prostoty w spokojnej uprzejmości, z jaką go traktowano, powiedziało mu wyraźnie, że widziano tam w nim poprostu człowieka.

Tu zauważył Mirecki, że natychmiast po wyczerpaniu się tej kwestyi wyobraźnia jego z drżeniem niepokoju wróciła ku altance w stylu... czy nie było to zagadywaniem siebie? Przy kolacyi starał się nie myśleć o tem wszystkiem i dopiero nazajutrz rano przypomniał sobie, że go przy stole nikt nie zapytał, jak się powiodła pierwsza lekcya w Chorzysku, chociaż, dzięki nieobecności obcych, dużo z nim rozmawiano zwykłą metodą skaczącą o rzeczach oderwanych.

Rzeczywistość atmosfery życia Jesiołowskiego, wreszcie kilka godzin tak wytrzeźwiły Mireckiego, że, znalazłszy się u siebie, gotów był się śmiać z przywidzeń chorzyskich. Owe spojrzenia mogły być flirtem pospolitym. Ożywienie się pani Żwanieckiej na widok pana Bonara — to zamiłowanie do muzyki i zadowolenie z odwiedzin człowieka ze świata w głuszy wiejskiej—i człowieka utalentowanego w dodatku. „Co tam, będzie pamiątka!"—mogło się tyczeć głupich domysłów ludzkich i chęci pamiętania wspólnych muzykowań, które są dostateczną przyczyną samej dedykacyi *en toutes lettres*. Frazes o smutnem i wesołem graniu był może tylko zwykłą grą słów.

„Ów rożek Amaltei — była to marchewka!"

Całe to marzenie pomimo swej rozwiewności miało jednak dla niego ten skutek dobroczynny, że przy myśli o pani Natalii drżenie serca nie zapytywało: „gdyby ona mnie chciała kochać?”

— Jeżeli bowiem — rozumował — niczem jest dla niej ten Bonar, więc kocha swego męża albo, co łatwiej przypuścić, jest cnotliwa, jeżeli zaś jest inaczej — to na jedno wychodzi.

Wtedy przyszedł mu na myśl podlotek, ale tu próba marzenia o miłości zdała mu się odrazu śmiesznością: zgasiła je rzeczywistość, i uczeninca stała się tylko uczennicą. Czuł, że pytanie, czy Zosia Halska prędko zrozumie regułę trzech, nabrało takiej wagi, że zakryło sobą całkiem inne: czy mogłaby się ona zakochać w nauczycielu?

Jednem słowem już nazajutrz mgły tęczowe poezyi, w które przyoblekł się na chwilę dwór chorzyski, rozwiały się bez śladu, a zostało tylko wspomnienie domu, gdzie możnaby się czuć niby zwykłym gościem, a może nawet swoim. To też zapewne z niecierpliwością czekałby Mirecki dnia następnej lekcyi, gdyby co innego nie odwróciło jego uwagi w inną stronę.

Przy obiedzie tego właśnie dnia po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że na powitanie i pożegnanie dostaje mu się coraz mniejsza porcya hrabskiej ręki, podawana jakby w sosie lekkiego zdziwienia. Ale wrzenie wnet ukoił traf: Francuz z wielką serdecznością czy ugrzecznieniem powtórzył mu, co słyszał, że hrabia mówił o nim, jako o „encyklopedyi chodzącej” oraz „bardzo szczerej i prawej naturze”, a hrabina — jako o „pedagogu doskonałym”.

Wielki wstyd za własną drażliwość podejrzliwą struł Mireckiego choć w inny sposób, lecz prawie równie skutecznie, jak oburzenie poprzednie. Nie poszedł na spacer z Julkiem z powodu chaosu, jaki się wytworzył w jego duszy. Czuł, że Jesiołowscy stali się dlań odrazu jakby sympatyczniejszymi za to, że się na nim poznali, i czuł w tem zarazem swoją śmieszność: przypominał sobie angdotkę o Niemcu, co mawiał: „to bardzo rozumny człowiek, on mnie bardzo szanuje”. Rozumiał, że mu równie daleko do uczoności prawdziwej, jak do tronu chińskiego, i przypominał też niezmienne uczucie bólu nieznośnego przy przeglądaniu bibliografii każdej z nauk wobec oczywistości, że to, co przeczytał, było kroplą z morza. Do tej sprzeczności dołączyła się inna: rozumiał, że głupstwem jest podejrzewać tak przeceniających go nawet ludzi — o postępowanie umyślne, ale czuł zarazem, że przy najbliższej sposobności znów będzie się zastanawiał nad stosunkową wielkością owej „porcyi”.

Darmo wmawiał w siebie, że to choroba. Uleczył się z niej

tak mało, że wszystkie przerwy zwykłych rozmów przy kolacyi wypełnił mu niepokój: jakie będzie pożegnanie dzisiejsze z Jesiołowskim?

Kiedy wstano od stołu, skłoniwszy się damom, zbliżył się, jak zwykle, do Jesiołowskiego, ale ręka na hasło „dobranoc" niby zdrętwiała, nie podniosła mu się, jak zwykle.

— Już pan ucieka? — zapytał Jesiołowski, podając mu rękę, która zdała się nawet Mireckiemu trochę bardziej, niż zwykle, żywą.

Poszedł więc do siebie pełny rozmyślań nad własnem zawstydzeniem.

XIII.

Następnego dnia tak go zmartwiło roztargnienie Julka przy lekcyi, że, podając rękę Jesiołowskiemu, nie myślał o swoich uprzedzeniach, ale po chwili, kiedy siedział już na swojem miejscu, doszło do jego świadomości, że właściwie uczuł był tylko trzy palce hrabskie w swojej dłoni. Rozdrażniło go to tak, że milczał przez cały ciąg obiadu, a po kolacyi znów obserwował. I uderzył go wyraźnie odcień uprzejmego niby zdziwienia na twarzy Jesiołowskiego, która zdawała się mówić: „Ach, pan podaje mi rękę? Miła to niespodzianka, ale przepraszam... zaraz"... I dwa palce!

Mireckiemu na nich ręka tak się w pięść zacisnęła, że aż w skrzywieniu się Jesiołowskiego odbiło się wielkie niezadowolenie, ale wnet znikło, jakby wystraszone bladością ściągniętej twarzy nauczyciela i jego oczyma, wyiskrzonemi z pod brwi, trochę namarszczonych.

Wróciwszy do siebie, Mirecki oblał sobie głowę zimną wodą, co go tyle tylko ochłodziło, że mógł myśleć.

„Więc to tak? Więc ta lalka wielkopańska chce mnie nauczyć, że podanie przez nią ręki jest łaską, na którą czekać, skłoniwszy się pokornie, jest mojem psiem prawem i obowiązkiem? Więc w dwudziestym trzecim niemal roku życia mam znać mores, jak żak? Należy mnie traktować, jak błazna, bom tylko „encyklopedya" chodząca, „doskonały pedagog" i „prawy człowiek"? Gdybym był durniem, gałganem i hrabią w jednej osobie, byłoby co innego!..."

Zaciętość tak go opanowała, iż mogła nakazać milczenie głosowi wewnętrznemu, który chciał wtrącić przypomnienie, że hrabstwo mówili o jego zaletach przed obcymi tak, jak się też chwali

nawet kiepskiego konia dlatego tylko, że jest swój, że wreszcie z punktu widzenia przedmiotowego „encyklopedya” to „z obficie powydzieranemi kartkami”, jak mu niegdyś powiedziała pewna życzliwa, a złośliwa znajoma.

Wrzało w nim. Nie spał prawie wcale w nocy, obmyślając środki obrony swojej godności ludzkiej, nie spał z niecierpliwości: z większą, niż na jutrzejsze spotkanie z Jesiołowskim, nie czekałby nikt — nawet na schadzkę miłosną.

Nagle wśród tych złych rozmyślań przypomniały mu się zasłyszane przed wielu laty słowa matki, ganiące pychę i natręctwo jakiegoś paniczyka, który pozwolił sobie pierwszy wyciągnąć rękę na powitanie siwowłosemu jakiemuś profesorowi, i zmartwiał Mirecki, choć mignęła mu niby obrończa myśl: Jesiołowski nie całkiem jeszcze siwy: „może ma pod pięćdziesiątkę”. Zrozumiał, że sama własna młodość potępiłaby go bezpowrotnie w tym zatargu wobec wszelkiego sądu etykiety.

— Więc mam milcząco przeprosić, zastosowując się do odgadniętej woli pana? — zapytał sam siebie, zrywając się gwałtownie i siadając w łóżku.

— Nigdy! — odpowiedziało w nim poczucie, że takie złamanie się pokorne byłoby gorsze od śmierci i że w gruncie rzeczy tego wymagałby od niego tylko wyrok formalny etykiety, nie zaś sprawiedliwość wyższa, i wnet cały umysł wytężył się dla uświadomienia poczucia tego, nie słuchając ostrzeżeń, że może właśnie pycha rodzona przebrać się tu gotowa w togę „sprawiedliwości wyższej”. „Dajmy na to — rozumował w myśli — że jest to stanowczem wykroczeniem formalnem przeciw etykiecie podanie przeze mnie ręki człowiekowi takiego wieku i takiego stanowiska. Co najważniejsza, trzeba dodać, bo ten sam Jesiołowski nie śmiałby wyciągnąć dłoni do młodszego ode mnie arcyksięcia, a starszy od Jesiołowskiego pisarz ekonoma czekałby na ten zaszczyt od młodego „profesora” z pałacu. Otóż, pomijając nawet pewnik, że oskarżony drwi zasadniczo z etykiet, a jest tu nie w roli znajomego, lecz pracownika, i zaszczytu wszelkiej styczności z tym dworem wielkopańskim zrzekłby się z radością najwyższą,—wypada zrobić nacisk na wzgląd inny.

„Dobrze, biedny, mały błazen - belfer wykroczył: czy wielkiemu, poważnemu panu przyszło na myśl, że on chce go traktować, jako książe krwi, czy też, że nie zna się na etykiecie, jako nieobyty z towarzystwami, gdzie ona grasuje czy panuje?

— Gdyby mnie był wziął na stronę i wręcz powiedział: „mój

panie, jestem stary, zrosłem się z przesądem szacunku dla starszych, i byłoby mi zarówno przykro, gdyby o dziesięć lat młodszy od pana siostrzeniec mój" i t. d... „zresztą doświadczenie towarzyskie każe mi, bym się niem z panem podzielił"... i t. d...

— Zmieszałbym się, zgryzłbym się, ale ten akcent szczerości-by mnie zwyciężył... Ale ten potraktował go, jako zbrodniarza, jak wroga, którego, ucząc moresu, ukarać i upokorzyć chciał wyraźnie, więc postawił go w pozycyi, w której uniknąć spodlenia się można tylko w buncie i walce...

Mirecki uczuł zgodę swoich usposobień i postanowień nieświadomych z tym sądem świadomym tak, jakby całkowitą harmonię wewnętrzną.

— Popełniłem zbrodnię, więc się poprawię i nie podam mu nigdy ręki ani pierwszy, ani ostatni.

I nawet na myśl mu nie przyszło powątpiewanie o własnej sprawiedliwości, która do uchybienia każe dodać obrazę, tak bardzo przeniknięty był uczuciem, że siła materyalna jest po stronie Jesiołowskiego, że ten o tem nie zapomina, że uczył go moresu, jako magnat, nie zaś starszy człowiek, że, wskazując mu tak zwane „właściwe miejsce", nie myślał o wielkim bólu cudzym, tylko o własnym drobnym interesie towarzyskim. Do ponownej rewizyi tego procesu mogłoby zmusić Mireckiego chyba zapewnienie, że Jesiołowski obcy jest zupełnie pysze wielkopańskiej lub uważa naprawdę jego, Mireckiego, za takiego człowieka, bez którego syn jego, a więc i on sam wcale obyć się nie może.

Przyszedł więc Mirecki do obiadu spokojny, zacięty i pewny siebie, a skłoniwszy się niedbale od swego miejsca wszystkim odrazu, usiadł, nie patrząc nawet na wyraz nowego zdziwienia na twarzy gospodarza.

Przy kolacyi jednak tego dnia pomimo skupionego rozdrażnienia i zwróconej na wielkie ożywienie rozmów uwagi spostrzegł, że Julek siedzi osowiały.

— Czy ci kto jaką przykrość zrobił? — zapytał go z cicha.

— Ani myślałem — odparł malec szorstko.

Mirecki zawsze więcej był pewny swego panowania nad uczniem sam na sam, stropiony więc jeszcze w dodatku nielogicznością odpowiedzi odłożył wyspowiadanie go na potem, tymczasem zaś dał się nawet wciągnąć do rozmowy ogólnej. Ale niepokój jego podwójny: o ponurość Julka i o zbliżające się pożegnanie z Jesiołowskim — rósł z każdą chwilą. Zaledwie hrabina dała znak wstawania, skłonił się całemu towarzystwu, odwrócił się i wyszedł tak szyb-

ko, że nie mógł nawet dostrzedz lekkiego ruchu ręki hrabiego, jakby na jego własnie intencyę.

U siebie zabrał się zaraz do czytania, ale rozdrażnienie, jeszcze nie uśpione, przeszkadzało mu się skupić. Wtem przypomniał sobie Julka:

„Czy nie chory przypadkiem? Trzeba pójść".

Okazało się, że istotnie malec ma głowę gorącą i wargi spieczone.

— Ależ ty masz gorączkę, chłopcze. Nic prawie nie jadłeś przy stole, piłeś tylko: pewno cię gardło boli?

Julek milczał.

— Czemużeś dawno nie powiedział mamie, mnie albo panu Savigny, do którego rodzice twoi z twojej winy mogliby nawet czuć żal, że ich nie uprzedził.

— *Qu'est ce qu'il y a? Qu'est ce qu'il y a?*—zapytał niespokojnie Francuz.

— Możeby pan poszedł powiedzieć—nie wiem komu się o tem mówi — że Julek ma gorączkę i ból gardła. Przepraszam cię, mój mały biedaku — mówił dalej do malca podczas krzątania się Francuza i licznych jego „*Ah, mon Dieu!*" — żem ci tak dziś wymawiał nieuwagę przy lekcyi, ale czemużeś nie powiedział?...

— Wtedyby pan powiedział, że umyślnie udaję, żeby lekcyi nie robić — szorstko odparł Julek.

— Bez gorączki nie mówiłbyś tak. Musiałbym się wiele razy przekonać, że umiesz udawać, żeby wpaść na podobne podejrzenie...

Niebawem przyszła hrabina, potem hrabia, w pół godziny był doktór miejscowy, który zalecił tylko różne środki zaradcze, bo orzec, co to jest, narazie było niepodobieństwem. Hrabina poleciła panu Savigny, żeby, nie bacząc na jej migrenę, zbudzić ją kazał natychmiast, gdyby Julkowi zrobiło się gorzej. O godzinie dziesiątej Julek zaczął niby zasypiać, i wszyscy się rozeszli.

Ale Mirecki, wiedząc, że Francuz ma sen twardy, a podejrzewając o toż samo Józka, któremu kazano spać u drzwi w klasie, przed położeniem się spać w kilka godzin potem przyszedł odwiedzić chorego raz jeszcze.

Julek leżał z otwartemi, błędnemi oczyma i jeszcze bardziej rozpaloną twarzyczką. Na pytanie, jak się czuje, nie odpowiedział nic, tylko spojrzał nieprzytomnie. Mireckiego przez chwilę przerażenie odrętwiło. Obudziło go zaś z tego odrętwienia nowe przerażenie: Julek zaczął coś bełkotać niewyraźnie do siebie czy do nieobecnych. W kilka minut potem Józiek, rozbudzony gwałtownie, leciał

znów po doktora, a w kwadrans pan Savigny szedł budzić gospodynią, żeby ta obudziła hrabinę, która też przyszła jednocześnie z doktorem.

Po kurytarzach, znów oświetlonych, zaczęła się snuć służba. Po wielu frazesach uspakajających doktór orzekł, że jeszcze niepodobna zadecydować, czy to taka silna angina, czy dyfteryt. Niezwłocznie wysłano do kolei posłańca z depeszą, wzywającą z Warszawy jednego ze specyalistów, a miejscowego lekarza gwałtem na noc zatrzymać chciano, ale nie mógł on chorej żony na długo samej zostawić. Kiedy zaś hrabina zapowiedziała, że w takim razie zostanie sama przy chorym, pan Savigny zaczął, złożywszy ręce, przekładać, aby raczyła udać się na spoczynek, że on będzie Julka dozorował, a pan Mirecki mu dopomoże:

— Pani hrabina jest tak wątłego zdrowia, które tak jest potrzebne dla wszystkich, i ma przytem migrenę, a to jest naszym obowiązkiem.

Mirecki wielką miał ochotę poprosić go, żeby za siebie tylko mówił, ale po takim proteście nie pozostawałoby już nic, prócz—pójść spać, a zdawało mu się, że, choć w innym sensie, ale naprawdę obowiązek jakiś zabrania mu odstąpić Julka już nie jako ucznia, lecz jako dziecko-przyjaciela. Gdyby nawet nie miał dlań takiej życzliwości i gdyby nie czuł jego życzliwości wzajemnej, siedziałby też przy nim, o ileby nie był pewny bezwzględnej doskonałości opieki innych. Zresztą czuł, że nie dałby mu zasnąć niepokój.

Po wyjściu hrabiny wytłómaczył Francuzowi, że spać mu się nic a nic nie chce, że zbudzi go, kiedy mu się zechce, i po kwadransie ciszę w pokoju, do którego kątów ledwo docierało mdłe światło lampki nocnej, uwydatniało tykanie zegara w klasie, ciężki oddech Francuza lub bredzenie malca, który co chwila rzucał się tak, że trzeba go było wciąż nanowo kołdrą otulać.

Niepokój i litość coraz bardziej rozstrajały Mireckiego w miarę wzrostu znużenia. Chwilami zapadał w odrętwienie, z którego zmieniony głos Julka rozbudzał go chorobliwie, i przerażenie chwytało go na myśl, że to może naprawdę dyfteryt przyszedł po tego chłopca.

Wreszcie Julek ucichł, oddech miarowy Francuza i dźwięk zegara wsiąkły dla Mireckiego zupełnie w ciszę, a rzeczywistością, bezpośrednio odczuwaną, stało się tylko cierpienie i niebezpieczeństwo coraz droższego chłopca. Powoli jednak i ta rzeczywistość zaczęła też znikać, i nagle w tym półśnie przyszło mu na myśl, że śmierć Julka byłaby stratą posady dla nauczyciela, któremu jednak

pewno zapłaconoby za trzy miesiące naprzód — conajmniej, i natychmiast rozbudziło go oburzenie na samego siebie. Po chwili tę zgryzotę pokryła inna, że ból wstydu z powodu przyłapania na gorącym uczynku swojej nędzy duchowej zapanował nawet nad bólem współczucia dla chorego dziecka.

— Jeżeli umrze... — zaczął myśleć wyrazami, ale przerwał mu spazm gardła i fala łez, cisnąca się do oczu.

— Jeżeli umrze — nie wezmę ani grosza za czas od ostatniej lekcyi... A resztę — dokończył po chwili — oddam, jak tylko będę miał, na jakie chore, biedne dziecko.

Postanowienie to wróciło mu równowagę duchową, i w półgodziny potem zaczął znów zapadać w stan, w którym niby napół uśpiona świadomość zachowywała jeszcze całkowitą czujność.

Powoli jednak myśli zaczęły znów tężeć, i dusza stała się tak samo nieruchoma, jak i ciało, bezwładnie półleżące w dużym fotelu. Zapomniał Mirecki, gdzie jest i dlaczego. Nieruchomo też przykute były jego oczy do bielejącej zlekka szparki w oknie pomiędzy roletą a ścianą. Pomimo wiedzy zdrętwiała uwaga spoczęła wyłącznie na jej stopniowem rozświecaniu się. Mignęła mu w niej nareszcie różowość.

Zdobył się wtedy na wymówienie w myśli „świt" i patrzał dalej. Chciał nawet wstać i przejść do okna, ale zdało mu się, że nachylenie się aż do tej szparki byłoby czemś ogromnie trudnem, prawie tak trudnem, jak podniesienie ciężkiej rolety, której zresztą podnieść nie wypada. Przejść do klasy — tak daleko! Więc siedział dalej, nie odrywając oczu...

Wtem drżący cienki grot światła nawskroś przeszył szarość pokoju, rzeźwiąc zarazem uwagę Mireckiego. Zaczął się rozglądać dokoła. Powoli złocista smuga świetlna coraz bardziej nasycała szarawą, ale dzienną jasnością wszystkie kąty: przygasające światło lampki było dobite.

Wreszcie uczuł Mirecki, że stadby go już było na energię, żeby się podnieść i pójść do klasy, czy nawet do swego pokoju, by wyjrzeć na park. Zanim jednak wstał, coś pociągnęło wzrok jego ku Julkowi, i aż się przestraszył, tak uporczywie patrzały na niego duże oczy zapadłe z wychudzonej gorączką twarzyczki.

Minęła długa chwila, zanim się opanował i mógł zdławionym jeszcze nieco, ale już znośnie udającym wesołość głosem zapytać:

— No, jakże się spało?

— Dobrze — odpowiedział Julek takim głosem nieswoim, że

Mirecki znów długo nie mógł się zdobyć na słowo ani na ruch jakikolwiek.

Obudzony niebawem przezeń, a zaspany jeszcze Józiek wszedł i upuszczeniem szklanki obudził z kolei pana Savigny, a w pół godziny potem Mirecki, zluzowany, wrócił do swego pokoju, wszedłszy zaś o ósmej, hrabina zastała przy Julku prócz Francuza jeszcze gospodynię i marszałka dworu. O dziewiątej zaś, przespawszy się w odzieniu, Mirecki wchodził do chorego, żeby znów rolę felczera odegrać przy doktorze i wysłuchać wszystkich jego zleceń.

Wieczorem obawa dyfterytu minęła, znalazło się jednak prócz gwałtownej anginy jeszcze zapalenie oskrzeli. Następną noc spędził Mirecki tak samo, ale już podczas trzeciej odwiedził tylko malca kilka razy. Wreszcie z anginy nie zostało ani śladu, tylko zapalenie oskrzeli trzymać go miało jeszcze w łóżku.

Większą część dnia spędzał Mirecki przy nim, unikając tylko tych godzin, kiedy go odwiedzali rodzice i rodzeństwo. Czas schodził mu na opowiadaniu Julkowi to bajek, to bohaterskich momentów historycznych, ponieważ próby czytania mniej przypadały słuchaczowi do smaku: prosił o opowiadanie „z głowy". Wreszcie, zaczynając się obawiać, że w końcu może zbraknąć tematów, wpadł Mirecki na pomysł opowiadania, niby powieści jednolitej — historyi starożytnej Grecyi.

Pokazawszy na obrazkach, jak wyglądał obywatel ateński, i żołnierz spartański, i gmachy miast greckich, przesuwał przed oczyma Julka hałaśliwe zebrania ludowe, sceny tragiczne i bitwy.

Raz w największy war wojny perskiej wpadły Marynia z Maniusią, jako przednia straż wolniej ciągnącej rodziny. Mirecki zerwał się ze swego fotela, ustępując miejsca przy łóżku, i, skłoniwszy się, miał się ku wyjściu do klasy.

— Niech się pan nie *derange*'uje — zawołała Maniusia, prawie jednocześnie zasiadając na miejscu Mireckiego.

— Jak się masz, braciszku — zapytała potem też prawie jednym tchem.

Ale Julek, śledząc manewr Mireckiego, najgrubszym z głosów swoich odparł opryskliwie:

— Mam się, mam. Pytasz, jakbyś nie wiedziała.

— A to miły z ciebie gospodarz, Julku — wtrącił się Mirecki, trzymając już rękę na klamce.

— To mi dopiero goście!

I, opuszczając oczy przed surowym wzrokiem Mireckiego, dorzucił:

— Bo czegoż one mi przeszkadzają słuchać historyi!

— Przepraszam, nie wiedziałyśmy... — zaczęła widocznie mocno zmieszana Marynia.

— To my z Julkiem musimy przeprosić panie bardzo, bardzo. Gdybym przypuszczał, że historya Grecyi tak grubiańsko usposobi mego słuchacza, nie tykałbym jej wcale. Niech panie się tylko nie zrażają kaprysem chwilowym chorego i znudzonego leżeniem dziecka, co jeszcze może po gorączce przebytej samo dobrze nie wie, co mówi. Prosimy bardzo, niech panie posiedzą chwilkę, bo odejście zaraz byłoby dla niego już zbyt surową karą.

Ostatnie zdanie wymówił, otwierając drzwi i stawiając nogę na progu. Chciało mu się bardzo słyszeć dalszy ciąg rozmowy, ale strach, że przyłapią go na podsłuchach, nie dał nawet czasu odezwać się skrupułom poważniejszym. Szedł jednak bardzo wolno i na palcach, żeby choć kilka zdań pochwycić.

— Chciałyśmy ci właśnie powiedzieć — zawołała tymczasem Maniusia—żeśmy przed chwilą widziały twego nowego kuca. A widzisz, aha!...

Spojrzawszy na drzwi, za któremi znikł Mirecki, Julek zrobił wzgardliwy ruch drżącemi nieco wargami, ale po chwili milczenia odezwał się umyślnie pozbawionym brzmień radości tonem.

— Pewno Karolek...

— A gdybyś wiedział, jaki biały i łaskawy — dorzuciła Marynia.

Weszła hrabina z panią Clark i panem Karolem, i po chwili rozpoczęła się rozmowa, w której bawił się najmniej Julek, pod pozorami bezwzględnej poprawności towarzysko-rodzinnej niezdolny jeszcze wyczuć nawet pierwiastka prawdziwej życzliwości i czułości dla siebie.

XIV.

W sobotę Mirecki pojechał znów do Chorzyska. W drodze myślał o tem, że wypadnie mu najpewniej zawrócić z uczennicą swoją do początków, których, jak zwykle, w sposób mechaniczno-pamięciowy uczyła się w swoim czasie. Myślał prócz tego o pannie Anieli, na którą niby wcale uwagi był nie zwrócił, a pomimo to zapamiętał doskonale jej dziwnie pogodne szare oczy, z dziecinną jakąś badaw-

częścią wpatrzone w jego twarz, jej siwiejące, gładko zaczesane w tył, krótko ostrzyżone włosy i pełne wyrazu rysy. Zaczął więc rozpamiętywać wszystko, co słyszał o niej od profesora Kosowskiego, wstydząc się, że piękna buzia pani Natalii oraz piękny jej flirt tak przeszkodziły mu przyjrzeć się już w samych oczach widnej piękności duszy panny Anieli.

Całe jej życie było miłością i poświęceniem. Córka jedynego z trzech braci Bergerów, który się fortuny nie dorobił, spędziła wczesną młodość w ciężkiej pracy około gospodarstwa domowego, ucząc przytem i wychowując siostrę cioteczną, którą jej umierająca matka powierzyła, i pielęgnując zarazem chorego i ślepego ojca.

Fortunat Berger, stryj jej oraz pana Aleksandra, właściciela Chorzyska, bogaty skąpiec, wzruszony może jej dzielnością, a może tem, że przypadkiem tylko od obcych o tej dzielności się dowiedział, bo panna Aniela w najtrudnieiszych nawet chwilach nie zwracała się nigdy do nikogo z prośbami o pomoc, jej zapisał cały majątek, nie chcąc, jak mówił, myśląc o drugim bracie, „tłustego połcia smarować”.

Siostrę i wychowanicę swoją niebawem panna Aniela, wyposażywszy, trzecią częścią otrzymanego spadku wydała ją za pana Halskiego, który z początku kochał się niby w niej samej i, wedle gawęd ludzkich, nawet z wzajemnością. Pewnem zaś było tylko to, że nie wyszła już potem sama zamąż, stale odrzucając konkurentów i partye.

Kiedy Halski strwonił niebawem cały posag żony na hulanki i rozpustę, panna Aniela, straciwszy naprzód znaczne sumy na ratowanie jego interesów, zaczęła wreszcie utrzymywać całą rodzinę. Siostra wkrótce umarła ze zgryzoty, jej znów powierzając swoje sieroty — dziewczynkę Zosię i chłopczyka Janka. Panna Aniela chowała je, jak matka, co jednak nie przeszkadzało jej opiekować się w dalszym ciągu dziesiątkami innych biednych dzieci różnych stanów: wiecznie uczyła sama, i uczyli inni za jej pieniądze.

W kilka lat po śmierci żony Halski zginął w pojedynku, i ona została jedyną opiekunką sierot...

Snuła się też po głowie Mireckiego piękna para, ale mniej.

W Chorzysku okazało się, że cała młodzież pojechała na spacer w sąsiedztwo, a pan Berger śpi. Usiadłszy w salonie, Mirecki pogrążył się w numer gazety. Po chwili weszła panna Aniela.

— Sam pan winien — zaczęła na wstępie tonem żartobliwej wymówki, widocznie bojąc się, żeby nauczycielowi nie zdała się uchybieniem nieobecność uczenicy. — Zostaliśmy uprzedzeni, że

przerywa pan lekcye z Zosią z powodu choroby małego Jesiołowskiego, a nie uprzedził nas pan wcale, że ten powód przestał już istnieć. Za karę wynudzi się pan trochę ze mną. A cóż to było pańskiemu uczniowi?

Mirecki opowiedział, że przez kilkadziesiąt godzin wisiał nad domem strach dyfterytu.

— Więc pan obawiał się nam go zanieść?

— Zapewne, toby mnie też powstrzymało, ale zarazem przykro mi było odjechać od malca nieprzytomnego, do którego zdążyłem się już... zdążyłem przywyknąć.

Po chwili rozmowy o Julku Jesiołowskim panna Aniela, zwróciwszy uwagę na dziennik, który przez zapomnienie trzymała wciąż ręka Mireckiego, zapytała:

— Zdaje się, nowa: wyczytał pan co ciekawego o wojnie?

— Nie zajrzałem do depesz. Przeczytałem tylko jakiś „ciąg dalszy" powieściowy: syn ze strasznym niepokojem jedzie tu do umierającego ojca. Następnym razem się dowiem, czy dojechał na czas, czy się spóźnił, bo oprócz czułości chodzi tam widocznie o jakąś tajemnicę rodzinną.

— Czasem bez tajemnic rodzinnych „zapóźno" może być strasznem słowem—powiedzała bez cienia patosu w głosie panna Aniela. Nawet i bez śmierci — dodała po krótkiej pauzie. Zapanowało milczenie. Mirecki z ciekawością patrzał na jej twarz, której pogoda przybrała wyraz skupionej powagi nawet z odcieniem smutku.

Po chwili panna Aniela znów całkiem bezdeklamacyjnie zaczęła opowiadać:

— Ot, przyszło mi ni z tego, ni z owego do pamięci...

W Jędrzejowie, gdziem się urodziła i wyrosła, mieszkała tuż obok nas cioteczna babka moja, typ dawnej gospodarnej, bogobojnej, uczciwej i poczciwej mieszczki. Synowi jej udało się dorobić na Syberyi znacznego majątku, przysyłał więc matce niemało pieniędzy, pisywał często, ale, kiedy mu już nawet wolno było wrócić, przyjazd odkładał: interesy nie puszczały. Dowiedziawszy się wreszcie, że matka traci już ze starości wzrok i dziecinnieje, a o nim tylko wciąż mówi, — wrócił po dwudziestu latach nieobecności, lecz właśnie, jak się okazało — zapóźno.

Mirecki ledwo powstrzymał wykrzyknik: „umarła", przypomniawszy sobie owo: „bez śmierci nawet".

— Widok rodzinnego miasta, dawno niewidzianych twarzy wzruszył go tak, że drżał, kiedy go siostra do matki prowadziła. A staruszka miała już pod dziewięćdziesiąt, była całe życie bardzo

gościnna i często teraz brała jednego ze swoich znajomych za drugiego. Wchodzi tedy wuj Oskar — Stopka się nazywał — i rzuca się do matki, która siedziała pod oknem w fotelu.

— „Matko!

„Witam, witam pana. Luciu, a niech tam samowar prędzej... Ziąbł pan pewno...

A ten po raz drugi:

„Matko, to ja.

„Dawniej wszyscy mnie zwali matką Stopczyną. Teraz babką.

„Matka mnie nie poznaje? Przecieżem Oskar.

„Mój syn też nazywa się Oskar.

„Ależ proszę spojrzeć na mnie!

„Pan Guliński? Ach nie, tak na starość często się mylę. Pan Gwara, prawda Luciu?

A Lucia stanęła, jak skamieniała, staruszka zaś, przypomniawszy sobie syna, zaczęła zaraz:

„Ach, mój Oskar! Żebyś pan wiedział, co to za syn. Od maleńkości był taki...

„Ależ matko, niechże mnie matka pozna!

„Bardzo mi przyjemnie poznać pana — odpowiedziała biedaczka frazesem, który gdzieś kiedyś zasłyszała u jakichś „państwa".

„Jak on pamięta o mnie — ciągnęła dalej o synu. — Obiecał przyjechać do mnie, ale czy przyjedzie?

„Przecieżem przyjechał...

„A skąd pan dobrodziej? Bo to, widzi pan, jeden interes trzeba zaokrąglić, drugiego dopilnować...

— Czy pan uwierzy — kończyła panna Aniela — że ten zerwał się, jak szalony, i z rykiem zaczął głową o piec tłuc. A tymczasem izba pełna już była krewnych i znajomych, i zaczął się taki gwałt, że staruszka się przestraszyła i w kilka dni potem, jak u nas mawiali, „doszła", nie poznawszy syna.

Zapanowała cisza. Mirecki był całkowicie pod urokiem nie tylko prawdy życiowej wypadku, lecz też zupełnej prostoty w udramatyzowaniu tej sceny przez opowiadającą.

— Czy pan ma rodziców? — zapytała go nagle panna Aniela.

— Nie, pani.

— Biedny pan — odezwała się i, jak często w ciągu tej rozmowy, po krótkiej pauzie, jakby po chwili skupionego wsłuchania się w głos duszy, dorzuciła:

— Źle jest nie mieć na świecie serca, co wszystko odczuje

i wszystko przebaczy. Bo inne kobiety będą pana kochnły dla siebie, a matka...

— Mam dobrą siostrę i dobrego wuja — odrzekł Mirecki pośpiesznie, jakby bojąc się posądzeń o nędzę zupełną swego serca.

— To dużo, bardzo dużo, rzekła z przekonaniem panna Aniela, i znów nastała cisza.

Mirecki myślał, że w owem „a matka" brzmiała skarga na samotność długiego sieroctwa, a że z tem „dużo, bardzo dużo" wiązała się we wspomnieniu panny Anieli pamięć o tem, jaką wierną i oddaną siostrą była ona sama dla nieboszczki Halskiej. Dusza jego była jeszcze za martwa w tej chwili, by odczuć, że w słowach tych drgnęła stała obawa panny Anieli, żeby jej dzieci przybrane nie czuły się sierotami i nie były kochane tylko, jako pociechy, wypełniające życie, oraz że tchnęło na nią przypomnienie, że jej samej zabrakło siostry.

Chwilę milczenia, może przypomniawszy sobie tym razem zasady konwenansu, przerwała znów panna Aniela.

— Brat mój zachwycony jest panem... Dziś mu trochę gorzej, ale do kolacyi pewno wyjdzie, szczególnie wiedząc o miłym gościu. Ale gdyby pan wiedział, jak źle zastałyśmy go, przyjechawszy przed miesiącem!... Lekarze mówią, że więcej mu szkodziła samotność, niż podagra, wcale tak bardzo nie zaawansowana. Posiedzimy tu jeszcze przez lato, a tam przewiozę go do siebie. Bo, widzi pan, ja jestem też z mieszczki — obywatelką. Dom duży, córkę będzie miał o miedzę.

Mirecki omal nie zapytał, dlaczego u córki właśnie ojciec nie zamieszka, ale w porę przyszło mu na myśl, że mogłoby to być niedyskrecyą.

— Brat mój — ciągnęła dalej panna Aniela — zachwycony jest panem dlatego, że musiał się z panem kłócić i oburzać na pana: nieprawdaż, dziwny powód? Ależ bo pan z takim zapałem bronił tak zwanych „zasad 89 roku"! Powiada tylko Aleksander, że, jeśli pan tak samo nie obwija poglądów swoich w bawełnę przed hrabiami swoimi...

— Gdyby nawet rogi mieli na głowie!... Ach, przepraszam, wpadam w naśladowanie Hotspura szekspirowskiego, co dyabłu prawdę obiecywał mówić.

Spojrzawszy na błysk zaciętości i zapału na twarzy Mireckiego, który w tej chwili myślał tylko o pochwyceniu okazyi do pogadania z Jesiołowskim o wielkiej rewolucyi, panna Aniela, ani się domyślając skutku słów swoich, uśmiechnęła się wesoło i rzekła:

— Cenię też niemniej od brata pańską prawą szczerość, ale — tu na twarz jej odrazu wrócił wyraz powagi — bolał mnie nacisk, jaki pan kładł wśród innych praw człowieka na prawo głodu.

— Pani nie uznaje głodu czy prawa?

— Proszę codzień o chleb codzienny.

— Wiedząc, że go pani na jutro też nie zbraknie.

— Niezawsze tak samo wiedziałam, ale czułam i myślałam zawsze tak samo.

— Że?...

— Zdaje mi się, może też w myśl Modlitwy Pańskiej, że ten tak dziś rozpowszechniony szczególnie między młodzieżą pogląd na chleb, jako na jedyną czy przeważną dźwignię doskonałości czy szczęścia, rozkoronowywa ludzkość z pierwiastka boskości, co jej świecić winien nad czołem, i równa ją ze zwierzęciem: umoralnienie — przez żołądek!

— Poetyczność tej argumentacyi dowodzi właśnie najwyższego pożytku sytości pod tym względem: z niej to się rodzi właśnie anielska dobroduszność idealizmów przeróżnego gatunku. Głodnemu a otoczonemu przytem głodną dziatwą takie piękne i wzniosłe przenośnie wcaleby nawet nie przyszły do głowy.

— Ach, jaki pan złośliwy! — ze smutkiem w oczach, wymówką w tonie i uśmiechem na ustach rzekła panna Aniela.

— Proszę pani, to, co mógłbym powiedzieć o wpływie dobrobytu na podniesienie poziomu inteligencyi czy nawet tak zwanej cnoty, byłoby tylko echem ścisłych prawd naukowych.

— Pełną czci grozę budzi we mnie nędzarz i wielbię tych, co karmią głodne, ale nie o to chodzi. Chrystus mówił: „nie dbajcie o to, co będziecie jedli ani w co się odziejecie; dbajcie o duszę, a reszta przydana wam będzie". Ścisłe prawdy naukowe mędrców dzisiejszych głoszą odwrotnie: „zdobądźcie dobrobyt, a reszta przydana wam będzie". Otóż nie śmiem sądzić, kocham tylko bardziej słowa Chrystusa.

— A jednak Chrystus sam karmił tłumy.

— Nie doradzając im rabować wsi sąsiedniej ani rozdrapywać, mordując się nawzajem, chleba i ryb.

— Bo miał moc ich rozmnożenia i wiedział, że żadnemu z tłumu nie przyjdzie moc ni chęć zagarniania wciąż mnożonego dobra.

— Panie, to sofizmaty, obce duchowi Ewangelii. Czemuż tak dbać o sytość przede wszystkiem innem, skoro się widzi, że najbardziej syci nie są najlepsi ani nawet najszczęśliwsi?

— Nadmiar wart braku.

— Brak lepszy.

— Brak o tem inaczej mówi.

— Wierzę i w tem Ewangelii.

— Wielbłąd i ucho igielne! — wtrącił ironicznie Mirecki.

— ...I myślę, że nie nadmiar podsuwa mi te myśli, tylko ona.

— Baczność wobec unisonowości!

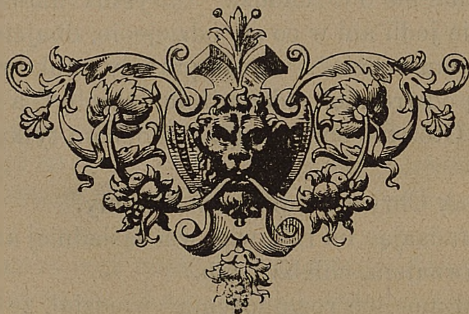
Ale panna Aniela, jakby nie czując ostrzy tych argumentów, mówiła dalej ze spokojnem skupieniem:

— Wspomniał pan prawa naukowe. Jestem przeciętną, a więc niewykształconą kobietą, i dlatego może, myśląc o nich nawet, mimowoli je ewangelizuję. Czytuję najwięcej dzieł pedagogicznych, potrosze z przyzwyczajenia dawnej nauczycielki, a przedewszystkiem dlatego, że wychowuję dzieci. Dziś właśnie uderzyła mnie w jednem z dzieł takich pewna prawda naukowa: „życie jest walką suggestyi". Czy pan wie, jaką myśl nasunęła mi ona? Że, gdyby wszyscy nędzarze, strapieni, udręczeni i przygnębieni, przejęli się duchem Chrystusowym, wytworzyliby taką potęgę suggestyi, którejby się żadne najtłustsze i najzatwardzialsze serce nie oparło.

Myśl ta opanowała tak umysł Mireckiego, że długą chwilę siedział bez ruchu. Usłyszał turkot powozu dopiero wtedy, kiedy się on zatrzymał przed gankiem i panna Aniela zawołała:

— Przyjechali.

(d. c. n.) *Józefat Nowiński.*



KOSMOZOFICZNE POGLĄDY

MICKIEWICZA.

Istnieją płody umysłu ludzkiego tak doskonałe, że w stosunku do nich czas zda się tracić swą moc niszczącą. Są one jako słońca, które, zabłysłszy przed wiekami, świecą po dziś dzień jednostajnym blaskiem. Całe szeregi pokoleń mijają koło nich, jako cienie, inne światła powstają i gasną, zmieniają się ustroje społeczne, wierzenia i światopoglądy, a one trwają w spokojnym majestacie swej nieśmiertelnej młodości — tak wielkie jest bogactwo treści, w tych skarbnicach myśli zawarte, tak oczywistą zamknięta w nich, wiekuista i niezmienna prawda. Wszechstronnie dokładna a nieskazitelnie prawdziwa psychologia człowieka, pokazana *ad oculos* w dramatach Szekspira, od wieków rozrzewnia, przeraża, naucza i bawi; od wieków królewicz Hamlet, ów subtelny sceptyk i pesymistyczny filozof, nęci myślicieli i krytyków przepaścistą głębokością swego ducha. I nieomal w każdej ważniejszej życia chwili, w każdej tego życia zawiłości, każdy z nas odnajdzie w tej lub innej szekspirowskiej postaci swe pożądania i wstręty, swe obawy i walki — a wszystko tak przedziwnie wyraźne, tak dobitnymi wypowiedziane wyra-

zy, jak gdyby niespodziewana jasność oświetliła nagle nawpół uświadomione i mroczne zakątki naszej duszy.

Lecz po co zbiegłe wywoływać wieki?
I swoich czasów śpiewak nie obwini,
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki!

Żywy — bo nieśmiertelny, niedaleki— bo ojcowie nasi widzieli go na oczy, — Mickiewicz, lubo mniej popularny od Szekspira, nie ustępuje mu zgoła olbrzymią wielostronnością umysłu i potęgą myśli, która czas swój o lat kilkadziesiąt wyprzedziła. Na lirze swojej we wszystkie struny po kolei uderzał, przechodził od naiwnej prawie sielanki do eposu, stanowiącego najwyższy tryumf poetyckiej twórczości, a tam, gdzie w wieszczem jasnowidzeniu świat cały okiem myśliciela ogarnął, wszedł na wyżyny, na które zaledwie w długie lata po nim wydostały się przodujące umysły, ale już po drodze, utorowanej przez zbiorową pracę pokoleń.

Mickiewicz, wszędzie pełny wspaniałej prostoty, wszędzie jasny i zrozumiały (w całej jego poetyckiej spuściźnie jeden tylko ustęp z Dziadów zrozumieć się nie daje — „A imię jego czterdzieści i cztery") nie miał nigdy komentatorów, bo objaśnień nie potrzebuje. Nie komentarzem więc jest notatka niniejsza, ale zwróceniem uwagi na niektóre utwory, być może jedne z najpiękniejszych, a mimo to mniej znane od innych, choć w nich właśnie występują najaw ciekawe rysy umysłu, naukowego wykształcenia i krytycyzmu poety; w dalszym ciągu jest próbą ujęcia poglądu poety na przyrodę, o ile ten pogląd w utworach Mickiewicza istnieje.

Mozolna i stroma jest droga, którą przebyć musi myśl ludzka, dążąca do uogólnień szerszej natury. Poza czystą matematyką, co, oderwana od świata zmysłowego, obywa się bez dostrzegania, a posługuje się jedynie rozumowaniem, powstanie wszelkiej teoryi, objaśniającej istotę danego działu zjawisk, poprzedzać musi długa i jałowa napozór epoka zbierania pojedyńczych faktów i obserwacyi. Legiony bezimiennych często, zapominanych zwykle, a zawsze zasłużonych pracowników gromadzą zwolna pojedyńcze cegiełki i kamyki, z których z czasem powstać ma świątynia ku czci prawdy. Te materyały, konieczne do wzniesienia trwałej naukowej budowli, wzięte oddzielnie, martwe są i nieciekawe, pozornie bez żadnego naukowego lub filozoficznego znaczenia, ale przecie i bryła marmuru, z której wykowano zwycięską Wenus, była tylko bezkształtnym kamieniem. Co gorsza, zdarza się nieraz, że gorącego serca budo-

wniczy rozpoczyna budowę, gdy materyał na nią nie jest jeszcze zebrany w dostatecznej ilości, lub wystarczającego już używa opacznie, niezgodnie z jego naturą i kształtem; wtedy gmach powstaje nietrwały, ściany jego wychodzą rychło ze zrębu, upada wreszcie, a rozsypane cegły, nie tracące swej wartości, zbiera inny mistrz, bieglejszy lub doświadczeńszy, i rozpoczyna pracę nanowo.

W historyi poglądów naukowych nie brak hypotez, powstałych przedwcześnie, zbudowanych na podstawie faktów zbyt nielicznych lub niesłusznie ocenianych, które mimo łudzących pozorów rychło straciły wiarę. Cóż, jeśli przy rozważaniu poszczególnych danych brak badaczowi najcenniejszej naukowej cnoty, t. j. przedmiotowości; jeśli zła wiara, przedpowzięte mniemanie, osobiste sympatye lub niechęci przesłaniają mu tę cząstkę prawdy, którą słaby umysł ludzki odkryć jest w stanie! Wtedy zamiast wspaniałego wytworu owocnej pracy powstaje jedynie najcięższy grzech — grzech przeciwko duchowi. Wśród powołanych do uprawy winnicy filozoficznej każdy pracownik mocen jest gotować drogę Pańską, każdy może się jąć roboty przygotowawczej, ale niewielu jest dano zebrać w jedną całość skrzętnie zgromadzone materyały. Toż od zarania historycznego żywota ludzkości aż do dni naszych wielka filozoficzna synteza kilkakrotnie zaledwo zrodziła się w duszy ludzkiej.

Istnieją więc dwa niezbędne warunki, bez których żadne uogólnienie filozoficzne powstać nie może, a które jeden umysł posiadać winien. Pierwszy z nich — możliwie wielki zasób wiadomości faktycznych, czyli, inaczej mówiąc, wielkie wykształcenie — daje się osiągnąć zapomocą usilnej pracy nawet przy miernych zdolnościach umysłowych, warunek zaś drugi nazywa się właściwie geniuszem i zjawia się wśród ludzi raz na przeciąg kilku stuleci.

Obu tym warunkom czynił zadość Mickiewicz i dlatego zaliczon jest do największych duchów ludzkości. Kto uważnie czytuje utwory naszego poety, kto, jak piszący te słowa, przywykł zaglądać do nich co jakiś czas od wczesnej młodości, ten odnajduje już w płodach młodocianej jego muzy, w wierszach, pisanych przez dwudziestoletniego młodzieńca, dowody tak rozległego i gruntownego wykształcenia, takiej masy wiadomości z najróżniejszych dziedzin nauki, że mimowoli zapytuje siebie, zali jest możliwe, aby umysł jednego człowieka wszystko to mógł objąć i zatrzymać. Nawet biorąc pod uwagę genialne zdolności Mickiewicza, domyślać się należy, że był równie pracowity, jak zdolny, że był ruchliwego i badawczego umysłu i że w młodym wieku postępował wedle starożytnej maksymy: *homo sum...*

W r. 1822 dwudziestotrzyletni naówczas młodzieniec z powodu rozpoczęcia przez Lelewela kursu historyi powszechnej w uniwersytecie wileńskim ogłasza na cześć profesora ów przedziwny wiersz, w którym mieści się w miniaturze charakterystyka głównych okresów historycznego żywota ludzkości i trafna ocena trudności a obowiązków dziejopisarstwa. Choć zewnętrzna szata utworu swym klasycznym stylem zdradza jeszcze wczesną młodość autora, choć język, który w późniejszych wierszach jest tak wysoce artystyczny, że aż sprawia wrażenie zupełnej prostoty, tutaj jeszcze nie dosięga zwykłej u mistrza doskonałości, wynagradza te braki treść ody, treść tak bogata i obszerna, że każdy wiersz pojedyńczy zdaje się być treścią brzemiennym. Pójdźmy więc za przewodem historyka-poety; wdzięczna to i owocna wędrówka.

Jeżeli trudno ustalić związek między przyczyną a następstwem w przejawach martwej przyrody, o ileż trudniejszem staje się zadanie tam —

„Kędy ludzkość jest światem, żywiołami duchy,
. . . .
„A bóstwo prawdy, skąpiąc nagiego promienia,
„Pełni swojej nie raczy ukazać z pod cienia.

Zupełna przedmiotowość w ocenianiu zjawisk dziejowych, ów idealny postulat historyografii, bodaj, że nie daje się osiągnąć pod słońcem, bo wpływy dziedziczności, wychowania i środowiska zwracają myśl indywidualną w danym kierunku i robią samodzielność w myśleniu takiem samem złudzeniem, jakiem jest, według współczesnego determinizmu, wolna wola. Ów dogmat determinizmu rozumiał Mickiewicz doskonale w początkach XIX wieku, kiedy jeszcze wyraz „determinizm" nie istniał, nie mówiąc już o jego treści, skoro ze smętną stanowczością zaznacza nieprzezwyciężone trudności przy poszukiwaniu prawdy.

„Bo jej trudno dostrzeże, choć kto oczy wlepi:
„Od dzieciństwa jesteśmy długo na nią ślepi,
„Skoro zaczniem przezierać, że nie dosyć bystrze
„Podejmują się obcy nam usłużyć mistrze
„I szkła swojej roboty wsadzają na oko,
„Przez które widać szerzej i więcej głęboko.
„Ale jaką im barwę dał mistrz wynalazku,
„W takim wszystkie przedmioty okazują blasku.
„Stąd cudze malowidła, własne wzroku skazy,
„Omyłkę na zewnętrzne przenosim obrazy.
„Człowieku, sługo wieczny! bo nie tylko zmysły,
„Ale i sądy twoje od drugich zawisły.

„Pierś dziecinną ojcowskie napełniają czucia;
„Gdyś młody, uciskają zwyczajów okucia,
„Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie:
„A ono jest wyssane w macierzystym chlebie;
„Albo niem nauczyciel poił ucho twoje,
„Zawżdy część własnej duszy mieszając w napoje.

Powstaje więc zadanie omal, że nie do rozwiązania, bo:

„Słońce prawdy wschodu nie zna i zachodu;

. . . .

„Stąd, kto się w przenajświętszych licach jej zacieka,
„Musi sobie zostawić czystą treść człowieka.
„Zedrzeć wszystko, co obcej winien jest przysłudze,
„Własności okoliczne i posagi cudze.

A jednak zda się, jakoby ta trudność osiągnięcia zupełnego objektywizmu nie istniała dla poety, skoro następujący później skrót dziejów olśniewa czytelnika trafnością i wszechstronnością charakterystyki.

Na równinach Mezopotamii „najprzód w wielkie ciało zrosły się narody" i wkrótce zamarły w jarzmie wschodnich despocyi. Nie wśród nich rozpala się po raz pierwszy nieśmiertelne odtąd ognisko myśli, ale staje się to za sprawą drobnego greckiego plemienia, sławnego po wszystkie wieki prarodzica współczesnej cywilizacyi.

Niegdyś przodkowie nasi w wieku XVI, żyjący wśród rozkwitu odrodzenia kultury starożytnej, celowali znajomością literatury greckiej i rzymskiej. Wojski sandomierski zna teorye Platona z pierwszej ręki i tłómaczy z greckiego pierwowzoru jedną z pieśni Iliady, a nieznany autor rękopismu, zatytułowanego „Paradoxa koronne", cytuje dosłownie wyjątki z traktatu Cycerona o rzeczypospolitej, które znał z zatraconego później odpisu, wpierw nim Angelo Majo ułamki tej pracy ogłosił. Zanikła później doszczętnie nauka filologii klasycznej w naszym kraju, a zjawiające się w pierwszej ćwierci zeszłego stulecia tłómaczenia arcydzieł starożytnych dokonywane są z przekładów francuskich. Ale Mickiewicz był pierwszorzędnym lingwistą i filologiem, a co ważniejsza, doskonale pojmował ducha kultury starogreckiej, przez tysiącolecia od nas oddzielonej, choć tylko dorywczo, w wierszu do Lelewela, swój pogląd na tę sprawę wygłosił. Nie dziw! Inna wszechmocna idea wypełniała tego ducha aż do wieczora dni jego. A dopóki myśl ludzka zwracać się będzie wstecz ku pratwórcom współczesnej cywilizacyi, zawsze ze czcią i uwielbieniem zatrzyma się wobec drobnego plemienia, umiło-

wanego przez bogów, co na słonecznych wysepkach archipelagu czciło piękność narówni z zasługą, wobec jego mędrców dotąd nie prześcignionych, jego artyzmu dotąd niezrównanego. Toż cały rozwój moralny i społeczny późniejszej Europy jest dalszym ciągiem tego odległego duchowego życia, co ongi odniosło świetne zwycięstwo na polach Maratonu nad wschodniem barbarzyństwem. Otóż cała kulturalna i historyczna rola starożytnej Grecyi wtłoczona jest po mistrzowsku przez poetę w ten krótki urywek:

Owdzie między wysepki i morskie rękawy
Drobny Greczyn urządzał pospolite sprawy.
. . . .
Dla nieznanych cór nieba pierwszy w jego rodzie
Wystawiono piękności kościół i swobodzie.
Tych natchnieniem Helenin gdy piersi zagrzewał,
Walczył, rozprawiał, kochał, nauczał i śpiewał.

Nadciąga burza od Wschodu.

Trzaskiem samowładnego napędzona bicza
Wali się od Kaukazu zgraja niewolnicza.
Kserkses ludy podeptał, miasta porozwalał,
Morza flotą zahaczył, lądy tłumem zalał.
Wtem z małej chmurki greckiej, gdy pioruny padną,
Rozprysnęły się tłumy, floty poszły na dno.

Te pioruny padły po raz pierwszy pod Maratonem i ocaliły kulturę starożytną od zagłady.

Zgubnego Europejczyk umknąwszy pogromu,
Poszedł Azyanina nękać w jego domu;
A na perskie wezgłowia upuściwszy skronie,
Drzemał i na bok rzucił ordzewiałe bronie.
Tak swobodnie sennego zabrali w łańcuchy
Wilcze Romula plemię, italskie pastuchy.

Tu następuje krótki a jędrny i dosadny obraz nie tyle historyi Rzymu, ile społeczno-politycznego charakteru władców starożytnego świata — obraz, wyznać należy, niezupełnie wyczerpujący i bezstronny. Nie tylko chytrością i przemocą, jak chce Mickiewicz, zagarnęli Rzymianie pod swą władzę cały świat, znany naówczas, ale również w znacznej mierze niezmierną wyższością swej kultury w stosunku do ujarzmionych narodów. Znakomici prawnicy i administratorowie, acz niezdolni do pracy twórczej, przeszczepiali na swoją glebę to wszystko, co inne cywilizacye miały w sobie najlepszego, a w metodzie rządzenia podbitemi plemionami kierowali się

niepojętą na owe czasy tolerancyą, która, być może, wypływała z pogardy dla wszystkiego, co nie było rdzennie rzymskiem. Wszakże to rzymscy historycy stolicę państwa nazywali poprostu miastem — *„urbs"* — bo tylko Rzym jeden był miastem na ówczesnym świecie, liczyli lata od chwili założenia tego miasta — *„ab urbe condita"* — a godność obywatela rzymskiego przez długie wieki była największym zaszczytem dla autochtona zawojowanych krajów. Ale przyznać też trzeba, że rzymscy mężowie stanu, jakby się ich dziś nazywało, bezwzględnością, chytrością, brakiem czci i wiary górowali ponad współczesnymi sobie, a nawet ponad odległą potomnością. Nie jest to bynajmniej potwarz, bo najprzedniejszy z rzymskich statystów, Juliusz Cezar, wyspowiadał się przed światem ze swego sposobu myślenia z przedziwnie naiwnym cynizmem. W „Komentarzach" zdobywca Galii i Brytanii występuje jasno, jako znakomity polityk, prawy Rzymianin, stawiający interes Rzymu ponad wszystko, ale jednocześnie jest to człowiek bez kęsa bogobojności, wiarołomca, okrutnik i szalbierz, a co dziwniejsza, zgoła bez moralnego zmysłu, który t. zw. mężom stanu nakazuje uzasadniać ich postępki choćby koniecznością państwową. Opowiadając sam o swem wiarołomstwie, o traktatach, które zawierał, nie myśląc bynajmniej ich dotrzymać, o bezprawiach i gwałtach, które popełniał, Cezar nie usprawiedliwia się by najmniejszem słówkiem, snać nie przypuszczając, aby w państwie rzymskiem znalazł się ktokolwiek, coby mu wziął za złe jego działalność polityczną. Tę właśnie stronę rzymskiego charakteru uwydatnia Mickiewicz. Oto są jego Rzymianie:

Kłótliwi i przez własne wyuczeni zwady,
Jak gwałtem lub chytrością wyniszczać sąsiady.
Ustawni napastnicy, przy chwilach pokoju
Ramiona do nowego krzepili rozboju
Albo darli się z sobą; wtenczas tylko w zgodzie,
Kiedy społem o cudzej przemyślali szkodzie.

Zagarnęli wreszcie świat cały, i już nic im nie pozostało, jeno zmarnieć a zniknąć, bo —

. . . . skoro zapaśnikom przeciwnych nie stało,
Z otyłości próżniackiej coraz słabnie ciało.
Rzym pastwi się nad światem, a tyran nad Rzymem,
Świat rzymski obumarłym staje się olbrzymem.

A wtedy na gruzach wszechświatowego imperyum powstaje świat nowy, utworzony przez świeże i młodzieńcze pierwiastki etno-

graficzne, a wedle przepięknego wyrażenia poety przez „ogniste z pod lodów skandynawskich dzieci", który to świat trwa aż do chwili odkrycia nieznanych części globu. Świat ten wytworzył odrębne instytucye społeczne i polityczne, odrębną sztukę, urobił nieznane przedtem typy w sferze charakterów indywidualnych i nieznane przedtem nastroje moralne w szerokich masach, zanim za czasów koleją zamarł, jak inne, i dał początek nowej epoce. A nie sądzę, by najszerszy traktat dziejowy mógł dodać cokolwiek do mistrzowskiej charakterystyki średniowiecza w wierszu do Lelewela, wszystko albowiem, co było tego czasu wytworem, piętnem, znamieniem, począwszy od gotyku w budownictwie, a skończywszy na wszechwładztwie politycznem papieży, znajdziecie w tym przecudnym ustępie:

Oto Senior, swym pełnym odziany kirasem,
Niosąc kopię w toku, różaniec za pasem,
Pobożności oddany, kochance i chwale,
Pod dach gotycki ściąga na ucztę wasale.
. . . .
Czulsze serce, niż u nas biło im z pod stali:
Oni najpierwsi z niebios Miłość przywołali,
Serdeczną i za dawnych niecenioną wieków
U duchownych Hebreów i cielesnych Greków.
Oni, kiedy praw słaba chwieje się budowa,
Krzepili ją łańcuchem rycerskiego słowa.
Aby naprawić krzywdy, piękne zyskać względy,
Ważyli się na puszcze i zamorskie błędy,
Nowe herby z odległych przynosząc turnici
Lub krwią kupując palmę męczeńską w Judei.
Tymczasem na ich zamkach zasiadły opaty,
Mnich cisnął się do celi, a mniszka za kraty;
Na wystrzał bulli z tronów spadały korony,
Rzym powtórnemi ziemię opasał ramiony.

Już na progu nowszych czasów powstaje rozbieżność w losach narodów Europy. Z jednej strony w Anglii i Polsce rozwija się ustrój republikańsko-konstytucyjny, z drugiej zaś we wszystkich innych państwach potężnieje władza monarchiczna, niszcząca nieraz okrutnie przeżytki feodalnego możnowładztwa,

U ludów, gdzie społeczny gmach na pismach wsparty,
Panów i sług powinność objaśniły karty.
Takie na Albiońskim spisano ostrowie,
I takie Jagiellony dali nam królowie,
Lecz w inostronnych krajach naczelników stopa
Buntujące się panki zniżyła do chłopa.

Powstałe około tego czasu olbrzymie państwo Karola V, w którego krajach słońce nie zachodziło, wspierane przywoźnem z Ameryki złotem, grozi widmem nowej monarchii uniwersalnej i wywołuje konieczną samoobronę ze strony państw słabszych i drobniejszych. Zjawiają się więc po raz pierwszy w większych rozmiarach koalicye i przymierza, co jest równoznaczne z rozwojem dyplomacyi.

Natenczas sztuka stanu, w tajniach urodzona,
Rozciągnęła szeroko polipa ramiona.

Później zasię, aż do zwrotnego punktu w dziejach ludzkości, do wielkiej rewolucyi, życie ludów europejskich płynie wyraźnie wytkniętem korytem. Poza nielicznymi wyjątkami narodów jeszcze niema, są tylko państwa, a państwo — to panujący. Panujący jest niepodzielnym właścicielem terytoryum i ludu, nad którymi panuje; odziedzicza oboje, sprzedaje, zastawia lub daje w posagu; jeżeli prowadzi wojny, są to wojny osobiste, dynastyczne.

Stąd wzajemna nieufność, ustawiczne czaty,
Walki, częste nabytki i prędkie utraty;
Wszystkie ludy i ziemie za swe mając spadki,
Rozdawano, jak sprzedaż, wiano albo datki.

Aż wreszcie „dojrzały w wulkanach nadsekwańskich lawy”, i następuje wybuch, którego echa dziś jeszcze rozlegają się po świecie.

W r. 1822, kiedy genialny młodzieniec pisał wiersz do Lelewela, zaledwie lat dwadzieścia kilka ubiegło od strasznego roku terroryzmu, rewolucya francuska była więc nieomal faktem współczesnym, a dla różnostronności swojej, dla olbrzymiego znaczenia swego i wpływu niezmiernie do ocenienia trudnym. Dziś nawet, po stu kilkunastu latach, każdy niemal badacz owej epoki inaczej ją ocenia, a cóż mówić o tych, co naocznie prawie oglądali niebywały w dziejach kataklizm, gdy nagle runął tysiącoletni gmach społeczno-polityczny, grzebiąc pod swymi gruzami pół miliona ludzi! Po wielu pracach przygotowawczych, po zbadaniu olbrzymiego materyału archiwalnego teraz dopiero wystąpiły najaw w całej pełni odległe przyczyny i bezpośrednie powody rewolucyi, ale po dawnemu niemasz zgody, gdy idzie o oznaczenie jej istotnej roli w życiu ludzkości. Mickiewicz wspaniale rozumie genezę tego olbrzymiego przewrotu, bo nawet u największego ze szperaczy, Taine'a, nie znaj-

dziecie w streszczeniu nic więcej nad to, co z sobie tylko właściwą potęgą wygłosił nasz poeta.

Tam zadawniony ucisk, ponawiane skargi,
Wieczne państwa świętego z doczesnem zatargi,
Wyskoki głów myślących, zapały młodzików,
Duma panów, rozkutych wściekłość niewolników,
A jak ziemia, ciężarna sprzecznemi nasiony,
Z potwornym niegdyś cielskiem rodziła Pytony,
Tak z pomąconych chęci i myśli natłoku
Rewolucyjny Gallów wylągłeś się smoku!
. . . .
Kłótliwa wschodzi zgraja;

Zjawiają się fanatyczni, a okrutni utopiści, chcący przebudować społeczeństwo wedle teoretycznych urojeń — boć jest to epoka, mająca za dogmat umowę społeczną Rousseau'a — zjawiają się także faryzeusze fanatyzmu rewolucyjnego, wyzyskujący ogólny zamęt dla wulgarnego zysku,

. . . . . w jednych chęć urasta
Platoniczne po ziemi odbudować miasta:
Drudzy skarbce do nowej znosili budowy,
Żeby z nich potem własne poczynić obłowy.

Nakoniec rozpętane i rozszalałe namiętności doszły do takiego napięcia, że nie mieszczą się dłużej w granicach Francyi, przelewają się na zewnątrz, i na zdumione państwa sąsiednie spadają armie obdartych, podnieconych, rozżartych, apostołujących bohaterów.

Gdy przeciwników szyję zgięli albo zsiekli,
Poszli cudzą przelewać, własną krwią ociekli.

Mickiewicz w całym powyższym obrazie rewolucyi jest jedynie bezstronnym obserwatorem i sprawozdawcą, dopiero z końcowych wierszy całego ustępu, zamykających również historyczną część ody, można wywnioskować, że widzi wielkie dobrodziejstwa, spływające na ludy z łona tej krwawej burzy dziejowej, kończy albowiem uwagą:

A choć teraz skruszone olbrzymy zachodnie,
Jeszcze na ziemię krew ich może działać płodnie.

Takim jest wiersz do Lelewela, a choć jest to wytwór młodzieńczego zapału, odnajdujemy już w nim wszystkie późniejsze cechy genialnego umysłu. Widać w nim ów orli rzut oka, ogarniający z góry całokształty rozległych zjawisk i widzący wszystek świat,

subtelność i nieomylność w ocenianiu przyczynowego stosunku między faktami, olimpijską pogodę w sądzeniu, a nadewszystko we krwi jakoby leżącą łatwość syntezy filozoficznej. Kto napisał odę do Lelewela, ten powołany był do dokonania czynu, co po dwakroć tylko spełniony był przez ludzi, do stworzenia narodowego eposu.

Za sprawą wiersza do doktora S., przedsiębiorącego podróż naukową do Azyi, poznajemy Mickiewicza, jako poetę przyrodnika.

Rzecz dziwna, że wiersz, pełen pierwszorzędnych piękności, olśniewający polotem naukowo-poetyckiej fantazyi, wiersz w swoim rodzaju jedyny, bo Mickiewicz nigdy już później nie szybował tymi szlaki, jest mimo to wszystko bodaj najmniej znanem mickiewiczowskiem arcydziełem. A przecież, poza swoją wartością artystyczną, cenny jest niezmiernie choćby z tego względu, że wykazuje dowodnie przyrodnicze wykształcenie poety; dla ludzi zaś bez rudymentów przyrodoznawstwa droga do filozoficznego myślenia jest bez miłosierdzia zawartą.

Rozpoczyna ten wspaniały utwór żartobliwa apostrofa:

Kapłanie Eskulapa, w pogaństwo zagnany,
Szerząc cześć twego bóstwa między Azyany,
Gdy cudzoziemcom zdrowie niesiesz w upominek,
Porzucasz chorujące serduszka Litwinek.
Sam nie umrzesz z tęsknoty: bo i w obcem niebie,
W wodach, w ziemiach znajomi powitają Ciebie.

Zaczem, uprzedzając myślą podróż przyrodnika, poeta przechodzi z nim przez trzy królestwa: powietrza, wody i ziemi, wskazując ciekawsze i godne badania przedmioty. Najprzód więcidzie fauna powietrzna.

Spojrzyj na tłum, co wietrzne kraje rozwesela;
Jak król, najdrobniejszego znasz obywatela.
Wiesz, swojska li ptaszyna, czy ziem dzikich córa,
Ile wiosen przelata i gdzie złoży pióra.

W opisie flory i fauny morskiej jest już Mickiewicz owym niezrównanym kolorystą i plastykiem, który wywołuje wyraziste wrażenia barw i kształtów arcymistrzowskim doborem wyrazów.

Morze, straszące samym widokiem swych głębi,
Badawczego zapału w tobie nie wyziębi:
Znijdziesz pod zwierciadlaną rozeznawać tonią
Roślinki, hodowane Amfitryty dłonią,

Których postać znikoma, jak senne marzenia,
I kolory zmienniejsze od tęczy promienia.
Tam jest gwiazda, co tylko dnom podmorskim świta,
I latarnia, przy której dumał Stagiryta,
I łódź, wiosłem żyjącem morskie tnąca szyby,
I pałasze, którymi walczą wieloryby.

W gromadzie jeżowców — echynodermata — do której należy mięczak gwiazdnica, owa „gwiazda, co tylko dnom podmorskim świta", często w otworze ust istnieją tafelki szkieletu, stanowiące przyrząd żucia, a które się zowią latarnią Arystotelesa, czyli Stagiryty.

Godna zazdrości podróż! Ale tam pielgrzyma
Zewsząd śmierć liczna, łatwa i niesławna ima.
Dalszych rybiego państwa nie badajmy ciemnic:
Dosyć jest dla rozumu lądowych tajemnic

Te tajemnice lądowe to fizyologia ziemi w jej życiu obecnem i minionego jej życia historya. Powierzchnia i wnętrze ziemi, na pierwszy rzut oka stałe i niezmienne, są, właściwie mówiąc, podległe zmianom nieustannym, acz powolnym, ponieważ czynniki telluryczne, co wytworzyły obecną budowę i konfiguracyę naszego planety, działają od początku czasów i działać będą po wszystkie wieki aż do fizycznej śmierci globu. Pod działaniem słońca, mrozu i deszczów niwelują się zwolna olbrzymie góry, tworząc kosztem swego istnienia wielkie przestrzenie lądów aluwialnych na porzeczach i wybrzeżach morskich; natomiast powstają nowe łańcuchy górskie za sprawą sił mechanicznych, bądź to wznoszących masy ziemne od środka ku obwodowi globu, bądź to fałdujących i marszczących część jego powierzchni. A jako zarysy i powierzchnie lądów są w rzeczywistości widownią ciągłych przewrotów, nieustanna jest również praca czynników chemicznych i fizycznych w treści ziemi. Słabe pojęcie o tej „kuźni natury" dają nam owe olbrzymie procesy chemiczne, odbywające się w głębinach ziemi pod nieprawdopodobnie wysokiem ciśnieniem, których rezultatem widomym są wybuchy czynnych wulkanów. Ale nie zapominajcie, że tak naucza nowa geologia, ta, której ojcem jest Lyell, a przesławne dzieło Lyell'a, druzgocace na miazgę panujące wówczas poglądy, wyszło w Londynie w r. 1833. Za czasów, kiedy doktór S. wybierał się do Azyi, powierzchnia ziemi trwała niewzruszenie w takim stanie, w jakim ją pozostawił ostatni uniwersalny przewrót czyli kataklizm i trwać miała bez zmiany aż do następnego kataklizmu. Jest to więc tajemnicą Mic-

kiewicza, jakim sposobem doszedł do poglądu, że natura na chwilę nie przerywa swej pracy. Oto, co mówi poeta w dalszym ciągu.

Za twem skinieniem, władco cudotwórczej laski,
Trysną źródłem nauki astrachańskie piaski:
Każemy pękać górom, znijdziem w ich ciemnotę,
Zważać w kuźni natury klejnotów robotę.

Ale boska pogoda umysłu poety zwraca jego myśl w inną stronę.

Ja, bogactw nie łakomy, cenię wynalazki,
W których wielkie pamiątki, choć pomniejsze blaski:
Odszedłbym od brylanty rodzącego szystu
Do geodów, zamkniętych na klucz z ametystu.

Szyst jest geologicznym synonimem łupku, a w łupkowych namułowych formacyach znajdują się wraz ze złotem i platyną dyamenty. Maleńka poprawka jest konieczna w tym opisie, bo w naturze istnieją dyamenty, a brylantem nazywa się dyament, oszlifowany w pewien sposób.

Cóż są geody, „zamknięte na klucz z ametystu?"

Gedy, czyli czerepy są to kuliste lub jajowate skupienia kryształów, zazwyczaj kwarcu lub ametystu, zawierające wewnątrz wakuolę, w której mieści się gaz albo pewna ilość wody lub wreszcie swobodnie się poruszające jądro stałe albo sproszkowana substancya. Powstają geody w ten sposób, że na ścianach kulistej próżni w treści skały osadzają się zwolna kryształy danego minerału, tworząc wreszcie mniej więcej sferyczną bryłę z wyż wspomnianą wakuolą we wnętrzu. Tworzenie się geodów w skałach zgoła różnego od nich składu i budowy nie jest dotychczas z należytą dokładnością wyjaśnione, Mickiewicz zaś rozwiązuje tę zagadkę zapomocą przecudnej legendy, która jest jego wyłączną własnością.

Wiesz ich początek? — Między edeńskiemi drzewy,
Kiedy nasz ojciec pierwszy raz westchnął do Ewy,
Ziemia to pierworodne miłości westchnienie
Złowiła i w kosztowne zawarła kamienie.

Poeta usprawiedliwia tę swoją czarowną bajkę w sposób następujący:

Te prawdy, po hebrajsku zapisane w skałę,
W tajnych archiwach ziemi leżą skamieniałe.

Jest to wzmianka o skałach, pokrytych rysami, przypominającymi kształtem litery hebrajskie; figury te i rysunki, opisane po raz pierwszy przez Humboldta, wytworzone są przez porosty i liszaje.

> Od Humboldta weź klucze na te alfabety
> I stań się biografem naszego planety.

Geologia, jak wiadomo, odróżnia w historyi ziemi cztery następujące po sobie okresy, zaczynając od skał ogniowych, pierwotnych, a kończąc na dzisiejszej formacyi — aluwialnej. Począwszy od okresu drugorzędnego, każda formacya geologiczna posiada skamieniałe pozostałości właściwej sobie fauny i flory. Otóż często się zdarza, że wskutek przesunięcia, sfałdowania lub skręcenia pokładów ziemnych psuje się porządek chronologiczny uwarstwień, a wtedy paleontologia przychodzi z pomocą geologii i rozjaśnia wątpliwości, powołując niejako na świadków istoty dawno zaginione, co bytowały podczas odległej epoki istnienia ziemi.

Jakże pięknie wyglądają te fakty naukowe w oświetleniu genialnej fantazyi!

> Niech cię nie trwoży zmudne latopismo świata,
> Z warstw ziemi, jak ze zmarszczów policzysz jej lata,
> A gdzie w słowach i czynach zdarzy się zagadka.
> Poradzisz się mamuta, naocznego świadka.
> Zbudzisz na skamieniałym uśpionego cedrze,
> W imię Bojana wstanie i paszczę rozedrze.

Sławny i uczony Bojanus był podten czas profesorem anatomii porównawczej w uniwersytecie wileńskim.

Zaiste, w poezyi świata niemasz równie wspaniałego obrazu. Oto, gdy mędrzec, starający się przeniknąć myślą dzieje powstawania ziemi, stoi wobec nierozwikłanych trudności, powstaje zaklęty w imię nauki przedwieczny olbrzym, co ostatni z zaginionego rodu zasnął na zwale przedpotopowego drzewa, i opowiada, jak było na globie, zanim się na nim zjawił człowiek — najmłodsza istota stworzenia.

Geologia wśród nauk przyrodniczych należy do najmłodszych; cudownie fantastyczne jej odkrycia głoszą prawdy, odurzające swą nowością, ale będące obrazem stosunków, istniejących od miliardów lat, prawdy tak niezachwiane, jak postulaty matematyki, a jednocześnie tak niezwykłe, że niemal sprawiają wrażenie poetyckiej fantasmagoryi. Geniuszowi tylko dane było wyrazić to wszystko w kilku wierszach, wśród arcydzieł świata nieporównanych, a uwydat-

niających nadludzkie jakieś, jakby panteistyczne zespolenie się poety z naturą.

Ze snów czterdziestowiecznych Sen, przeszłości goniec,
Przetrze oczy, obwieści swój żywot i koniec.
Wieść nowa, jako cudo, a jako świat, stara,
Prawdziwa, jak rachunek, a dziwna, jak mara.

Lekkim i swobodnie wesołym zwrotem kończy się ten klejnot poezyi polskiej, ale żart powstaje również na tle geo- i paleontologii, utrzymując w ten sposób aż do końca filozoficzno - przyrodniczy nastrój utworu.

Żegnam Cię! Idź, w przeszłości założ twe dziedzictwa.
Przypomnij matce ziemi czasy jej dziewictwa.
Mnie, poetę, już zamiar opanował nowy:
Ja o przyszłości z niebem wdałem się w rozmowy.
Astrologicznem okiem wyczytałem z gwiazdy
I blizki i radosny koniec naszej jazdy.
Znowu czoło z podróżnych orzeźwiwszy znojów,
W stary Tokaj niemeńskich przymieszamy zdrojów.
Tego królem badaczów ogłosi biesiada,
Czyje oko najpierwiej dno kielicha zbada —
Gdy wszystkich nieprzyjaciół rozumu i cnoty
Pomiędzy zaginione wliczymy istoty,
I będziem o rozjeździe, co nas dziś rozżali,
Jak o przedpotopowych dziejach wspominali.

Choćbyśmy nie wiedzieli o tem, że Mickiewicz otrzymał w Wilnie tytuł naukowy kandydata filozofii po złożeniu egzaminu z fizyki, chemii i matematyki, wynikłoby jasno z powyższej pobieżnej analizy wiersza do doktora S., że poeta posiadał gruntowne podstawy ogólno-przyrodniczego wykształcenia, nawet w zakresie o wiele większym, niż to było udziałem najświatlejszych ludzi owego czasu, o ile, oczywiście, nie zajmowali się oni wyłącznie przyrodoznawstwem. Dzięki temu indywidualny światopogląd Mickiewicza wspierał się na fundamencie trwalszym, niż poglądy metafizykujących jedynie filozofów jego epoki, i dzięki temu powstałojedno z najpiękniejszych natchnień poezyi polskiej, do którego pobudką był wyjazd uczonego na wycieczkę naukową.

Niezmiernie rozległej wiedzy humanista, obeznany z zasadami przyrodoznawstwa, wysoce krytyczny a przedmiotowy w sądzeniu, z umysłem, przez naturę do syntezy myślowej stworzonym, Mickiewicz przez samą jakość swego nadludzkiego ducha zmuszony był do wytworzenia własnego ogólnego poglądu na świat. Nie mam tu na

myśli jakiegoś zamkniętego i skończonego filozoficznego systematu, boć tego, oczywiście, poeta po sobie nie zostawił, ani się tego za żywota imał, ale idzie mi o to, czy wiekuista zagadka bytu, stanowisko człowieka w przyrodzie i podstawowe zasady wszechbytu gnębiły tego myśliciela narówni ze wszystkimi wielkimi duchami ludzkości, i czy ślady tych walk duchowych pozostały na wieki w jego spuściźnie literackiej. Gdzież szukać należy widomego wyrazu kosmozofii Mickiewicza?

Nie w „Panu Tadeuszu", który jest antytezą wszelkiego subjektywizmu, w którym Mickiewicz dotyla umiał się wyczłowieczyć, dotyla pozbyć wszystkiego, co było jego indywidualnym charakterem w myśleniu, że widzimy w tym poemacie całą Litwę z początku zeszłego stulecia, z jej naturą i ludźmi, zachowaną na zawsze, „jak w bursztynie mucha", ale pokazaną tak przedmiotowo, eż z tego obrazu znikąd nie wyziera duchowa osobistość autora. Nawet liryczna inwokacya do Panny Świętej, co jasnej broni Częstochowy, jest o tyle tylko wyrazem uczuć poety, o ile w tym razie uczucia jego osobiste są jednakie z uczuciami całego narodu. Nie znajdziemy również tytanicznego wysiłku myśli w owej smutnej epoce życia Mickiewicza, kiedy jego namiętną a zbolałą duszę otoczyły mroki mistycyzmu, przerywając raptownie a ostatecznie twórczą pracę genialnego przedtem umysłu, ani też szukać będziemy rozwiązania wielkich ogólnych zagadnień w okresie młodzieńczego erotyzmu i namiętnego artystycznego reformatorstwa, w okresie Gustawa i podczas narodzin „Konrada Wallenroda".

Ale kiedy duszą poety, zupełnie już dojrzałą i rozwiniętą wszechstronnie, zatrząsł w posadach ryk burzy dziejowej, kiedy tenże poeta, na obczyźnie, struchlały wszystek, rozpamiętywał niedawny pogrom, kiedy, czujący za miliony, a głęboko pobożny, w wieszczej ekstazie nie zawahał się nawet przed bluźnierstwem, wtedy pod wpływem niesłychanego podniecenia myślowego w krótkim ustępie „Improwizacyi" Konrada wypowiedział poglądy, tak rdzennie sprzeczne z wierzeniami całego swego życia, tak zuchwałe i niespodziane, tak z obowiązującymi wówczas kanonami filozofii natury niezgodne, że potomność nawet nie zapisała ich na karb autora, nie uczyniła z nich ani tytułu do chwały dla mistrza, ani powodu do zarzutów lub przygany. A przecież wtenczas, gdy, wedle słów poety, uczuł on nagle, „jakby się nad nim bania z poezyą rozbiła", była chwila, że się nad nim rozwarły niebiosa i prawdopodobnie usłyszan był głos: „ten ci jest syn mój miły..."

A choćby powiedziano, że krótki ustęp, przeczący wszystkie-

mu, co poeta głosił przez życie, nie może nas upoważniać do uznawania zawartych w nim poglądów za kwintesencyę jego wierzeń filozoficznych, nie zapominajmy, że główną dźwignią w działalności poetyckiej Mickiewicza było uczucie, wspierane, co prawda, przez rozległą wiedzę i geniusz, ale zawsze tylko uczucie, że nawet w bluźnierczej rozmowie Konrada z Bogiem ono jest główną przyczyną niesłychanego zerwania z ideami, we krwi leżącemi, —ale że w tym właśnie momencie raz bodaj jedyny poeta stanął przed zagadką bytu, „uzbrojony całą myśli władzą", stanął już nie jako bolejący i miłujący osobnik, jeno jako przenikliwy mędrzec, co wysnuwa z głębin swego umysłu olbrzymie uogólnienia, rozwijające się w chwili prawie nawpół świadomej intuicyi, która bywa czasami udziałem geniuszów. Gdy minął szał, gdy po długiem osłupieniu, wywołanem przez własne zuchwalstwo, podniecony duch doszedł do względnej równowagi, poeta sam uląkł się myśli, których istnienia w duszy swej nie podejrzewał, wyparł się ich, jako Piotr Chrystusa, ale wynik burzy pod czaszką, ale potężna rozmowa z Tym, „co króluje w Niebie", po wsze czasy świadczyć będzie, w jak niezgłębione otchłanie odwiecznych tajemnic pogrążył się duch Mickiewicza, naonczas w tej podróży jedyny wśród świata.

Spróbujmyż zestawić światopogląd Mickiewicza, poczęty w zbuntowanej myśli Konrada, z zasadami owoczesnej i dzisiejszej kosmozofii.

Genialne a samodzielnie wytworzone poglądy filozofów starej Grecyi wraz ze światem starożytnym zamarły. Po wielkim Abderycie (Demokrytes), ojcu atomistyki, nie pozostało nawet autentycznych urywków, a spuścizna duchowa po tym mędrcu dostała nam się jedynie z drugiej ręki — z Arystotelesa i Lukrecyusza.

Gdy zbladło światło greckiego geniuszu i rzymskiego talentu, zapanował w pojęciach o przyrodzie trywialny antropomorfizm i naiwna teleologia, które dotrwały w tej dziedzinie prawie że do dni naszych. Przez długie czasy średniowiecza obowiązywała „topografia chrześcijańska", utworzona przez ciemnego mnicha aleksandryjskiego, urodzonego w wieku VI naszej ery, co się zwał Cosmas Indikoplejstes. Ziemia jest według niego podłużną prostokątną płaszczyzną, zamkniętą ze wszech stron przez wysokie ściany, które, sklepiąc się nad ziemią, tworzą firmament; wysoka góra w okolicach bieguna jest przyczyną dnia i nocy, jak również lunacyi księżyca, a to zależnie od położenia względem niej gwiazdy dziennej i nocnej.

Choć z początkiem odrodzenia, po wielkich odkryciach geogra-

ficznych, ze zmartwychwstaniem filozofii starożytnej, co na szczęście dla rodu ludzkiego nie była bezpowrotnie umarła, znikają zwolna myślowe wytwory zabobonu i ciemnoty, jednak podstawa kosmozofii pozostaje, mniej więcej, jednaka. Ziemia jest centrum wszechświata, a moralnym środkiem ciężkości na ziemi jest człowiek. Słońce krąży dokoła ziemi, bo człowiek potrzebuje ciepła, światła i wypoczynku nocnego; wszystkie sprawy globu obliczone są jedynie na pożytek i wygodę człowieka.

Rok 1543 robi pierwszy wyłom w teoryi wyjątkowego stanowiska człowieka w przyrodzie, bo w tym roku zjawia się dzieło „*De revolutionibus orbium coelestium*", a mniemane centrum świata, dookoła którego służalczo krążyły ciała niebieskie, staje się nagle drobnym atomem w powodzi światów. Acz naukowo rozstrzygnięta odrazu, sprawa detronizacyi ziemi ciągnęła się bardzo długo, aż wreszcie ustaliła się ostatecznie nie wcześniej, jak w XVIII stuleciu. Równie długo i uporczywie bronił człowiek swego naczelnego stanowiska w naturze.

Ważniejsze zmiany w poglądach kosmozoficznych następują w końcu XVIII a początku XIX wieku wraz z rozwojem nauk przyrodniczych, a zwłaszcza geologii i paleontologii. Biologia, pojęta w szerokiem znaczeniu wyrazu, nie mogąc jeszcze zerwać z tradycyą biblijną, wykłada sześć dni stworzenia, jako szereg geologicznych okresów w istnieniu planety. Ingerencya siły twórczej na początku każdego okresu powołuje do życia rośliny i zwierzęta, które po wyczerpaniu się czasu giną w ogólnym kataklizmie. Następuje nowy okres istnienia, nowa ingerencya siły twórczej — i znowu kataklizm, niszczący doszczętnie życie organiczne minionego okresu, a pozostawiający jedynie skamieniałe ślady fauny i flory, rzekłbyś: „tak dla osobliwości, jak i dla pamiątki".

Teleologia tego okresu przyrodoznawstwa nie jest już naiwnie antropocentryczną, ale rozszerza się na wszystkie wyższe istoty organiczne. Macierzyńska, opiekuńcza działalność przyrody w stosunku do jestestw żyjących przejawia się wszędzie i zawsze; daje futro zwierzętom surowej strefy, nie pozwala zamarzać wodzie rzek aż do dna dzięki gatunkowej lekkości lodu i chroni w ten sposób faunę wody od przedwczesnej śmierci... i t. d. Ten właśnie całokształt poglądów na przyrodę obowiązywał w nauce wtedy, kiedy Mickiewicz pisał trzecią część „Dziadów".

W rok później występuje do walki z ustalonemi wierzeniami wielki reformator geologii, anglik Lyell, i podnosi do stanowiska pewnika naukowego ciągłość zmian powierzchni ziemi. Odtąd geo-

logia, owa historya wszechświata, rozważana w indywiduum ziemi, przeczy ogólnym kataklizmom w przeszłości naszej planety, której powierzchnia pod wpływem wiecznie tych samych czynników ulega ciągłym transformacyom, zachodzącym bez przerwy *ab origine mundi* i odbywającym się dziś przed naszemi oczyma. Wysokie szczyty alpejskie stanowiły niegdyś dno morskie; morze, którego resztki tworzą jezioro Aralskie i Kaspijskie, oddzielało przed wieki Azyę od Europy; w lodowatych strefach arktycznych istnieją ślady fauny i flory klimatu znacznie cieplejszego; ale wszystkie te przemiany konfiguracyi i ich następstwa klimatyczne odbywały się nie nagle, nie drogą katastrof, jeno zapomocą powolnej a ciągłej pracy czynników geologicznych, działających w ciągu niezliczonej liczby wieków, — co więcej, zmiany te nie ustają na chwilę.

Tak tedy miejsce fantastycznej zmienności, miejsce siły, niszczącej i tworzącej kapryśnie a nielogicznie, zajmują odwieczne, nienaruszalne prawa, według których bryła ziemska bytuje od chwili powstania swego z kosmicznej mgławicy i którym posłuszną będzie aż do końca swego istnienia. Genialne to wyjaśnienie minionych losów ziemi, to jakby ustalenie praw fizyologii globu, okazało się płodnem w rozległe następstwa na całym obszarze biologii, przyśpieszyło albowiem rozwiązanie odwiecznej tajemnicy, niepokojącej już umysły mędrców starej Grecyi, — mówię tu o kwestyi pochodzenia gatunków organicznych. Gdy zamiast peryodycznych kataklizmów w pszeszłości planety dostrzeżono jedynie szereg powolnych transformacyi, pociągających oczywiście za sobą olbrzymie zmiany w warunkach życia istot organicznych, przestała zadawalniać teorya stałości i wielolicznego pochodzenia gatunków. Pomimo dawniejszych nieśmiałych prób Buffon'a, Lamarck'a i Geoffroy Saint-Hilaire'a powaga Cuvier'a zapobiegła rozwojowi transformizmu; gatunek pozostał w biologii niezmiennym i stałym, a wszystkie istniejące gatunki taż biologia uznawała za powołane do życia oddzielnie i niezależnie od siebie. Ale po rewolucyi, wywołanej przez Lyell'a, teorya ta dłużej utrzymać się nie mogła. Świadomość ciągłej zmienności warunków tellurycznych istnienia musowo niejako nasuwała myśl zmienności istot, bytujących wśród tych warunków i będących poniekąd tychże warunków wytworem, — więc, jako nieunikniona konsekwencya nowych geologicznych poglądów powstaje jedna z największych koncepcyi umysłu ludzkiego, teorya transformizmu, głosząca wspólne pochodzenie i zmienność gatunków, która to teorya stała się ciałem w r. 1859, za sprawą innego wielkiego Anglika, Darwina.

Opracowywana odtąd nieustannie i dopełniana, pomimo częściowych zmian w ocenianiu roli oddzielnych czynników, wywołujących przemianę gatunków, teorya transformizmu zapanowała dziś niepodzielnie w przyrodoznawstwie i ostatecznie wyrugowała z filozofii natury wszelkie tułające się jeszcze resztki antropomorfizmu i teleologii. Odtąd znika już ostatni ślad uroszczeń do wyjątkowego a uprzywilejowanego stanowiska człowieka w przyrodzie; podlega on tym samym niewzruszonym prawom biologii, które rządzą życiem wszystkich organicznych gatunków, jest tylko jednem ogniwem w łańcuchu przemian, co się poczęły w otchłaniach czasu, kiedy w formacyi kambryjskiej zjawiły się pierwsze zaczątki życia organicznego. Wysiłek myśli współczesnej, oparty na materyale naukowym, dostarczonym przez badania przyrodnicze ostatniego stulecia, uzupełnia braki filozoficzne materyalistów starogreckich. Demokrytes nie uznawał naiwnej teleologii w przyrodzie, ale również nie był w stanie ustalić zasady pozornej celowości *a posteriori*, wynikającej ze ślepego rządu konieczności natury. Tak pojęta celowość wypływa dopiero z wielkiej zasady przystosowywania się organizmów do warunków życiowych, zwanej zasadą walki o byt, a pojmowanej zazwyczaj opacznie i niedokładnie. Toż twórca tego określenia, Darwin, z naciskiem i wielokrotnie zastrzegał się przeciwko literalnemu pojmowaniu tej biologicznej podstawy rozwoju i istnienia.

Walka o byt jest to tylko zależność organizmu od warunków środowiska. Roślina, której korzenie rosną w kierunku względnie największej wilgotności gruntu, walczy o byt z suchością gleby, tylko, że korzeń jej celowo nie wyszukuje wilgotniejszej ziemi, jeno się rozrasta w tem miejscu, a nie w innem, bo tam właśnie istnieje ilość wody potrzebna do zachodzących w nim procesów życiowych. Z pozoru wygląda to na celową działalność życiową, a jest tylko koniecznem następstwem warunków życia organicznego w danych okolicznościach. Ochronne podobieństwa zwierząt (mimicry), np. białe futra zwierząt polarnych, nie powstają skutkiem troskliwości macierzyńskiej o dobro gatunku, ale są rezulsatem doboru naturalnego, na którego zasadzie zwierzę najmniej widoczne miało najwięcej widoków przetrwania, *resp.* przekazania swej barwy potomstwu. Rezultat w obu wypadkach pozostaje jednaki, ale przepaść dzieli od siebie oba sposoby wytłómaczenia samego faktu. Tysiące lat człowiek patrzał na naturę z naiwnym subjektywizmem, wykładał ją naiwnie po ludzku, narzucał jej swe nastroje i pojęcia, *resp.* stawiał siebie na stanowisku naczelnem we wszechświecie, robił siebie niejako punktem środkowym, dla którego wszystko istniało, aż wreszcie doszedł do świadomości swych złudzeń i z przerażeniem ukorzył

się wobec olbrzymiego majestatu przyrody. Zrozumiał, że czas trwania rodzaju ludzkiego na globie jest zaledwie mgnieniem oka wobec trwania okresów geologicznych, że rzekomo umiłowany przez naturę gatunek „*homo sapiens*" nie ma nic przed innemi, że miłość, gniew, litość istnieją jedynie w poznającym umyśle, ale niemasz ich w naturze, bytującej według praw stałych, niewzruszonych, odwiecznych, zawsze jednakiej, spokojnej, niepojętej, że wszystko dzieje się we wszechświecie w sposób misternie doskonały i przedziwnie mądry, ale niemasz w nim po ludzku pojętej pieczy o stworzenia żyjące, że, jednem słowem, w tajemniczej treści urządzeń wszechbytu tkwi nie miłość, ale mądrość.

Zrozumiał to jednak dopiero człowiek doby bieżącej, któremu badania przyrodnicze czasów ostatnich odsłoniły cząstkę tajemnic natury, a dla umysłów pierwszego trzydziestolecia XIX wieku dzisiejsze poglądy filozofii natury nie istniały, bo dla braku podstawowego materyału wytworzyć się nie były mogły.

Czego jednak nie pojmował i nie przeczuwał t. zw. człowiek przeciętny, a choćby nawet przeciętny uczony lub badacz, idący po drodze myśli równocześnie ze współczesnością, to zjawiło się niespodzianie przed oczyma duszy Mickiewicza, kiedy, jako Konrad, starał się przeniknąć odwieczną tajemnicę tajemnic. I niema nic nadnaturalnego w tym cudownym z pozoru fakcie, że genialny wieszcz w wielkich uogólnieniach wyprzedził swą epokę o lat kilkadziesiąt, bo jest właściwością geniuszów owa nadludzka łatwość wysnuwania rozległych wniosków z przesłanek, ilościowo dla umysłu zwykłego niedostatecznych, a jakościowo nie dość wyraźnych i określonych. Wszakże zasady dzisiejszych poglądów kosmozoficznych poczęły się prawie że przed wiekiem, a naukowa reforma Lyell'a dotyla przygotowała grunt dla transformizmu, że tenże narodził się jednocześnie w umysłach trzech przyrodników (Wallace, Darwin, Hooker). Unosiły się więc te pojęcia niejako w atmosferze umysłowej stulecia, ale jeszcze bezcielesne i nieuchwytne, dla szarego tłumu niewidzialne, a gdy w wiele lat później ucieleśniły się wreszcie w konkretną formę filozoficzno - przyrodniczego poglądu, przyjęte zostały ze świątobliwą zgrozą, nieomal z nienawiścią wobec tysiącami lat zakorzenionej dumy człowieka. Sam Mickiewicz miał wyraźną świadomość, że pojął i wygłosił rzeczy dla współczesnych wręcz niepojęte, którą wypowiedział w ustępie, pełnym dumnego poczucia swej duchowej samotności.

Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklane weźmie skrzydła, ciebie nie dolata;
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy:

Domyśla się, że to słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.

I oto za sprawą geniusza stoimy oko w oko z naturą rzeczywistą, niezbadaną w swej istocie, nieubłaganą w swych prawach, a którą dotychczas nędzny proch, zwany człowiekiem, kształtował na swój obraz i podobieństwo. Zaiste, „milion ludzi, krzyczących „ratunku!", choć cierpi, szaleje i kona, nie jest w naturze niczem więcej, jeno zawiłem rachunku zrównaniem, jeno nieuniknionem następstwem niezliczonych a zawikłanych przyczyn uprzednich, jednym z przejawów nieustającego na chwilę życia wszechświata. Natura sama przez się nie jest ani dobrą, ani złą, nie zna miłości ani nienawiści; ona jest tylko posłuszną prawom, których początku ani celu nie znamy, które ogarniają wszystko i kierują wszystkiem, ale nie znają wyjątków ani hierarchii wyższych lub niższych istot, ani specyalnych umiłowań lub wstrętów, ani po ludzku pojmowanych celów.

Złudzenia drogie są często duszy ludzkiej. Wielki Goethe—równie wielki przyrodnik, jak poeta — walczył przeciw teoryi, nie uznającej istnienia barw w przyrodzie; nie chciał natury bezbarwnej lub jednobarwnej, której mniemane kolory są jedynie subjektywną sensacyą widzącego oka. O ileż cięższej było naszemu poecie, o duszy tkliwej i miłością przepełnionej, spojrzeć choćby raz jeden na wszechświat z punktu widzenia, tak wyraźnie w improwizacyi zaznaczonego i dojrzeć w nim zamiast ojcowskiej dobroci dla istot stworzonych — niewzruszony spokój przedwiecznych zarządzeń, próżnych wszelkiego antropomorficznego nastroju!

Jeszcze chwila, a duch, podniecony do krańców możliwości, olśniony widokiem nieznanych i groźnych szczytów, z zawrotnej wyżyny stoczyłby się w przepaść obłędu. Już nie tylko przeczył zasadzie opiekuńczej dobroci w przyrodzie, ale gotów był w niej upatrzyć ideę wręcz odwrotną, ideę zimnego i wyrafinowanego okrucieństwa. Czas był wielki, aby olbrzymi duch zatrzymał się w swym pędzie, aby snać nie połamał skrzydeł o nieprzezwyciężoną zaporę, co po wszystkie wieki istotę wszechbytu przed śmiertelnem zakrywa okiem. Zatrzymał się więc i cofnął, bo dalej iść już nie było można, bo dalej, prawdopodobnie, duch żaden, by najsilniejszy, przeniknąć nie zdoła; ale zstąpił z wysokości, na które bodaj że nie wdarł się nikt ze współczesnych mu duchów, a nim opuścił te podniebne stropy, to, co widział, wypowiedział słowami na szczęście i niespożytą chwałę polskiej myśli. Te nieśmiertelne słowa:

Już są tam — wykute,

choć sam wieszcz później odczytać ich już nie był w stanie.

Tadeusz Trzciński.

W sprawie samokształcenia.

(*Kozłowski Wł. M.* Co i jak czytać? Wykształcenie samego siebie i czytelnictwo metodyczne, Warszawa, Br. Natanson, 1900, 8-ka, str. 298)

Jedną z najważniejszych potrzeb myślącej młodzieży naszej jest niewątpliwie samokształcenie. Praca jednak w tym kierunku wymaga odpowiednich wskazówek teoretycznych i praktycznych. Jak dalece wzrosło w ostatnich czasach zapotrzebowanie tych ostatnich, świadczy najwymowniej powodzenie „Poradnika dla samouków”, którego tom I rozchwytano w ilości 2,000 egzemplarzy w niespełna trzy miesiące, a tomy II i III są już na wyczerpaniu. Cenne to dzieło wszakże, lubo daje ogólne pojęcie o istocie, metodzie i sposobach praktycznych studyowania poszczególnych nauk, nie zawiera planu ani metodyki wykształcenia ogólnego (dopiero w znajdującym się obecnie pod prasą tomie IV kwestyę tę uwzględniono). Jest to kwestya, niezmiernie doniosła dla każdego samouka, to też ćwierć wieku przeszło wyczekuje młodzież nasza ukazania się przewodnika w rodzaju pedagogiki samokształcenia. Opracowanie pedagogiki takiej nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, trzeba bowiem nie tylko być filozofem w zakresie nauki wychowania, lecz zarazem ująć ważniejsze odłamy wiedzy w całość syntetyczną, a dostępną dla przeciętnego czytelnika, główne zadanie samokształcenia wyprowadzić

z założeń ogólno-wychowawczych i do średnich potrzeb czytelnika zastosować naczelne wskazania nauki i życia.

Trudności te jeszcze bardziej powiększa konieczność przemawiania o rzeczach niezmiernie zawiłych w sposób prosty, jasny, zrozumiały. Ciężkie to, ale nie mniej wdzięczne zadanie podjął p. Wł. M. Kozłowski w pracy swej p. t. „Co i jak czytać?” Ze względu na wyjątkową doniosłość przedmiotu i wzrastające u nas zainteresowanie się sprawami samokształcenia pozwolimy sobie dłużej nieco uwagę czytelnika na tych kartach zatrzymać.

Książka p. Kozłowskiego nie daje się streścić ani na kilku, ani na kilkunastu stronicach, a to z powodu niezwykle obfitego nagromadzenia różnorodnych zasad, poglądów i aforyzmów, które albo wcale związku z sobą nie mają, albo tak są skojarzone, że zespalającej nici dopatrzyć się nie można. Prawie każdy rozdział zawiera, co najmniej, kilka tematów, i, jeżeli każdy z nich zosobna może być tak lub inaczej zrozumiany, to razem wzięte nasuwają przeszkody w odnalezieniu wzajemnego ich stosunku. Pod względem jasności wykładu i zwięzłości logicznej wyjątek stanowi rozdz. V, poświęcony uwagom i wskazówkom co do sposobu czytania. Rozstrząsając ten ustęp, każdy samouk zgodzi się z autorem, że umiejętna lektura wymaga ciągłego zastanawiania się i samodzielnej oceny rzeczy przeczytanej, że niezbędnym warunkiem zainteresowania się książką jest związek jej treści z zadaniami naszego życia, że należy zachować pewną równowagę (autor nie określa, na czem ona polega i jak ją osiągnąć) przy czytaniu utworów poetyckich i naukowych, ocenić też potrafi dobre rady co do prowadzenia notatek, dyskusyi na temat poruszanych w książce zagadnień i wiele innych pożytecznych myśli. Ze stanowiska jednak dydaktycznego napotykamy i w tym rozdziale trudności. Oto na str. 67 autor twierdzi, że bierne zachowanie się czytelnika wobec czytanej książki „bywa najczęściej wynikiem naturalnej bezwładności umysłu. Ale dość jest *zechcieć* (podkreśla autor) skupić się nad treścią książki, a zaraz nasuną się jakiekolwiek myśli nad tem, cośmy przeczytali”. Dlaczego bezwładność umysłu nazwano tu naturalną, kiedy przeciwnie stan czynny ducha jest zjawiskiem normalnym, automatyzm zaś, bezwładność wyjątkiem? Genetycznie rzecz biorąc, wszystko, co się dzieje na świecie, jest naturalne; w danym wszakże wypadku, kiedy idzie o wykrycie zboczeń od prawidłowego rozwoju myśli, dla wskazania środków zaradczych, mianowicie, kiedy trzeba wytknąć samoukowi drogę do czynnego udziału w lekturze, nie możemy twierdzić, że bezwładność umysłowa bywa najczęściej przeszkodą na tej

drodze. Stosując taką metodę, moglibyśmy z łatwością całą pedagogikę udaremnić. Tymczasem jest to jednem z głównych jej zadań, żeby wynaleźć przyczyny nienormalnego rozwoju: bierność umysłowa jest wynikiem wielu rozmaitych warunków życia duchowego, które pedagog uwzględniać powinien, ze stanowiska wszakże dydaktycznego zajmują nas przedewszystkiem przyczyny psychologiczne, a dla samouka ważną jest rzeczą wiedzieć, jaką mniej więcej powinna być treść książki, żeby go zająć i do myślenia skłonić mogła. Dobór lektury zależeć przeto będzie od takiego stosunku czytanego utworu do umysłowości czytelnika, jakiego wymagają prawa rozwoju myśli. Oczywista przeto, że zachęcanie do skupienia się nad treścią książki nic wspólnego z dydaktyką nie ma, odwoływanie się zaś do woli w celu rozbudzenia czynności umysłowych jest w rażącej sprzeczności zarówno z psychologią myślenia i woli, jak pedagogiką dzisiejszą. Uprzystępnienie wiedzy polega właśnie na takiem ustosunkowaniu składowych jej części, żeby uczący się nie mógł biernie się zachowywać wobec doznawanych wrażeń; osiąga się to przez to zastosowanie metody nauczania (albo czytania) do wymagań psychologii.

W tymże rozdziale autor stawia czytelnika w kłopotliwem położeniu, mówiąc o zaletach belletrystyki i trudnościach przy czytaniu dzieł naukowych (str. 70 i 71). Wniosek, który się stąd wysnuwa, jest ten, że, ponieważ przedwczesne rzucanie się do dzieł ściśle naukowych zniechęca do pracy poważniejszej i nie pozwala zrozumieć głównych idei utworu, przeto należy zaczynać od literatury pięknej. Rozumiemy, że myśl, w artystycznej wyrażona postaci, łatwiej może do duszy przemawiać, zbudzić uwagę, zagrzać uczucie, skłonić do zastanowienia się i t. p., ale w jaki sposób utwory poetyckie mają przygotować do zrozumienia dzieł naukowych? Autor poświęcił tej kwestyi cały rozdział VII, lecz żąda od samouka, iżby „osoby, wchodzące w skład utworu poetyckiego, były przedmiotem rozbioru psychologicznego", i żeby czytelnik „wydawał sąd moralny o wartości danej osoby, jako jednostki i jako członka społeczeństwa" (str. 133). Czyżby do tego zdolny był samouk, który jeszcze książki naukowej zrozumieć nie może? A wydanie takiego sądu o bohaterach czyż nie jest najtrudniejszem zadaniem dla krytyków zawodowych i historyków literatury? Ocena człowieka, jako jednostki i jako członka społeczeństwa bez uprzedniej znajomości rozwoju dziejowego, bez zgłębienia form i treści życia w jego przejawach duchowych, kulturalnych, ekonomicznych i politycznych, jest zawsze oceną nieumiejętną, błędną, pospolitą, której się podejmują

wszyscy. Czytelnictwo metodyczne powinno zapobiegać wydawaniu sądu o rzeczach najbardziej zawiłych, zanim mniej złożone i zasadnicze dostatecznie przyswojone nie będą.

Przechodząc do innych rozdziałów książki, wspomnimy tylko o kwestyach zasadniczych, najbliżej dotyczących głównego tematu. O istocie i zadaniach samokształcenia autor mówi najwięcej we wstępie i rozdz. VIII, przytacza wiele pięknych aforyzmów i usilnie zachęca do pracy samodzielnej, czytelnik wszakże niełatwo tu oryentowac się może, bo, kiedy na str. 9 powiedziano, że „przekonania nie tyle z książek lub z głowy się wydobywają, ile raczej płyną z serca", to na str. 12 autor mówi, że nawet najidealniejsza szkoła, która nie tylko uczy, lecz i wychowywa, „przekonań dać nie może, muszą one być wynikiem samokształcenia i wychowania siebie samokształcenia". Oczywista przeto, iż pod nazwą samokształcenia pojmuje autor coś zgoła innego, jak to, co oznacza wykształcenie szkolne. Na tejże stronicy znajdujemy określenie następujące: zadanie szkoły jest podwójne: „o ile wychowywa, dąży ona do tego, aby uszlachetnić charakter, wyrobić karność i wolę; o ile uczy — ma na celu formalne wyrobienie umysłu, przyzwyczajenie go do myślenia systematycznego"... Nawiasem zauważyć tu musimy, że chociaż dawniejszy, na psychologii nie oparty system nauczania miał i zwykle ma dotychczas na celu „formalne wyrobienie umysłu", jednakże zadania tego nigdy nie osiągał, jeżeli tylko wychowańcom nie dostarczono wiadomości pozytywnych, jeżeli umysł nie zdobył odpowiedniej ilości wyobrażeń, które już same przez się stanowią o treści przebiegu i wyćwiczeniu się myślenia. Dopóki mniemano, że człowiek posiada zdolności umysłowe, niezależne od zasobu jego wiedzy, dopóty rozdzielano sztucznie proces myślenia na dwie czynności: przyswajanie wyobrażeń to jedna, wszelkie zaś operacye, dokonywane z niemi, jak porównywanie, wnioskowanie, uogólnianie i t. p. to druga czynność, którą usiłowano wyćwiczyć np. zapomocą studyów klasycznych. Przypuszczano bowiem, że umysł, nawykły do pracy w jednym kierunku, tak samo pracować będzie w każdym innym, czyli że może istnieć zdolność kojarzenia wyobrażeń, sądzenia, rozbioru, syntezy i t. d. niezależnie od samych wyobrażeń, a nawet bez ich udziału. Ale już od 30 lat przeszło psychologia rozwiała te złudzenia i o nauczaniu *formalnem* nie można powiedzieć inaczej, jak o sile życiowej, flogistonie i t. p. Co do celu samokształcenia, to jest on, zdaniem autora, „zupełnie inny (jak cel wykształcenia szkolnego), zadaniem jego bywa wyrobienie odpowiedzi na zagadnienia, przez życie nasuwane, utworzenie przekonań, któreby się stały modłą postępowania". Biorąc najogólniej,

wszystkie zagadnienia nasuwa nam mniej lub więcej bezpośrednio życie, jeżeli jednak podzielimy je na życiowe i teoretyczno - naukowe, to dlaczego mamy te ostatnie z programu samokształcenia wyłączyć? Co więcej, czy możemy znaleźć, a nawet szukać odpowiedzi na kwestye „życiowe", bez uprzedniego przygotowania „naukowego"? To, co nazywamy zwykle kwestyą życiową, jest zjawiskiem, dotyczącem niezmiernie zawiłych spraw albo życia osobniczego, albo zbiorowego, i dzieje rozwoju zagadnień takich aż nadto wykazały, jak długo ludzkość musiała sobie głowę łamać nad zrozumieniem zjawisk prostszych i zasadniczych, zanim się doszło do umiejętnego stawiania zagadnień życiowych. Widocznie jednak autor ma na myślli zupełnie innych samouków, skoro pisze (str. 13), że „przystępujący do samokształcenia wie, czego żąda, bierze się do niego świadomie". Ale tacy doszli już do najwyższego stopnia wykształcenia, oryentują się w zajmujących ich zagadnieniach i w literaturze, stoją niejako u progu samodzielnej pracy twórczej, szukają tylko materyałów dla należytego wyjaśnienia świadomie wybranych i sformułowanych kwestyi. Nie potrzebują oni wskazówek czytania metodycznego, jakkolwiek i tam na dobrą radę natrafić mogą, lecz głównie dokładnych informacyi o literaturze badanych przez się przedmiotów. Jeżeli w samokształceniu idzie o „utworzenie przekonań, któreby się stały modłą postępowania", to samokształcenie, w ten sposób zrozumiane, nie obejmuje całej dziedziny uprawy ducha, lecz tylko stronę moralną, tembardziej, że przekonania „płyną z serca". Przypuściwszy nawet na chwilę, że przekonania są wytworem uczucia, a że cel samokształcenia polega na wyrobieniu przekonań takich, czyli, że ma czysto etyczne zadania przed sobą, trudno wszakże z tem się pogodzić, aby postępowanie nasze opierało się wyłącznie na uczuciach, gdyż sfera moralna nie daje się oddzielić od umysłowej z wyjątkiem wypadków postępowania rutynicznego, zmechanizowanego, gdzie uc[illegible]yczajenie zajmuje miejsce działalności świadomej.

Już na początku swej pracy zastrzega się autor, że będzie „unikał wszelkiej myśli, naprzód powziętej, co do wyników, do których wykształcenie doprowadzićby mogło", a to w tym celu, „ażeby każdy mógł (ze wskazówek) brać to, co jego indywidualności, potrzebom i dążeniom odpowiada"; za ogólną zaś podstawę autor uważa to, co dla każdego jest obowiązujące (str. 16). I rzeczywiście książka, mająca służyć za przewodnika w samokształceniu nie tylko zadania swego bliżej nie określa, lecz pomija kwestye wzajemnego stosunku poszczególnych zagadnień nauki i życia, nigdzie nie wspomi-

na o rozwoju przekonań, które ma czytelnik w sobie wyrobić. Wytworzenie całkowitego poglądu na świat jest ostatecznym celem pracy samouka, jako to wielokrotnie zaznaczono. Autor jednak nie mówi, jak dojść do niego, uważa bowiem, że odsłonięcie przed czytelnikiem stopniowych faz rozwoju myśli (t. j. przekonań, składających się na ów pogląd na świat) może zachwiać indywidualne potrzeby i dążenia samouka. Albo więc książka napisana jest dla ludzi, świadomych swych potrzeb i dążności, a w takim razie, jako ludzie, już wykształceni, nie potrzebują ani rad, co i jak czytać, tylko jaknajrozleglejszych informacyi o piśmiennictwie i rozwoju danego przedmiotu; albo, jeżeli autor przemawia do zwykłych samouków, to dziwnem się wydaje, że widzi w nich potrzeby i dążenia wyrobione, świadome, skończone, których ani sprawdzać, ani prostować już niema potrzeby. Nie przeczymy, że poszanowanie cech osobniczych ucznia czy samouka jest nieodzownym warunkiem prawidłowego rozwoju, ale nie możemy też zrozumieć, jakby się ten rozwój odbywał, gdyby szkoła, wychowawca lub jakikolwiek doradca nie nakreślił z góry planu swego postępowania, nie obliczył „wyników, do których wykształcenie doprowadzićby mogło". Prawda, że autor wychodzi z zasady, że samouk przystępuje do pracy ze świadomością celu, i to zwolniłoby go od obowiązku podania programu samokształcenia, lecz na wstępie czytamy, że „młodzieniec, pragnący świadomie i uczciwie w życiu wystąpić, znajduje się w rozpaczliwem położeniu... czuje się zupełnie nieprzygotowanym wobec tysiąca zagadnień, które nastręcza mu otoczenie" (str. 7); „rzuca się do pierwszych lepszych książek"... (str. 9); wogóle nieświadomość i bezradność samouka zaznacza autor dość często. Dlaczegoż nie przychodzi mu z pomocą, nie wskaże bodaj w najogólniejszych zarysach tych stopniowych etapów myśli, które każdy zdobyć musi dla wyrobienia „całkowitego na świat poglądu?"

Nieco bliższe określenie zadań samokształcenia podaje autor na str. 59: „jedno (z nich) odpowiada potrzebie poznania wszystkiego, co jest godne poznania w dziedzinie natury i ducha... jest to zadanie teoretyczne: drugie wypływa z obowiązków naszych względem ogółu, społeczeństwa, ludzkości, ...jest to obranie sobie powołania w życiu, ...zadanie praktyczne".... „Jedno ma na celu doskonałość osobniczą... drugie—wyrobienie człowieka, jako członka społeczeństwa"... Nie mówiąc już o tem, że ten podział zadań jest sztuczny i że wskutek tego utrudnia nam wykrycie związku pomiędzy potrzebami osobniczemi a społecznemi, jak nie

mniej zadania poznawcze od praktycznych zadań życia [1]), co ze stanowiska biologicznego i dziejowego usprawiedliwić się nie da,—pomijając to, zagadkowem się wydaje, że doskonałość osobnicza i wyrobienie człowieka na świadomego i pożytecznego członka społeczeństwa może stanowić dwa odrębne cele. Czując konieczność połączenia tych zadań, autor występuje przeciwko sybarytyzmowi umysłowemu, przeciwko gnuśnej kontemplacyi „czystej i oderwanej wiedzy", ponieważ „przeznaczeniem człowieka jest życie czynne, obowiązkiem—zostać użytecznym członkiem swego społeczeństwa". Dobrze, jeśli kto wierzy w przeznaczenie i jeżeli na takie się zgodzi, dobrze, gdy się natrafi na czytelnika, poczuwającego się do obowiązków względem społeczeństwa, ale są sceptycy, są umysły, poszukujące konieczności zamiast obowiązków; tacy nie są wrażliwi na morały, tylko na logikę i nieodzowność porządku rzeczy. Potrzeba czynnego udziału w życiu społecznem wynika nie z założeń etycznych (nie wyprowadza się dedukcyjnie), lecz wprost z istoty życia zbiorowego i roli, którą w niem spełnia jednostka (do czego dochodzimy drogą indukcyi). Podobnie, jak naturalna, niezłomna konieczność (nie zaś obowiązek), każe nam unikać powodzi, klęsk, ognia i t. d., tak samo — tylko w mniej oczywisty, a więcej pośredni sposób — łączące nas ze społeczeństwem ogniwa pociągać nas muszą do współdziałania, w przeciwnym bowiem razie grozi osobnikowi zależność jednostronna, niedobrowolna (niewolnicza). Nie tylko przecież ze względu na możliwy krytycyzm czytelnika takie stawianie kwestyi stosownem nie jest; daleko ważniejsze są tu wymagania metodyczne. Rozbieżność celów, różnorodność niczem nie powiązanych zadań, dowolność w podnoszeniu obowiązków pozbawia nas planu w pracy tak zawiłej, jaką jest samokształcenie. Autor, co prawda, zapowiedział z góry, że nie chce żadnego „narzucać" planu — dla ocalenia indywidualności czytelnika; pragnąłby jednak rozbudzić w nim krytycyzm, skłonić do wytworzenia filozofii życia (str. 102), rozwinąć umysł we wszelkich możliwych kierunkach, zaczynając od psychologicznego rozbioru i oceny społecznej bohaterów poezyi (str. 133) aż do syntezy nauki i dziejów. Samouk, idąc za radą autora, musiałby posiąść wszystkie mądrości świata i stać się prawdziwym panem stworzenia, szkoda tylko, że mu nie dano

---

[1]) Fakt istnienia teoretyków i praktyków nie upoważnia jeszcze do tego, abyśmy, kreśląc plany samokształcenia (lub wychowania), utrudniali pojmowanie rozwojowego procesu duchowego, który, biologicznie rzecz biorąc, był tylko teoretyczno-praktyczny, ponieważ połowicznym być nie mógł.

programu, nie wskazano zadań pośrednich, któreby ostatecznie do tak wielkiego doprowadziły celu. Autor radzi zaczynać kształcenie siebie od poezyi, „jak rozpoczęła je ludzkość od mytu", chociaż początek tylko filozofii był taki, wykształcenia zaś źródłem było doświadczenie, zdobywane w stosunkach z otoczeniem. Jest to naturalna droga rozwoju, żadne jeszcze dziecko inną drogą nie poszło, i żadna teorya pedagogiczna od stu lat przeszło porządku tego odwracać nie chce. Dzieje, podróże i opisy krajów mają być „przejściem z dziedziny fantazyi do rzeczywistości" (str. 92). Utwory więc poetyckie mają być kluczem do zrozumienia historyi życia narodów, dziejów kultury i oświaty. „Ale oto—czytamy na str. 93—przychodzi nam chęć wyrozumowania źródła tej rozkoszy, którą czerpiemy z dzieł piękna... Pierwszą filozofią jest filozofia piękna czyli estetyka, jest to próba wyrozumowania tego, co przejmowało młodociany umysł".

Więc od poezyi do dziejów i podróży, następnie przejść należy do estetyki, a potem: „owładnąwszy już jedną dziedziną, poddawszy piękno rozbiorowi i krytyce, myśl szerzy dalej swoje zabory... Umysł przenosi się stopniowo do dziedziny wiedzy; a gdy, przebiegłszy jedna za drugą pojedyńcze jej gałęzie, stara się w jedną całość ująć wiedzę o świecie, zwraca się ku filozofii, aby utworzyć pogląd na świat". Z tego stanowiska samouk ma oceniać teraz zjawiska życia i kierować niemi według wyrobionych zasad. Tu otwiera się przed nim szerokie pole czynu, a publicystyka wprowadza go do tej dziedziny, uczy go sztuki rządzenia wypadkami i ludźmi. „Taki jest naturalny i logiczny bieg rozwoju umysłowego" — kończy autor swoje zasady „naturalnego następstwa w czytaniu (str. 94). Jeżeli to nazwiemy, wbrew woli autora, programem samokształcenia, to nie tylko związku pomiędzy częściami jego nie widzimy, bo autor bliższych wyjaśnień nie podaje, lecz wprost nie rozumiemy, co taki program oznacza i dlaczego ma być lepszy ten porządek, niż odwrotny. Ale dajmy na to, że samouk, nie zagłębiając się w znaczenie owego naturalnego następstwa, przyjmuje wszystko na wiarę i rozpoczyna swą pracę. Rozczytuje się we wszystkich klasykach rymowanej i nierymowanej poezyi, poznaje podróże, życiorysy, może nawet niejedną książkę historyczną przeczyta, chociaż od dzieł poważniejszych stronić będzie, jak to czyni obecnie większość średnio wykształconych ludzi, bo nie tylko belletrystyka, lecz i szkoła średnia nie daje odpowiedniego przygotowania do oceny i łączénia zjawisk dziejowych już nie w ogólny proces rozwojowy, ale w jakiekolwiek pasemko współzależnych faktów. Rozpoczyna-

jący wykształcenie swe od poezyi, nie tylko utknie na jednem z pierwszych dzieł naukowych z zakresu historyi lub filozofii, lecz, jak to zwykle bywa wśród miłośników literatury pięknej, w żadne dociekanie naukowe wdawać się nie zechce, bo, kto przywykł oglądać gotowe obrazy w najżywszej i najpowabniejszej postaci, ten nie lubi wertować surowych materyałów, z których powoli i z mozołem budują się pojęcia całości. A cóż powiedzieć o różnicach w sposobie myślenia przy czytaniu utworu poetyckiego i jakiegoś poważnego studyum! Różnic tych jednak autor zdaje się nie widzieć, skoro żąda od samouka, rozpoczynającego od poezyi, psychologicznego rozbioru i oceny bohaterów pod względem ich wartości społecznej— (str. 90, 95 i inne), sądząc, że „za przygotowanie do tego posłuży znajomość życiorysów autorów oraz krytycznych studyów o ich dziełach" (str. 99). Gdzież tu dane do rozbioru i oceny, gdzie fakty, na którychby samouk mógł sąd swój opierać, gdzie probierz jego wyroków, gdzie samodzielność myśli, do której nawołuje autor? Trudno sobie wyobrazić system, skuteczniej odzierający człowieka z wrodzonych popędów badawczych, ze wszelkiej indywidualności, wyrabiający większą płytkość umysłową, skrajniejszy dyletantyzm i bardziej niezachwianą zarozumiałość, niżby to uczynić zdołała taka metoda wykształcenia. Że tak byłoby, sądzić o tem możemy nie tylko apryorycznie, lecz i z żywych przykładów, gdzie umysł przeważnie belletrystyką wykarmiony został i gdzie własne poglądy zastąpiono zdaniami krytyków literackich, chociaż ubóstwo umysłowe tak wypolerowanych mądrali nie dochodzi jeszcze do ostatecznej nędzy dzięki tej odrobinie wiedzy, którą w pierwszej młodości skądinąd zdobyli.

Bardzo trafne są uwagi autora o wartości i znaczeniu życiorysów, korzyści jednak, jakie się osiąga przez czytanie utworów tych, nie wszystkim samoukom mogą być dostępne. Czyż lektura powieściowa wystarczy, aby dostrzedz w życiorysie, czego brakło temu lub innemu umysłowi, w czem był jednostronny, skąd pochodziła ta jednostronność? Czy pozwoli zrozumieć „walkę, jaką stacza umysł potężny z sobą i z otoczeniem swojem"? (str. 105). Są to rzeczy niezmiernie pouczające, lecz tylko na wyższym szczeblu przygotowania naukowego, kiedy czytelnik dokładnie zdaje sobie sprawę z istoty i znaczenia społecznego typowych idei danej epoki, kiedy życie zbiorowe w głównych przejawach ocenić, więc i zestawić z przeszłością i przyszłością potrafi. To też, zastanawiając się nad uwagami autora o wartości literatury pięknej, życiorysów, dziejów, estetyki, filozofii, widzimy, że je napisał dla ludzi, co poznali już

wszystko, prócz tego tylko odłamu piśmiennictwa, o którem w danem miejscu do czytelnika przemawia.

W rozdziale VIII zawiera się na 23 stronicach cała encyklopedya nauk, a niemal każde zdanie to nowy temat do dyskusyi. Zobaczmy przedewszystkiem, w jaki sposób autor traktuje nauki przyrodnicze. Największą zdobyczą naukową ludzkości jest odkrycie współzależności zjawisk, odkrycie, które zrobiło największy przewrót i jeszcze niesłychanych zmian dokona zarówno w pojmowaniu samej nauki, jak i w metodologii. Luźne wiadomości zespoliły się w system at wiedzy, rozbieżne metody badania zjawisk zjednoczyły się w jednolitą, całą przyrodę ogarniającą metodę, która tylko w szczególnych zastosowaniach zmienia się odpowiednio do natury przedmiotu. Wciąż wzrastająca integracya wiedzy pomimo nieustającego jej różnicowania się jest jedyną podstawą do utworzenia jednolitego poglądu na świat, o który autorowi tak chodzi, stanowi najponętniejszą stronę nauki, jest powodem najświetniejszych jej zastosowań oraz niespożytą chlubą wszystkich dojrzałych umiejętności. Jednakże autor nie mówi o wzajemnym stosunku nauk przyrodniczych i pomimo, że sam jest przyrodnikiem, wypowiada o każdym odłamie wiedzy w tym zakresie zaledwie takie zdania, że „fizyczna natura człowieka należy do zakresu przyrody; jako organizm, człowiek zajmuje pewne stanowisko wśrod innych istot żyjących, a umiejętności, dotyczące tej strony jego istoty, zaliczamy do rzędu przyrodniczych"; albo w dalszym ciągu: „Z innem wszakże zajęciem (?) i w innym celu (?) staramy się poznać te, tak ważne dla nas (?) gałęzie przyrodoznawstwa ogólnego, jak anatomia człowieka, opisująca budowę jego ciała, i fizyologia, zajmująca się jego czynnościami". „Jednocześnie powstają w umyśle naszym zagadnienia, dotyczące stanowiska człowieka w rzędzie istot organicznych, jego pochodzenia. Również zająć nas mogą kwestye, dotyczące różnic w budowie ciała u rozmaitych ras ludzkich, na które odpowie antropologia. Nierównie bliżej obchodzi nas duchowa strona naszej istoty, stanowiąca przedmiot psychologii". I tak dalej na dwu stronicach (145, 146). Autor wspomina, że nauki przyrodnicze są niezbędne w wykształceniu ogólnem, że stanowią doskonałą szkołę myślenia, przedstawia je wszakże w takiej postaci, w jakiej żaden krzewiciel wiedzy od czasów Arystotelesa ich nie wygłaszał. Mniejsza o to, że nie wyzyskano tu najpotężniejszego środka do rozbudzenia zainteresowania się czytelnika przyrodoznawstwem, ale, co ważniejsza, że, rozbiwszy cały układ nauk na części martwe, pozbawiono samouka wytycznych, które wskazują drogę rozwoju duchowego od

rzeczy prostych, zasadniczych, pierwotnych do coraz bardziej złożonych i pochodnych. Na czemże polega metodyczność wykształcenia i czytelnictwa, a nie mniej też metodyczność wskazówek dla samouka, jeżeli naukę pozbawiamy systemu, a zjawiska wszechświata współzależności?

Z takiego traktowania nauki i metody wynikło, że fizyka i chemia nie zostały zaliczone do przedmiotów, „wyczerpujących wiedzę o człowieku" w programie wykształcenia ogólnego (str. 146); stąd też pochodzą: „największa przeciwstawność (?) przyrodoznawstwa i historyi", wrogie (?) stanowisko kierunku przyrodniczego względem prądów idealistycznych (str. 155 i nast.), „przeciwieństwo ducha z ciałem" (159), twierdzenie, że „w zakres historyi wchodzą tylko czyny świadome i celowe" (151); że znamienną cechą dziejów jest wolność, kierująca wypadkami, panowanie ducha, wykluczające wszelki determinizm (157, 158), i mnóstwo innych sprzeczności, których „pojednanie, według autora, znajdujemy dopiero w naukach filozoficznych". Istnieją przeto rozmaite grupy sprzecznych z sobą zjawisk, odpowiednie nauki zamiast punktów stycznych wykazują same przeciwieństwa, ale jest filozofia, która kontrasty owe łagodzi; wobec tego jakąż rolę odgrywa ona wśród innych nauk, jeżeli jej działalność ugodowa żadnego na nie wpływu nie wywiera? Nieszczęśliwy byłby samouk, gdyby jego praca rozstrzeliła pojęcia w rozmaitych, wrogich sobie kierunkach, a filozofia budowała pojednawcze poglądy; taki samouk nosiłby w sobie dwa znoszące się wzajemnie „poglądy na świat": co w jednym nauka zburzy, to w drugim filozofia zbuduje, w umyśle dokonywałaby się jednocześnie dysolucya pojęć oraz ich organizacya.

Pozostałe rozdziały wprowadzają czytelnika w labirynt najzawilszych uogólnień na temat filozofii życia, szczęścia ideałów społecznych, moralności, poglądu na świat, ideałów teoretycznych i praktycznych, wreszcie *silva rerum*, p. t. „Jednostka i społeczeństwo", zamyka część rozumowaną książki, poczem już następują same katalogi dzieł. Sposób traktowania poruszanych tu kilkunastu niezmiernie obszernych i złożonych zagadnień polega już to na króciutkich określeniach w terminach, zwykłemu czytelnikowi nieznanych, już to na analogiach i cytatach, nie ułatwiających zrozumienia rzeczy. Jest to źródło ciągłych nieporozumień. Tak np. autor, nadając filozofii życia charakter egocentryczny, pozwala utożsamić ją z filozofią burżuazyjną, indywidualistyczną (por. str. 178, 179), tem bardziej, że przy każdej sposobności stara się usunąć pojęcia determinizmu, propagując d o w o l n o ś ć czynu. W książce napo-

tyka się tyle zdań, jakby żywcem wyjętych ze słownika obrońców *laissez faire'yzmu*, że niktby się nie zawahał zaliczyć p. K. do tego obozu, gdyby nie jego sympatye do wieku oświaty i wielkich haseł humanitarnych XIX stulecia. Ale skoro już raz przyjęto za pewnik rozbieżność zjawisk i nauk, więc i w filozoficznych wywodach, wbrew zapewnieniu autora, muszą być bezustanne odstępstwa od dążeń syntetycznych, ciągłe łamanie się tego, co z wielkim trudem w socyologii, etyce i t. p. zespolone zostało. Na str. 192 czytamy: „ze stanowiska osobowego każda jednostka jest sobie celem i cel osobowego istnienia swego w szczęściu własnem zakreśla". Co to jest? Pod względem biologicznym żadna istota uorganizowana nie „jest sobie celem", a stanowisko osobowe nie istnieje; w zbiorowiskach społecznych takie stanowisko jest stokroć więcej niemożliwe, ponieważ byt indywidualny nie tylko, jak tam, z życiem gatunku jest związany, lecz nadto z ustrojem społecznym uwspółrzędniony i jemu podporządkowany. Nie uznając tej zasady, wyznając jednak potrzebę ideałów społecznych, autor oświadcza, że „najpoprawniejszą i najprzyzwoitszą filozofią szczęścia będzie filozofia ograniczenia swoich potrzeb" (str. 193). Czytelnik, choć trochę obeznany z życiem społecznem, sam oceni, jaki to związek ma ograniczenie potrzeb z rozwojem kultury i pracą dla dobra ogółu, do której nawołuje nas np. środkowy ustęp na str. 195, chociaż w następnym wierszu już inaczej sprawa się przedstawia: „zagadnienie szczęścia prowadzi więc do tego samego wymagania, co i zagadnienie moralne: zwycięstwa nad sobą i zapomnienia o sobie". Pocóż w takim razie ideały XIX wieku, poco „pogląd na świat", wyrobiony krytycznie, nauka, „metodyczne samokształcenie", kiedy tu wystarczą wskazówki pierwszych ojców kościoła i kilka żywotów świętych? Jak dalece poplątane są pojęcia swobody osobistej pod względem społeczno-prawnym z pojęciami „wolności woli i odpowiedzialności moralnej" (str. 199 i inne), tego najlepiej dowodzi twierdzenie, że „zakres naszych pragnień, ideałów i obowiązków zostaje niezależnym od poznania (wiedzy) i zachowuje swoją racyę bytu wobec jakichkolwiekbądź jego wyników"... (209). I o tem każe autor pamiętać czytelnikowi, chociaż od początku swej książki nawołuje do uczenia się we wszystkich kierunkach dla wyrobienia poglądu na świat i filozofii życia. W dalszym ciągu połączenie pojęć ideału i „nakazu kategorycznego" jest zaprzeczeniem wszystkiego, co było treścią i zadaniem rozdziałów poprzednich. Wiedza, powiedziano tu, składa się z twierdzeń teoretycznych, nie mających żadnego wpływu na wolę; tylko twierdzenia kategoryczne przemawia-

ją do niej, są to twierdzenia moralne, źródłem ich są uczucia (213). Wobec tego poco pogląd na świat, filozofia życia i całe wykształcenie teoretyczne? Poco dręczyć się nad takiemi łamigłówkami dla wyrobienia ideałów życiowych, kiedy wystarczają „przepisy moralne" i twierdzenie kategoryczne, których „źródłem jest zawsze uczucie"? Str. 215 zbija to, co było na 213-tej; na 216 dowiadujemy się o istnieniu „ideałów teoretycznych czyli kontemplacyjnych", które są obojętne dla woli, oraz o „prawie moralnem" w roli fetysza, i, pomimo wielokrotnych zapewnień autora w pierwszej części jego dzieła, że ideały wyrabiają się drogą samokształcenia przy pomocy wszystkich niemal nauk, dochodzimy do wniosku, że one wprost — z powietrza pochodzą (por. str. 216). Zresztą niech sam czytelnik osądzi, gdzie tu prawda i skąd powstały ideały autora — przytoczę ostatnie jego wywody. „Prawdą poezyi jest prawda, o której (co do której?) wierzymy, że się stanie rzeczywistością, prawdą wiedzy — ta, która już nią jest dla nas. Pierwsza dotyczy przyszłości, druga teraźniejszości; pierwsza odźwierciedla ideę, druga fakt" (219). Podług tego przepowiednie astronomiczne, meteorologiczne, wszelkie horoskopy, stawiane co do przyszłych stosunków hygienicznych, ekonomiczno-społecznych i politycznych, to są wszystko wytwory poezyi! Czyżby możliwą była choć jedna udana reakcya chemiczna w pracowni uczonego lub przemysłowca, gdyby nie wiara laboranta, że „prawdy wiedzy" muszą się urzeczywistnić w przyszłości? Czyż nie na tem polega cała wartość i potęga nauki, że jej prawdy (na dokonanych faktach zdobyte) stosować się dają do tego, co być ma lub być powinno? Jednakże autor twierdzi stanowczo, że „polem rzeczywistości jest wiedza, polem ideału — sztuka" (221) i że „poczucie rzeczywistości ściera się ustawicznie z poczuciem ideału"; zapewne, wszystko to się ściera, bo tylko zrozumienie rzeczywistości daje świadomość ideału, który jest w zgodzie z całą duchową istotą człowieka i jego nauką; oderwanie ideałów od wiedzy — to śmierć ideałów i zaprzeczenie nauki. Jakkolwiek wstrętną może się nam wydawać rzeczywistość, oglądana z wyżyn najdalej sięgających idei, wszakże wyrastają one z istniejących pierwiastków, z badania faktów dokonanych. I dlatego nie można powiedzieć, jak na str. 223, że wiedza służy za przewodnika tylko w świecie materyalnym. Nawet autor ostatecznie w to nie wierzy, bo, „jeśli ideał teoretyczny t. j. wyrabiany systematyczną nauką—według str. 215—płynie ze swobodnej twórczości ducha, z wrodzonego poczucia, doskonałości, a wiedza ubocznie tylko wpływa na jego wytworzenie, o ile oddziaływa

kształcąco na ducha, ideał praktyczny, czyli systemat celów życiowych, układa się przy współdziałaniu ideału teoretycznego z danemi wiedzy, które pomagają ooenić krytycznie te cele ze stanowiska ich realnej możliwości, gdy ze swej strony znowu ideał teoretyczny służy za miarę ich doskonałości".

W ostatnim rozdziale, zatytułowanym „Jednostka i społeczeństwo", mieszczą się bardzo piękne aforyzmy o potrzebie niesienia światła tym, którzy go nie mają, o poświęceniu pracy swej bliźnim, o tem, że szczęście znaleźć można tylko wśród ludzi i w miłości dla nich; ale obok tego i takie zasady, że krytycyzm na punkcie przepisów moralności i prawa, „posunięty zbyt daleko, może łatwo doprowadzić do śmieszności", że „nie wszystko potrzebujemy tłómaczyć sobie genetycznie" (227); dalej zalecane są książki „O obowiązkach" i „O doskonaleniu moralnem" De Gérando (tłóm. z 1855), bo uczą krytycznie zastanawiać się nad sobą, wyrabiają „zawczasu pewne szematy postępowania", a to rozbudza krytycyzm, który w sprawach moralności wcale pożądany nie jest przez autora, a nawet zbyteczny, bo przecie ideały osnute są na uczuciu. Jest tu mowa o trudnościach pogodzenia fizycznej i duchowej natury człowieka, a to zapomocą ustępstw, dzięki „poczuciu miary artystycznej", dalej o utopii społecznej, o budowie ideałów społecznych sympatyi z intuicyi moralnej oraz pewnej domieszki wiedzy, „jakkolwiek ta podrzędne ma znaczenie". Wiedza już tylekroć przez autora zdegradowaną została, że jej podrzędne stanowisko przestało już razić, ale co znaczy to ustawiczne wynoszenie nauki, co znaczy nawoływanie do systematycznej pracy naukowej, kiedy autor nie widzi związku pomiędzy sympatyą, intuicyą moralną a wiedzą? Wobec tego niewiadomo, poco autor wogóle w tych kwestyach do czytelnika przemawia i po co te wszystkie katalogi na 50-ciu stronicach dodatków? Jaką wartość posiadają dodatki te dla samouka, trudno się domyślić, bo książek starczyłoby na kilkaset lat studyów, a zawartej w nich wiedzy, biorąc jakościowo, dla wszystkich niemal specyalistów świata, często o wręcz przeciwnych i wzajemnie znoszących się kierunkach, niekiedy zaś małej lub żadnej wartości.

St. Karpowicz.



Przegląd literatury zagranicznej.*)

II.

Ostatnie utwory G. d'Annunzia.

Zwracano nieraz uwagę na charakter naśladowniczy twórczości d'Annunzia. W istocie gwałtowny i ognisty Włoch łatwo dawał się porywać panującym prądom twórczym, wcielał w ducha własnego z niesłychaną szybkością doktryny, idee, uczucia, reprezentowane przez innych. Grecy i formy klasyczne twórczości, mistrze Odrodzenia włoskiego i ich bezwzględne wywyższanie ideału sztuki, indywidualizm buntowniczy Ibsena i Nietzsche'go, psychologia namiętności, wzorowana na powieściopisarzach francuskich i rosyjskich, — wszystko to odbijało się głośnem echem w utworach d'Annunzia, podniecało jego temperament twórczy. Wpływ jednakże tych zewnętrznych pierwiastków był głównie podniecający, niewolniczej, niesamoistnej uległości nie było tu znać. Rozżarzony duch d'Annunzia przetapiał zapożyczone pierwiastki do niepoznania, wydobywał z nich nowe blaski, otaczał niebywałą świetnością.

Uległość obcym wzorom, trzymanie się dróg utartych jaknajbardziej jest obce ruchliwej i gwałtownej organizacyi twórczej

---

[1]) Ob. „Ateneum", październik, 1900.

d'Annunzia. Wśród współczesnych twórców mało jest takich, którzyby z większym uporem od niego stosowali w życiu zasadę nieustannego odnawiania się, i to nieraz wbrew powodzeniu, pomimo prób nieudanych. Wróg rutyny, zastoju i spokojnego używania sławy zdobytej, nie zna duch d'Annunzia wytchnienia twórczego,— pnie się wciąż na szczyty niedostępne, kuszony nadzieją zdobycia nowych państw sztuki, stworzenia nowych, nieujawnionych jeszcze kształtów. Wola jego jest w tem dążeniu zuchwała i nie zniechęca się. Twórczość dramatyczna d'Annunzia najlepszym jest tego dowodem. Ileż tu prób rozmaitych, ile skoków karkołomnych! Ponure i krwiożercze, zmysłowe i ideowe, patologiczne i pełne czarującej, nieuchwytnej poezyi pierwsze dramaty d'Annunzia („Sen poranku wiosennego", „Sen zmierzchu jesiennego", „Miasto umarłe") prócz zawodów nic innego mu nie przynoszą. Niezrażony tem autor, mogący śmiało wyzyskać swój rozgłos powieściopisarza rozchwytywanych powieści, zachęca wolę swoją do nowych wysiłków w kierunku twórczości dramatycznej i... znowu stwarza dwa dramaty, których niepowodzenie na scenie z góry można było przewidzieć. W tem więc, w tym uporze i nieugiętości, jest coś więcej, niż pogoń za czczym rozgłosem i sławą jednodniową — jest bezinteresowna namiętność artystyczna, pragnienie pracy dla tryumfu sztuki nieśmiertelnej.

Jakkolwiek mało sceniczne, dwa ostatnie dramaty d'Annunzia: „Gioconda" i „La Gloria", należą do niepospolitych utworów. W ich pomyśle i wykonaniu plączą się z sobą formuły starożytne z nowożytnemi, świat uczuć i wrażeń przemijających przesiąka światem idei i snów nieśmiertelnych ludzkości, rzeczy znikome, aktualne, siły ograniczone i krótkotrwałe ścierają się z temi potęgami nieubłaganemi, co niweczą zamiary bogów i bohaterów, których złowroga i tajemnicza moc kieruje przeznaczeniem człowieka, raz każe mu być jej wcieleniem, to znowu ściera go na nikłe atomy, posłuszne obcej woli, ginące bezimiennie w otchłaniach nicości.

Dramaty d'Annunzia tchną odczuciem tragizmów nieodwołalnych, są pięknym artystycznie wyrazem głębokich wzruszeń autora, wywołanych widokiem wielkich cierpień człowieka, które go łamią wprawdzie i zwyciężają, rzadko jednak degradują i w błoto małostek wszelkich, wszelkiej zgnilizny znieprawiającej—spychają. Są to prawdziwe „dramaty dusz", i to dusz nieśmiertelnych, wyniesionych ponad powszedniość zabiegów ziemskich, poddanych wpływom i oddziaływaniom sił wyższych, dążności i idei nieskończonych, wytwarzających się niezmiennie w łonie człowieczeństwa. Takich

dramatów i takich dusz należy szukać w twórczości dramatycznej Greków, w dziełach R. Wagnera, Ibsena, Ed. Schuré'go (ten nazywa nawet utwory swoje „*Le théâtre de l'âme*"), u nas w dziełach Al. Świętochowskiego (zwłaszcza cykl: „Ojciec Makary", „Aureli Wiszar", „Regina") i Wyspiańskiego...

Gorący temperament d'Annunzia potrafił tylko tym abstrakcyjnym dramatom dusz, występującym w imieniu idei, poruszających człowieczeństwem, nadać charakter wybitnie indywidualny, potrafił przejąć je dreszczem namiętności żywych, tak, że prócz debatów ideowych, poniekąd nieosobistych, mamy ścieranie się i walkę uczuć indywidualnych, stoimy w wirze życia bezpośredniego...

W „Giocondzie" wszystko się porusza uczuciami niezwykłych rozmiarów; niema tu instynktów poziomych, namiętności małych, niema podstępów marnych i rozmyślnie mściwych zemst. Wszyscy albo spełniają jakieś wyższe przeznaczenie, silniejsze od ich woli i zabiegów ziemskich, albo ulegają nieubłaganym wyrokom losu z uczuciem pojednania i poddania się temu, co w celach bytu jest nieśmiertelne.

Lucio Settala (artysta-rzeźbiarz) nie może pogodzić życia rzeczywistego z tęsknotą nieprzepartą za tą krainą sztuki, która go wciąż kusi obietnicą wieczyście odnawiającego się piękna. Lucio wyrzeka się wszelkich dobrodziejstw życia rzeczywistego i idzie za głosem własnego geniuszu, który go pcha ku coraz wspanialszym wyżynom piękna nieziszczonego.

Gioconda (wcielenie snów i marzeń artysty o sztuce nieśmiertelnej)—walczy o pierwszeństwo i prawo do miłości artysty, tej, która nie poniża, lecz wywyższa ducha twórczego; występuje nie we własnem imieniu, lecz w imię nieprzepartych dążeń geniuszu, którym śmiertelni stawiają nieraz bezwiednie przeszkody. Gioconda jest nieubłagana, jak wyrocznia, nie uwzględnia ludzkich trosk, nie oszczędza uczuć i przywiązań ziemskich, gdyż ma na celu rzeczy trwalsze i dba tylko o to, by duch twórczy nie znał rozdwojenia; złą jednak ani mściwą lub zawistną nie jest.

Silvia wreszcie (zwyciężona przez rywalkę żona artysty) uznaje konieczność i prawowitość swej porażki. Potępia siebie samą za to, że uległa złudzeniom i oszukaństwom życia (*il gioco dell'illusione*), za to, że pragnęła chciwie zdobyć zapomocą kłamstwa rzeczy, większe od jej pragnień osobistych, potężniejsze od jej woli. Nie uskarża się przytem na surowość wyroków i jedna się z nimi bez żalu i cienia urazy.

Namiętności ludzkie dochodzą tu do szczytu natężenia, wydają z siebie całą moc swoją, całą barwność i bezwzględność, nic tu wszakże podczas ich walki nie przypomina gwałtów ulicznych, a gdy burza mija, — wszystko przejmuje się ciszą uroczystą i skupieniem tragicznem: zwycięzcy nie tryumfują cynicznie, zwyciężeni — nie złoszczą i nie przywołują pomsty, jedni i drudzy ze smutkiem bezmiernym stoją wobec grozy przeznaczeń nieodgadnionych, cierpień nieuniknionych, wyroków okrutnych.

Jeszcze wyraźniejsze piętno tragizmów nieodwołalnych nosi na sobie ostatni dramat d'Annunzia „La Gloria..." Potężne pragnienia życia kryją w sobie nieubłagane zarodki śmierci... Siły, wynoszące ducha ludzkiego na wyżyny potęgi i władzy, zwracają się przeciw niemu i obracają go w niwecz; a im większa ich moc, tem większy stopień zniszczenia.

„Gdybym posiadał dzisiaj siłę potrzebną do podniesienia świata, nie poruszyłbym nawet jednym palcem. Wszystko teraz ubezwładniło się we mnie. Przeznaczenie moje spełnia się..." Tak mówi Ruggero Flamma, ambitny bezmiernie i zuchwały trybun rzymski, idący niepowstrzymanie przez morza krwi i zbrodnie na szczyty zawrotne władzy i potęgi, party wciąż ku nim wszechwładnem pragnieniem sławy, żądzą rozkoszną zwyciężenia innych, wszystkich, by nie mieć sobie równych, być pierwszym, wodzem, jedynym... Złudzenie, śmierć powszednia tkwi w tem pragnieniu nieśmiertelności. U szczytu chwały i potęgi ogarnia go zniechęcenie do siebie samego, zużyły się w nim dążenia twórcze, sława odsłania mu duszę swoją „starą, jak świat", a on marzył o jakiejś nowszej sławie. Do tej, która go wiodła na strome szczyty chwały, co go zagrzewała w zwątpieniu złowrogą bezwzględnością swoją, do tej pani wyniosłej, o obliczu „podobnem do Sławy", zwraca się Flamma z prośbą o dar śmierci.

R. Flamma. — „Zmiażdżyłaś życie moje stopami swemi z bronzu.

La Comnèna. — Kochałam w tobie siłę, dumę, szał walecznego. Pragnęłam mieć z tobą syna...

R. Flamma. — Jesteś bezpłodna...

La Comnèna. — Mógłby spełnić wielkie przeznaczenie...

R. Flamma. — Jesteś bezpłodna... Cała zgrzybiałość świata zawarta jest w twem łonie. Śmierć tylko możesz wydawać na świat. A mimo to pożądałem ciebie w każdej chwili życia swego, żyłem w odmęcie ognistym. Pragnienie moje równało się twojej jałowości. Kochałem cię!... By spać na twem sercu, żywiłem cię zbrodnią...

La Comnèna. — Oddałeś mi to, coś otrzymał ode mnie.

R. Flamma. — Kusicielko zbrodnicza!

La Comnèna. — Nie odrzuciłeś mego daru pierwszego... Oczekiwałeś mnie...

R. Flamma. — Oczekiwałem Sławy...

La Comnèna. — Sława podobna jest do mnie...

(Dla zaspokojenia ciekawości czytelników dodam, że wzburzony tłum rzymski, któremu niegdyś przewodniczył R. Flamma, domaga się głowy trybuna. La Comnèna chce jeszcze raz obudzić w nim energie czynne i zagrzewa go do zgniecenia tłuszczy niesfornej. Nic jednak już nie działa... Wówczas kusicielka w upojeniu najwyższem składa pocałunek na ustach kochanka i w tejże chwili sztyletuje go... Poczem ukazuje się wzburzonemu tłumowi i oznajmia mu: „R. Flamma nie żyje. Zabiłam go, sama go zabiłam!...”).

Ale mniejsza o intrygę, o anegdotę, o tę dziwną mieszaninę aktualności z czemś odwiecznem, starożytnem — o ten aliaż rzeczy przemijających, jak chwila, z temi, które są, jako wieczność... I tu stoimy przed wzruszającym obrazem jakiejś nieuniknionej „gry złudzeń” — *il gioco dell'illusione* — i tu przypatrujemy się ogromnemu dziełu zniszczenia, dziełu śmierci, wytworzonemu najżywotniejszem sił ludzkich napięciem.

W tych ostrych, jak stal, olśniewających, złowrogich i szybkich, jak błyskawice, dyalogach dramatu streszcza się cała cierpka gorycz bytu, cała złudność fatalna żądz nieśmiertelnych, które widmami chwały, wszechmocy i wielkości zaludniają żywot człowieka po to, by go tem okrutniej i bezwzględniej cisnąć w odmęty nicości, ukazać mu zgrzybiałe oblicze majaków, wypełniających go tęsknotą nieprzepartą; by mu ducha spętać bezwładem zniechęcenia, odebrać możność odnowy i kazać własnoręcznie wykuć broń śmiertelną na siebie samego. A gdy to nastąpi, wówczas spełnione zostają przeznaczenia ludzkie!... Nad otchłanią nicości płyną fale czasu, płynie wieczność, której chwila każda wydzwania niezmiennie, jednakowo obojętnie:

Requiem aeternam!...

Ale gdzież światło?... gdzie rosa orzeźwiająca, gdzie jutrznia zmartwychwstania?... Tego światła i tej jutrzni poszedł szukać niestrudzony duch d'Annunzia w wieczyście świeżych, radośnie rozpromienionych, wciąż odnawiających się dziedzinach piękna nieśmiertelnego, które uwalnia od nędzy świata materyalnego, wywołuje zapomnienie trosk i zawodów, kołysząc ludzkość snami wspaniałymi, nadziemskimi.

W ostatnim utworze swoim p. t. „Ogień", rozpoczynającym nowy cykl „powieści granatu" [1]), wyrzucił d'Annunzio olśniewający przepychem i rozmaitością barw snop marzeń własnych o potędze niezachwianej ducha twórczego, wznoszącego się po stromych szczytach piękna, o jego tryumfie ostatecznym nad ludźmi i rzeczami,—rozegzaltował i we wspaniałości niezwykłej przedstawił niezłomną wolę twórczą doskonalenia się nieustannego, — wolę, która wysiłkiem cudownym przekształca wszelkie światła i wszelkie mroki bytu w nieskończone dzieło piękna i jedyna posiada tajemnicę zwycięstwa nad życiem...

Przenikliwość umysłów reporterskich wytropiła w tem dziele skandal, sensacyjną jedynie historyę stosunku autora ze znakomitą artystką E. Duse; przenikliwość krytyków niektórych dopatrzyła się tu tylko objawów szalonej megalomanii autora, jego pychy twórczej i zarozumiałości płaskiej. Nie korzystamy z tych wynalazków dobroczynnych, — tem bardziej, że dzieło samo zachęca nas do zarzucenia zasłony na to, co jest bezwzględnie pospolite i, po reportersku — ciekawe...

Jakże wistocie małem, jakże znikomem wygląda w dziele d'Annunzia to wszystko, co ma związek z powierzchnią życia, z istnieniem materyalnem, — wobec tej olbrzymiej, nieschodzącej z kart książki wizyi autora o życiu wyższem, w którem, jak we wszystko chłonącym ogniu, giną pozory i małostki bytu i, jak w zwierciadle czarodziejskiem, przekształcają się w obraz niepokalany piękna wszechwładnego. Wszystkie nawet zmysłowe odczucia autora, wszystkie głębokie i niespokojne namiętności bohatera utworu przekształcają się w ostatecznym wyniku w nieustanny wir twórczy, stapiają się na morze rozognione szalonych bezkreśnych pragnień tworzenia dzieł wieczyście doskonałych; skupiają siły rozrodcze ducha twórczego, wytrawiają zeń pierwiastki znikome i wypełniają go odżywczym zdrojem wielkich marzeń o pięknie nieskończonem, jak świat, zwyciężającem niedolę i udręczenia ziemskie.

To życie zmysłowe, tak harmonijnie barwne, tak świeże i płomienne, otchłanne i smutkiem głębokim przeniknięte, jakie łączy poetę Stelio Effrena ze znakomitą artystką Foscariną, — wytwarza w nich wielki patos duszy, dążność nieugiętą naprzód, w coraz wyż-

[1]) *I. Romanzi del Melagrano.* „*Il Fuoco*", Milano. 1900. str. 560. Następne utwory cyklu będą zatytułowane: II) *La Vittoria dell'Uomo.* III) *Trionfo della Vita.*

sze sfery wcieleń twórczych; daje w rezultacie duchowi twórczemu tę cudowną czujność, która pozwala mu każdą godzinę, każdą chwilę poświęcać na wysiłek, na walkę, na nieustanne potwierdzanie siebie samego, egzaltowanie władz swoich i budzenie ku nim ufności, na ześrodkowanie najgłębszych jego energii na jedynym punkcie, na jednym celu... Wszelkie męty życia zmysłowego, wszelkie urazy, żale, zawody cierpkie i gorycze rozczarowania, wywołane zmiennością żądz cielesnych, — wszystkie ich roździwięki i pogmatwania giną w harmonii pragnień wyższych, wytwarzanej nadzieją najczystszą obietnicą osiągnięcia szczytów piękna. A wobec tego, wobec tej wiary czemże są wszelkie tragiczne konieczności życia, jego słabości, poniżenia i okrucieństwa? „Czyż możemy — powiada Stelio Effrena do Foscariny — upodabniać się z tymi kochankami małymi, którzy spędzają dni na wzajemnem pokonywaniu się, na płaczu i złorzeczeniu?... Wiem dzisiaj napewno, że cię kocham, i uznaję w tobie wszelką szlachetność. Wiem jednak i to, że mam dzieło do wykonania, że muszę żyć zgodnie z naturą swoją... Nie mogę się niczego wyrzec. Nie mogę się zrzec miłości twojej, która wzmaga codziennie siły moje i nadzieję moją. Czyż nie możesz dać mi tego, czego miłość dać nie potrafi? Czyż nie chcesz być natchnieniem nieustannem mego życia i mego dzieła?..."

I cichną złorzeczenia pokrzywdzonych instynktów, przygasa żar żądz niewygasłych, milknie fałszywy akord życia, zacierają się w świadomości okrutne formuły wyroku, — na miejsce dumy zranionej, zapałów namiętności powstrzymanej, na miejsce wspomnień bolesnych wchodzi do duszy kobiecej cichy cień dobroci niewyczerpanej, tryumfującej nad tem wszystkiem, wlewa się spokój śpiżowy wielkich poświęceń, pokonania siebie samego, — wypełnienia siebie nową harmonią...

Stelio i Foscarina dążą do tego, by przekroczyć zaczarowane koło męczarni i nędz życia codziennego i posiąść pełne pogody i wspaniałości państwo idei.

Wielki poeta opanowany jest szalonym, dzikim prawie instynktem, pragnieniem sławy. W dążeniu swojem wygląda na bezwzględnego zdobywcę, upajającego się widokiem przyszłych tryumfów. Bezwzględność ta wszakże nie sprawia wrażenia czegoś bezmyślnie okrutnego lub też z zimnem wyrachowaniem posługującego się innymi do celów egoistycznych.

Tu sam twórca jest tak ideą swoją opętany, że wszystkie siły swoje jej oddaje, wszelkie bardziej znikome zamiary osobiste dla niej poświęca, zużywa siebie całkowicie, a nie szczędząc siebie sa-

mego, nie szczędzi też i innych. Przejęty wielkością dzieła swego mniema z góry, że dla innych powinno mieć ono taką samą wartość, jak i dla niego. A że chce zwyciężać i w niczem w drodze do chwały siebie nie osłabiać, nie dziw więc, że zamyka oczy na to, co może mu hart ducha odebrać, serce rozmiękczyć i zwątpieniem zatruć... Ale on pragnie również, żeby w blasku jego chwały stali inni, żeby ją z nim dzielili ci, których kocha. W chwilach ekstazy twórczej kiedy pragnienie zwycięstwa, złączone z obawą chybienia, wypełnia go szałem walczących; gdy wyobraźnia wzburzona przesuwa przed nim obrazy walki na śmierć lub na życie, wówczas wśród tego zamętu, wśród tych dręczących wizyi twórczych, zwraca się poeta ku ukochanej kobiecie, przywołuje ją do siebie „nie tylko dla miłości jedynie, lecz i dla chwały" (patrz str. 518). Stelio powiada do Foscariny: „Nic nie widziałem prócz postaci twej, która nagle stała się nieopisanie piękną, a w postaci twojej siłę wszystkich dusz twoich, a za niemi kraje i tłumy..." Widzenia tego rodzaju poruszają tajemnicze władze ducha twórczego, zapładniają go i wywołują w nim tak intensywne życie, że mgliste zamiary twórcze, że nieuchwytne natchnienia przechodzą w żywe, plastyczne kształty.

„W tej samej chwili, w której ukazywało się mi twoje oblicze—powiada Stelio do Foscariny—pojawiało się mi zarazem oblicze dzieła mego, widziałem je!..."

U d'Annunzia kobieta występuje w stosunku do twórcy nie tylko, jako źródło rozkoszy przemijających, zmysłowych, lecz jako zdrój natchnień, jako istota, która uczestniczy w najgłębszem życiu twórcy, sprzęga się z jego cząstką nieśmiertelną i dopomaga mu w wytwarzaniu piękna.

Dzieje się to częstokroć wbrew jej woli, naprzekór instynktom jej płci, które dążą do nadania czasowym, zewnętrznym związkom z mężczyzną cech niezmienności. Twórca przenosi punkt ciężkości swych stosunków z kobietą ze sfery doczesności zmysłowej w dziedzinę dążeń i wysiłków nieśmiertelnych, w sferę ducha własnego, tworzącego rzeczy trwalsze, niż uciecha zmysłów, niż obcowanie jestestw fizycznych. W ten sposób, przez to powołanie kobiety do współudziału w twórczości ducha swego twórca zmusza kobietę do ofiar, do wyrzeczenia się ziemskich celów, do stłumienia egoizmu płci i zapomnienia uraz pokrzywdzonego instynktu.

W tym ogniu twórczym, obejmującym duszę Stelia, który przenika także do duszy Foscariny, traci ona to wszystko, co jest w niej małem i znikomem, co płynie z głuchej urazy płci, z buntu niewolniczego instynktów obrażonych, z obawy potargania związków

zewnętrznych, — wychodzi z ognia tego pełna hartu wewnętrznego, chęci ofiary i służenia wyższym celom życia, gotowa na nowe próby, poświęcenia, męki... W tym wypadku ofiara jest nader ciężka i niezwykle szlachetnej natury. Jako kobieta, Foscarina cierpi niewymownie z powoduześrodkowania się wszelkich energii życiowych Stelia nie na niej, lecz na dziele, o którem marzy twórca; ona w jego wytwarzaniu nie bierze bezpośredniego udziału, nie doznaje tych głębokich rozkoszy twórczych, nie żyje przez nie — jak Stelio — lecz obok niego. Jej potęga twórcza, jej radość i poczucie szczęśliwości mierzy się miarą jej wpływu i oddziaływania urokiem swoim na ukochanego człowieka; a władza tego uroku słabnie w miarę, jak umysł i żądze Stelia podporządkowują się całkowicie tej idei, z której pragnie on uczynić nieśmiertelną władczynią ludzi. Foscarina nie żyje, jak Stelio, radością geniuszu, przygotowującego się do przyszłych tryumfów, nie podziela krzepiących złudzeń twórcy; owszem, jest pełna bolesnych doświadczeń życiowych, wie o tem dobrze, że bólu zrodzonego zawodem uczuć, nie ukoi sława, że pragnień nie ziszczonych nie powetuje powodzenie na polu sztuki. Jej, kobiecie zbolałej, znękanej, potrzebą serca spragnionego prostych, ziemskich uczuć: wierności, oddania się, pewności,— te wszelkie sny i marzenia o sztuce nieśmiertelnej wydają się bolesnem, zawodnem złudzeniem — kłamstwem.

Wielkiego zatem i mężnego trzeba mieć ducha, by oddać się na usługę tego wszystkiego bez wiary, bez nadziei, by zrobić z siebie narzędzie, posłuszne obcej woli. I Foscarina to robi dlatego, że nie może znosić życia, pozbawionego harmonii, rozdwojonego fałszem, poniżonego ukrytą urazą buntujących się pragnień. W tem świadomem poddaniu się celom i zamiarom jej obcym, stojącym ponad jej pragnieniami, widzi szczytową harmonię życia swego. Idzie więc za złudzeniami opętanego furyą twórczą i żądzą chwały artysty, chce im służyć całą mocą serca wiernego i pojednanego, zahartowanego w bólu i zawodach. „A! żebyś kiedy mógł odczuć prawdziwie — mówi w duszy do Stelia Foscarina — całą wartość mego oddania się, tej chęci służenia ci, jaką żywię w sobie. Żebyś kiedy naprawdę mnie potrzebował, a straciwszy odwagę, odzyskał zaufanie przeze mnie i zmęczony, odnalazł się we mnie...”

Oto, jaka jest ostatnia nadzieja Foscariny. Z nią idzie na trudy i boje życia, by zapewnić powodzenie przedsięwzięciu Stelia.

Na miejsce buntów głuchych, na miejsce gorzkich uczuć krzywdy doznanej, straty poniesionej, rozpaczy bezsilnej i złorzeczenia, wciska się do jej serca jedno wszechwładne usposobienie, którem

się jej serce wypełnia po brzegi, jakby w tem widziało ucieczkę w niedoli.

— „Coś powstaje z nas, co będzie mocniejsze od życia" — powiada Stelio.

— „Melancholia!... odrzekła Foscarina.

Z niej to czerpie Foscarina moc niezłomną ducha swego, który ani nadzieją sławy, ani radością żywiołu twórczego już żyć nie może.

Melancholia taka, jak na siedzącej postaci z obrazu mistrza Dürera, co siedzi nie dla wypoczynku, lecz po to, by rozważać nowe trudy, by patrzeć uporczywie w życie swoim mocnym wzrokiem, w którym się odbija dusza niezależna.

Ci, którzy nie mogą darować autorowi „Ognia", że utwór swój wypełnił opisami własnych stosunków ze znakomitą artystką (El. Duse) — w czem dopatrują się skandalu, uwłaczającego kobiecie,— mogą powstrzymać swe oburzenie, gdyż nie wiem, czy kto inny lepiejby ją uczcił i w takim niewątpliwym blasku podniosłości ducha przedstawił, jak to zrobił d'Annunzio. Postać Foscariny jest jedną z najpiękniejszych postaci kobiecych, jakie znamy w literaturze, jest uosobieniem uczuć czystych i wielkich, pozbawionych egoizmu, zdolnych do bezgranicznej wierności i pracy bezinteresownej dla celów nieosobistych.

Jeżeli to mamy uważać za skandal i poniżenie — to nie wiem właściwie, o co chodzi?..

Do czego to wszystko zmierza? co ma stworzyć ten ogień, wypełniający duszę twórcy, który pochłania także ofiarę Foscariny? Co ma stwarzać? jaką sztukę? Jest to sztuka bohaterska, wyzwalająca ducha ludzkiego z więzów i ograniczeń materyi, z uścisków śmierci. Ta, która pozwala człowiekowi przezwyciężać życie, jego nędze doczesne i złudzenia, wytwarzając dzieła wieczyście piękne, nieśmiertelne, jak mądrość najwyższa, co z niezgody wszechświata — wyprowadza harmonię, z mroku — światło.

Nie jest to sztuka egoistyczna, w niej bowiem, jak w piersi bohatera, skupiają się i dochodzą do najwyższego napięcia bezwiedne pragnienia i głuche instynkty mas ludzkich. Celem jej jest walka ze złem, z tem, co poniża istotę ludzką, co ją przygniata swojem brzemieniem, pozbawiając radości życia, jego piękna — z cierpieniem. Hasłem jej jest zasada: „*vivere ardendo e non sentire il male...*" Ona powstaje właściwie z wysiłku ustawicznego jednostki ludzkiej, przekształcającego cierpienie w najbardziej skuteczne energie podniecające; z wysiłku, który pozwala przejść sie-

bie samego (*sorpassar sè medesimo*). To znaczy: wypędzić z duszy, rozproszyć mgły smutku bezwładnego, zasypać źródło jej nikczemności, źródło łez próżnych, wlać tam natomiast na zawsze wzgardę dla żalów nikłych i współczuć miękkich.

Twórca, przeniknięty ideałem takiej sztuki, występuje—wobec świata — w roli budziciela (*animatore*) najbardziej szlachetnych i dobroczynnych władz ducha ludzkiego; on przejmuje ludzi dreszczem głębokim tego piękna, którego wspaniałość zachęca śmiertelnych do wyzbycia się jałowych niepokojów istnienia, uczy ich, jak uporczywie powinni rozniecać i utrzymywać płomień życia i jak szlachetną śmiercią umierać.

Niezwykła radość ludzi silnych, płodnych i niewątpiących, olbrzymia duma twórców, oddanych namiętnie dziełu swemu, niezłomna wola i ambicya stwarzania dzieł coraz zupełniejszych, coraz bezwzględniejszych biją z tych kart, pisanych, rzekłbyś, na przeczystem niebie lazurowem ognistym promieniem słońca. Nie możemy tu wchodzić w poszczególne piękności językowe i opisowe nowego utworu d'Annunzia. Zwracamy tu tylko uwagę na wspaniałe opisy Wenecyi, — w której ramach umieszczaną została treść „Ognia" — na charakterystyki niektórych mistrzów malarstwa weneckiego (zwłaszcza Giorgione został potężnie zarysowany); na odczyt poety, wygłoszony w *Palazzo Ducale* i t. p.

To pierwsze ogniwo z cyklu „powieści granatu" niezmiernie zaciekawia do następnych. Po wybuchach nienasyconej i udręczonej zmysłowości (cykl „powieści róży"), po objawach mistycyzmu zbyt wytwornego i zimnego („powieści lilii") — teraz przyszła kolej na dzieła, wypełnione treścią obfitą i orzeźwiającą, jak ów owoc przepyszny, który ma je symbolizować.

Władysław Jabłonowski.



Rozbiory i Sprawozdania.

Stanisław Koszutski. **Rozwój przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem.** Warszawa, 1901, nakład redakcyi „Gazety Handlowej“, str. 4 n. + 211 (z przedmową p. St. A. Kempnera).

Henryk Radziszewski. **Zarys rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem.** Warszawa, w październiku 1899, str. 305 (rozprawa, zawarta w t. II-im wydawnictwa p. n. „W naszych sprawach“).

Gdyby mi kazano wyrazić w sposób najogólniejszy różnicę między dwiema wymienionemi w nagłówku pracami, które do pewnego stopnia mówią o tym samym przedmiocie, powiedziałbym bez wahania: książka p. Koszutskiego jest dziełem teoretyka, dziełem człowieka, którego myśl dotąd nie wyszła ze sfer abstrakcyi; rozprawa zaś p. Radziszewskiego jest utworem praktyka, utworem człowieka, obeznanego z życiem i poruszającego się swobodnie wśród nieskończonej rozmaitości jego przejawów. A potem przytoczyłbym słowa Goethego:

„Teorya zawsze bywa szara,
A złote drzewo życia się zieleni...“

Szarą teoryą tylko jest książka p. Koszutskiego, a w tej bezbarwnej, nużącej szarzyźnie nie tylko nic się nie odcina, nie uwypukla, lecz nawet zarysy główne rozpływają się tak dalece, że ledwo uchwycić można fizyognomię przemysłową Królestwa Polskiego w przeciwstawieniu do innych krajów europejskich. Pomimo ogromu włożonej w dzieło to pracy, której ilością traktat p. Koszutskiego góruje nad rozprawą p. Radziszewskiego, pomimo widocznych usiłowań systematycznej analizy i klasyfikacyi czynników rozwoju przemysłowego, pomimo wreszcie obfitego balastu naukowego i wiarogodniejszych naogół cyfr p. Koszutski dał nam

niewiele więcej ponad nagromadzenie materyału statystycznego z charakterem kompilacyjnym, pozostawiając dobrej woli oraz zdolnościom umysłowym czytelnika trudne zadanie ujęcia szczegółów w całość zaokrągloną i zrozumiałą, wyprowadzenia wniosków o kierunku, wartości i przyszłości przemysłu naszego wogóle, gałęzi, rozgałęzień i młodych pędów jego w szczególności. Naturalnie trud ten spada na czytelnika wtedy tylko, jeśli nie zechce on przyjąć poglądów i sądów autora za jedynie racyonalne i wyczerpujące komentarze do cyfr przedstawionych — i na tem poprzestać; co do mnie, poprzestać na nich nie mogę dlatego właśnie, że — jak zaznaczyłem wyżej — nie pozwalają one wyrobić sobie pojęcia o indywidualnej, swoistej fizyognomii przemysłu — choćby nawet przemysłu wielkiego — w Królestwie Polskiem. Informacye p. Koszutskiego o zachodzącem „wchłanianiu" mniejszych przedsiębiorstw przez większe lub o stopniowem wprowadzaniu motorów mechanicznych do fabryk mają dla mnie pod tym względem wartość bardzo małą; stokroć ciekawszy wydaje mi się podnoszony przez p. Radziszewskiego fakt, że Królestwo, które posiada co najmniej 220,000 morgów lasu na gruntach łąkowych, sprowadza jednak z zagranicy jesiony; że, mimo mnóstwa owiec grubowełnistych (t. zw. świniarek), nie mamy ani jednej fabryki wojłoku; że pod wpływem taryf różniczkowych wielkie młynarstwo w kraju naszym upada i t. d. Słowem, gdy p. Radziszewski zwraca uwagę przedewszystkiem na specyalne warunki miejscowe, w których rozwijać się i z którymi liczyć się musi nasz przemysł, na jego podścielisko historyczne i na jego zadania bieżące, p. Koszutski rozpatruje go raczej ze strony wewnętrznej, jako proces ziszczania się u nas kapitalizmu, jako grę sił, znanych skądinąd i widocznych też gdzieindziej. Skutkiem tego cała część historyczna pracy p. Koszutskiego nie robi wrażenia niezbędnej i niewiele przyczynia się do wyjaśnienia dalszego ciągu, podczas gdy u p. Radziszewskiego jest ona i obszerniejsza, i źródłowa, i bardziej życia pełna, skoro z niej właśnie widzimy wykwitające życie.

P. Koszutski za przykładem Hobsona rozpina wykład swój na dokonanej przez autora tego analizie „rozwoju kapitalizmu współczesnego", stąd też — lubo grzeszy wytkniętemi wyżej wadami i trąci wyraźnie doktryną — zyskuje zarazem stanowisko wyższe od tego, na którem stoi p. Radziszewski. Ten bowiem nie wspomina znów ani półsłówkiem o przeobrażaniu się u nas stosunków gospodarczych na wzór i modłę układów ekonomicznych zachodnio-europejskich, co przecież jest tem dziwniejsze i tem naganniejsze, że p. Radziszewski — w odróżnieniu od p. Koszutskiego — zapowiada w tytule „zarys rozwoju przemysłu" c a ł e g o, więc wszelkich jego typów, i w przedmowie także ani myśli ostrzedz, że obietnicy nie dotrzyma, że o przemyśle drobnym, rzemieślniczym, domowym, wędrownym i t. d. nie znajdziemy tu żadnych wiadomości (jest tylko ustęp, poświęcony stanowi rzemiosł w Warszawie). A jednak do wciągnięcia w zakres badań wszystkich bez wyjątku kategoryi przemysłu zobowiązywał wprost autora sam temat: wszak p. Radziszewski wykłada historyę rozwoju przemysłowego, rozwój zaś ten nie jest wcale prostolinijnym i — że tak powiem — jednopodmiotowym; jeżeli z jednej strony jest on wynikiem działania sił, stojących nazewnątrz organizmu ekonomicznego i zjawisk ekonomicznych, to z drugiej strony jest on też u nas, jak wszędzie, wynikiem działania sił wewnętrznych, ścierania się przeżytków z nowotworami, pasowania się interesów sprzecznych, przyczem sprzeczności te wywiązują się bądź między czynnikami wytwarzania, bądź między odrębnemi jednostkami gospodarczemi. Przemysł nasz słowem, w biegu rozwoju swego zmienia się zarówno co do rozmiarów, jak i co do budowy; o budowie p. Radziszewski nic nie wie.

Zasada — lub raczej jedna z zasad, na których, według autora, opierać się winna „mocna organizacya gospodarki krajowej“, mianowicie: „sprawiedliwe, zgodne z sumieniem ustosunkowanie zysków całego społeczeństwa do jej wytwórczości ekonomicznej“ jest frazesem tak niejasnym i bałamutnym, że — choć w żadnym nie stoi związku z całością wykładu, będąc tylko figielkiem stylowym na zamknięcie pracy — każe obawiać się zupełnej ślepoty na znaczenie najrdzenniejszych urządzeń ekonomicznych. Tego samego lekceważenia czy też nierozumienia sił i form właściwych gospodarce nowożytnej dowodzi pobieżność, z jaką p. Radziszewski traktuje kwestyę wolności pracy. Pisząc o usiłowaniach stworzenia w wieku XVIII przemysłu krajowego, p. Radziszewski wie tyle właśnie, ile wie Korzon: że Tyzenhauz był dyletantem, że opinia publiczna i tradycya szlachecka były źle usposobione względem sprawy podniesienia miast, że stan kraju był ciężki, że wypadki polityczne psuły pracę pionierów przemysłu i t. d., lecz nie bierze pod uwagę wywodów J. B. Marchlewskiego, który, wskazując, że ekonomiści polscy XVIII wieku występowali głównie w interesie mieszczan, za główną przyczynę niepowodzeń na polu przemysłowem podaje słusznie stosunki pańszczyźniane. „Kapitalistyczny rozwój i niewola — te dwie rzeczy wyłączają się wzajemnie. Oto dlaczego w Polsce nie mogło być mowy o przemyśle“. Jakże daleki jest od takiego sposobu patrzenia na rzeczy p. Radziszewski, który z lekkiem sercem, pisząc historyę rozwoju przemysłu, zbywa fakt uwłaszczenia włościan w 14, wyraźnie w c z t e r n a s t u wierszach!! To też, o ile chodzi o wykazanie czynników, które w biegu lat kształtowały życie przemysłowe Królestwa, praca p. Radziszewskiego pozostaje daleko poza książką p. Koszutskiego, chociaż i ten nie wyczerpuje przedmiotu, jak zresztą otwarcie przyznaje w przedmowie p. St. A. Kempner usprawiedliwiając to „brakiem wszelkich podstaw do obrachunków statystycznych“.

Brak ten jest istotnie okropny — a całą rozpaczliwą bezwartościowość materyałów, do rozporządzenia będących, uczuwa się najbardziej właśnie po przejrzeniu i porównaniu dzieł, w których dane statystyczne są zgromadzone. Nic nie upoważnia nas przecież do podawania w wątpliwość zmysłu krytycznego i gorliwości obu naszych autorów, a jednak czujemy, że zebrane przez nich cyfry posiadają przybliżoną jeno wartość i nie mogą być użyte bez wielu zastrzeżeń. Dość spojrzeć, jak dalece różnią się obliczenia panów Koszutskiego i Radziszewskiego, żeby przyjść do tego fatalnego wniosku. Obaj powołują się na dane urzędowe — i, podczas gdy jeden twierdzi, że w roku 1896 mieliśmy 440 fabryk wyrobów wełnianych i 147 bawełnianych, drugi utrzymuje, że w roku 1895 fabryk takich było odpowiednio 309 i 75. Że różnica ta nie pochodzi z policzenia przedsiębiorstw drobnych obok wielkich, świadczy fakt, iż u p. Radziszewskiego właśnie przy większej ilości fabryk znajdujemy niższą cyfrę produkcyi ogólnej: 53,6 mil. rb. i 49,4 mil. rb. wobec 83,0 i 74,2 mil. rb., według p. Koszutskiego. Taka sama lub bardziej jeszcze uderzająca niezgodność rzuca się w oczy, gdy porównywamy dane o przemyśle jedwabnym, gorzelniczym, żelaznym i t. d. Powiedzmy przeto odrazu, iż obie prace nie posiadają niezbędnej w dziełach naukowych ścisłości, dodajmy wszakże natychmiast, że nie pochodzi to z winy autorów, którym raczej należy się najszczersza wdzięczność za wyszukanie i uprzystępnienie ogółowi tego, co z niemałą trudnością dzis wyszukane i uprzystępnione być może. Potrzebując niegdyś cyfr podobnych, odczuwałem dotkliwie brak stosownych monografii, więc też obecnie bez względu na nieuniknione błędy omawianych książek cieszę się gorąco, iż piśmiennictwu ekonomicznemu przybyły dwie tak poważne próby

zobrazowania całokształtu rozwoju przemysłowego Królestwa aż po wiek XX-ty. Obaj autorowie zwą też prace swoje „przyczynkami“ tylko do poznania kwestyi; przyznać należy, że są to przyczynki arcypożądane i ważne, pożyteczne i cenne. Życzę im więc jaknajszybszego rozejścia się, a to w celu, żeby niedalekie lata przyniosły nam nowe i poprawniejsze wydania.

Drobne błędy w obliczeniach kładę na karb korekty, która — zwłaszcza w książce p. Koszutskiego — wiele zostawia do życzenia.

Jan Stecki.

Witold Załęski. **Królestwo Polskie pod względem statystycznym.** Część I: Ludność, rolnictwo, górnictwo i finanse, r. 1900. — Część II: Statystyka zajęć i przemysłu, r. 1901. Wydanie z zapomogi kasy Mianowskiego.

Statystyka należy do działów nauki, najbardziej u nas zaniedbanych. Mamy, co prawda, na swe usprawiedliwienie ważny argument, że statystyka urzędowa w państwie znajduje się jeszcze w takim stanie, iż trudno o pełne, dokładne i na współmiernych pierwiastkach oparte materyały cyfrowe. Niezależnie jednak od tego nawet z materyałów istniejących mało kto korzysta, i lekceważymy opracowania, mogące służyć za drogowskazy przy ocenie naszych sił ekonomicznych. Dla tego samego już należy poczytać za zasługę prof. Załęskiemu, że zawsze z zamiłowaniem poświęcał się pracom statystycznym i że nadal dąży do ujęcia w całokształt i systemat danych, obrazujących zapomocą statystyki położenie gospodarczo-społeczne kraju. Takiem właśnie dziełem jest nowa praca tego autora, na którą złożyły się tymczasem dwa tomy, a której dalszy ciąg jest jeszcze zapowiedziany. P. Załęski ogłosił już w roku 1876 „Statystykę porównawczą Królestwa Polskiego“, w roku 1884 wydał „Teoryę statystyki w zarysie“, a następnie w różnych wydawnictwach ujawniał wskazówki statystyczne, w miarę tego, jak gromadziły się stosowne materyały. Obecnie, gdy znalazła się już większa ilość źródeł, odnoszących się do statystyki państwowej, autor wyodrębnił z nich wyjaśnienia, mające bezpośredni związek z Królestwem Polskiem, i zestawił je porównawczo z danemi ogólnemi, a w szczególności jeszcze ze statystyką zagraniczną. Tym sposobem opracowany został naprzód tom I, obejmujący: ludność, rolnictwo, górnictwo i finanse, a następnie tom II, zawierający statystykę zajęć i przemysłu.

W tomie pierwszym znajdujemy na czele statystykę porównawczą ludności. Autor posiłkuje się tu wynikami spisu ogólnego w państwie rosyjskiem z roku 1897, a dla porównania przytacza rezultaty statystyki ludności w innych krajach. Owóż, jakkolwiek jest tu dużo pożytecznych wyjaśnień, nie wszędzie zachowana została zasada ściśle porównawcza; są pewne wskazówki, które, jeśli się tak wyrazić można, nie rymują się z danemi o Królestwie. Ten brak stałej metody, t. j. należytego uwspółrzędnienia materyałów, stanowi właśnie znamienną wadę całej pracy naszego statystyka. Z podobnie niejednolitym materyałem, wynikającym z braku proporcyi między głównemi wyjaśnieniami o statystyce Królestwa a uzupełnieniami w zakresie wskazówek zagranicznych, spotykamy się też w działach następnych. Tak np. w rolnictwie i górnictwie jest mnóstwo zbytecznych materyałów surowych ze statystyki obcej, stanowiących balast w książce, która ma na celu uwydatnienie statystyki krajowej. Takie przeładowanie wykracza przeciw metodzie porównawczej i wytwarza jakby luźne zestawienia wiadomości niewspółmiernych. Wada symetryi, odgrywającej w statystyce bardzo ważną rolę w zakresie materyałów porównawczych, najbardziej razi w tomie II, gdzie przeszło połowę

książki, poświęconej „Królestwu Polskiemu pod względem statystycznym“, zajęły dane i wyjaśnienia o statystyce zajęć, przemysłu i handlu, przedewszystkiem w Niemczech, a następnie w innych (nie wszystkich zresztą) krajach zagranicznych. Statystyki zajęć w Królestwie (oraz w całem państwie rosyjskiem) autor tymczasem wcale nie podaje (bo odpowiednie wyniki ostatniego spisu ludności nie zostały jeszcze ogłoszone); w takim jednak razie lepiej byłoby poczekać z ogłoszeniem danych zagranicznych do czasu ujawnienia rezultatów spisu. Przyznać wprawdzie trzeba, że niemiecka statystyka zajęć i przemysłu, oparta na 18-u tomach wzorowych opracowań ostatniego spisu, tworzy sama przez się bardzo interesujący materyał i doskonały wzór, jak się takie prace uskuteczniać powinny; ale, bądź co bądź, anneks, przerastający rozmiarami główną treść książki, rozsadza ramy i założenie wydawnictwa. Z uznaniem zato podnieść należy wyborne opracowanie statystyki przemysłu fabrycznego Królestwa. Autor umiejętnie skorzystał tu z ogłoszonych niedawno wiadomości, odnoszących się do całego państwa, z których atoli należało dopiero, zwalczając liczne trudności techniczne, wyosobnić dane, które bezpośrednio nas dotyczą. Dzięki temu opracowaniu, z całą ścisłością przeprowadzonemu, pozyskaliśmy pierwszy dobry klucz do zagadki o naszej wytwórczości fabrycznej. Dotychczasowe obliczenia polegały bądź na przestarzałych materyałach niedokładnej statystyki urzędowej, bądź na domniemaniach tylko dowolnych. P. Załęskiemu udało się wyodrębnić z obliczeń prawie najnowszych, bo dotyczących roku 1897, szczegółowe liczby, obrazujące siły i środki przemysłu krajowego. Statystyka ta obejmuje wszystkie poszczególne pierwiastki wytwórczości fabrycznej w różnych jej gałęziach, a w ostatecznej sumie stwierdza następujące, godne zapamiętania wyniki: wartość przemysłu fabrycznego Królestwa Polskiego czyni 505,307,000 rubli rocznie (w roku 1897), poczem ilość zakładów głównych wynosiła 4,890, a dodatkowych 585, liczba zaś robotników 243,733. Dane te odnoszą się tylko do fabryk, zatrudniających najmniej 15 robotników. Cała zatem wartość naszego przemysłu jest znacznie wyższa.

Pomimo zastrzeżeń, jakie nastręcza praca prof. Załęskiego w zakresie metody, jest to dzieło poważne i zasobne w cenne materyały, do których odwoływać się będzie musiał każdy sumienny badacz stosunków ekonomicznych. Dzieło takie nie ma uroku zajmującej lektury, ale ma trwałą wartość pożytecznego drogowskazu w studyach społeczno-gospodarczych. Gdyby posiadało jeszcze dobrą metodę wykładową, byłoby nieoszacowanym podręcznikiem statystycznym.

St. A. K.

Szymon Askenazy. **Dwa stulecia XVIII i XIX.** I. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1901. (Treść: Przedostatnie bezkrólewie. Fryderyk II i August III. Sprawa wschodnia przed wielkim sejmem. Odgłosy Targowicy. Przyczyny wyprawy do Moskwy. Z działalności ministra Lubeckiego. Cesarz Mikołaj I w Warszawie).

Studya, objęte tytułem powyższym, stanowią z wielu względów ozdobę naszej literatury historycznej ostatniej doby. Razem wzięte są one syntezą najistotniejszych momentów naszego życia politycznego w dwu stuleciach, a owa właśnie wartość historyozoficzna zbioru sprawia, że nadany mu tytuł zespala jedynie w sposób mechaniczny to, co połączył był już poprzednio wewnętrzny związek tematów. Zarówno wybór, jak i opracowanie tematów wybranych, świadczą o głębokiem wniknięciu w epokę, o zupełnem opanowaniu przedmiotu

tak rozległego, a wreszcie o tej głębokiej znajomości literatury i źródeł, która krytykę wszelką zamieniać zwykła na wyraz uznania. Studya p. Askenazego sięgają w najżywotniejsze arkana życia narodu, dobywają jego treść i ducha, pogłębiają zewnętrzne objawy jego bytu w sposób nieraz mistrzowski, a zawsze arcygruntowny, zawsze traktowany z wyżyn powszechno-dziejowych, beznamiętny, bezstronny i obywatelski.

Rozproszone w rocznikach „Biblioteki Warszawskiej“ z lat ostatnich domagały się te studya osobnego wydania; domagały go się nie tylko ich wartość i związek wewnętrzny, ale i ów wzgląd poważny, że rozproszone wydanie pierwsze było pozbawione całości tego aparatu źródłowego, który w obliczu postulatów naukowych był tak niezbędny. Obecnie cenne przypisy, załączone na stu kilkudziesięciu stronicach, dają wymowne świadectwo ogromowi pracy przygotowawczej autora, potwierdzają wszystkie zasadnicze twierdzenia i, gromadząc w cytatach rozległe dane z literatury i właściwych publikacyi źródłowych, pomnażają nadto bogaty materyał naukowy wypisami z rzadkich pism ulotnych, z korespondencyi familijnych, a wreszcie z kapitalnych aktów archiwalnych, zebranych w kraju i zagranicą.

Traktowane z osobna przedstawiają dwie pierwsze i najobszerniejsze rozprawy najwięcej pola do uzasadnienia powyżej zaznaczonego uznania. W „przedostatniem bezkrólewiu“ uwydatnia autor na kanwie najtajniejszych pobudek i sprężyn dyplomatycznych, funkcyonujących w olbrzymim a złożonym mechanizmie polityki międzynarodowej XVIII stulecia, sprawę elekcyi ostatniego Sasa, jako wypadek poważny w dziejach Europy, a doniosły i tragicznie znamienny dla dalszych losów Rzeczypospolitej. Ów przedmiot doniosły i rozległy, a dotychczas ciemny, otrzymał w misternej rozprawie p. Askenazego oświetlenie nader charakterystyczne, w którem elekcya Augusta III i poprzedzająca ją proklamacya króla Stanisława występują, jako produkt uboczny zagmatwanego machiawelizmu szerokiej polityki europejskiej, prowadzonej pomiędzy wrogimi sobie obozami Francyi i Austryi. Przedmiotem drugiego studyum: „Fryderyk II i August III“ są losy Polski w następnej dobie, kiedy zapomocą zdrady, popieranej siłą oręża, udało się Prusom wznieść się na wyżyny niebywałej przedtem przewagi i zapomocą sieci intryg zawiłych — skierować na młyn interesów własnych dawny tok dyplomatycznych knowań Europy. Rola Prus i Rosyi, zarysowana w „Sprawie wschodniej przed wielkim Sejmem“ wskazuje na te szerokie przeszkody polityczne, z jakiemi miała do czynienia Rzeczpospolita w przeddzień wielkiej rewolucyi we Francyi i sejmu wielkiego, otwartego w Warszawie na schyłku 1788 roku. Poprzez wstrząsające wypadki końca XVIII stulecia, scharakteryzowane w szkicu p. t. „Odgłosy Targowicy“, smutne odgłosy czasów, w których na chwilę przed sejmem grodzieńskim Stanisław August korzył się przed Szczęsnym Potockim, a ów przed Bułhakowem,—przenosi nas autor w czasy, jaśniejsze pod względem moralnym, kiedy to na widnokręgach politycznych Europy zabłysła zwodnicza dla narodu gwiazda Napoleona: zwodnicza nie ze względu na intencye cesarza, ale ze względu na własną jego sytuacyę, którą autor rozpatruje słusznie w związku z poprzedniemi dziejami świata, zrywając z przyjętą ogólnie, a niewłaściwą zasadą izolowania epopei napoleońskiej od warunków, które ją wywołały i przyśpieszyły jej koniec. Stawiając jaje Kolumba, widzi autor niezwalczonego imperatora na tle prostych konieczności historycznych, krępujących go na każdym kroku, bo wynikających z siłą żywiołu ze źródeł dawnych tradycyi, węzłów, programów, przyzwyczajeń i dążeń starej Europy. Nie zniweczyła ich wielka rewolucya; nie

mógł ich też zniweczyć geniusz Napoleona. Tkwi w tem głęboko pomyślana odpowiedź na postulaty i nadzieje Polski ówczesnej. Z zakresu zagadnień polityki zagranicznej, związanych niegdyś z ziemiami dawnej Rzeczypospolitej a przebrzmiałych z czasem w stosunku do Polski, wkracza autor w sferę warunków późniejszych: w dobę zawiązków t. zw. pracy organicznej, odtwarzając w ciekawem, a bogatem studyum p. t. „Z działalności ministra Lubeckiego" charakterystykę dziejów ekonomicznych Królestwa Kongresowego. Odmienność istoty dawnych i ówczesnych dziejów Polski znajduje w tem studyum swój rys znamienny. Ze stanowiska trzeźwej polityki kraju należało bowiem myśleć wtedy przedewszystkiem o wewnętrznem jego rozwoju. Temat i jego opracowanie posiadają znowu głębszy związek z treścią epoki. Autor wydobywa zawsze i wszędzie na plan pierwszy zadania aktualne a żywotne każdej doby z wielką umiejętnością i ze szczytnem, jak na dzisiaj — poczuciem zadań historyka. „Cesarz Mikołaj I w Warszawie" symbolizuje w sposób podobny ostatnią kartę jego dociekań dziejowych, zamykającą cykl siedmiu cennych studyów, zawartych w Polsce dwu stuleci.

Talent pisarski ożywia wszystkie rozprawy pomienione. Dzięki niemu wyniki zagmatwanych komplikacyi politycznych, przepuszczone przez pryzmat indywidualności głównych działaczów, odtwarzanych wielokrotnie z porywającą intuicyą psychologa, stapiają się w harmonii „konieczności dziejowych": faktów dokonanych, tłómaczonych w sposób przejrzysty i nader naturalny. Dzięki niemu postacie i czyny Fryderyka Wielkiego, obu Augustów, Szczęsnego Potockiego, Wielkiego Napoleona i in. zyskały oświetlenie jasne i wystąpiły z mglistych ram zagadki w obrazach żywych, jędrnych i oryginalnych. Nauka poszła tym razem w parze z zacięciem publicysty i z artyzmem formy. Dzieło tej miary wkłada na autora obowiązek stworzenia z czasem jeszcze bardziej spoistej syntezy dwu, a może „trzech" stuleci—z wiekiem XVII lub drugą jego połową, związaną z „Przedostatnią elekcyą" tak ściśle.

Poza drobnym zarzutem, że charakterystyka prymasa Teodora Potockiego nie zdaje się być dość wyczerpującą i słuszną (por. str. 68 — 71 i 127), wytknąć trzeba autorowi szereg wyrażeń niezręcznych, jak: „Bourbon tron zasiada" (str. 6), „ustawnie jest podkopywanem" (str. 7); „znieruchomić" (str. 8) i t. p., które wśród szybkiego utrwalania obrazów myśli w słowach wkradły się do pięknego skądinąd stylu. Łatwo ich było uniknąć przy staranniejszej korekcie wspaniałego dzieła.

J. K. Kochanowski.

A. Mierzyński. **Romowe**, rozprawa archeologiczna. Poznań, 1900, str. 122.

Nowa praca prof. Mierzyńskiego stanowi ciąg dalszy jego przyczynków do mitologii litewskiej, których wyszło dotychczas dwa tomy pod wspólnym tytułem „Źródła do mitologii litewskiej", że już nie wspominamy o mniejszych rozprawach. „Źródła do mitologii litewskiej" zawierają w sobie przedruk tych ustępów z kronik i dokumentów, w których znajduje się jakakolwiek wzmianka o wierzeniach i obrzędach religijnych szczepu litewskiego w czasach pogańskich. Po każdem z przytoczonych w całości źródeł następuje krótsza lub dłuższa ocena podanych w niem szczegółów, niekiedy tak wyczerpująca, iż zamienia się w samodzielną rozprawkę. Opierając się na zwyczajach, jeszcze dzisiaj istniejących wśród ludu litewskiego, na rozbiorze źródłosłowów, miejscami na rezultatach, otrzymanych przez studya porównawczo-etnologiczne, autor rozpatruje, o ile wiadomości, za-

warte w przytaczanych źródłach, zasługują na zaufanie. Jest to robota w całem znaczeniu przygotowawcza, ale wielce pożyteczna i konieczna. Chodzi tam o usunięcie niekiedy zgoła błędnych poglądów, które obficie zagnieździły się w dawnych opisach i dotrwały do dnia dzisiejszego w charakterze materyału surowego, z którego wielu korzysta bez zastrzeżeń. Autor, obdarzony umysłem spokojnym a krytycznym, wykazuje całą bezpodstawność wielu twierdzeń, które podsunięte zostały przez tekst kronik, a dzisiaj utarły się i powszechnie przyjęły. Tu między innemi należy rozbiór wpływów i znaczenia „arcykapłana Kriwe". Zdaniem prof. Mierzyńskiego, Kriwe jest imieniem własnem, które przysługiwało pewnemu kapłanowi szczepu nadrowskiego, a dostojnik ten, wobec ówczesnego rozstrzelenia społecznego na drobne a wrogie dzielnice, nie posiadał i nie mógł nawet posiadać takiego doniosłego wpływu, jakim go obdarzyli naprzód kronikarze, a następnie historycy. Moglibyśmy co do tego zrobić kilka zastrzeżeń, ale w zasadniczym punkcie najzupełniej zgadzamy się z autorem. Zresztą nie będziemy zastanawiali się nad uprzedniemi pracami prof. M. i wprost przejdziemy do rozprawy o Romowem, świętem miejscu w Nadrowii. I tu autor stara się przedewszystkiem ocenić wiarogodność źródeł, z których dziejopisarstwo i mitologia czerpią wiadomości o świętem Romowem: Szymon Grunau pozostawił szczegółowy opis tego miejsca, jego kronika stała się przewodniczką piszących po nim kronikarzy, a tymczasem prof. M. odmawia jego opisowi wszelkiej wartości. Opowieść Grunaua jest zbieraniną i zlepkiem wiadomostek, czerpanych ze źródeł rozmaitych; wszystkie te wiadomości i bez niego znamy dokładnie, a co w kronice wydaje się nowem, to jest właśnie najwierutniejszem kłamstwem, wymyślonem przez kronikarza. Grunau wziął nazwę Romowe oraz wyznaczył jego położenie według Dugsburga; poglądy o świętości dębu oraz o tem, że w drzewie przebywać mogą bóstwa, zaczerpnął z podań ludowych oraz ze słów Erazma Stelli, wieczną zieloność świętego dębu wyczytał u Adama Bremeńskiego, którego przepisuje i przeinacza jeszcze w innych szczegółach swego opisu; niektóre rzeczy sam wymyślił. Z takiego zlepka powstała jego opowieść, powtarzana przez jego następców. Zadaniem prof. M. jest wykazać to bałamuctwo i niesumienność głównego źródła o świętem miejscu, w rezultacie zaś takiej analizy dotrzeć do tego, co tam w rzeczy samej może być prawdą.

Romowe, opisane w kronice Grunaua, było jednem ze świętych miejsc, których niewątpliwie znajdowało się więcej na ziemi litewskiej. Leżało ono w Nadrowii. Nazwy topograficzne, utworzone od tego samego pierwiastku, powtarzają się w wielu punktach obszaru etnograficznego litewskiego, pierwiastek zaś sam zawiera w sobie pojęcie spokoju lub uspokojenia się, np. ułagodzenia bogów, a stąd w dalszym ciągu miejsce do nabożeństwa, miejsce święte. W analizie swojej autor nie posuwa się dalej; co do nas, nie możemy się oprzeć wrażeniu, iż nazwa Romowe, pochodząc od pierwiastku, wskazanego przez autora, posiada przecież inny charakter. Wprawdzie nie rozporządzamy faktami, któreby stwierdzały w sposób bezpośredni nasze przypuszczenia, możemy tylko odwołać się do zwyczajów, powszechnie właściwych dzisiaj istniejącym ludom barbarzyńskim. Co więcej, wydaje się nam, iż i ów gaj święty Słowian połabskich, poświęcony bogowi Prowemu, a opisany w kronice Helmolda, należał do tego samego rodzaju instytucyi, co święte miejsce w Nadrowii, słynące pod nazwą Romowe. W gaju odbywały się sądy w obecności księcia i kapłana; tam przestępca i wogóle plemieniec, któremu zagrażało niebezpieczeństwo kary gardła, szukał schronienia, ufny, iż niczyja ręka go nie dosięże, a Słowianie mieli taki szacunek dla świętego gaju

Prowego, iż krew nawet podczas najkrwawszych zamieszek nigdy nie splugawiła jego okolicy. Posunęlibyśmy się w swych przypuszczeniach nawet tak daleko, iż odrzucilibyśmy zupełnie samego Prowego, uważając jego nazwę za utworzoną z pojęcia wymiaru sprawiedliwości, prawa. Gaj Prowego był, mojem zdaniem, pospolitym azylem plemiennym, urządzeniem, właściwem wszystkim barbarzyńcom. Może i Romowe przedstawiało taką samą instytucyę i byłoby przedewszystkiem siedzibą pokoju i zawieszenia zemsty. Nazwa jego wtedy tłómaczyłaby się poprostu, bo wyjaśnienie, zapomocą którego prof. M. prowadzi nas od spokoju do miejsca, przeznaczonego na nabożeństwo, wydaje mi się nadto zawiłem. Trudno rozwiązać, czy Romowe litewskie były świętemi miejscami dlatego, że były azylami, czy odwrotnie dlatego zostały azylami, że były święte. Nazwa czyni prawdopodobniejszem pierwsze przypuszczenie, natomiast inne względy skłaniają nas do przychylenia się ku drugiej hypotezie. W Romowem nadrowskiem znajdował się dąb okazałej wielkości, uchodzący za święty. Autor odsłania przed nami pobudki, dla których na Litwie pewne drzewa otaczano specyalnymi hołdami, a na jego wywody pod tym względem piszemy się najzupełniej. Znamieniem, że w pewnem drzewie mieszkało bóstwo, i wogóle, iż ono odznaczało się posiadaniem tajemniczej potęgi, była albo starość i okazałość, albo szczególna postać drzewa. Zwłaszcza kształty drzewa sprawiały, że uchodziło za przybytek wyższej potęgi. Każde drzewo bez względu na wielkość i rodzaj uważano za szczególnie święte, którego pień, rozszczepiwszy się, znów zrósł się w jeden, albo u którego wypuszczona gałąź znów się z pniem zrosła. Oprócz tego są wskazówki, że trzy drzewa, wyrosłe z pnia jednego, otaczano czcią osobliwą. Grunau za podstawę do opisu dębu w Romowem obrał sobie rzeczywiście istniejące wierzenie w świętość pewnych drzew, zwłaszcza zaś dębów osobliwego kształtu, chociaż niepodobna udowodnić, czy taki dąb rósł tam w istocie. Ale z tego, że wspomina, iż dąb w Romowem był podzielony na trzy równe części, a w każdej z nich znajdował się otwór, jakby okno, w którem umieszczono posągi bożków, możnaby wnioskować, że i święte drzewo w Romowem posiadało kształty niecodzienne. Zresztą wobec fałszów, które zakradły się do kroniki Grunaua, trudno zaufać jego opisowi. Otoż możliwą jest rzeczą, iż w pewnych miejscach, w których znaleziono dęby, wyrosłe z jednego pnia, albo z pniem, naprzód rozszczepionym, a potem zrośniętym, otaczano drzewa czcią, a w dalszym ciągu dokoła takiej świętości powstawało miejsce święte z azylem plemiennym. W każdym razie, podając swoje przypuszczenie, czujemy dobrze kruchą podstawę, na której je opieramy. W świętem miejscu utrzymywano tak zwane wieczne ognie, które głównie winny były gorzeć dla dawania wyroczni. Z powodu tego ognia prof. M. zatrzymuje się szczegółowiej nad kultem ognia u starodawnych Litwinów, nad strukturą chaty, ażeby z rozbioru tej ostatniej wydobyć pewne wskazówki co do budowy chat, w których utrzymywano wieczny ogień. Mniema on słusznie, że chaty, w których palił się wieczny wyroczniowy ogień święty, nie różniły się ani wyglądem, ani materyałem, ani wewnętrznem urządzeniem—od zwykłych chat mieszkańców okolicy. Miejsce, gdzie płonął święty ogień, wraz ze stałą ochraniającą go chatą, Litwini, przynajmniej w pewnych punktach, nazywali Żinicze, co, przekształcone na Znicz, zostało zastosowane do samego ognia przez pisarzów, nie znających języka litewskiego. Przy ogniu znajdował się kapłan, a niekiedy było ich kilku, których obowiązki polegały na dozorowaniu świętości. Obraz chaty, w której płonął święty wieczny ogień, oraz inne szczegóły autor usiłuje odtworzyć na podstawie zbyt skąpych źródeł i na analogii z ogniem domowym. Sądzimy, że należałoby wziąć jeszcze pod

uwagę zwyczaje ludów, u ktorych w chwili dzisiejszej istnieje taki sam wieczny ogień. Obyczaj bowiem utrzymywania takiego ognia jest dość powszechny na pewnym szczeblu kultury. I dlatego sądzimy, że, chociaż analogie z ogniem domowym mogą rzucić pewne światło na instytucyę ognia wiecznego, jednak ta ostatnia ma na celu daleko szersze cele, niż zawarte w kulcie ognia domowego. Jest to przedewszystkiem ognisko plemienne, główne jądro pewnej społeczności, mniejsza, że ograniczającej się do kilku wiosek. Służy ono nie tylko do dawania wyroczni, ale spełnia w życiu plemiennem mnóstwo innych zadań. Gdyby Romowe okazało się istotnie świętym azylem, naówczas i szersza rola ognia wiecznego w życiu plemiennem pojedyńczych grup szczepu litewskiego byłaby niewątpliwą.

Na tem kończymy streszczenie rozprawy prof. Mierzyńskiego. Jest to praca, pisana trzeźwo, nie stawiająca sobie zbyt dalekich celów, unikająca przypuszczeń zbyt ryzykownych, a mająca przedewszystkiem na celu sprawdzenie źródeł, ocenę ich krytyczną oraz usunięcie fałszów. Trzymając się gruntu pozytywnego, daje ona, co dać powinna: jest sumiennym, krytycznym przyczynkiem do poglądów i obrzędów starodawnej Litewszczyzny. *L. K.*

Słownik gwar polskich. Ułożył *Jan Karłowicz.* Tom I. A do E. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1900.

Dokładnej recenzyi dać tu nie możemy; aby napisać szczegółowe sprawozdanie z dzieła tego rodzaju, co „Słownik" p. Karłowicza, należałoby wykonać pracę wielką, podobną do pracy autora, a zbyt wielką w stosunku do wyników, którebyśmy mogli osiągnąć. Chcąc taką recenzyę napisać sumiennie, należałoby przejrzeć dokładnie cały materyał, który posłużył do ułożenia słownika (będzie tego razem ze sto kilkadziesiąt tomów), zatrzymać się, jeśli już nie przy każdym wyrazie, to przy każdem ciekawszem znaczeniu, i zbadać, czy ta forma lub znaczenie znajdują się w słowniku; należałoby sprawdzić każdą cytatę; następnie dopiero możnaby się zastanawiać nad tem, czy poszczególne znaczenia lub formy trafnie są zebrane pod jednym wspólnym mianownikiem, czyby może kilka wyrazów, umieszczonych na różnych miejscach, nie należało zebrać razem i t. d. — praca, którą, o ile sądzę, można i trzebaby wykonywać częściowo, jako osobne studya, w formie sprostowań, uzupełnień i dodatków do „Słownika".

Cały powyższy wywód niechaj będzie usprawiedliwieniem, że niniejsze sprawozdanie nie będzie się zajmowało szczegółami pracy p. Karłowicza, tylko będzie zebraniem kilku uwag ogólnych. Nasamprzód kilka drobnych zarzutów.

Czy w „Słowniku gwar polskich" mają być umieszczone prowincyonalizmy i wyrażenia brukowe (t. zw. „slang"). — można się spierać. Sądzę, że mogą i powinny. Ale: albo możliwie wszystkie, albo nic. W „Słowniku" okazale przedstawia się dział prowincyonalizmów litewskich, przyzwoicie dział wyrażeń brukowych warszawskich, reszta traktowana jest pobieżnie, dorywczo i przypadkowo. Za źródło do wyrażeń litewskich służyły autorowi własne, bardzo dokładne spostrzeżenia; poczęści źródłem był Walicki, wreszcie niektórzy pisarze (Orzeszkowa np.). Wskutek tego mógł ten dział być wyczerpany, o ile się to dało. Ale np. co do galicyanizmów, najwyraźniej widać, że to lub owo wyrażenie zawdzięczamy temu, iż autor przypadkiem miał w ręce pismo jakie, wydane w Galicyi, i na galicyanizm natrafił; o systematycznem wyczerpaniu niema mowy. Prowin-

cyonalizmów poznańskich ślad nieznaczny (np. ze starego „Przyjaciela ludu“). Mniej więcej tak samo ma się rzecz i ze „slangiem“, i z gwarą złoczyńców, i z gwarami zawodowemi. Umieszcza też autor niejedno wyrażenie, któregobyśmy woleli nie widzieć. Są to te słowa, które się do „Słownika“ dostały nie z prac etnograficznych, nie z własnych spostrzeżeń autora, ale z piśmiennictwa powieściowego. Skąd pewność, że bardzo niby ludowe wyrażenia Dygasińskiego albo Zapolskiej, albo Kosiakiewicza, albo Kasprowicza są takiemi naprawdę? Nasi powieściopisarze i poeci, nie wyłączając nawet najlepszych, celują tak dokładną nieznajomością ludu, że bardzo długobym się namyślał, zanimby ich „ludowe“ wyrażenia i zwroty wcielił do słownika naukowego. Nasuwa się zresztą ta sama uwaga, co poprzednio: jeżeli już autorowie powieści mają służyć za źródło, to należałoby ich uwzględnić stanowczo w znacznie większej liczbie. To samo wreszcie dotyczy tych utworów (przedewszystkiem pieśni), które wprawdzie figurują w dziełach etnograficznych, ale które nie są ludowe, i nieraz zachodzi wątpliwość, czy rzeczywiście lud je zna, czy etnograf nie padł ofiarą pomyłki. Z taką samą nieufnością wolałbym się zachowywać wobec niektórych prac, należących już do etnografii, tak np. wobec „Kwiatów polnych“ Matusiaka, albo wszystkich prac Mátyása; tu autorowie (zwłaszcza ten ostatni) zanadto chcą przedmiot artystycznie obrabiać, ich „studya“ zanadto już wkraczają w dziedzinę belletrystyki. To rodzi nieufność względem prawdziwości i dokładności materyału, którym operują. Nie mogę się w wielu razach dopatrzyć planu w cytowaniu źródeł; nie są one cytowane w porządku chronologicznym, jak się ukazywały, ani w geograficznym [1]). Dzieje się to zwłaszcza wtedy, jeżeli jeden wyraz w postaci różnej od języka literackiego powtarza się w różnych miejscowościach kraju. Gdzie tego niema, tam niema i tego sposobu cytowania. Spis źródeł, podany na końcu pierwszego tomu, wolelibyśmy widzieć dokładniejszym, coby nie kosztowało wiele pracy, a ułatwiałoby korzystanie ze słownika. Tak, jak jest obecnie, musi każdy, kto do słownika zagląda, mieć przed sobą dokładny spis wszystkich rzeczy, które wyszły w „Wiśle“, w „Zbiorze wiadomości“ i t. d.; musi sam przejrzeć „Kłosy“, „Tygodnik Illustrowany“, aby się dowiedzieć, co właściwie znajduje się w tem miejscu, które autor cytuje; nic też nie mówi taki tytuł źródła: „Rocznik Towarzystwa naukowego krakowskiego, tom XLI“, bo, co tam jest, musi czytelnik sam się przekonać. Słowem cytaty w wielu razach stają się nic nie mówiącemi kombinacyami wyrazów i cyfr zamiast z pomocą dokładnego spisu wskazać odrazu, do czego się odnoszą, o czem świadczą.

A teraz, pozbywszy się niemiłego zadania wyszukiwania plam, zapytajmy, czyby się znalazł taki filolog polski, którzy nie chciał mieć w swoim dorobku

---

[1]) Jeden przykład. Wyraz „brzydżki“ ma odsyłacze: Krak. I, 36; II, 4, 36, 304. Zb. I, 135; II, 229, 238; VII, 113; XII, 163. Rozpr. VIII, 102; XXVI, 372. Krak. III, 45. Kiel. II, 162. Udz. Wisła VI, 144. Fed. 85. Przetłómaczywszy to na język geograficzny, otrzymamy: Krakowskie, Kieleckie, Beskid, okolice Tarnobrzega, okolice Krakowa, znowu Krakowskie, znowu Kieleckie, Ropczyckie, Zakopane, okolica Olkusza. Robimy więc skoki. Tu jeszcze mniejsza, bo przynajmniej wszystko jest od siebie niedaleko. Ale p. w. „Ciągiem“: z Poznańskiego do Małopolski, znowu w Poznańskie, stąd w Beskid, stąd w Przasnyskie, stąd w Olkuskie i Łęczyckie, następnie w Tykocińskie, znowu w Poznańskie, Kieleckie i t. d.

naukowym dzieła, podobnego i mającego taką wartość, co „Słownik gwar polskich“ p. Karłowicza, choćby i z dziesięć razy większą sumą niedostatków? Ręczę, że takiego niema, że każdy byłby szczęśliwy, gdyby na podobnej książce widniało jego nazwisko. Nie potrzebujemy się długo rozwodzić nad tem, co nauka polska przez „Słownik gwar polskich“ zyskuje i jaka jest jego wartość. Każdy, z temi rzeczami obeznany, wie, że dzieła takie trwają dziesiątki lat, zanim się przestarzeją i zastąpione zostaną przez nowsze, że nie można się bez nich obejść żadną miarą, że zagląda się do nich i korzysta z nich ciągle, nieustannie, przy każdej sposobności. Dzięki „Słownikowi“ zyskujemy

przegląd rozmaitych form wyrazu jego postaci, i jego rozszerzenie terytoryalne; widzimy, — naturalnie z zastrzeżeniem co do dokładności dotychczasowych badań i źródeł etnograficznych — w jakiej dzielnicy dany wyraz lub forma są rozpowszechnione, a gdzie ich niema;

zyskujemy taki sam przegląd różnych znaczeń tego samego wyrazu;

zyskują tym sposobem badania lingwistyczne, np. badanie pochodzenia poszczególnych wyrazów ma pracę wielce ułatwioną (jeżeli np. wyraz *adest* = świadectwo, istnieje tylko w ziemi Chełmińskiej i na Śląsku, to rzecz widoczna, że przyswojony został z niemieckiego w epoce późnej i wskutek sąsiedztwa dwu żywiołów językowych); — a o tem dowiadujemy się ze „Słownika“, nie potrzebując sami przeprowadzać długich poszukiwań;

zyskuje etymologia przez zestawienie na jednem miejscu najpóźniejszych form wyrazu; zyskuje psychologia języka przez zestawienie różnych znaczeń.

Zyskujemy pogląd na narzecza i gwary polskie, dokładniejszy od dotychczasowych; ułatwienie pracy dla przyszłego dzieła o dyalektologii polskiej jest ogromne: więcej, niż połowa roboty przygotowawczej jest już wykonana.

Zyskuje wogóle każdy dział gramatyki. Kto chce zająć się np. kwestyą samogłosek nosowych, nie będzie się potrzebował trudzić wyszukiwaniem pochodzenia setek wyrazów, gdyż je znajdzie zestawione razem w „Słowniku“; i tak we wszystkich innych kierunkach. A ile światła padnie teraz na dawną epokę języka, na wyrazy niezrozumiałe! Trudno wymagać od uczonego, aby, zajmując się np. wiekiem siedemnastym, dla objaśnienia kilku wyrazów zasiadał do stu kilkudziesięciu tomów materyałów etnograficznych i tam objaśnienia szukał; w ten sposób nie prędkobyśmy się czego doczekali. Teraz znajdzie wszystko, co znaleźć się dało, w „Słowniku“ p. Karłowicza.

Jednem słowem jest to dzieło, za które autorowi można być tylko wdzięcznym. Spełnia ono jedno z licznych — niestety — marzeń filologów polskich, i mamy niepłonną nadzieję, że olbrzymie ułatwienie, które autor pracą przeszło trzydziestoletnią wyświadczył badaczom języka polskiego, będzie dla nich bodźcem do tem większej pilności i wyda bogate plony. Z dzieł ostatniej doby, poświęconych językowi polskiemu, „Słownik“ p. Karłowicza jest bezsprzecznie najważniejszem, a co do znaczenia nie waham się ani chwili postawić go narówni ze słownikiem Lindego.

Stanisław Dobrzycki.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Sprawa żywienia slę ludu wiejskiego.—Broszura d-ra Kozłowskiego. — O Łodzi.— „Ekonomista“. — Czy będzie miał prenumeratorów? — Opłakany stan naszej literatury publicystycznej. — Uwaga o prasie peryodycznej. — Edward Strumpf.

Mówić o żywieniu się ludu wiejskiego to wywoływać wilka z lasu — wilka znudzenia. Taki sam rezultat osiąga np. rozprawa o rzymskiej todze. „A, do stu dyabłów! — wykrzykuje czytelnik — wszystko to bardzo dobrze, ale cóż ja na to poradzę?" I prawie zgodzilibyśmy się, gdyby sprawa „żywienia się" była integralną i nieoderwalną częścią sprawy społecznej. Niema nic przykrzejszeszego, jak mówić o dolegliwościach, których usunięcia rychłego nie przewidujemy. Tymczasem zaraz wykażę czy przypomnę, że tak nie jest. Naturalnie podniesienie stanu ekonomicznego ludu byłoby jednocześnie rozwiązaniem kwestyi lepszego pożywienia, lecz to ostatnie da się też osiągnąć w pewnej mierze niezależnie, drogą umiejętnej pedagogii i drobnych reform w życiu codziennem.

Zanim się wytłómaczę, dlaczego koniecznie w tym miesiącu sprawę żywienia się ludu wiejskiego uważam za aktualną, zwrócę uwagę czytelników na interesującą broszurę d-ra Stanisława Kozłowskiego p. t. „Co wiemy o żywieniu się ludu naszego?"

Co wiemy? W czasach *Sturm und Drang* — okresu społecznikowstwa warszawskiego temi rzeczami zajmowano się nader gorliwie i pozostawiono z jednej strony wiele materyałów surowych,

z drugiej — ciekawych i alarmujących wniosków. Później ukazało się kilka dorywczych rozprawek pióra lekarzy, w rezultacie zaś wiemy, że sprawa jest dojmująca i godna jaknajszerszego zainteresowania. Słynny uczony, Karol Voit, powiedział kiedyś: „Polepszenie położenia materyalnego ludu przedłużyć może średnią długość życia i uczynić silniejszą całą rasę ludzką; tu leży, przynajmniej w znacznej części, rozwiązanie olbrzymich zagadnień, niepokojących dziś społeczeństwa". Oczywiście fizyolog miał tu na myśli głównie sprawę pożywienia, a takie świadectwo ma swoją wartość. Dr. Kozłowski cofa się nawet do historyi, a następnie rozpatruje całą istniejącą o tym przedmiocie literaturę polską. W pracach ostatnich dostrzega dążenia „do coraz bardziej źródłowego i dokładnego zbadania kwestyi", ostatecznie zaś wyciąga z nich takie wnioski. W pożywieniu ludu znajdujemy brak pokarmów pochodzenia zwierzęcego i tłuszczów, a zawsze nadmiar wodanów węgla. Brak białka zwierzęcego i tłuszczów zwierzęcych powstaje nie tylko wskutek braku mięsa, ale i z niedostatecznej ilości nabiału. Służba dworska dostaje mleko zbierane, w znacznej mierze ogołocone z białka i tłuszczu. Włościanie masło i ser wyrabiają wyłącznie na sprzedaż, często też sprzedają i mleko. Brak pokarmów pochodzenia zwierzęcego szczególnie jest dotkliwy dla dzieci, dla których rozwoju białko zwierzęce jest niezbędne. Włościanie rozumieją to instynktownie i, odejmując sobie od ust mleko, przeznaczają większe jego ilości dla dzieci. Ten sam cel osiągają matki, karmiąc swe dzieci piersią niezmiernie długo (często 2 lata i dłużej), poświęcając niejako potrzeby własnego organizmu dla lepszego rozwoju dziecka. Niedostateczne ilości białka powodują zapewne wielką śmiertelność u dzieci, niższą wagę, niższy wzrost dorosłego robotnika wiejskiego i opóźnienie w rozwoju młodzieży w latach poborowych.

Pożywienie ludu prócz tego, że jest niedostateczne, jest nadto niezmiernie grube, trudno strawne, jednostajne, nieumiejętnie przyrządzone i, aby dostarczyło koniecznej ilości odżywczych pierwiastków, musi być spożywane w ogromnych ilościach. Cała energia organizmu zwraca się na sprawę trawienia. „Tu więc może należałoby szukać źródła oziębłości, niedbalstwa i braku inicyatywy u naszych wieśniaków". O przeciętnym włościaninie nie można powiedzieć, żeby się żywił przeważnie kartoflami. Dowiódł tego Rutkowski i wykazał, że włościanin spożywa jednak dziennie około 1500 gr. kartofli. W każdym razie jest to cyfra przeszło 2 razy wyższa od dozwolonej przez hygienę normy. Skoro jednak od przeciętnego włościanina zwrócimy się do poszczególnych rodzin i grup

włościańskich, to znajdą się i tak ubodzy, dla których kartofle stanowią główną podstawę pożywienia.

Niedostatecznem pożywieniem dałyby się może wytłómaczyć niektóre rażące nas zwyczaje ludu, dotyczące zachowania ciepła, jak np. budowanie ciasnych i nizkich mieszkań z małemi oknami, nieprzewietrzanie izby w zimie, sypianie pod pierzyną, noszenie kożucha nawet w gorącej już porze roku, obawa zimnej wody. Wszystkie te zwyczaje mają wspólną cechę — obawę i ochronę przed zimnem, wiadomo bowiem, że ciepło naszego ciała zawdzięczamy spożytym pokarmom. Włościanie zamożniejsi używają obficiej nabiału i tłuszczów, lecz z mięsem „obchodzić się nie umieją": gotują z niego przeważnie rosół i jedzą za wiele naraz.

Przechodząc do wniosków praktycznych, zaradczych, autor nasz zatrzymuje się przedewszystkiem na postach. Otóż o tej to sprawie rozprawiano niedawno bardzo żywo w Towarzystwie Hygienicznem i komunikowano się nawet z arcybiskupem warszawskim. Chodzi o to, że lud nasz obserwuje posty zbyt ściśle, ściślej nawet, niż tego wymagają przepisy kościelne. Mowa tu oczywiście nie o poście zwykłym, t. j. o powstrzymaniu się od spożywania mięsa, który chłop uprawia prawie przez cały rok, lecz o poście ścisłym, nakazującym posilać się tylko raz na dzień do sytości (na obiad), a rano i wieczorem poprzestać na znacznie mniejszym posiłku, a także o poście wielkim, w którym prócz tego należy wstrzymać się od spożywania mleka, masła, sera i jaj. „Post tylko z olejem — pisze dr K.—szkodliwie musi oddziaływać na zdrowie i rozwijające się organizmy naszych włościan. Zmniejszona ilość przyswojonego białka, bo do $^{1}/_{3}$ części normalnej, i ubytek na wadze przez czas wielkiego postu dotkliwie wskazuje dużą krzywdę, jaką czyni post ścisły ludowi naszemu".

Ks. Popiel na zapytanie Towarzystwa Hygienicznego odpowiedział: że okoliczności, wystarczające do zwolnienia od postu, są liczne i różnorodne, tak, iż stosowanie ich w praktyce rozciągać się może do znacznej liczby wiernych; że pod względem ilościowym, to jest możności spożywania pokarmów w dni postne kilkakroć na dzień, to lud, jako przeważnie ciężko pracujący, nie jest krępowany przez kościół; że biedacy, których nie stać na pokarmy postne pożywniejsze, mogą uzyskiwać zwolnienia częściowe od zwykłego postu pod względem jakości; wreszcie że władza dyspensowania od wstrzemięźliwości w dni sobotnie może być stosowana według uznania biskupów.

Oświadczenie powyższe, pochodzące od wyższej władzy

kościelnej, powinno nam nasunąć przypuszczenie, że niższe organy kościelne nie przekroczą granic gorliwości koniecznej i postarają się tłómaczyć zwolna, lecz systematycznie ludowi, jak dalece złe odżywianie się szkodzi sprawie ekonomicznej, sprawie społecznej i kulturalnej, a nawet samej sprawie wiary i kultów religijnych. Albowiem, jak mówi Pismo Święte: „Dla pokarmu nie psuj sprawy Bożej. Wszystko wprawdzie jest czyste, ale źle jest człowiekowi, który je z obrażeniem" (list św. Pawła do Rz. r. XIV). A także: „A jeśli co cierpi jeden członek, społu cierpią wszystkie członki: choć bywa uczczony jeden członek, wespół się radują wszystkie członki" (l. św. P. do Rz. r. XIII). Powróćmyż jednak do wniosków praktycznych dra Kozłowskiego. Otóż streszcza je on w ten sposób.

Potrzebne są szkoły kucharskie wiejskie, któreby uczyły kobiety wiejskie smaczniejszego przyrządzania pokarmów (nadawania im takiej formy, którąby pozwalała najłatwiej wyzyskać pożywne składniki) i urozmaicania samego pożywienia. Rozpowszechnianie wiedzy ogrodniczej, zakładanie, umiejętne prowadzenie rybołówstwa i rozszerzanie tych umiejętności pośród włościan przysporzyłoby im znaczną ilość środków spożywczych i urozmaiciłoby ich stół monotonny. Nauka rękodzieł podniosłaby stopień zamożności ludu.

Właściciele ziemscy powinni polepszyć warunki wynagrodzenia służbie folwarcznej przez a) zwiększenie ordynaryi, wydawanej w zbożu, b) ulepszenie pastewników dla krów służby dworskiej w celu zwiększania ilości mleka, c) powiększenie przestrzenie ziemi, oddawanej na ogrody, d) umiejętniejszy dobór i rozmaitość potraw i lepsze pod każdym względem ich przyrządzenie dla robotników, pozostających na stole dworskim. Wreszcie autor zupełnie niepotrzebnie dodaje „komasacyę gruntów" i t. p., niepotrzebnie, ponieważ sprawę z gruntu bieżącego, praktycznego, wykonalnego wyprowadza się znów w pole postulatów najogólniejszych — serdecznie ukochanych przez pracobiorców, bo odległych. Rzecz prosta, że wzrost kultury rolnej u chłopa wpłynąłby na umiejętniejszy dobór pokarmów, ale z równem powodzeniem moglibyśmy mówić o zbawiennych skutkach czytania *Handwörterbuch'u der Staatswissenschaften.* Nie są to przyczyny i skutki wprost bezpośrednie. Zresztą nie oskarżajmy autora, który umiejętnie, żywo i na czasie poruszył sprawę dobrą. Jak widzimy, niezależnie od dalszych badań tego przedmiotu, które mają wyświetlić inne i nowe strony zagadnienia, już teraz da się coś o niem powiedzieć pewnego i już teraz nastręcza się nam mnóstwo zadań praktycznych. Ba! Któż ma się niemi zająć? My, daj-

my na to, tu, w Warszawie, możemy prawić nader cnotliwe kazania, możemy wydać przewodnik kucharski dla chłopów, a nawet urządzić wystawę hygieniczno-wiejską, wszystko to atoli będzie poprostu figlowaniem publicystycznem w porównaniu z tem, co jest rdzeniem roboty — roboty, spadającej na barki właścicieli ziemskich, inteligencyi małomiejskiej, księży, nauczycieli i t. d., i t. d. Gdyby ich oczy chciały spoglądać tylko w sposób, że tak powiem, zawodowy, to i tak dojrzałyby pożytek własny z posiadania zdrowych, dobrze odżywionych robotników, klientów, penitentów i uczniów.

* * *

Ostatnimi czasy Łódź zwraca szczególniejszą uwagę pism i publicystów rosyjskich. Niedawno, między innemi, „Prawitielstwiennyj Wiestnik" poświęcił dłuższy artykuł charakterystyce tego miasta. W pracy p. t. „Zarysy życia łódzkiego" zamieszczono nieco wiadomości statystycznych o liczbie mieszkańców, towarzystw akcyjnych, fabryk i zakładów przemysłowych, stowarzyszeń, banków i t. p., a następnie wspomniano, że prasa rosyjska dotychczas za mało zajmowała się objawami życia łódzkiego. Na dowód tego autor artykułu przytacza, co następuje:

„Przed dziesięciu laty między Czechami, których jest wielu wśród robotników łódzkich, ujawniła się dążność do przyjmowania prawosławia, która ogarnęła już nie jednostki, lecz całe dziesiątki rodzin, tak, że obecnie tutejsza parafia prawosławna liczy około 700 Czechów".

„Do szeregu zjawisk życia łódzkiego, mało znanych i zasługujących na jaknajszersze rozgłoszenie, należy niewątpliwie budowa trzech cerkwi prawosławnych z funduszów, ofiarowanych przez obywateli miejscowych: luteran, katolików i żydów. W historyi naszych miast jest to wydarzenie, nie mające przykładu. Pierwszą cerkiew na życzenie obywateli miasta postanowiono wznieść pod wezwaniem błogosławionego księcia Aleksandra Newskiego, pod wpływem wieści o ocaleniu Cesarza Aleksandra II od zbrodniczego zamachu w d. 2 (14) lutego 1879 r. Uchwała ta, doznawszy szczególnego poparcia ze strony najbogatszego i najwpływowszego fabrykanta, K. Scheiblera, Niemca i luteranina, zapadła d. 6 (18) tegoż kwietnia.

„Prezesem komitetu budowy tej cerkwi był z początku pomieniony Scheibler, a po jego śmierci w r. 1881 ówczesny gubernator

piotrkowski, obecnie członek rady państwa, generał artyleryi Kachanow. Do komitetu różnymi czasy należeli: trzej Rosyanie i prawosławni i 11 innowierców, w tej liczbie 7 Niemców, 2 Polaków i 2 Żydów. Plan cerkwi wypracował ówczesny architekt m. Łodzi, Polak i katolik, dzisiaj już nieżyjący J. Majewski, akademik, bardzo utalentowany artysta. Żeby się lepiej zapoznać z budownictwem naszych dawnych świątyń, w których stylu miała być wzniesiona świątynia łódzka, p. Majewski jeździł na koszt swój do Moskwy. Sporządzenia planu i kierowania robotami koło cerkwi oczywiście dokonał bezinteresownie, a oprócz tego sam ofiarował dla cerkwi kolorowe okna wartości 1,555 rub.

„Ogółem na budowę cerkwi zebrano gotówką 78,259 rb. 90 k. i w naturze 15,721 rb. 61 kop. Najznaczniejsze ofiary złożyli członkowie komitetu budowy: 1) Scheibler z żoną gotówką 24,650 rub.; 2) E. Herbst 9,600 rb. gotówką i za 5,090 rub. 57 kop. sprzętów cerkiewnych; 3) wiceprezes Heinzel gotówką 10,800 rub. i robót stolarskich za 6,825 rub. 54 kop.; 5) I. Poznański, Żyd, 8,000 rub.; 5) Konstadt, żyd, 4,500 rub.; 6) L. Majer dzwony za 1,500 rub. i gotówką 3,500 rub.; 7) Gromau 5,500 rub. W składce uczestniczyli i biedacy. Np. robotnicy z fabryki Majera zebrali 29 rub. 55 kop. Co się tyczy Rosyan, których wówczas w Łodzi było mało, ci złożyli gotówką i przedmiotami około 200 rub."

„Ludność Łodzi — pisze dalej organ urzędowy — powoli się zwiększała, na prawosławie przechodzić zaczęły, jak wyżej powiedziano, setki Czechów łódzkich, a w r. 1895 liczba parafian prawosławnych doszła 2,590. Prócz tego, w miarę powiększania się ludności, zaczęła się zwiększać w sposób naturalny liczba ubogich sierot, pochodzących zwłaszcza z małżeństw mieszanych strażników i dymisyonowanych szeregowców z Polkami i Niemkami. Każdy Rosyanin, który przebył w tutejszym kraju kilka lat, zna dobrze położenie tych nieszczęśliwych oberwańców, którzy niekiedy po śmierci ojców oduczają się żegnania po prawosławnemu i języka rosyjskiego, a matki najczęściej przyprowadzają ich do naszych duchownych, mówiąc: „bierzcie i róbcie z nimi, co chcecie, my same nie mamy co jeść". W ten sposób dojrzała w Łodzi w r. 1895—96 potrzeba drugiej cerkwi i osobnej ochrony przy cerkwi dla sierot".

Gdy jednakze w r. 1897 zabrakło funduszów parafialnych, komitet budowy zwrócił się o pomoc do mieszkańców.

„Ofiary od wielu osób bez różnicy wyznań posypały się obficie. Fabrykant Kunitzer, właściciel sąsiedniej nieruchomości, ofiarował ziemię wartości z górą 4,000 rub. Drugi sąsiad, fabrykant Rosen-

blum, wytknął i wybrukował swoim kosztem ulicę koło cerkwi i zbudował dokoła mur z kratą żelazną. Gotówką złożyli: a) chrześcijanie: wdowa Scheibler z synem i zięciem 2,000 rub., Tow. akc. Heinzla 1,000 rub., Hertig, Grohman, Keller i Leonard po 500 rub., Gejer, Helich, Krusche i Ender po 300 rb.; b) żydzi fabrykanci: Poznański z rodziną 1,250 rub., Silberstein 500 rub. i M. Kohn 300 rub." Razem na cerkiew tę pod wezwaniem św. Olgi złożono 67,130 rub. 14 kop., w tem Rosyanie 2,500 rub.

Oprócz powyższych, trzecią cerkiew, głównie na potrzeby wojskowych, wznieśli fabrykanci łódzcy w innym końcu miasta, w pobliżu koszar, w r. 1896. Kosztowała ona fabrykantów ogółem 120.000 rub., z czego przypada: na Scheiblera 15,000 rb., na Poznańskiego, Heinzla i Blocha po 5,000 rb., na Heinzla i Kunitzera po 4,000 rub., na Silbersteina i Gejera po 3,000 rb. i t. d. Wogóle do składek należało 64 firmy, a w tem żydowskich 19.

W dalszym ciągu artykuł podaje wiele zajmujących szczegółów o wydatkach w Łodzi na oświatę, o funduszach, asygnowanych na ten cel przez miasto, i, mówiąc o ofiarach, składanych na oświatę przez milionerów łódzkich, wymienia rodzinę Scheiblerów, która własnym kosztem zbudowała gimnazyum męskie, Herbsta, który sprawił w niem własnym kosztem urządzenie wewnętrzne, oraz Poznańskiego, któremu gmach zawdzięcza zadrzewienie zewnętrzne. Fabrykanci ci utworzyli również przy gimnazyum z funduszów własnych 4 stypendya: imienia Cesarza Aleksandra III, im. b. gubernatora Kachanowa, im. b. gubernatora Zinowjewa oraz im. b. kuratora Apuchtina.

* * *

W końcu ubiegłego miesiąca wyszedł zeszyt pierwszy odnowionego „Ekonomisty". Pismo to, przekształcone na kwartalnik, będzie odtąd zamieszczało wyłącznie studya gruntowniejsze, zarówno teoretyczne, jak praktyczne, nie przestając być aktualnem, uważnem na bieżące prądy i potrzeby życia gospodarczego. Redakcya, utworzona z pp. dra Stanisława Bukowieckiego, Stanisława Chełchowskiego, Zygmunta Heryngа, St. A. Kempnera, dra Stanisława Kłobukowskiego, B. Koskowskiego, Henryka Radziszewskiego, Władysława Rawicza, Adolfa Suligowskiego i Stefana Woyzbuna, pod ogólnem kierownictwem p. Maryana Kiniorskiego, zapowiada przytem, że będzie w stałej zgodzie z najnowszymi kierunkami

w ekonomii społecznej. Tego też dowodzi zeszyt pierwszy, na który złożyły się prace następujące: „Teorye ekonomiczne i polityka społeczna" St. A Kempnera, „Pieniądz i przewrót cen w Polsce w XVI i XVII w." Adama Szelągowskiego, „Stanowisko historyczne w nauce ekonomii" Jana Steckiego, „Ekonomia socyologiczna" B. Koskowskiego, „Powszechna emerytura ubogich w Anglii" Fabisty, „Syndykaty przemysłowe" (ujawnienie syndykatu przędzalnianego w Królestwie) K. G., „Nowa ustawa stemplowa" Henryka Konica, „Towarzystwo ubezpieczeń na życie wobec przesilenia pieniężnego" Stanisława Fuka, „Towarzystwa i stowarzyszénia rolnicze w Danii" Stanisława Piotrowskiego, „Kronika ekonomiczna" A. Korwina, „Kronika rolnicza" Stanisława Dzierzbickiego, „Położenie ekonomiczne" S. A. K., wreszcie „Rozbiory i sprawozdania" Józefa Hłaski, Al. Wierzchlejskiego, dra St. Kłobukowskiego, dra St. Bukowieckiego, M. Kiniorskiego i innych. W następnych zeszytach ma być także uwzględnione życie gospodarcze Galicyi i Ks. Poznańskiego w artykułach pióra wybitnych ekonomistów tutejszych.

Czy tak prowadzone pismo ekonomiczne będzie miało prenumeratorów?

Jest to pytanie złowrogie, któregobym wydawcy nie miał serca zadawać przed obiadem. Niepodobna bowiem opędzić się przed poważnemi wątpliwościami, kiedy się widzi, że u nas kwestye, dotyczące pierwszorzędnych interesów gospodarczych i społecznych, nikogo nie obchodzą — nic a nic nie obchodzą. Pierwszy lepszy Amerykanin lub Anglik wyłby ze zgrozy, dowiedziawszy się, że mamy po kilka pism teatralnych, humorystycznych, „ilustrowanych" i t. p., ani jedno zaś czasopismo, specyalnie poświęcone zagadnieniom ekonomicznym, nie mogło się dotychczas utrzymać. Pięknie też przedstawia się nasza literatura ekonomiczna! Nie wiemy nic: czy przemysł wielki rozwija się, czy upada, i pod jakim względem? jakie są rozmiary produkcyi rzemieślniczej i jakie potrzeby tej gałęzi pracy? jaka ilość ziemi przeszła ostatnimi czasy w ręce chłopskie? jaki jest stan odłużenia własności chłopskiej? czego potrzeba naszemu handlowi wywozowemu? Albo ja wiem zresztą! Musiałbym sto pytań wyszczególnić, aby na wszystkie odpowiedzieć — wzruszeniem ramion, wyrażającem zupełną nieświadomość. Jeżeli się rozpocznie w pismach polemika na tle jakiejś sprawy ekonomicznej, to najsilniejszym argumentem bywa zapewnienie osobiste autora, „pod słowem honoru", że tak jest, a nie inaczej. Przed sądem opinii publicznej wygrywa ten z szermierzy, kto się zaklnie „na Boga". Spór taki ani jednej rzeczy nie nazywa po imieniu, ani jednej nowej cyfry nie-

wywleka, nikogo nie porusza, nikogo nawet nie zachęca do badań. Czytelnik mówi sobie: ależ ja to wszystko słyszałem już po dziesięćkroć, nawet cyfry, któremi się opancerzają przeciwnicy, przytaczane były piętnaście lat temu! Wyobraźcie sobie naprzykład, że nasze rzemiosła znajdują się istotnie w obliczu bardzo poważnego niebezpieczeństwa i że mimo to w ostatnich kilkunastu latach nie wyszła ani jedna publikacya, któraby niebezpieczeństwo to uważniej rozstrząsała; że nasz handel drobny nie otrzymał dotąd ani jednej wskazówki praktycznej; że o pomnożenie wytwórczości rolniczej chłopskiej nikogo dotychczas głowa nie zabolała; że... Potrzebaż wymieniać jeszcze dalej?

* * *

Faktem jest, że publiczność nasza nie odczuwa potrzeby poważniejszej lektury, lektury naukowej, ekonomicznej, publicystycznej. Niedawno *Książka* stwierdzała to co do książek naukowych, ja zaś — w jednym z dzienników — uzupełniłem skargę na obojętność względem studyów publicystycznych.

Otóż — bądźmy sprawiedliwi! — lwią część zasługi w takiem urobieniu koła czytelniczego przypisać można, a nawet trzeba, operacyom prasy peryodycznej.

Z dwu naraz pism rozległy się głosy krytyczne nad naszą prasą peryodyczną. W numerze tysiącznym, jubileuszowym „Rozwoju" p. Antoni Sygietyński ostro a dosadnie charakteryzuje stan publicystyki współczesnej. „Teraz tylko reporterzy kwalifikują u nas cnotę i wydają sądy o literaturze i sztuce. Książka, zabita przez tygodnik, tygodnik, poderwany w swym bycie przez dziennik, a dziennik, wydany na łup interesów agencyi telegraficznych i na pastwę umysłowości reporterskich — oto stan naszej publicystyki na początku XX-go wieku".

Jeszcze ostrzejszy o niej sąd wydaje p. Zenon Przesmycki w zeszycie lutowym „Chimery". „Zacząwszy od przystosowywania się do potrzeb występującej na widownię świata nowej publiczności, poświęciła ona (prasa peryodyczna) wprędce w ofierze molochowi aktualności, znajomości przedmiotu, o którym się pisze, sumienność i gruntowność w rozpatrywaniu tej czy owej kwestyi, ścisłość i konsekwencyę w udowodnieniach i argumentacyach, samą umiejętność pisania wreszcie, styl oraz indywidualność autorską. Nawet prawi, utalentowani ludzie pióra, nawet pisarze z powołania, nie z rzemiosła, którzy dla jakichbądź przyczyn wpadli w maelstrom dzienni-

karski, nie zdołali uratować od rozbicia tych kamieni węgielnych zawodu pisarskiego. Konieczność produkowania z dziś na jutro nie pozwalała im ani wyczerpująco poznać przedmiotu, ani dostatecznie pogłębić swych sądów, ani nawet wystarczająco opracować formy zewnętrznej. Wkrótce zresztą zostali oni zdystansowani i na drugi plan usunięci przez samą kolej wypadków... Dla zapełnienia olbrzymich płacht niepoliczonych dzienników i tygodników okazała się potrzeba znakomitego wznowienia produkcyi pisarskiej i liczby piszących. Ponieważ zaś dziennikarstwo stało się zawodem nader zyskownym, więc cała masa ludzi bez talentu, bez kultury, bez znajomości sztuki pisarskiej, ludzi, którzy z równem prawem mogliby lub raczej nie mogliby — być ratajami, szewcami lub klownami cyrkowymi, ludzi, ożywionych jedynie poziomemi żądzami zarobku i taniej sławy... rzuciła się gromadnie na nowoodkryte, złotodajne kalifornie tego rzemiosła i obniżyła pod każdym względem, do niemożebnych granic i tak już nizki poziom prasy. Względy zarobkowe i konkurencyjne wskazały wprędce już teraz, że niedość jest iść *à la remarque de l'opinion*, niedość dogadzać złym gustom publiczności i do nich się przystosowywać; że trzeba wyprzedzać je, rozwijać dalej i kształtować; że trzeba uderzyć do najsłabszych stron słabej natury ludzkiej, wziąć w opiekę najmizerniejsze instynkty tłumu, bo wtedy z jednej strony zdobywa się potężnych sprzymierzeńców w próżności filisterskiej, lenistwie umysłowem i innych podobnych właściwościach czytelników, z drugiej zaś usuwa potrzebę jakichkolwiek ulepszeń, jakichkolwiek zdolności czy umiejętności... Wyrabiano otwartą niechęć do każdej rzeczy gruntowniejszej lub głębszej, jako do zamachu na indolencyę umysłową czytelnika, a zarazem do karygodnej chęci imponowania mu. Ganiono i potępiano z tychże względów każdy poryw ku nowości i oryginalności, a wychwalano natomiast nie przeszkadzającą dobremu trawieniu banalność, zdawkowość i wierność zużytym frazesom. Studzono gorliwie wszelkie zapały, porywy i entuzyazmy, ośmieszając je i piętnując wzgardliwie mianami szaleństwa, młodzieńczości, poezyi, donkichoteryi i t. p. Zabijano wszelką wrażliwość, odzwyczajając od chwilowego choćby milczenia i zastanowienia; ośmielano wreszcie do wydawania najzuchwalej stanowczych sądów w najbardziej szablonowych i nic nie mówiących frazesach... i t. d."

Nie będziemy kruszyli kopii o wartość prasy peryodycznej, przystajemy na opinię pp. Sygietyńskiego i Przesmyckiego. Kiedy jedna część pism kłóci się bez wytchnienia z nauką i jej przedstawicielami, przyczem — pomijając bezsensowną argumentacyę — uży-

wane są karczemne wymysły i inwektywy, to inne traktują czytelnika, jak łatwo nudzącego się dzieciaka lub jak zdziecinniałego i żyjącego tylko wspomnieniami starca. „Ani jednej cegiełki z wzniosłego gmachu naszej rodziny nie oddamy" — woła prospekt jednego pisma, „Ogłosimy konkurs na powieść, którąby się mogła znaleźć w każdym domu polskim" — obwieszcza drugie. „Hasłem naszem będzie swojskość" — obiecuje trzecie. Jest-że w tem wszystkiem choć odrobina sensu?

Dziennikarstwo warszawskie nie upada, bo nigdy nie stało wysoko, przeciwnie nawet, rozwija się w zakresie swego nowoczesnego powołania, t. j. przedewszystkiem informowania czytelników, lecz poziom ogólny prasy codziennej i tygodniowej jest zdumiewająco nizki. Brak publicystów wytrawniejszych, brak referentów literackich i popularyzatorów naukowych. Ludzie, którzy mogliby ze względu na swe wykształcenie i utalentowanie zająć wybitniejsze stanowisko w publicystyce polskiej, wtrąceni zostali w koło najpospolitszych robót dziennikarskich. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę, że jednocześnie z tem nastąpiło przymusowe wyrzeczenie się praw i dobrowolne — obowiązków, to zrozumiemy, jak wiele szkody, a jak mało pożytku odnosi się z tranfuzyi „lepszych sił" do dzienników. To też dławienie pism przez reporterów, o którem mówi p. Sygietyński, jest faktem niewątpliwym.

Nic przeto dziwnego, że publiczności wystarcza napomknienie o „palącej kwestyi", danie do zrozumienia, że „zagranicą jest inaczej", i blagierskie wykręty od bliższych wyjaśnień.

* * *

Dnia 7 kwietnia w Siedlcach zmarł młody przyrodnik i publicysta, Edward Strumpf, przeżywszy zaledwie 28 lat. Pisywał do „Wszechświata" i „Wielkiej Encyklopedyi", opracował osobno „Obrazy Kaukazu", rzecz, nacechowaną szczególnym wdziękiem poetyckim, rozprawę przyczynkową z histologii sosny i szkic popularny o morfologii roślin. W dawnym „Głosie" drukował przeważnie drobne artykuliki publicystyczne. Był to najlepszy i najkulturalniejszy typ człowieka, jakiego tylko możemy sobie wyobrazić.

Bolesław Koskowski.

KOMUNIKAT URZĘDOWY.

Petersburg, dnia 2 (15) kwietnia.

Począwszy od drugiej połowy ubiegłego stycznia w większości wyższych zakładów naukowych różnych wydziałów zachodziły w różnym czasie zaburzenia studenckie, które w wielu z tych zakładów pociągnęły za sobą zawieszenie wykładów przed nadejściem feryi wielkanocnych. Takie zawieszenie wykładów, które przeszkodziło do normalnego ich ukończenia, wytworzyło położenie, że studenci mogą być zmuszeni albo do utracenia roku szkolnego, albo też w niektórych razach na mocy istniejących przepisów do opuszczenia zakładu naukowego. Skutki takie mogą ciężko zaważyć na losie studentów, a dla niektórych z nich, z uwagi na stosunki osobiste lub rodzinne, byłyby prawdziwem nieszczęściem. Zwołana z Najwyższego pozwolenia pod przewodnictwem ministra oświaty osobna narada głównych naczelników zarządów, pod których zawiadywaniem pozostają wyższe zakłady naukowe, uznała za konieczne dla przywrócenia prawidłowego biegu życia naukowego w wymienionych zakładach zarządzenie środków następujących:

1) W ciągu kwietnia w wyższych zakładach naukowych wznowić wykłady lub też, na mocy rozporządzenia władzy naukowej, bezpośrednio przystąpić do egzaminów przejściowych i ostatecznych w terminach, wskazanych przez zwykłe rozkłady egzaminów.

2) Gdyby na ukończenie wykładów i dokonanie egzaminów do chwili rozpoczęcia feryi letnich zabrakło czasu, to należy wykłady te i egzamina przedłużyć na czas wakacyjny, pozostawiając właściwej władzy naukowej oznaczenie dat koniecznych w tym przedmiocie.

3) Tych, którzy nie staną do egzaminów bez szczególnie ważnej przyczyny lub też ich nie zdadzą, poddawać wszystkim skutkom, wskazanym przez przepisy, obowiązujące w tej mierze w oddzielnych zakładach naukowych.

4) W wyższych zakładach naukowych tytułem wyjątku pozwalać w roku bieżącym na egzaminy jesienne i egzaminy dopełniające w szczególnie ważnych razach dla osób poszczególnych zgodnie z podaniami tych ostatnich na mocy upoważnienia właściwej władzy naukowej.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 28 Апрѣля 1901.

Wydawca: *Wł. Spasowicz.*
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*